

GESTAPO

TŁUMACZYŁ Z JĘZYKA FRANCUSKIEGO

JULIUSZ WILCZUR-GARZTECKI POLSKI INSTYTUT WYDAWNICZY

Tytuł oryginału „GESTAPO”

Projekt graficzny Henriette Tost

Redakcja Arkadiusz Pawelek

© Copyright by Sven Hassel

© Copyright for the Polish translation by Juliusz Wilczur-Garztecki © Copyright for the Polish edition by Polski Instytut Wydawniczy, Warszawa 2005 WYDANIE PIERWSZE

Polski Instytut Wydawniczy, Warszawa 2005

e-mail: info@strefaKsiazki.net

00-021 Warszawa, ul. Chmielna 5/7

tel./faks (022) 826 92 96

www.StrefaKsiazki.net

ISBN 83-89700-15-8

Dystrybucja: Firma Księgarska Jacek Olesejduk Sp. z o.o.

01-217 Warszawa, ul. Kolejowa 15/17

e-mail: biuro@olesejdukpl tel./faks (022) 631 48 32

Skład: TYPOSCRIPT

53-006 Wrocław, ul. Wojszycka 15

Druk i oprawa Drukarnia Delta

50-444 Wrocław, ul. Pułaskiego 69-71 tel. (071)346 06 42 faks (071) 342 48 83

* * *

WYZNANIE WIARY NAZISTY

„Jak długo byłem w pierdolonej Armii? Dziewięć lat! I przez cały ten czas nigdy nie zostałem przyłapany - a wiecie czemu? Bo jestem cholernie dobrym żołnierzem, lepszym, niż wy wszyscy moglibyście się stać za milion lat... Zachowuję się zgodnie z regulaminem, zgadza się? Mam przepisowo zawiązany krawat, czeszę się z przedziałkiem... Ani u mnie, ani na moim mundurze nigdy nie ma niczego niezgodnego z książką regulaminów. Jazda, śmieJCie się, ale jeśli nie zaczyna się we właściwy sposób, żaden z was nigdy nie zostanie dobrym żołnierzem. A gdy zdecydowałem się wstąpić do Armii, postanowiłem zrobić to we właściwy sposób. I tak uczyniłem, od samego początku. I ni cholery mnie nie obchodzi, o co jakoby mamy walczyć, po prostu robię to, co mi każą. Zabiłbym moją matkę i babkę, gdybym otrzymał taki rozkaz. Jestem żołnierzem, ponieważ lubię być żołnierzem, a jeśli lubię coś robić, to lubię też robić to dobrze”.

* * *

PROLOG

Usłyszeliśmy za nami hałasy i krzyki. Mały i Legionista zatrzymali się, by nasłuchiwać, my zaś rzuciliśmy się naprzód. Tamci kryli się w gęstych krzakach.

Nadbiegło czterech Rosjan, wszyscy bardzo młodzi żołnierze, w mundurach wojsk NKWD. Na piersiach mieli odznaczenia. Odważni to byli ludzie, lubiący polowanie i lubiący zabijać.

Pojawili się na zakręcie drogi. Legionista pokazał na ziemię kciukiem, a Mały uśmiechnął się w oczekiwaniu. Dwa pistolety maszynowe zaczęły pluć niemal równocześnie.

Mały strzelał stojąc i przyciskając broń do biodra, a całe jego potężne ciało wibrowało od siły odrzutu.

Legionista, spokojny i opanowany, jak zawsze podczas akcji, podśpiewywał swą odwieczną piosenkę - ”Przyjdź śmierci, przyjdź”.

Rosjanie padali głowami naprzód. Gdy strzelanina się skończyła, dwóch z nich jeszcze się ruszało, a Mały podszedł, by strzelić im w głowy. Była to stosowana od roku praktyka, ponieważ okazało się,

że nawet ciężko ranni walczą nadal.

- Przykro mi, kumple - oświadczył ze śmiechem. - Niezbędny środek bezpieczeństwa.

- Dobrze, Mały. Dobry pomysł. Teraz nie będą mogli strzelić nam w plecy.

Pluton został zaskoczony w chacie podczas uroczystości na cześć urodzin Porty, obchodzonej w jedyne dostępny nam sposób: dzikim pijaństwem. Nie byliśmy w stanie usłyszeć zbliżania się rosyjskiego patrolu bojowego, który niespodziewanie nas zaatakował. Nagle rozpadły się szyby w oknach i spojrzeliśmy prosto w czarne otwory czterech pistoletów maszynowych, które zaczęły pluć ogniem do izby.

Legionista i Porta zdołali cisnąć za okna kilka granatów. Jak udało nam się umknąć, nikt nigdy nie zdołał wyjaśnić.

Odnaleźliśmy się w kamieniołomie po drugiej stronie lasu. Brakowało ośmiu ludzi.

- Widziałem, jak dwóch z nich padało - powiedział Porta.

Mały ciągnął ze sobą rosyjskiego porucznika. Stary oświadczył, że trzeba go wziąć do niewoli.

Tuż przed polem minowym porucznik wrzasnął. Mały i Stary zaklęli.

Wychodząc z lasu Mały był już sam.

- To oficerskie gówno próbowało mi uciec - wyjaśnił wesołym tonem.

Ale zauważyliśmy, że jego garota wystawała mu do połowy z kieszeni. Stalowa garota z dwiema drewnianymi rączkami na końcach, „milcząca śmierć”.

- Udusiłeś go! - krzyknął oskarżająco Stary.

- Tak, i co z tego? Chciał dać dyla - mruknął Mały, wycierając rękę o spodnie.

- Morderca - powiedział Stege.

* * *

Rozdział I DONOSICIELKA

My wszyscy, resztki 5. Kompanii, leżeliśmy na brzuchach pod jabłoniami, przyglądając się żołnierzom z uzupełnień, na których oczekiwaliśmy od czterech dni. Przyjechali ciężarówkami. Stali na środku drogi w kolumnie dwójkowej. Mieli nowiutkie mundury i uzbrojenie. Aż tutaj pachnieli magazynem.

Przyglądaliśmy się im wzrokiem koneserów. Prawdę mówiąc, patrzyliśmy na cały świat oczami żołnierzy frontowych, czy szło o innych żołnierzy, czy cokolwiek innego. Milcząco zgodziliśmy się, że tych stojących na drodze 175 rezerwistów niewiele miało wspólnego z prawdziwymi żołnierzami. Wyposażenie nosili jak amatorzy. Od źle dopasowanych rzemieni już mieli otarcia. Buty mieli wyglansowane do połysku i całkiem sztywne. Nie zostały namoczone w urynie, ani potem energicznie natarte rękami, co było najlepszym sposobem na ich zmiękczenie. W tak sztywnych butach nie można zajść daleko. Buty Porty, o, te były wzorowe. Były tak miękkie, że widziało się przez nie jego mały palec u nogi. Prawda, że śmierdziały moczem już z bardzo daleka.

Jak powiedział nasz Oberst o ksywie „Kamienne Oczy”:

- Śmierdzisz jak sto pisuarów naraz.

Ale nie zakazywał naszego sposobu garbowania skóry. Wiedział, że dla żołnierza najważniejsze są jego stopy. To była tajna broń piechoty. Inteligentny dowódca piechoty bardziej dbał o stopy swych żołnierzy niż o cokolwiek innego.

Mały trącił Legionistę łokciem. - Jakąż bandę zdurniałych kutasów nam tu przysłano! Iwan wyśle ich prosto do piekła, wystarczy, że groźnie na nich popatrzy. Gdyby nie tacy twardziele jak my dwaj, dawno przegralibyśmy wojnę.

Stary zaśmiał się cicho. Leżał pod krzakiem, trochę go osłaniającym przed lejącym jak z cebra deszczem.

- Dziwne, Mały, że takiemu bohaterowi jak ty, jeszcze nie dali Krzyża Rycerskiego.

- Ich Krzyż Rycerski mam tam, gdzie sam wiesz - mruknął Mały i splunął w stronę topiącej się w wodzie muchy.

Oficerowie rezerwistów miotali obelgi. Jeden z szeregowców upuścił swój stalowy hełm, który potoczył się po drodze z takim hałasem, że wszystko się wydało.

- Ty łajdaku! - wrzasnął jakiś Oberfeldwebel. - Do szeregu!

Rekrut, człowiek w podeszłym wieku, patrząc to na swój hełm, to na przełożonego, kręcił się w miejscu, zgłupiawszy od ryku starszego stopniem.

- Naprzód! Biegiem!

Oberfeldwebel nie podążył za nim. Został na drodze, wydając komendy gwizdkiem. Należał do gatunku podoficerów, którzy wiedzą, jak wykańczać rekrutów. W ciągu kwadransa potrafił zamęczyć bez reszty człowieka, który zgubił hełm. Starzec został zniszczony. Skończony.

Oberfeldwebel zarechotał z satysfakcją. Tu trafił na coś, co radowało serce starego zupaka.

Leutnant Ohlsen, dowódca naszej kompanii, rozmawiał sobie z Leutnantem, który przyprowadził uzupełnienia. Nawet nie zauważyli, że jeden ze starców jest na skraju załamania fizycznego i umysłowego. Do tego już się przyzwyczaili. Zdarzało to się bardzo często. Regulamin wymagał utrzymywania dyscypliny. Tak było już w armii cesarskiej. Zwyczaj wymagał, aby czekać, aż ktoś popełni błąd, wtedy dysponowano środkami, by go zlikwidować. Było to łatwe i skuteczne.

Rekruci patrzyli w osłupieniu, jak ich kolega, na czworakach, resztką sił spełza z pagórka. Nawet gdyby Oberfeldwebel zagroził mu sądem wojennym, nie był w stanie się podnieść.

Oberfeldwebel splunął w jego stronę.

- Baczość, do jasnej cholery!

Ale starzec dalej leżał na ziemi, łkając rozdzierająco. Oberfeldwebel, wysyłając swych ludzi na pole, wyszukał stertę gnoju. Śmiejąc się cichutko pod nosem, przyglądał się człowiekowi rozciągniętemu na ziemi. Oblizywał sobie górną wargę.

- A więc, ty baranie! Jeśli nie chcesz stanąć na baczość, mam na ciebie inne sposoby. Uważasz, że jesteś wykończony. Poczekaj tylko, aż Iwan wsadzi ci pociski smugowe w dupę. Wtedy zobaczysz, co można wytrzymać. Bierz łopatkę - warknął.

Starzec zaczął obmacywać swą łopatkę piechoty i w końcu zdołał podnieść ją w sposób regulaminowy.

- Ogień artylerii z przodu! Okopuj się!

Rekrut próbował kopać. Widok był dość komiczny. Przy takiej szybkości wykopanie dołka strzeleckiego zabrałoby mu tysiąc lat. Podczas szkolenia czas okopania się wynosił jedenaście i pół minuty według zegarka, od chwili wyjęcia łopatki z pokrowca. I biada temu, komu zajęłoby to sekundę więcej. My, weterani frontowi, byliśmy jeszcze szybsi. Ale prawdą jest, że wykopaliśmy już tysiące dołków. Można było oglądać nasze wykopki od granicy hiszpańskiej aż po szczyty Elbrusu na Kaukazie, a kopaliśmy we wszystkich rodzajach ziemi. Na przykład Mały potrafił okopać się w ciągu sześciu minut i czternastu sekund, a przy jego wzroście dziura w ziemi musiała być głęboka. Przechwalał się, że może to zrobić jeszcze szybciej, ale mu się nie opłaca, bo jego rekord i tak nie zostanie nigdy pobity.

Oberfeldwebel szturchnął swą ofiarę czubkiem buta.

- Co ci się przyśniło, dziadygo? Może myślisz, że dokończysz kopanie dziury, gdy wszyscy już będziemy martwi, gnijąc w grobach? Szybciej, szybciej!

Rekrut zemdłał. I to zemdłał, ot tak sobie, bez zezwolenia. Oberfeldwebel zdumiał się. Potrząsając głową, rozkazał dwóm szeregowcom wydobyć „zwłoki”.

- I coś takiego nazywają żołnierzem - mruknął. - Nieszczęsne Niemcy! - A ten typ nauczy się mnie bać - tak sobie obiecywał. Jego, Oberfeldwebla Huhna, postrachu Bielefeldu. Zatarł ręce z rozkoszą. - Będiesz pierwszym z tej kompanii, który się tego nauczy.

Ale wymierzona kara przyniosła efekty. Od tej chwili żaden z rekrutów nie ośmielił się zgubić hełmu. - Co za skurwiel - odezwał się lekceważącym tonem Porta, gryząc baranią kiełbasę, którą pięć dni wcześniej znalazł w torbie jakiegoś rosyjskiego artylerzysty.

Wszyscy mieliśmy te kiełbasy z baraniny. Kiełbasy z kazachstańskich baranów. Słone i twarde jak kamienie. Ale smakowały cudownie. Przeżyło nas tylko dwunastu. Wielkie straty ponoszone przez Wehrmacht nie robiły już na nas żadnego wrażenia. Tak często nam się to zdarzało. Ale ten las okazał się bardzo cenny. To podczas odwrotu przez wielki las zaskoczyliśmy baterię rosyjskiej artylerii polowej. Jak zwykle Legionista zauważył ich pierwszy. Nawet Indianie z powieści Coopera nie napadali ciszej niż my. Zlikwidowaliśmy ich naszymi syberyjskimi nożami kandras. Gdy skończyliśmy, widok był taki, jakby pocisk kalibru 150 mm wybuchł w samym ich środku. Spadliśmy na nich jak piorun. Rusczy opalali się na słońcu, bardzo spokojni i nie obawiając się niczego. Ich dowódca, mały, tusty i jowialny facet, wyszedł z chaty, zaskoczony przez hałasy.

- Ach! Cholerne, pijane świnię! Oto jak się schłali wódką i pobili - powiedział swemu zastępcy, Lejtnantowi.

- Co za burdel!

To były ostatnie słowa w jego życiu, jego głowa potoczyła się po trawie, a z bezgłowego ciała wytrysły dwie fontanny krwi.

Bez kurtki i wrzeszcząc na całe gardło Lejtnant pogonił do lasu, ale złapał go Heide i wbił mu nóż w piersi. Trup na miejscu.

Gdy wreszcie skończyliśmy, wyglądaliśmy okropnie. Niektórzy z nas rzygali. Krew i flaki śmierdzą odrażająco, a do tego te muchy. Ogromne, niebieskie muchy. Nikt nie lubił kandras. Zbyt brudziły, ale były doskonałą bronią. Żadna inna nie mogła się z nimi mierzyć. A Legionista i Barcelona Blom nauczyli nas, jak się nimi posługiwać.

Usiedliśmy na skrzynkach amunicyjnych i na pociskach. Z wielką ulgą i zadowoleni z siebie wzięliśmy się do zajadania baranich kiełbas, zapijając je rosyjską wódką.

Tylko Hugo Stege nie był głodny. Zawsze wyśmiewaliśmy się z niego, ponieważ miał ukończone studia. Nigdy nie używał ordynarnych wyrażenia. Byliśmy zdania, że to jest nienormalne. Z powodu jego poprawnego wysławiania się uważaliśmy, że ma w głowie nie całkiem po kolei. A już najgorsze było, gdy Mały odkrył, że Stege zawsze myje ręce przed jedzeniem.

Żartowaliśmy z niego przez pełną godzinę, a po tym poradziliśmy mu, aby skonsultował się z psychiatrą.

Stary przyglądał się kiełbasom z baraniny i wódce. - Zabierzmy to wszystko. Tym tutaj już nie będą potrzebne.

- Jaka piękna śmierć! - oświadczył z emfazą mały Legionista. Nawet nie zorientowali się co ich zabija. Allah jest wielki. Opiekuje się s dziećmi. - Uważnie przesunął palcem po ostrym jak brzytwa, syberyjskim nożu. - Kiedy się wie, jak się tym posługiwać, nie istnieje szybsza śmierć.

- W gruncie rzeczy to szkoda - wyszeptał Stege i znów zwymiotował.

- Szkoda?! - wykrzyknął Porta. - Te rzeczy, to nie żadna szkoda. Gdyby było odwrotnie i to my chrapalibyśmy tutaj, a czerwoni chłopcy wyszliby z lasu?

- Mimo wszystko to wielka szkoda - powtórzył uparcie Stege.

- Dobra, dobra, niech będzie, że szkoda. Wobec tego, do jasnej cholery, to też szkoda, że musimy się włóczyć po tym pieprzonym lesie, który wszyscy mają w dupie. Może to nasza wina? Gdy ci wsadzali rondel Hitlera na głowę, pytali cię czy lubisz zabijać ludzi?

- To idiotyzm - zaprotestował Stege. - Na litość boską, oszczędź nam swej filozofii.

- Camarade - odezwał się Legionista, przesuwając papierosa z jednego kąta ust na drugi - to, co mówi Porta, to prawda. Jesteśmy tutaj po to, by zabijać, tak jak mechanik w garażu jest po to, by naprawiać samochody.

- Właśnie to miałem na myśli! - wrzasnął Porta, machaniem ręki odganiając muchy, które wlatywały z rosyjskich trupów. Drażniły nas. To były bezczelne muchy, wążące człowiekowi do oczu i nosa. Nie pojmowały różnicy pomiędzy żywym i martwym. Porta skierował na Stegego brudny palec.

- Znalazłeś sobie nóż i nie opowiadaj nam historyjek, że tylko po to, by go powiesić na pamiątkę na ścianie. Poza tym nie masz tu ściany, a ponieważ kukurydza tu nie rośnie, nie możesz też użyć tego narzędzia do jej zbierania. Czy ci to sprawia przyjemność czy nie, dobrze wiedziałeś po co go zabierasz martwemu facetowi. Chciałeś go mieć, by nim zarzynać innych facetów.

- Drań - syknął przez zęby Stege.

- Jestem żołnierzem - odparł lakonicznie Porta.

- Przecież, camarade, to na jedno wychodzi - zauważył Legionista.

- Zostaliśmy wydani na świat przez świnię, by żyć jak świnię i zdychać jak świnię na kupie wojskowego gówna.

- Ba - mruknął Heide, wycierając swój wielki nóż o spodnie. - Co za świństwo! On się wyszczerbił. Gdybyśmy tylko mieli tu osełkę, naostrzyłbym go. Źle tnie. Ludzki pan ze mnie, no nie? Przecież nie warto zadawać ludziom większych cierpień, niż jest to konieczne.

Stary podniósł się i wydał krótki rozkaz.

- Za broń. Gęsiego za mną.

Mały i Porta dołączyli do nas wkrótce potem. Chcieli najpierw obrabować trupy. Prawie się pobili o trzy złote zęby. Porta zdobył dwa, Mały musiał zadowolić się jednym.

Stary się wściekał.

- Naprawdę mam ochotę wysłać was obu do ziemi. Mdłości mnie biorą, gdy widzę, jak wrywacie trupom złote zęby.

- Nie rozumiem, co cię ugryzło - oświadczył ironicznym tonem Porta. - Czy zakopałbyś w ziemi złoty pierścionek? Albo spaliłbyś banknot 1 markowy? Mam nadzieję, że nie, bo w przeciwnym razie zasługiwałbyś na kaftan bezpieczeństwa.

Stary jeszcze trochę ich zbeształ. Wiedział dobrze, że w każdej kompanii, naszej - tak jak w innych, są „dentyści” z ostrymi kleszczami w kieszeni. Nic na to nie można było poradzić.

Teraz znaleźliśmy się pod drzewami owocowymi, żując kiełbasy martwych artylerzystów. Z drzew nieustannie padały krople deszczu. Było nam zimno i wyżej podciągaliśmy „szmaty” na naszych drżących ciałach. Był to sprzęt uniwersalny: peleryna, płachta namiotowa, okrycie maskujące, torba na rzeczy, materac, hamak i całun trumienny. Była to pierwsza rzecz, jaką Szmaciarze z magazynów wydawali nam i jedyna, która miała pójść z nami aż do grobu.

Porta przyglądał się mokrym od deszczu kiełbasom.

- Deszcz, deszcz, zawsze deszcz. Góry, to gówniane miejsce, by walczyć. Pamiętacie, jak biliśmy się w słodkiej Francji? Zawsze świeciło słońce, a na postojach można było cieszyć się piękną pogodą, pić wino i czekać, aż krowy wrócą do obory.

- Potz Sakrement! - szepnął Julius Heide. - To była wojna błyskawiczna. Ale jakim głupstwem byłoby przejście na tamtą stronę. Teraz bylibyśmy całkiem sztywni. Przypomnijcie sobie wszystkich

dezertorów, których widzieliśmy, wleczonych przez psy gończe z żandarmerii w stronę więzienia Torgau po kapitulacji Francji?

- To wcale nie jest takie pewne, że bylibyśmy martwi - zastanawiał się Mały. Usiadł w mokrej trawie i pochylił się do przodu. Jego małe, czarne oczka błyszcząły.

- Bylibyśmy może tam, w Londynie, gdzie mieszka ten Churchill. Pozwoliłem, żeby mi wytłumaczono, że być jeńcem wojennym u Angoli, to prawdziwa przyjemność. Pamiętacie tego komisarza-kapitana, z którym gadaliśmy w Nikołajewie? Tego, który przebrał się za chłopca, ale zdemaskował go Pustynny Włóczęga? Twierdził, że nasi koledzy spacerują po lordowskich parkach zbierając fiołki do salonów, a w nocy zabawiają się na sianie z pokojówkami. Byłbym największym łgarzem na świecie udając, że nie lubię zapachu siana. Było kiedyś takie zdarzenie: dziewczyna, ja i stóg siana i mówię wam, że za każdym razem, gdy zbliżam się do siana, cholernie mnie to podnieca.

- Nie jest dobrze, gdy jest za wiele komarów - stwierdził Heide, pokazując kielbasą Oberfeldwebla, który zamęczył na śmierć staruszka. - Z tym Oberfeldweblem będziemy mieli kupę zabawy. Czuję już w małym paluszku u nogi, że ten nam sprawi kłopoty.

- No to się go naszpikuje - zdecydował Mały, głośno smarkając w palce. Żaden skurwiel nie będzie bezkarnie sprawiał nam kłopotów. Wystarczy, że dasz mi znak. Jestem specjalistą od tępienia takiego robactwa, jak ten.

- Co z nami będzie, gdy to wszystko się skończy? - spytał z goryczą Stege. Tak naprawdę nie nauczyliśmy się niczego poza zabijaniem. I jestem przekonany, Mały, że będzie ci tego brakowało.

- Na pewno nie będzie - roześmiał się Mały - Zawsze będzie potrzeba chłopaków, którzy umieją szybko zabijać. Prawda, Pustynny Włóczęgo?

- Masz rację, mon camarade - odparł zapytany.

- Jestem nie całkiem kumaty w tych obcych językach. Ale gdy mowa o wysyłaniu innych, by wachali kwiatki od spodu, kumam wszystko, co trzeba. Wielki skok przez stratosferę, to mnie zupełnie nie kręci.

- Może boisz się spotkania z Panem Bogiem? - spytał sarkastycznie Stege.

- Zaraz wyobrażasz sobie wszystko, co najgorsze - warknął Mały. - Nie, bardziej chodzi o to, że jak masz dziurę w czaszce, to wszystko załatwione. I kropka. Nie wierzę w Boga. Jeśli jest, to byłby koniec ze wszystkim, biorąc pod uwagę moją kartotekę policyjną. - Mały kiwał się niezdecydowanie. Zmarszczył swe niskie czoło. Szukał słów.

- Nie potrafię sobie wyobrazić braku popołudniowego piwa, cichaczem pociąganego w towarzystwie paru dobrych kumpli oraz kości do gry. Robienia lewizny nauczyłem się już jako szczeniak, zanim oddano mnie do Domu Opieki, wtedy, gdy latałem ze zleceniami pana Kleinschmidta, szefa z Davidstrasse. Biegałem zawsze pod latarniami ulicznymi, hałasując butelkami, bo miałem w głowie idiotyczną myśl, że jeśli dam się złapać w ciemności, to dziabnie mnie jakiś facet z nożem. - Mały ukląkł i spojrzał kolejno na każdego z nas. A potem kontynuował cichym głosem: - Słodki Jezu, synu Marii, jakiegoż miałem boja. Szczególnie pamiętam jedną bramę, tuż przy końcu Bernhard-Nacht Strasse. Trzeba było przejść długim, prostym korytarzem, zanim dotarło się do schodów, a na każdym piętrze znów były długie korytarze, przez które dochodziło się tam, gdzie były maluchy.

Wszędzie leżeli śpiący włóczędzy, często się o nich przewracałem. Diabelnie się spieszyłem, jak wszyscy roznosiciele mleka razem wzięci. Wyobrażałem sobie, że wśród włóczędzów jest człowiek z nożem. I wyobrażcie sobie, że miałem rację. Zrozumiałem to, gdy mnie umieszczono w przytułku. W tym kurewskim pudle spotkałem pewnego typu. Jego siostra została wypatroszona przez jakiegoś włóczęgę dokładnie pod tym numerem na Bernhard-Nacht Strasse, gdzie każdego dnia o godzinie 4 rano bujałem się z moimi butelkami mleka. A jeśli to mnie on szukał? O tej porze mogłem sobie

wrzeszczeć, ile chciałem. We wszystkich pomieszczeniach maluchy uderzały w kimono po porannej butelce. Nikt nie przejmowałby się szczeniakiem, wołającym ratunku na korytarzu.

- On nie szukał ciebie - oświadczył zdecydowanie Barcelona Blom.

Mały zagapił się na niego z otwartymi ustami.

- Na litość boską, skąd ty to wiesz, pijaczku? Znałeś go?

- To całkiem jasne - kontynuował Barcelona Blom. - Walnął parę razy nożem dziewczynę, żeby móc się spuścić. To prawda?

Mały skinął twierdząco głową.

Barcelona zachichotał. - Więc to jasne jak woda źródłana. Bandzior miał ochotę pojebać. Gówniarze go nie interesowali. Nie miałeś się czego bać.

- Trzeba być fest napalonym, żeby polecieć na Małego! - powiedział ze śmiechem Porta.

Legionista uśmiechnął się łagodnie.

- Nie zapominaj, że takich też nie brakuje. Być może Mały zarabiałby teraz na chleb handlując dupą.

- Gdyby ktoś tego ze mną spróbował - wrzasnął Mały i z wściekłością wbił swój wielki nóż w ziemię - nie przeżyłby tego. Pedały mnie w ogóle nie obchodzą. Wszystkie dziwki, obojętne czy mają piętnaście lat czy sto, czy jeżdżą na wózkach inwalidzkich, są kurwami i cholernie mnie kręcą. Ale ci inni, te cioty! - Mały splunął ze skrajnym obrzydzeniem.

Leutnant, który przyprowadził nam uzupełnienia, ustawił żołnierzy w jednym szeregu, zanim nas opuścił. Nagle zaczęło mu się spieszyć. Instynkt ostrzegł go, że powinien oddalić się galopem. Tu źle pachniało. Wygłosił standardową, bombastyczną mówkę. To był końcowy akcent, jeśli szło o jego obowiązki związane z tym transportem.

Szeregowcy słuchali go w obojętnej ciszy. Gadał głosem zakatarzonej żaby.

- Panzer Grenadierem, jesteście teraz na froncie. Wkrótce będziecie musieli bić się z przekłętymi wrogami Rzeszy, mieszkańcami pieprzonych, radzieckich bagien. To będzie wasza szansa, by odzyskać wasz honor obywatelski i wasze prawo, by znów żyć wśród ludzi wolnych. Jeśli okażecie się odważni, wasz zapis karalności zostanie anulowany. Sami możecie się zrehabilitować. - Zakaszlał i kontynuował nieco zawstydzony: - Koledzy, Fuhrer jest wielki!

Śmiech Porty dotarł aż do niego. Wydało mu się, że słyszy słowo „kutas”.

Zerknął na nas przelotnie. Twarz mu oblał rumieniec. Przestało mu być zimno. Położył rękę na kaburze pistoletu.

- Żołnierze - kontynuował - trzeba wziąć się w garść. Nie rozczarujcie Fuhrera. Musicie odkupić wasze zbrodnie przeciw Adolfowi Hitlerowi i Trzeciej Rzeszy!

Zaczerpnął głęboko powietrza i skierował wzrok prosto na naszą dwunastkę, leżącą pod drzewami. Kryminalny pysk Małego błyszczał obok gęby należącej do Porty, chytrej jak u lisa.

- Będziecie bić się ramię w ramię z najlepszymi synami naszej ojczyzny mówił dalej - i biada łajdakowi, który okaże się tchórzem. To byłby najgorszy upadek.

- Najlepsi synowie, ta ojczyzna jest całkiem dobra - zadrwił Stary. - Widać jak na dłoni, że on nie zna Porty ani Małego.

Mały warknął jak wygłodzony wilk, który zwęszył zdobycz.

- Jestem najlepszym synem mojej matki.

- Ma innych prócz ciebie? - zaśmiał się Julius Heide.

- Już nie - stwierdził Mały. - Inni odeszli.

- A co się z nimi stało? - spytał Porta.

- Najmłodszy, w chwili obłądu, polazł do Gestapo, Stadthausbriicke 8. Miał złożyć wyjaśnienia w jakiejś sprawie z ulicy Budapest. Nie pamiętam już szczegółów, ale szło o jakiś mur, puszkę farby i

pędzel. Ten kretyn miał manię mazania na murach. Nigdy więcej go nie widziano. „Buller”, za to mu odcięli baniak w 1939 w Fuhlsbüttel. To było tego samego dnia, gdy skrócili o głowę mego starego. A następny był Gert. Był kompletnym idiotą. Zgłosił się na ochotnika do Marynarki Wojennej. Poszedł na dno wraz z U 18 w 1940. W podziękowaniu otrzymaliśmy piękną pocztówkę od admirała Doenitza. Wiecie, taką ze złożonymi brzegami i tylko słowami: Der Fuhrer dankt ihnen. Tę kartę spotkało smutne przeznaczenie, co powinno było sprawić niebotyczną przykrość panu Doenitzowi. - Mały odgryzł ogromny kęs baraniej kiełbasy.

- Ale ponieważ o tym nie wiedział, prawda...?

- Co się stało z pocztówką od admirała? - zapytał zaciekawiony Barcelona Blom.

- Jakiż burdel powstałby, gdyby poznano tę sprawę. To było w niedzielę rano. Pani Creutzfeldt zainstalowała się na dobre w sraczu. Gdy chciała sobie podetrzeć tyłek zauważyła, że nie ma już papieru. - Przynieś mi miękki papier! - zawołała. Podałem jej pocztówkę admirała. To było jedyne, co w pośpiechu zdołałem znaleźć. Wściekła się na pana Doenitza, ponieważ pocztówka była twarda, jak deska.

- Stałeś się jedynakiem? - spytałem.

- Tak, jedenastu odeszło w jednej chwili. Kilku z nich skrócono o głowę. Trzech utopiło się w morzu. Dwaj najmłodszy zostali żywcem spaleni podczas bombowych wizyt kumpli Churchilla. Nie chcieli zejść do piwnicy. Chcieli zobaczyć samoloty. Teraz została tylko ta flądra, pani Creutzfeldt, i ja.

Nim zaczął kontynuować, Mały zrobił obchód swej publiczności. - Ale przecież nie wszystkie rodziny tyle złożyły na ołtarzu Adolfa. - Jeszcze raz odgryzł kawałek baraniej kiełbasy, popijając ją odrobiną wódki. - Ale mam ich wszystkich w dupie pod warunkiem, że z tego się wygrzebię, a coś mi mówi, że tak będzie.

- To by mnie wkurwiało tylko częściowo - oznajmił w zamyśleniu Stary.

Obejrzelismy zacier w kociołku Legionisty. Porta dołożył trochę drewna. Ogień rozplomieniał się wesoło. Legionista lekko zamieszał gęsty płyn. Śmierdział ostro, ale cóż to był za zacier! Woziliśmy go ze sobą prawie przez tydzień. Rozlewaliśmy do blaszanych baniek. Barcelona powiedział, że trzeba mu dać sfermentować. Teraz trzeba tylko zacząć gotować, a gdy się zagotuje, można rozpocząć destylację. Porta wykonał wręcz sensacyjny alembik. Kociołek był skradziony z ciężarówki kuchennej. Należał do typu z przykręcaną pokrywą, co pozwalało gotować pod ciśnieniem. W pokrywie zrobiliśmy mały otworek, by tam przymocowywać aparat destylacyjny Porty. Po tym z niecierpliwością czekaliśmy, aż się zagotuje.

- Teraz będziemy mieli czym zalać sobie pałę! - wykrzyknął radośnie Heide.

- Sieg, Heil! - takim okrzykiem rekruci zegnali Leutnanta, który ich tu przytransportował.

Bez dalszych formalności Leutnant Ohlsen przejął dowództwo nowo przybyłych. Obcy Leutnant znikł w swym Schwimmwagenie.

Rezerwiści rozeszli się ze zbiórki i małymi grupkami poszli pod drzewa. Zrzućli oporządzenie i wyciągnęli się na mokrej trawie. Trzymali się z dala od nas, starych wyjadaczy. My od nich także. Oberfeldwebel Huhn podszedł do nas z bardzo pewną siebie miną. Przechodząc potracił kociołek Legionisty i kilka kropel przelało się. Udał, że niczego nie zauważył i poszedł dalej. Jego nowe rzemienie trzeszczały i pachniały nam magazynem.

Legionista zacisnął zęby. Złym wzrokiem śledził Oberfeldwebla, po czym dał Małemu umówiony Znak: kciuk skierowany do ziemi.

Mały pociągnął nosem i dociągnął rzemienie. W jednej ręce trzymał kawałek baraniej kiełbasy, w drugiej blaszany kubek pełen zacieru. Z mokrą płachtą namiotową zwisającą mu u pasa ruszył

spokojnie w ślad za Oberfeldweblem Huhnem.

- Hej, ty tam! - zawołał nagle. - Przewróciłeś napitek mojego kolegi!

Huhn stanął w miejscu jak rażony piorunem. Odwrócił się szybko.

- Do wszystkich diabłów, co was napadło? Nie wiecie, jak trzeba się zwracać do starszych stopniem?

- Oczywiście, że wiem - odpowiedział obojętnym tonem Mały. - Ale nie o to poszło. Przewróciłeś napitek tego pana. Tak się nie robi.

Oberfeldwebel złapał się za czapkę i wybuchnął:

- Zwariowaliście? Ruszcie trochę mózgiem i zwracając się do mnie, róbcie to zgodnie z Regulaminem Służby Wojskowej. Jeśli nie, obiecuję, że go was nauczę, wy...

- Każ się wypchać, dobrze? - zaproponował Mały. - W tej chwili rozmawiamy o sznapsie. Potem możemy oczywiście zająć się twoim problemem.

Huhn głęboko zaczerpnął powietrza. Z czymś takim nigdy się nie spotkał. Od siedmiu lat ćwiczył rekrutów w garnizonach i w obozach. Ostatnim razem było to w straszliwym, karnym obozie wojskowym Heuberg. Gdyby ktoś tam posłużył się takim językiem, jak teraz śmiał przemawiać Mały, natychmiast dostałby kulę w łeb. Na chwilę przyszła mu do głowy taka przyjemna myśl: wyciągnąć pistolet z kabury i opróżnić magazynek w pysk

Małego. Ale było coś, co powodowało, że obawiał się rozwiązania problemu takim drakońskim środkiem: zapanowała dziwna cisza. Wszyscy przyglądali się tym dwóm ludziom. Nawet oficerowie, Leutnant Ohlsen i Leutnant Spaet.

Mały nie ruszał się z miejsca, trzymając kielbasę w ręce.

- Przewróciłeś napitek tego pana, Oberfeld? Nie życzymy sobie tego.

Huhn kilka razy otwierał i zamykał usta. Faktem było, że po prostu nie wiedział, co należy powiedzieć. To, co się działo, było absolutnie nie do pomyślenia. Nawet sąd wojenny w coś takiego by nie uwierzył. Nie mniej musiał naprawdę przyjąć do wiadomości, że stoi przed nim wielki kutas w stopniu Stabsgefreitera, wymachujący kielbasą i zwracający się na ty do niego, Oberfeldwebela.

Mały wycelował kielbasę w pierś Huhna.

- Nic się nie da zrobić, Oberfeld! Musisz zapłacić odszkodowanie Pustynnemu Włóczędze. Na zacier wyznaczone są ceny. Nie można go wywracać ot tak sobie, a u nas, w 27. Pułku, Legionista ma monopol produkcji sznapsa. A poza tym, włóczenie się z naszym kociołkiem, zajmuje całe dnie. Mamy go od chwili, gdyśmy go zabrali Iwanom. Taki to jest kociołek! Gdyby kociołkom nadawano Krzyż Żelazny, ten by go na pewno posiadał. Podczas całego transportowania nie uroniono z niego ani kropli. A potem przybywa się tutaj, wyciąga się spokojnie pod jabłonkami w tym kurewskim deszczu, żeby naszemu sznapsowi dać ostatnie gotowanie. I co się dzieje? Przychodzisz ty, przewracasz nasz napój, a teraz na dodatek udajesz obrażonego. Ale ty nie pojmujesz sytuacji. To my zostaliśmy obrażeni.

Huhn zamrugał i zrobił krok w stronę Małego. Dłoń trzymał na kaburze pistoletu.

- Wystarczy. Twoje nazwisko, wszawy sukinsynie? Dobrze wiem, jak cię poskromić. Możesz mi zaufać. Mam swoje sposoby.

Wyciągnął ołówek i kawałek papieru.

Mały miał to niżej pięć. - Niedobrze ci, Oberfeld? Masz więcej powodów, by bać się mnie niż ja ciebie. Jesteś teraz na froncie, w kompanii szturmowej bez hitlerowskich wron na mundurach, a mamy kilku strzelców wyborowych, którzy mogą się tobą zająć. Założę się dziesięć do jednego, że nigdy stąd nie wrócisz. Jesteś na to za głupi. Aby wyjść z tej wojny z życiem, trzeba mieć cholernie dobry łeb.

Bogu tylko wiadomo, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie wmieszał się Leutnant Ohlsen. Przywołał Huhna i równocześnie zwrócił się do Małego.

- Zamknij gębę, Creutzfeldt, albo wsadzę cię do pierdła. Zrozumiano?

- Jawohl, Herr Leutnant - odpowiedział Mały, przyjmując pozycję, nieco przypominającą tę na baczność.

Zakończył strzelając obcasami i niespiesznie wrócił do nas.

- Tego skurwiela wkrótce załatwię - obiecał siadając.

- Przecież wam powiedziałem, że będziemy mieli z nim zabawę przypomniał Heide, potrząsając głową. - To zwykły śmieć. Sami zobaczycie. Nigdy nie przestanie nas wkurwiać.

- A gdyby tak przywiązać mu granat do jaj? - zaproponował Porta.

- Dajcie sobie spokój - przestrzegł Stary. - Pewnego dnia zgarną was, jeśli nie przestaniecie likwidować starszych stopniem.

- Sacre nom de Dieu, to się zaczyna gotować - stwierdził Legionista, przykręcając pokrywkę kociołka. - Podajcie mi gumową rurkę. Zaraz popłynie.

W wielkim skupieniu patrzyliśmy na aparat destylacyjny, w którym para zmieniała się w ciecz.

Wokół nas utworzyło się niemałe zgromadzenie. Mały, ze wzrokiem wlepionym w alembik, polewał go wodą, zaczerpniętą z rowu melioracyjnego. (Płynie! - wrzasnął Porta. - Dzięki ci Boże, płynie! - Szybko podstawił butelkę pod wylot aparatury.

- Dzieteczki, jakież mam pragnienie - szepnął Heide.

Butelka Porty napełniała się powoli.

Przez całą noc napełnialiśmy butelki samogonem. Całe zmęczenie opuściło nas w mgnieniu oka.

Leutnant Ohlsen potrząsnął głową. - Zwariowaliście, pijąc to zatrujecie się na śmierć.

- W takim razie będzie to piękna śmierć, Herr Leutnant - zauważył Heide, przesuwając palcem po gardle.

- Nie zamierzacie tego filtrować? - spytał Leutnant Spaet, śledząc spojrzeniem spadające krople.

- Nie warto - odrzekł Legionista.

- A co wtedy z metanolem? - pytał dalej Leutnant.

- To nas nie obchodzi - powiedział niedbale Legionista. - Ważne jest tylko, aby nawalić się jak stodoła.

- I tak będzie - oświadczył z wielką pewnością siebie Heide.

- Gdyby Iwan wiedział, że mamy ten kociołek, z pewnością natychmiast by nas zaatakował.

- Nasz kociołek ma kategorię Gekados, Tajne Specjalnego Znaczenia, Geheime Kommandosache - szepnął tajemniczo Porta.

Leutnant Ohlsen roześmiał się i oddalił w stronę płotu, Spaet podążył w ślad za nim.

Także następnego dnia pozwolono nam odpoczywać pod jabłoniami. Gotowaliśmy przez cały dzień. Dla większej skuteczności podzieliliśmy się na grupy robocze.

Zaczęliśmy łudzić się naiwną myślą, że tu, pod jabłoniami, dadzą nam spokój.

Ale po północy usłyszeliśmy, jak z góry hałaśliwie zjeżdża motocykl. Zatrzymał się obok nas. Zeskoczył z niego podoficer, ubłocony jak nieboskie stworzenie.

- Dowódca 5. Kompanii?! - krzyknął.

Wstał Leutnant Ohlsen, by odebrać wiadomość. Goniec zaraz potem odjechał na łeb na szyję.

- Merde, teraz wszystko pierdnie - przepowiedział Legionista. - Pospieszmy się, by wysuszyć do końca sznapsa. Zostało co najwyżej dziesięć litrów.

- Jest trzydzieści jeden butelek - oznajmił triumfalnie Porta.

- Kiedy zaczniemy pić? - zapytał Mały. Legionista spojrzał na niego podejrzliwie. - Jeśli tylko

spróbujesz wsadzić tam nos, będziesz miał ze mną do czynienia. Zrozumiano, przyjacielu?

- Co za zasraniec - mruknął nadąsany Mały.

W ciemności rozległ się gwizdek Leutnanta Ohlsena.

- 5. Kompania, gotować się do wymarszu. Zbiórka w kolumnie na drodze. I trochę szybciej, moi panowie.

Podszedł do nas Oberfeldwebel Huhn.

- No i co, nie słyszeliście, łajzy jedne?! Dowódca kompanii dał rozkaz wymarszu!

Huhn zaczął wrzeszczeć.

W tym momencie wydarzyło się coś, co wszystkich zaskoczyło. Stary podszedł do Huhna tak blisko, że ich stalowe hełmy prawie zetknęły się.

- Oberfeldwebelu Huhn - zaczął głosem spokojnym, ale pełnym groźby - muszę ci coś powiedzieć. Jestem dowódcą tej drużyny, i jeśli choć jeden raz zwrócisz się bezpośrednio do któregoś z moich ludzi, odeślę cię tam, gdzie twoje miejsce. Jestem Feldweblem frontowym, nie znam się na zwyczajach garnizonowych, ale widzę, że nie wiesz nic o życiu na froncie. Nie lubię używać przemocy, ale jeśli nie będziesz się zajmował wyłącznie swoimi lalkami, pozwolę moim ludziom zrobić z tobą to, na co mają ochotę.

Porta ryknął śmiechem.

- Dobrze powiedziano, ale czy warto mówić kazanie krowie?

Huhn chciał dalej strugać waśniaka, ale jeden rzut oka na Starego wystarczył, by go powstrzymać. Tuż przed tym, jak odwrócił się na pięcie, nie potrafił powstrzymać się, by rzucić: - Uważacie się za spryციulę, he? Ale tylko poczekaście.

I zaraz podszedł do Oberleutnanta Spaeta, któremu zaczął skarżyć się głośno. Spaet spokojnie odszedł i zostawił go samotnie przemawiającego.

- Jazda, jazda! - rozkazał z drogi Leutnant Ohlsen. - Za broń i do szeregu. Porta, do jasnej cholery, rusz dupę.

Porta i Mały podnieśli kociołek i stanęli na zbiorce naprzeciwko Leutnanta, który udał, że nie widzi naczynia.

Heide i Barcelona ociągali się. Rekruci przylecieli biegiem. Popychali się i kłócili. Jeden z nich przez nieuwagę lekko uderzył Porte.

- Spróbuj tego jeszcze raz, gliniany żołnierzyku, a tak ci dam w mordę, że zapomnisz ojca, matki oraz Hitlera.

Rekrut stał z otwartymi ustami, ale ostrożnie zmilczał.

- Banda cholernych amatorów - mruknął lekceważąco Mały.

- 5. Kompania, baczność, w prawo zwrot - zakomenderował Leutnant Ohlsen.

Dowódcy plutonów wskazali żołnierzom kierunek.

- Patrzcie prosto przed siebie. Porta, do jasnej cholery, gdzie twój hełm? Nie życzę sobie oglądać cię w tym zasranym cylindrze - zawołał Leutnant Ohlsen. - Od tego widoku można zwariować!

Porta zdjął swój wielki, żółty cylinder.

- Gdzie hełm? - kontynuował rozdrażniony Ohlsen.

- Nie mam, Herr Leutnant. Iwan mi go podiwanił. Leutnant Ohlsen potrząsnął głową i spojrział na Leutnanta Spaeta. Mieli dość Porty.

- Więc załóż kapelusz, Porta. Nie możesz maszerować z gołą głową.

Cylinder znów zajął miejsce nad kompanią, górując nad nią jak komin.

- Naprzód marsz, normalny krok.

Deszcz siekł nam twarze i spływał strumieniami po plecach. Przez drogę przebiegł zając.

- Ten by nam się bardzo przydał - westchnął Porta. - Ugotowałoby się go w naszym kociołku, w sznapsie, Mały.

- Tak robią w luksusowych restauracjach - wyjaśnił Heide.

- I to jest smaczne? - zainteresował się Porta.

- Bez wątpienia, ponieważ bogacze płacą harmonię pieniędzy, by go zjeść orzekł Heide.

- Gdybym tylko miał jakąś laskę - marzył Mały, patrząc w słońce. - Ledwie sobie przypominam, jakie mają gęby. Pamiętacie tego Ruska, który robił to z gęsią?

- A co byś zrobił w taką pogodę? - spytał Heide, trącając Małego łokciem.

- Ja? Zawsze jestem gotów, nawet przy 50 stopniach poniżej zera. Pamiętacie tę starą, którą wyruchałem w śniegu, gdy na granicy tureckiej spotkaliśmy panią komisarz?

- Nikt nie da rady przy 50 stopniach poniżej zera - zaprotestował Steiner, kierowca ciężarówki, który znalazł się wśród nas, ponieważ sprzedał wojskową ciężarówkę pewnemu Włochowi w Mediolanie.

- To po prostu niemożliwe.

- Liczy się tylko gorąco wewnętrzne - stwierdził z oburzeniem Mały.

- Nie wierzę ci - upierał się Steiner. - Przy takiej temperaturze on nie zdołałby nawet podnieść głowy. Od zimna robi się malutki. - Pokazał to na swym małym palcu.

- Zamknij pysk, stary złodzieju, albo cię załatwię - zawył Mały.

- Powinieneś być ostatnim, który się na to oburza. Czy istnieje choć jeden artykuł kodeksu karnego, z którego cię nie oskarżono?

- Gównu, kodeks karny napisano po to, aby ktoś na tym skorzystał. Poza tym zawiadamiam cię, że zawsze skazywano mnie z artykułów odnoszących się do „tych spraw”. I mogę też stwierdzić, że zawsze uczciwie je wybierałem. Nie tak, jak ten skurwiol, którego spuściłem do piachu dwa tygodnie temu, a który je brał zanim ukończyły szesnaście lat. Moje zawsze miały ponad dwadzieścia, bez wyjątku.

- Może przed zerżnięciem pytałeś je o metrykę urodzenia? - zaśmiał się Porta.

- Ile ich masz w spisie? - spytał z zainteresowaniem Heide.

- Och, nigdy ich nie liczyłem, ale było tego wiele - zdecydowanie orzekł Mały i zagłębił się w myślach.

- Nie gadajcie tak głośno, jesteśmy już blisko Iwanów - wmieszał się Leutnant Ohlsen.

Zeszliśmy z drogi, aby wspiąć się na góry. Dywan traw tłumiał odgłos naszych kroków. Gdzieś w ciemności jakaś krowa westchnęła z zadowoleniem.

Padła cicha komenda: - Gęsiego.

Oberfeldweibel Huhn zapalił papierosa.

Natychmiast pojawił się Leutnant Spaet i przez zęby wydał syk o ciśnieniu 200 atmosfer.

- Co za idiota, zupełnie pomieszało wam się w głowie? Wyrzucić mi to natychmiast, zanim snajperzy nas zauważą. Zaslugujecie na to, by was zastrzelić na miejscu. Spieprzajcie na koniec kompanii, żeby was tu nie było widać.

Huhn wziął ogon pod siebie i znikł.

Nagle przed nami pojawiła się jakaś zagroda. Zauważyliśmy krótki błysk. Leutnant Ohlsen podniósł rękę, dając znak „stać!”. Ledwie śmieliśmy oddychać. Co było w tej zagrodzie? Czy byli tam Ruscy, z karabinami maszynowymi, gotowi skosić całą kompanię?

- Heide, Sven, Barcelona i Porta - szepnął Leutnant Ohlsen - idźcie przeszukać to gniazdko, ale ostrożnie! Nie strzelajcie, użyjcie noży. Iwan może być gdzieś blisko.

Wyciągnęliśmy nasze kandrasy i zaczęliśmy pełznąć w stronę budynków. Drżeliśmy z podniecenia. Ilu ich jest?

Byliśmy już prawie u celu, gdy zauważyliśmy, że Mały poszedł za nami. W zębach miał nóż, a w ręce trzymał stalową pętlę. Uśmiechnął się pełen nadziei i wyszeptał: - Połowa złotych zębów dla mnie. Porta dotarł pierwszy. Wsunął się przez okno jak kot, bez dźwięku. Poszliśmy za nim. Gdzieś wewnątrz domu zaskrzypiały drzwi.

- Ktoś tam jest - mruknął Heide. - Wrzucę tam granat.

- Idiota - warknął Barcelona.

Mały zadzwonił garotą.

Porta splunął przez lewe ramię. To miało przynieść szczęście.

Mały dał nura w ciemność. Dobiegł nas cichy dźwięk. Jakieś nieszczęsne jęknięcie. A potem znów zapanowała cisza.

Mocniej ścisnąłem mój nóż. Drżałem na całym ciele, nie potrafiąc się opanować.

Powrócił Mały. Z garoty zwisał kot.

- Oto nieprzyjaciel - oznajmił ze śmiechem, prezentując uduszonego kota.

Odetchnęliśmy z ulgą.

- Uff - wyszeptał Barcelona - a ja oczekiwałem całej kompanii Czerwonych.

- Banda cykorów - powiedział pogardliwie Mały, jednym ruchem pozbywając się martwego kota.

Zaczęliśmy przetrząsać wszystkie szafy, by się przekonać, czy nie ma w nich czegoś interesującego.

Mały znalazł słoik konfitur. Usiadł po turecku na ziemi na środku izby i zaczął się nimi obżerać.

Porta wziął się za picie z jakiejś butelki. Skrzywił się, obejrzał etykietę, stwierdził, że jest na niej napisane „koniak”. Wziął jeszcze łyk, a potem wyciągnął butelkę do Porty.

- Dziwny koniak.

Heide powąchał, wypił odrobinę, cisnął butelką i splunął.

- Co za świństwo, toż to czterochlorek. Miło było mi cię spotkać.

Mały zarechotał. - W obcych stronach trzeba trzymać się konfitur. Zaraz wiadomo, co jest co.

Skrzypnęły jakieś drzwi. Podskoczyliśmy. Mały i Porta jednym skokiem znaleźli się za skrzynią. Konfitury rozlały się po ziemi.

Porta rzucił się do drzwi, otworzył je kopniakiem i wrzasnął: - Hej tam! Ręce do góry!

Wyciągnąłem zawleczkę granatu, gotów go rzucić.

Wszędzie panował spokój.

Ale ktoś był. To się wyczuwało. Byliśmy jak drapieżne zwierzęta. Byliśmy zdolni zabijać tak ze strachu, jak dla przyjemności. Kilka lat wojny zmienia człowieka całkowicie. Ci, którzy tutaj byli, byli przeciwnikami. Jeśli my ich nie zabijemy, oni zabiją nas. Zrobi to ten, kto będzie szybszy.

Nasłuchiwalismy.

- Wezwijmy kompanię - wyszeptał Barcelona.

- Podpalmy ten kurewski burdel - zaproponował Mały. - Później będzie można ich likwidować w miarę tego, jak będą wyskakiwać z płomieni. Gdy się kogoś szuka, ogień jest wspianiał.

- Głupiś jak but! - wrzasnął Porta. - Jeśli to zrobimy, natychmiast odpowie rosyjska artyleria.

Znów zaskrzypiały drzwi. Nie myśląc o możliwych konsekwencjach, Porta zapalił latarkę elektryczną i rzucił się ku drzwiom na drugim końcu izby, otworzył je jednym uderzeniem i omiół wnętrze promieniem latarki. Stała tam przerażona i przyklejona do ściany młoda dziewczyna. W ręce trzymała wielką maczugę.

Patrzyliśmy na nią osłupiali. Małemu pierwszemu wróciła mowa.

- Nasza ptaszyna! Czy mówisz po niemiecku, mała? - Chwycił ją brutalnie pod brodę i połaskotał za uchem rączką swej stalowej pętli.

- Udusiłem kociaka, ale chętnie załatwię sobie następnego. Pobawiłabyś się ze mną w kocie łapki,

powiedz?

- Ja nie partyzant - oświadczyła dziewczyna łamanym niemieckim. - Niks, niks. Ja nie komunista, niks, niks. Ja bardzo kochać germański żołnierz, ponimajecie?

- Och, to my ponimajem - zadrwił Porta. - Ale dlaczego ty wsadzić czterochlorek do butelki od koniaku?

- Niet rozumieć, Pan soldat.

- Nigdy nikt nic nie rozumie, co się mówi, gdy zrobił jakieś draństwo odezwał się sarkastycznie Heide.

Mały wyciągnął rękę do maczugi dziewczyny.

- Ta twoja laseczka jest odrobinę za ciężka. A jeśli ci zaproponuję, byś jej nie nosiła?

Bez dalszych słów wyjął przedmiot z dłoni przerażonej dziewczyny. Patrzyła nań nerwowo.

- Ja niks bić germański soldat kijem - wybełkotała. - Ja bić tylko ruski. Oni zły, germański dobry.

- O tak, jesteśmy aniołkami - roześmiał się Heide - ze skrzydłami z wosku, które nie znoszą zbliżenia do ognia.

- Jesteś sama? - zapytał po rosyjsku Barcelona. Przyjrzała mu się uważnie. - Ty oficer?

- Tak - skłamał Barcelona. - Ja generał.

- Inni w piwnicy, pod tajemną klapą - wyjaśniła dziewczyna.

Porta zagwizdał.

- To się zaczyna robić interesujące!

Mały podniósł swój słoik konfitur. Usiadł na stole wymachując nogami i dalej wcinał.

- Doskonałe konfitury - rzucił dziewczynie. - Macie jeszcze?

- Zamknij mordę - zbeształ go Porta. - Są sprawy ważniejsze od konfitur. Być może siedzimy na grupie Rosjan.

- Przyrowadź ich - zaśmiał się Mały. - Uduszę ich, gdy tylko się pojawią.

- Gdzie jest właz?

Dziewczyna pokazała jeden z kątów. Zobaczyliśmy dobrze zamaskowaną klapę. Sami nigdy byśmy jej nie spostrzegli.

- Żołnierze ruski? - zapytał Barcelona.

- Niet, niet - dziewczyna energicznie pokręciła głową. - Przyjaciele, rodzina, niks komunisty. Faszysty, dobre faszysty.

- Faszysty dobre? - zaśmiał się Heide. - Do wszystkich diabłów, muszę to zobaczyć.

- Czegoś takiego nie ma - oświadczył Mały, jedząc hałaśliwie. - Faszyci kutasy. Komuniści kutasy. Tylko my dobrzy. - Odstawił pusty słoik.

W sąsiedniej izbie rozległ się hałas. Odwróciliśmy się żywo, odbezpieczając broń.

Przerażona dziewczyna jęknęła i pobiegnęła do drzwi. Barcelona Blom chwycił ją za rękę.

- Nie opuszczaj nas bez pożegnania. Wszyscy tutaj bardzo cię lubimy.

Pojawił się Leutnant Ohlsen, prowadząc ze sobą cały pluton.

- Co wy się tak obcyndalacie? - mruknął. - Jednym rzutem oka objął przewrócony słoik po konfiturach, dziewczynę obok drzwi i na pół opróżnioną butelkę od koniaku. - Dostaliście kompletnego pierdolca? Gdy cała kompania na was czeka, spokojnie opychacie się konfiturami i pijecie koniak!

- Niech pan tak nie krzyczy, Herr Leutnant - szepnął Porta i wskazał klapę w podłodze. - Tuż pod tym jest prawdopodobnie cały batalion Iwanów, srających w spodnie. A co do koniaku, nie ma pan racji, zazdroszcząc go nam. Jest przeraźliwy. To czterochlorek.

Leutnant Ohlsen stał jak skamieniały. Nadszedł Legionista wraz ze Starym, obaj przygotowywali koktajle Mołotowa.

- Iwany są w piwnicy? - spytał Legionista. - Wobec tego, Mały, bądź uprzejmy podnieść klapę.

- Myślisz, że mam nie po kolei w głowie? - odparł, wycofując się, Mały. - Jeśli chcesz by otwarto klapę, by móc tam powrzucać sztuczne ognie, to zrób to sobie sam. Ja jestem całkiem zdecydowany, by z tej wojny wrócić żywy.

- Idiota - odrzucił Legionista i pewnym krokiem skierował się w stronę klapy.

- Odsuńcie się, to zdrowo pierdnie. Dziewczyna wrzasnęła.

- Niks, niks, malinki] dziecko w piwnica... Legionista tak nią potrząsnął, że znalazła się na ziemi.

- Uważaj, uważaj - ostrzegł Porta. - Chyba nie będziesz bił dziecka? Zawsze uważałem, że Żabojady są dobrze wychowani.

- Skończyliście już z pierdołami? - Leutnant Ohlsen był wściekły. - Nie przyszliśmy tu, by się zabawiać. Zanim zdążymy mrugnąć okiem, Iwany chwycą nas za gardło.

Mały drapał się w nogę garotą. - Melduję, Herr Leutnant, że udusiłem ruskiego kota. Wystarczy, że te krety wyjdą z piwnicy, bym ich też podusił.

- Otoczyć klapę - rozkazał Leutnant Ohlsen. - Lekkie karabiny maszynowe i peemy wycelowane. Kalb, gotów do uderzenia. Pierwszy, który wyjdzie uzbrojony, zostanie skoszony. Jeśli czegokolwiek spróbują, zarobią sobie na koktajl.

Szybkim ruchem podniósł klapę i zawołał: - Wychodzić pojedynczo! Daję wam pięć minut, po nich wrzucimy ładunek. Szybko, panowie, szybko. I bez broni, towarzysze.

Pierwsza wyszła mała staruszka, trzymając ręce nad głową. Za nią pojawiło się pięć innych kobiet. Jedna z nich trzymała w ramionach oseska.

- Gównno, jeśli to nie są Flintenweiber, żołnierki - mruknął Porta.

Po nich wyszli mężczyźni, na końcu trzech młodych. Heide i Barcelona sprawnie ich zrewidowali.

- A ja, czy mogę zrewidować te dobre kobiety? - zapytał Mały.

- Ty stąd zjeżdżaj, Creutzfeldt. Jeśli dotkniesz choć jedną kobietę, rąbnę cię.

- To była tylko taka przelotna myśl - nadał się Mały.

- Czy ktoś jeszcze jest na dole? - zapytał Leutnant Ohlsen jednego z mężczyzn.

Ten potrząsnął głową, ale zbyt się spieszył, by odpowiedzieć.

- Jesteś pewien, żołnierzu? - spytał mrużąc oczy Porta. - Hej, Mały, załóż mu pętlę na szyję.

- Z przyjemnością - zarechotał Mały i zarzucił stalową garotę na szyję białego jak ściana człowieka. Później nieco poluzował pętlę.

Porta uśmiechnął się szatańsko.

- To jest taka pieprzona zabawka, z pewnością odpowiednia dla ciebie. Jeśli w piwnicy są inni towarzysze, Mały zaciśnie pętlę. Pospiesz się z odpowiedzią, czy są inni, zanim sami pójdziemy się przekonać.

Mężczyzna wydał coś w rodzaju gulgotu i potrząsnął głową.

- Dajże spokój, udusisz go - wtrącił się Leutnant Ohlsen. - Ile razy ci powtarzałem, że nie życzę sobie twoich gangsterskich metod. Więc nie ma już nikogo w piwnicy? - zapytał stojących pod ścianą cywilów.

- Kalb, wrzuc ładunek.

Mały Legionista wrzucił ramionami, zdjął zakrętkę środkowego w całym ładunku granatu i włożył palec do kółka zawleczeni.

Jedna z kobiet zawyła: - Niet, niet!

Legionista rzucił na nią okiem. - Voila, madame, więc są jeszcze inni?

Leutnant Ohlsen podszedł do klapy.

- Tego byłem pewien. Wyłączyć! Jakiś odgłos.

Dwaj młodzi ludzie powoli wynurzyli się z piwnicy. Legionista chwycił ich.

- Mieliście szczęście, przyjaciele. Jeszcze trzydzieści sekund, a zostalibyście upieczeni.

Heide i Barcelona sprawnie ich zrewidowali.

- Mam nadzieję, że teraz to już wszyscy? - odezwał się Leutnant Ohlsen.

Ja i Legionista jednym skokiem znaleźliśmy się na dole. Na chwilę skryliśmy się za jakimiś beczkami, by obserwować. Następnie przeszukaliśmy piwnicę, rozciągającą się pod całym domem.

Za nami rozległ się jakiś hałas. Zrobiliśmy w tył zwrot, gotowi do otwarcia ognia.

- Kretyn - warknął Legionista, dostrzegłszy Małego.

- Czy są tu jeszcze dziewczynki? - zapytał Mały uśmiechnięty od ucha do ucha. - Jeśli tak, pomogę wam je rewidować.

- Nie, towarzyszu, nie rób sobie złudzeń. Już ich tu nie ma.

Wróciliśmy na górę. Porta znalazł jeszcze kilka butelek, których zawartość ostrożnie wypróbował.

- Wódka? - zapytał cywilów. - Niks wódka? Nikt nie odpowiedział.

- Więc już jesteście gotowi? Wracamy! - zawołał Leutnant Ohlsen.

Heide szperał w kącie, równocześnie podejrzliwie obserwując dwóch typków, którzy ostatni wyszli z piwnicy.

- Co tu się dzieje? - zainteresował się Barcelona. - Czemu tak się im przyglądasz?

- Co o nich myślisz, Porta?

- To samo co ty, Julius. Ci dwaj tutaj, to nie dzieciątka z chóru kościelnego. To są koledzy, założę się o butelkę wódki.

Leutnant zainteresował się.

- Bez wątpienia to dezserterzy. To nas nie obchodzi.

- Z takimi pyskami? - zażartował Barcelona. - Nie, Herr Leutnant, znam ten gatunek. To takie same typki jak te, które nas kopały w tyłki w batallion Thalmann podczas wojny domowej w Hiszpanii.

- Masz rację. Ten gatunek spotyka się tylko w dwóch miejscach: w NKWD i w SS. Tacy nie dezserterują.

- Bóg wie, co oni tu kombinują? - zastanawiał się Porta, przymknąwszy oczy.

Mały zadzwonił swą garotą.

- Chcecie, abym ich udusił?

- Łapy przy sobie! - rozkazał mu Porta. Leutnant Ohlsen, który już wyszedł z chałupy, powrócił w towarzystwie Starego.

- Wyłazić wreszcie - polecił. - Nie mamy tu nic więcej do roboty. Dwaj dezserterzy mnie nie interesują.

- Dezserterzy? - zastanawiał się na głos Barcelona. - Rozumiecie po niemiecku?

- zapytał dwóch młodych ludzi.

Potrząsnęli głowami z wymuszonym uśmiechem.

- Porta, w twoje ręce - oświadczył Barcelona. - Musisz z nimi pogadać w języku Stalina.

- Feldwebel Blom, kto tu dowodzi? - spytał sucho Leutnant Ohlsen. - Wy czy ja?

Barcelona bez słowa spojrział na Ohlsena.

- Gdyby jeńców trzeba było przesłuchać, wydałbym odpowiednie rozkazy kontynuował Leutnant.

- Jawohl, Herr Leutnant - odpowiedział zaciskając zęby Barcelona.

Porta wzruszył ramionami, wziął pistolet maszynowy i w ślad za nami opuścił izbę. W drzwiach odwrócił się i raz jeszcze spojrział na dwóch mężczyzn.

- Mieliście fart, chłopcy. Ukłony dla waszych kolegów, gdy znów ich zobaczycie. Gdyby nie było tu Leutnanta, Mały by was udusił.

I śmiejąc się na całe gardło dodał: - Coś wam powiem, nasz Leutnant jeszcze nie rozumie, na czym polega ta wojna. Ale my i wy dwaj to rozumiemy. Ponimajecie, towarzyszczy?

- Kolumną, gęsiego za mną - zakomenderował Ohlsen.

- Ale gdzie znikli Mały i Legionista? - zainteresował się Stary, rozglądając się w kolumnie.

Nikt nie wiedział. Ostatni raz widzieliśmy ich w chałupie. Stary zameldował o tym Leutnantowi Ohlsenowi.

Ten zaklął z wściekłością. - Co za banda kutasów! Idźcie ich poszukać, Beier. Weźcie paru ludzi.

Powinni zachlewać się w piwnicy, ale pospieszcie się, by dołączyć do kompanii. Już i tak straciliśmy wiele czasu.

Stary poprowadził pierwszy pluton.

- Jeśli ci bandyci w ogóle znaleźli jakąś gorzałę i ukryli ją przed nami oświadczył Porta - coś usłyszysz ode mnie, Josepha Porty, z Bożej łaski Stabsgefreitera.

Tuż przed dotarciem do zagrody usłyszeliśmy ostrzegawczy gwizd.

Bez hałasu wślizgnęliśmy się za krzaki. Zjawił się Legionista.

- Co wy tu wyprawiacie? - spytał Stary. - Gdzie jest Mały?

- Na polowaniu, Herr Feldwebel - zarechotał Legionista. - Nasi dwaj towarzyszczy mają zamiar zrobić nam głupi kawał. Mały poszedł, by im to uniemożliwić.

Nagle ciemności rozdarł krzyk kobiety.

- Na polowanie? - powtórzył suchym tonem Stary. - Ta świnią dotknęła kobiety i ja go wykończę. -

Wstał i skoczył w stronę zagrody, trzymając pistolet maszynowy przy ramieniu.

- Miej oczy otwarte - poradził mu Legionista. - To gniazdo os.

Coś zawiroowało w powietrzu. Barcelona złapał przedmiot w locie i odrzucił tam, skąd nadleciał.

Najpierw huk eksplozji, a potem błysk rozdarł ciemność.

- Debiutanci - stwierdził Barcelona. - Nie potrafią rzucać granatów.

- Co za burdel - doleciał z mroku głos Małego, a potem nastąpiła dzika bójka. Mieszały się przekleństwa niemieckie i rosyjskie. Trzask łamanych gałęzi. Brzęk stali o stal. Ktoś straszliwie rządził.

- Numer jeden - rozległ się w ciemności zadowolony głos Małego.

Odgłos pospiesznych kroków, a potem rozległ się huk wystrzału.

- Jasny gwint, co tu się dzieje? - zdziwił się Heide.

- Idź zbadać - rozkazał Stary. - Strzelcy, na pozycje.

W krzakach natknęliśmy się na trupa. Porta pochylił się nad nim.

- Uduşzony - oznajmił zwięźle.

Był to jeden z dwóch młodych Rosjan. Obok niego leżał potrójny ładunek wybuchowy, jeden z tych, które w samym środku mają metalowe pudełko pełne gwoździ. Takim ładunkiem można posiekać na kawałki całą kompanię.

- Jak się zdaje, to mały upominek dla nas - ocenił Barcelona.

Stary nie zdołał ukryć zdumienia.

- Jak się dowiedzieliście?

- Młoda dziewczyna nam to powiedziała, Herr Feldwebel. I to wszystko.

- Dlaczego wydała swoich rodaków? - zapytał Barcelona.

- Bez wątpienia dlatego, że ich nie kochała - odparł krótko Legionista.

- Być może odebrali jej dziewictwo pistoletem - zakpił Porta.

- To możliwe, koleś. Może być wiele przyczyn, dla których ktoś zostaje donosicielem.

- Jeśli ich koledzy dowiedzą się o tym, powieszają ją - stwierdził Barcelona.

Pojawił się Mały. Ciężko dyszał.

- Ten kutas mi uciekł. W tych kurewskich sosnach może się ukryć cały pułk, ale odebrałem mu nagana i jestem pewien, że wsadziłem mu kulkę w dupę.

Stary wziął nagana, ważąc go z namysłem w dłoni.

- Broń komisarza. O mały włos, a polecilibyśmy do nieba. Niech Bóg błogosławi małą donosicielkę.

Barcelona wybuchł sarkastycznym śmiechem na całe gardło.

- Pan Bóg z pewnością o tym zapomni, gdy ona wpadnie Iwanowi w łapy.

- To nie nasza sprawa - odparł z niedbałym gestem Stary.

Stega potrząsnął głową.

- Schiller doprawdy miał rację.

- Schiller? - zdziwił się Porta. - A co on z tym ma wspólnego? Przecież on nie żyje, prawda?

- Nieprzyjaciel ceni zdradę, ale gardzi zdrajcą - zacytował Stega.

- Twoje mądrości, to ja mam tam, gdzie wiesz - mruknął Mały. Najważniejsze, że ocaliliśmy skórę. A niech ją sobie powieszają. Niech sobie powieszają cały burdel, jeśli to ich kręci, pod warunkiem, że nie powieszają mnie. - Zabrzęczał garotą.

- Gdybyście widzieli, jak język wysunął mu się z paszczy, gdy zacisnąłem pętlę! Nie odezwał się ani słówkiem. O mały włos, a udusiłby mnie, ale byłem silniejszy. Przed drutem nie potrafią się obronić.

- Wielu już nim podusiłeś - stwierdził Stary, wpatrując się w Małego.

- Co wolisz, gwałcić dziwki czy dusić ludzi? - zapytał go Heide.

- Każda rzecz ma swój urok - zażartował Mały.

- Ciekawe, w jaki sposób tu się znalazłeś - zastanawiał się Stary.

- Dobra, nie mam pojęcia - odparł Mały. - W tym kurewskim pudle jezuitów, uważacie, mówili, że jebanko to grzech i że to jest zakazane. Przypuszczam, że gdyby tego tak nie zabraniali, nie staralibyśmy się tak bardzo, by to robić. Gdy dwa albo trzy razy odstawi się numerek bez pozwolenia, to staje się przyzwyczajeniem. W garnizonie nauczono nas zabijać. Potem idzie się na wojnę i człowiek się połapuje, jakie to łatwe. A potem dostaje się nagrody za wszystkich, których się zaszlachtowało. Popatrzcie na mnie, który z was ma tyle blaszek na piersi?

Musieliśmy mu przyznać rację. Z nas wszystkich miał najwięcej odznaczeń.

- I wtedy wynajduje się własne sposoby zabijania - ciągnął dalej Mały. - Jedni wolą nóż, jak Pustynny Włóczęga. Inni karabin z lunetką jak Porta. A Julius, na przykład, miotacz ognia. Sven ze swej strony najlepiej daje sobie radę z granatami, a ty, Stary, jesteś mistrzem pistoletu maszynowego. Znałem pewnego esesmana, który uwielbiał wydłubywać ludziom oczy. Ja osobiście wolę ponad wszystko pętlę. Ale nie zapominajcie, że ten pomysł znam od pewnego sierżanta z Angoli, którego spotkaliśmy w Belgii. On mnie nauczył tego triku. Pamiętajcie, to kosztowało życie Feldwebela Ale. Sami powinniście raz tego spróbować. To takie zabawne, gdy oni zmieniają kolor twarzy. A potem oczy...

- Co za parszywa wojna - westchnął Stega. Stary z rezygnacją potrząsnął głową. Weszliśmy do chaty. Cywile klócili się przy stole. Nie przerwali nawet gdyśmy weszli.

- Kurwa, szmata! - wrzeszczał jakiś starzec, plując młodej dziewczynie w twarz.

- Prywatny trybunał nadzwyczajny - Mruknął Barcelona. - Jak ja to dobrze znam.

Osesek płakał.

Dziewczyna rzuciła się do Starego.

- Pan Feldwebel - pokazała palcem starego - on wydać germański żołnierzy NKWD. On Wydawać Hiwis, rosyjskie ochotniki po germańska strona.

- Dziwko! - wrzasnął stary - Zabiję twego skurwysyna!
Osesek zaczął płakać jeszcze głośniej, tak jakby rozumiał. Leżał porzucony na krześle pod ścianą.
Wszyscy trzymali się od niego z dala, jakby był trędowaty.
- Mój narzeczony, Scharfuhrer SS, wrócić. On obiecać. - Dziewczyna płakała histerycznie.
- Przyjdzie NKWD - darł się stary - i będziesz miała sznur na szyi. Swoimi donosami zamordowałaś Lejtnanta Wilego. A śmierć kapitana Bieszowa, to też twoja wina.
- O czym wy mówicie? - zapytał Stary.
- Zamknij pysk, niemiecka świni! - ryknął stary Rosjanin.
- Obłąd narodowy - stwierdził Barcelona. - Znam to. Nieostrożne słowa. Gdyby zamiast nas przyszli tu ludzie z naszytą trupa główką, kosztowałyby to jego głowę.
- Udusić go? - zaproponował Mały, dzwoniąc garotą.
- Uspokój się - burknął Stary.
- Skończmy z całą tą bandą, a potem odejźmy - zaproponował Heide.
- Moim zdaniem powinniśmy wyróżnić samców i zabrać laseczki - oświadczył Mały.
- To ja wydaję tu rozkazy - warknął Stary.
- To wszystko są partyzanci! - zawołała dziewczyna. - Zlikwidujcie ich, Pan Feldwebel. Oni zabić kapitan germański. Jest zakopany w gnoju. Ja pokazać gdzie.
W izbie zapanowała złowroga cisza. Heide uniósł brew, uśmiechnął się wesoło.
- Gniazdo morderców? Stary, nie masz wyboru. Wykopmy tego człowieka. Mały, przygotuj pętlę.
- Unteroffizier Heide - wrzasnął Stary z płonącym wzrokiem - to ja wydaję rozkazy. - Podszedł tuż do Heidego i położył palec na Krzyżu Wojennym I Klasy z błyszczącego srebra. - Widocznie pamięć cię zawodzi. Przypominasz sobie, jak dostałeś ten kawałek żelastwa? Denuncjacja, Herr Unteroffizier, pięć głów w zamian za kawałek sztancowanego żelastwa. Nie zapomnieliśmy o tym rosyjskim chłopie.
- Nie jesteś w pełni rozumu - warknął Heide. - Rób sobie z tymi kutasami, co chcesz. Ja umyвам ręce.
Legionista roześmiał się cichutko.
- Ile hałasu o nic. Wystarczy zostawić tu Małego na pięć minut samego. Wydaj mu rozkaz, by pozamiatął, a problem będzie rozwiązany.
- Zabierzcie mnie ze sobą - błagała dziewczyna. - Oni nas pozabijają, moje dziecko i mnie.
Zmęczony Stary tylko wzruszył ramionami.
- Nie możemy cię zabrać. Ale spakuj się i zniknij, póki tu jesteśmy.
- Ty ich rozstrzelać, Pan Feldwebel. Rozkaz Fuhrera, mój narzeczony mówi. Oni zabić oficer germański. Ty nie zabić, ja opowiedzieć mój narzeczony. Przyjść SD, ty być powieszony. Ja dać rozkaz, ja kobieta SS. - Wyjęła z majtek różowy Ausweis i podsunęła Staremu pod oczy.
Wiedzieliśmy co oznacza ta mała, kwadratowa legitymacja.
- Ty natychmiast rozstrzelać, Pan Feldwebel. Albo ty zostać powieszony zagroziła.
- Naprawdę bardzo zdolna ta mała - roześmiał się Porta. - Co o tym myślisz, Mały? Lubisz ten gatunek?
Mały zadzwonił garotą.
- Tak, z tym dobrze zaciśniętym na szyi.
- Masz chęć ją udusić? - zapytał Legionista, robiąc wymowny ruch ręką.
- Jeśli będę miał ochotę - szepnął Mały. Rosjanie odetchnęli. Bez wątplenia potrafili skapować, co tu się dzieje.
Stara kobieta, nieustannie zanosząc się kaszlem, równocześnie drapała się w brzuch szczotką na

długiej rączce. Splunęła na ziemię i zrobiła krok w stronę Starego.

- Towaryszcz komendant, ta kurwa jest donosicielką. Przed waszym przyjściem miała przyjaciela, porucznika NKWD. Zadenuncjowała własną matkę za nielegalne zarżnięcie świniaka. Matka wysłana Syberia. Potem ona przyjaciółka jednego SS. Równocześnie ona przyjaciółka Kozaków Własowa. - Stara splunęła na ziemię.

- Ty znać, towaryszcz, gliny SD. Ta szmata wszystkich denuncjowała tym typom. Ona mieć pistolet schowany za okap kuchnia. Weź ją, żeby my spać spokojnie. Bóg ci podziękuje i wszyscy ludzie ten wieś zapalą świeczki za twoje zbawienie. Zabierz jej bękartą i oddaj go Himmlerowi.

- Gdzie jest ten pistolet? - zapytał dziewczynę Stary.

- Mam prawo go mieć! - krzyknęła dziewczyna, nie posiadając się z wściekłości. - Jestem pod ochroną SS.

Nim ktoś zdołał mrugnąć okiem, Mały założył jej pętlę na szyję. Jej twarz spurpurowiała.

- Brawo, żołnierz, zaduś ją - wykrzyknęli chórem Rosjanie.

Osesek płakał rozdzierająco, jakby rozumiał groźbę, wiszącą nad jego matką. Mały zaśmiał się szatańsko.

- Nasz Feldwebel zapytał, gdzie trzymasz schowane kopyto. Śpiewaj, ptaszku!

Stary rzucił się na Małego i z wściekłością uderzył go po ręce lufą pistoletu maszynowego.

- Zostaw tę gówniarę albo cię zakatrupię! Mały poluzował garotę i odwrócił się do Starego jak ktoś, kto nic już nie rozumie.

- Przecież to szpiclówka. Dlaczego nie mam prawa jej zadusić? Jeśli to nie będę ja, znajdą się inni. Zostaw mi tę przyjemność.

- Odejdź! - zawył Stary, odbezpieczając pistolet maszynowy.

Wokół Małego zrobiła się pustka. Wszyscy, razem z Rosjanami, byli przekonani, że Stary będzie strzelać.

Mały schował pętlę do kieszeni, odepchnął dziewczynę.

- Kiedy skończy się ta wojna, postaram się zostać członkiem stowarzyszenia parlamentarnego, gdzie ma się prawo rozsądnie dyskutować. To dziwnie męczące, ta mania podstawiania człowiekowi pistoletu maszynowego pod nos zamiast „tak” albo „nie”.

- Gdzie jest twój pistolet? - zapytał dziewczynę Stary.

- Tutaj - zawołał z kuchni Porta, machając krótkim, policyjnym pistoletem maszynowym PPD/38. - Nie było trudno go znaleźć, ale jednak ta zabaweczka jest zbyt ciężka dla takiego wróbelka, jak ty. - Pokazał też trzy magazynki dyskowe po 71 pestek w każdym.

- Jest załadowany pociskami eksplodującymi? - spytał, nie mogąc w to uwierzyć, Stary.

- A jak? - zadrwił Porta. - Zręcznym ruchem wyłuskał jeden nabój z magazynka, cisnął nim o ścianę, a ten wybuchł z suchym trzaskiem.

- Eksplodujące - skonstatował Barcelona. - Dobrze wyposażona młoda kobieta. Z całym moim szacunkiem.

Stary zmarszczył brwi. - Zabrać ten pistolet. Zmywamy się. Jeśli chcesz zostać przy życiu, dziewczyno, znikaj, ale szybko. Jeśli jeszcze raz cię spotkamy, dam Małemu zielone światło.

- Nie macie prawa zabierać mi broni - zawołała. - Poskarżę się SS.

- O, właśnie - odparł Stary, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Mały podrapał się w jabłko Adama i rzucił na dziewczynę głodne spojrzenie.

- Może do następnej okazji, ptaszku.

- Nie macie prawa tu mnie zostawiać - zawyła histerycznie.

Ale już znikliśmy w ciemności.

- Wkrótce obedną ją ze skóry.
- Oszczędź mi szczegółów - uciał Stary.
- Ale to przecież ty ją skazałeś - stwierdził Barcelona.
- Sama się skazała - stwierdził krótko Stary.
- Masz rację. Nikt nie ma prawa wynosić się ponad wspólnotę.
Kruki krakały oburzone, gdy odpędzaliśmy je od trupów. Porta do nich strzelił. Odleciały i usiadły na drzewach i zaczęły nas przeklinać, jeden z nich uwiązał we flakach.
Heide go załatwił z karabinu snajperskiego.
Ściągnęliśmy wszystkie trupy, by ułożyć je w wielki stos wewnątrz domu.
Ujrawszy to, Leutnant Ohlsen zaczął kłąć. Chciał, abyśmy je ułożyli równo, jeden przy drugim.
- Bywają ludzie szczególnie wrażliwi - odezwał się Heide do Barcelony.
Ułożyliśmy je jeden obok drugiego, ale oficerów, zwisających w piżamach z poderżniętymi gardłami z łóżek, zostawiliśmy na miejscu.
Na ziemi były wielkie, ciemne plamy krwi.
Brzęczały muchy.
Rosjanie spadli jak piorun z jasnego nieba.
- Niezwykle precyzyjna robota - zachwycił się Mały.
Z radia słychać było pieszczotliwy głos: - „Kochanie, powinniśmy się smuć czy radować?”
Wszystko oblaliśmy benzyną. Zabici oficerowie z garnizonów otrzymali prawo do dodatkowej dawki.
Gdy skończyliśmy, Barcelona i ja wrzuciliśmy do wnętrza granaty.
Kilka zwłok uniosło się częściowo, jak to bywa w krematoriach.
Po drugiej stronie Rosjanie śpiewali pijanymi głosami:
Jeśli zawtra wojna. Jeśli zawtra w pochód, jeśli tiomnaja siła nad granie, Kak odin czełowiek...
- Jeśli jutro nadejdzie wojna - śpiewali.
Stary spojrzał w ich stronę. Byli po drugiej stronie pagórków, za młodym lasem.
- No i mają, tę swoją wojnę, o której z taką przyjemnością śpiewają.
* * *

Rozdział II KOMPANIA W MISJI SPECJALNEJ

Dołączyliśmy do kompanii w sosnowym lesie. Leutnant Ohlsen był bardzo niezadowolony z naszej długiej nieobecności.
W następnych dniach wdawaliśmy się w wiele rozpaczliwych starć z włączającymi się jednostkami rosyjskimi i straciliśmy dwunastu naszych. Staliśmy się ekspertami od tej formy walki. Partyzantki.
Leutnant stawał się coraz bardziej nerwowy w miarę upływu czasu. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, gdzie znajduje się nasz pułk. Od dawna powinniśmy byli go spotkać.
Przyprowadziliśmy ze sobą sześciu jeńców: jednego Lejtnanta i pięciu żołnierzy piechoty. Lejtnant mówił płynnie po niemiecku. Szedł na czele kompanii, obok Leutnanta Ohlsena. Obaj zapomnieli, że są wrogami.
Dwaj jeńcy nieśli kociołek z napitkiem. Było to wczesnym rankiem, schodziliśmy z płaskowyżu.
Słońce świeciło nam prosto w twarz. Dlatego willę zauważyliśmy dopiero natknąwszy się na nią.
Górski pałacyk z oszkloną werandą. Na warcie przed willą stało dwóch żołnierzy piechoty.
Ze środka wyszli dwaj oficerowie. Jeden z nich, dowódca, nosił rzucający błyski monokl. Protekcyjnie odsalutował Leutnantowi Ohlsenowi.

- Wasza kompania ma wygląd nieco zużytej - mruknął. - Co za banda dzieci z chóru kościelnego! Mam nadzieję, że mogę wam zaufać, Herr Leutnant. Jeśli nie, będę musiał zauważyć, że jesteśmy specjalistami w zakresie sądów polowych. Przedstawiam się: Oberstleutnant de Vergil, dowodzący tutaj. Zajmujcie z waszą kompanią pozycję na lizjerze lasu, w kierunku koty 738, gdzie znajduje się lewe skrzydło mojego batalionu i dobrze utrzymujcie łączność, mein Herr.

Leutnant Ohlsen zasalutował, dotykając dwoma palcami daszka czapki.

- A to co ma znaczyć?! - zawołał do głębi oburzony dowódca. - Czy nie potrafi pan salutować regulaminowo?

Leutnant Ohlsen stanął na baczność.

- A teraz salut i spocznij, zgodnie z Regulaminem Służby Wojsk Lądowych zażądał aroganckim tonem dowódca.

Leutnant Ohlsen złączył obcasy i szybko podniósł rękę do czapki.

Dowódca skinął aprobująco głową.

- Dobrze. No właśnie. Więc jednak umie pan to robić, Herr Leutnant. U mnie nie życzymy sobie salutowania według własnego pomysłu, ani żadnej innej postaci niedbalstwa. Powierzono panu batalion piechoty pruskiej. Proszę sobie to mocno wbić w głowę, Herr Leutnant. - Dowódca zakołysał się na nogach, wyraźnie bardzo zadowolony z siebie.

- Co to za jakieś mały w pańskiej kompanii?

- Na pańskie rozkazy, Herr Oberstleutnant, 5. Kompania 27. Pułku Pancernego przyprowadziła jeńców wojennych: jednego Lejtnanta i pięciu szeregowych rosyjskiego 43. Pułku Górskiego.

- Powieście ich - zdecydował dowódca. - Wszy należy tępić.

- Powiesić? - wyjąkał, nie wierząc własnym uszom, Leutnant Ohlsen.

- Czy ma pan zły słuch? - zapytał dowódca. Zawrócił na pięcie i znikł we wnętrzu willi.

Leutnant Ohlsen patrzył za nim, potrząsając głową. Znał ten gatunek. Ludzi z obsesją uzyskania Krzyża Żelaznego. Bohaterów garnizonowych, którzy poszliby po trupach, aby tylko zdobyć kawałek blachy na pierś.

Rosyjski Lejtnant zaprotestował: - Chyba nie każe pan nas powiesić, Herr Leutnant!

- Nigdy w życiu. Jeśli trzeba kogoś powiesić, to tylko tamtego błazna.

Okno na pierwszym piętrze otworzyło się gwałtownie. Ukazał się w nim dowódca.

- Nie omieszkałam przestrzec pana przeciw jakiegokolwiek zaniedbaniu przy wykonywaniu rozkazów na froncie. Dla pańskiej informacji pozwalam sobie powtórzyć, że jesteśmy tu specjalistami w zakresie sądów wojennych. - Roześmiał się złośliwie i z trzaskiem zamknął okno.

- Co za cyrk - powiedział cichym głosem Porta. - Święty Ojczy, broń nas. Cholernie tego potrzebujemy.

- Zamknij się, Porta - zażądał Leutnant Ohlsen. - To nie czas na żarty.

Adiutant dowódcy, młody Leutnant, pojawił się w otwartych drzwiach.

- Herr Leutnant, nasz dowódca wydał rozkaz udania się na pozycję w sposób regulaminowy.

- Dobrze - uśmiechnął się Leutnant Ohlsen. - Jesteśmy gotowi pójść nawet prosto do piekła.

Adiutant wzruszył ramionami i odpowiedział obojętnym tonem: - Jeśli pan sobie życzy.

Wykopaliśmy nasze dołki strzeleckie trochę dalej na pagórku. Gleba była ciężka, ale niezbyt twarda. Wykopanie dołków nie zabrało nam zbyt wiele czasu.

Mały i Porta śpiewali pracując. Śpiewali z każdą chwilą głośniejsze.

- Po cichu raczą się sznappsem - orzekł Heide. Leutnanci Ohlsen i Spaet siedzieli we wspólnej dziurze i szeptali z rosyjskim Lejtnantem. Przed nimi leżała mapa, której przyglądali się nieustannie. Barcelona roześmiał się cichutko. - Podają oficerowi Iwanowi rozkład jazdy pociągów.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Stege. - Nasz Leutnant jest w porządku. Nie ma ochoty wieszać kogokolwiek bez względu na to, kto wydał rozkaz.

- I wierzycie, że pozwoli też odejść jego kolegom? - zapytał z niedowierzaniem Heide.

- A co innego może zrobić? - odparł Barcelona. - Jeśli faceci jeszcze tu będą, gdy nadejdzie dowódca, każe swoim ludziom, by ich powiesili, a Leutnanta Ohlsena postawi przed sądem doraźnym. Odmowa wykonania rozkazu. Dwanaście karabinów. Pif-paf.

- Obawiam się, że to ja będę musiał posprzątać - powiedział głośno Heide. Nie zgadzam się, by tym skurwielom pozwolić odejść. A w ogóle nigdy nie zdołałem zrozumieć, po co bierze się jeńców. Kulka w potylicę i spokój. Trupy nie powodują problemów. Więc może zauważyliście, że ja nigdy nie wziąłem jeńca.

- A co byś powiedział, gdyby pewnego dnia to ciebie Iwan wziął do niewoli i gdyby jeden z nich trzymał nagana gotowego do strzału, co?

Wściekły Heide z całej siły wbił łopatkę w ziemię i wyrzucił w powietrze wielki kawał darni.

- Przede wszystkim, jeśli idzie o mnie, to jest to nie do pomyślenia. Ale poza tym, gdyby tak się zdarzyło, oczekiwałbym strzału w potylicę. Gardziłbym tymi kutasami, gdyby tak nie zrobili. Myślisz, że obawiam się wzięcia do niewoli? Byłem najlepszym podoficerem w całym garnizonie. Jestem żołnierzem już dziewięć lat, nigdy nie zostałem złapany i nigdy nie będę.

Podniósł nogę. - Widzicie, jak podeszwa jest dokładnie wypastowana? Odwrócił się do nich. - Czy kant moich spodni jest zaprasowany jak należy? Jeśli macie miarkę, możecie sprawdzić, czy mój krawat jest związany zgodnie z regulaminem. - Zerwał hełm z głowy. - Czy mój przedziałek jest prosty? Czy ładownica znajduje się dokładnie o osiemnaście centymetrów od klamry pasa, tak czy nie? Czy zakładki z boku mojej kurtki mają dokładnie po trzy centymetry? U mnie wszystko jest zgodne z regulaminem. I tak było od dnia, gdy postanowiłem, że Armia będzie moim ojcem i matką. O co Armia się bije, mam niżej pięt. Zabiłbym moją babkę, gdybym dostał taki rozkaz. Jestem żołnierzem, bo kocham być żołnierzem.

To trzeba było mu przyznać. Heide był zawsze absolutnie regulaminowy. Nawet po najdzikszej walce wręcz, wyglądał tak, jakby miał wystąpić na paradzie.

- Ale jaki to ma związek ze strzelaniem w głowę jeńcom wojennym? - spytał Sorge.

- Taki, że masz tępą głowę - zadrwił Heide. - Byłeś na studiach? Dajże spokój. Ja ukończyłem tylko podstawówkę, ale o wiele lepiej znam zwyczajne życie niż ty i cała reszta waszych osłów. A przecież nauczyłeś się używać bagnetu? Walczyć nim i tak dalej? Czy po to, aby brać jeńców? Strzelać z częściowego lub całkowitego ukrycia, dobrze celować, używać tłumika ognia wylotowego? Nauczyłeś się wszystkiego, Hugo. Należysz do naszego towarzystwa od czterech lat i doskonale się wywiązywałeś. Jak to się dzieje, że tak mało studentów zostaje oficerami? A spójrz na siebie. Po czterech latach starszy szeregowiec. Mnie to zabrało sześć tygodni. Po pięciu miesiącach zostałem podoficerem, a gdy tylko skończy się ta wojna, zostanę oficerem w rekordowym czasie. Cały sekret w tym, by katrupić tych, co katrupić trzeba. Kolekcjonować trupy. Bawcie się i pomyślnych łowów.

- Niewątpliwie masz rację - zgodził się Stege.

- Oczywiście mam rację i zamięję naszych sześciu skurwieli, gdy tylko ich zobaczę.

- Zamelduję o tobie Leutnantowi Ohlsenowi - zagroził Stege.

- O, właśnie! - roześmiał się Heide. - Uważasz, że zrobi mi coś złego?

Schylił się w swej dziurze, słyszeliśmy, jak mruczy na dnie dołka: - Biedny, uczoney kutas, każ się wydymać.

Skończyliśmy kopać dołki. Gwiżdżąc nadleciał pocisk artyleryjski. Jeden z rekrutów krzyknął

przeraźliwie, wyskakując z dołka.

- Na pomoc, jestem ranny!

Dwóch jego kolegów ruszyło mu z pomocą. Pobiegli do tyłu, daleko od pozycji. Barcelona skrzywił się drwiąco.

- Kolego, drogi kolego, zostałeś raniony, odtransportujemy cię daleko stąd. Aż do najodleglejszego punktu opatrunkowego.

- Tak, co za szczęście - drwił też Heide. - Tuż przed tym, zanim zacznie się prawdziwy łomot. Te papierowe żołnierzyki nie umieją się bić, ale natychmiast nauczyły się, jak dobrze kombinować.

Na dnie wielkiego dołka strzeleckiego trzymaliśmy nasz bezcenny kociołek. Był dobrze przykryty, aby okowicie nic się nie stało.

Księżyc znikł za zasłoną chmur. Noc była ciemna, jakby zrobiona z czarnego aksamitu.

- Jaka cisza - wyszeptał Stary. - Jakby można było spokojnie pospacerować.

- Idiotyczna - stwierdził Stege. - Jest tak cicho, że aż strach bierze.

Usłyszeliśmy, jak gdzieś daleko zaszczekał pies.

- Więc gdzie są Iwany? - zapytał Barcelona. Stary wskazał mu sosny, stojące sztywno jak wartownicy.

- Są tam, w swoich dziurach, a cisza niepokoi ich tak samo jak nas.

- Gdybyż tylko ktoś chciał postrzelać - powiedział Heide. - Od tego spokoju można dostać świra.

Diabelski śmiech jak nóż rozciął cichą noc. Pewnie było go słychać na wiele kilometrów. To był Porta. Grał w karty z Małym, który głośno wyrażał wątpliwości co do uczciwości swego przeciwnika.

Z drugiej strony zaczął pluć ogniem karabin maszynowy. Któryś z naszych odpowiedział dwiema smutnymi seriami. Z daleka słychać było gwizdy i pomruki. Ocean płomieni wstawał i opadał na dół w gigantycznych eksplozjach. Wyglądało, jakby góry trzęsły się ze strachu.

- Baterie rakiet - stwierdził Stary. - Na szczęście nie w nas walą.

Dwa karabiny maszynowe czekały w ciemności jak stróżujące psy. Jakieś pociski smugowe cicho znaczyły swe trasy daleko na północ od nas.

Przybiegł łącznik, goniąc na złamanie karku.

- Meldunek do dowódcy 5. Kompanii! Meldunek do dowódcy 5. Kompanii!

- Zamknij gębę! - wrzasnął Leutnant Ohlsen. - Zachowujesz się, jak kompletny furia. Cały front ruszy, jeśli dalej będziesz tak pyskował.

- Herr Leutnant - zawołał goniec - musi pan natychmiast stawić się u dowódcy, by otrzymać ważne rozkazy.

- Spierdalaj - warknął rozwścieczony Leutnant Ohlsen.

- Skąd właściwie biorą się takie papierowe żołnierzyki, jak wy? zainteresował się Porta, przyglądając się czysciutkiemu i ubranemu jak z igły gońcowi.

- Herr Stabsgefreiter, przyjechaliliśmy z Wrocławia, 49. Pułk Piechoty, kompania sztabowa.

- Nigdy bym się nie domyślił - zadrwił Porta. - Zmywaj się i idź szukać twego Krzyża Żelaznego. Leży tam w gównie.

Łącznik znikł momentalnie.

Góry zadrżały ponownie, jakby chwycił je dojmujący ból. Po nieboskłonie przemknął niebieski ogień i chmura. Całą okolicę zalał ten ocean ognia. Piekielny widok zmuszał nas do przymykania oczu. Kurczyliśmy się z całej siły w naszych dołkach. Owładnęło nami przerażenie. Więcej człowiek nie był już w stanie wytrzymać.

Na Rosjan spadła salwa rakiet, wyrzucając w powietrze ziemię, kamienie i poszarpane ciała.

- Jezu Chryste - jęknął Heide, ocierając czoło - te wyrzutnie raketowe u każdego wywołują dreszcze.

- Uważajcie - poradził Steiner. - Do dziur! I zróbcie się całkiem malutcy. Teraz Iwan użyje swych wielkich organów.

- Robię w portki przez te ich zasrane rakiety. Zawsze muszą strzelać.

Jeszcze nim skończył zdanie, po przeciwnej stronie rozległo się coś przypominającego trzęsienie ziemi.

Rzuciliśmy się do naszych dołków jak przerażone psy i ukryliśmy głowy w ramionach.

Rakiety 120 mm wzbily się w niebo jak huragan i wzniosły ścianę ognia tuż za naszymi plecami.

A potem była cisza.

Niektórzy ze świeżych powstawali. Nie mieli pojęcia o zwyczajach Rosjan. Leutnant Spaet przestrzegł ich, wrzeszcząc: - Do dziur, bando kretynów!

Kolejne detonacje. Tym razem rakiety wybuchły przed naszymi dołkami.

- Następnym razem trafią nas prosto w łeb - przepowiedział Barcelona.

- Ich zasrani obserwatorzy są gdzieś tutaj, wśród sosen - powiedział Steiner. Porta! - zawołał, wysuwając głowę - skasuj tego skurwiela, abyśmy mieli trochę spokoju.

- Z przyjemnością - odparł Porta. - Jeśli tylko go zobaczę.

Leżał plackiem koło swego dołka i przeszukiwał korony sosen noktowizorem. Diabelskim wynalazkiem, zmieniającym noc w dzień.

- Mogę się tam prześlizgnąć - zaproponował Mały, pobrzękując garotą. - Zesra się w portki ze strachu, gdy go tym połaskoczę po karku.

- Zostań na miejscu - rozkazał Leutnant Spaet. Następna salwa padła wśród dołków. Słysząc było przerażające wrzaski.

- W ten sposób będziemy mieli chwilę spokoju - orzekł Barcelona.

- Owszem, póki ci kretyni z naszych baterii raketowych nie zaczną znowu odparł Stary.

- Otwórz oczy, Porta - wyszeptał Legionista. - On właśnie złazi.

- Tam, na prawo od wielkiej sosny - radował się Mały.

Porta przycisnął karabin snajperski do ramienia, rozpaczliwie szukając zamierzonego celu.

- Gdzie, do kurwy nędzy? Mały wskazał mu szukanego.

- Trzy palce w lewo od zgiętego drzewa. Masz go?

- Tak.

- Pospiesz się, jest już prawie na dole. Wielkie chłopisko. Trochę bardziej w tyle.

- Rany, jest! - krzyknął Porta. - Ależ to byczysko. Ma order od Stalina. Prawdziwy! Zrobię mu największą niespodziankę jego życia, a równocześnie ostatnią.

- Wsadź mu kulkę w chwili, gdy będzie miał zniknąć i poczuje się bezpiecznie.

- Zrozumiano - odrzekł Porta i równocześnie strzelił.

Wystrzał trzasnął sucho i złośliwie. Porta roześmiał się. - Ależ się zważył! Połowę głowy mu odwalilo, bez wątpienia więcej nie była warta.

- Dobrze, chłopcze - rzekł Legionista. - Daj mi twój zeszyt, żebym ci wpisał ten strzał.

Porta wręczył mu mały, żółty zeszyt, wydawany wszystkim strzelcom wyborowym.

- Dużo ich masz! - zawołał Legionista, przewracając kartki.

- A ja mam tyle samo z moją garotą - wtrącił się Mały. - A to wymaga znacznie większej odwagi. Z karabinem i podczerwienią, trzymasz się z daleka. Z pętlą musisz dmuchać prosto w pysk swemu skurwielowi. Nie zauważyłeś, czy miał tam złoto?

Porta potrząsnął głową.

- Ten łajdak ani razu się nie uśmiechnął. Ale zrobmy tam sobie rundkę, korony podzielimy po

połowie, jeśli tylko będą.

- Spaet, powierzam ci kompanię - zawołał Leutnant Ohlsen. - Idę do dowódcy grupy uderzeniowej. - Zasalutował, wyskoczył z dołka i pobiegł pod osłonę grupy domków, stojących obok pagórka. Karabin maszynowy zaczął pluć w kierunku Leutnanta pociskami smugowymi. Ale jego strzelec nie był dobrze wyszkolony. Serie były zbyt długie i padały zbyt krótko.

Znaliśmy Leutnanta Ohlsena i wiedzieliśmy, że w głębi duszy musiał snuć rozważania na temat tego strzelca.

Bez tchu dotarł do willi, gdzie dowódca bez zainteresowania przyjął jego meldunek. Przy obficie zastawionym stole zgromadziło się siedmiu oficerów.

Leutnant Ohlsen nie mógł uwierzyć własnym oczom. Białe obrus. Kwiaty w kryształowych wazonach. Siedmioramienny żyrandol. Błękitna porcelana. Karafki wina i ordynansi w roli kelnerów w białych kurtkach z godłem pułkowym.

- Zwariowałem - powiedział sobie. - Albo to jest sen.

Dowódca poprawił monokl i uważnie przyjrzał się stojącemu przed nim frontowemu Leutnantowi. Buty gruntownie zabłocone, czarny mundur podarty i szary od wielomiesięcznego brudu. Brak połowy liści dębowych. Huzarska trupia główka szczyrzyła zęby, brudna i szarawa. Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy ją regulaminowo wypolerowano. W zmarszczkach zniszczonej twarzy Leutnanta wżarty brud. Czerwona wstążka Krzyża Żelaznego wystrzępiona. Na miejscu medalu świeciła dziura. Sam medal stopił się, gdy wóz pancerny Leutnanta padł ofiarą pożaru. Prawy rękaw kurtki trzymał się tylko na nitce. Prawą dłoń miał czarną od zastygłej krwi. Zamek kabury pistoletu znikł. Pas oficerski został zamieniony na zwykły pas żołnierski.

Dowódca skrzywił się z obrzydzeniem. To, co ujrzał, tylko potwierdzało jego przekonanie. Naprawdę miał zamiar poczęstować tego okopowego oficera kielichem wina. Dobrego, wytrawnego wina, przywiezionego z bogatych piwnic we Wrocławiu. 49. Pułk Piechoty był bogatym pułkiem. Do tej pory dwa jego bataliony stacjonowały we Francji i jeden w Danii. Odbywano na zmianę służbę w krainach mlekiem i miodem płynących. Dla tych z Czterdziestego Dziewiątego życie płynęło jak po różach. Nikt z pułku nie był na froncie, jeśli nie liczyć okupacji Danii i dwóch dni przed zawieszeniem broni we Francji.

A potem nadszedł dla pułku ów dzień fatalny. Jakiemuś kretynowi w Biurze Personalnym Armii, Bandler Strasse, wpadło w oko nazwisko dowódcy pułku, Obersta von der Graz. Został awansowany na generała brygady i zrobiono go dowódcą dywizji piechoty na Bałkanach. Żywiono nadzieję, że jego następcą w dowództwie zostanie jeden z dowódców batalionów. Było tam nawet dwóch Oberstleutnantów, którzy powinni zostać awansowani na pełnych Oberstów. Najstarszym z nich, którego przodkowie sięgali aż pierwszego w historii pułku króla Prus, zaczął już nawet rozgłaszać, jakie zmiany wprowadzi, gdy zostanie dowódcą 49. Pułku Piechoty. Przez dwa miesiące służył jako pełniący te obowiązki. To były dwa najpiękniejsze miesiące dla korpusu oficerskiego.

Pewnego czwartkowego poranka, za dwadzieścia dziesiąta, w chwili, gdy nad jasnoszarymi koszarami zaczęły się gromadzić czarne chmury, pojawił się nikomu nie znany Oberst, by objąć dowództwo. Przybywał bezpośrednio z Demiańska, gdzie dowodził grupą szturmową. Ów pułkownik miał jedno oko zakryte czarną przepaską. Wysoki, kościsty i mrukliwy. Przez cały ten czwartek spacerował po koszarach, bez słowa wężąc jak pies myśliwski. Wszyscy czuli się bardzo skrępowani. Przymilny kwatermistrz sztabu wpadł na błyskotliwy pomysł, by temu upiorowi pokazać piwnicę win. Upiór odkaslnął, wziął do rąk jedną czy dwie zakurzone butelki, zmierzył kwatermistrza sztabowego wzrokiem od stóp do głów i wyszedł nic nie mówiąc. Jego jedyne oko błyskało ponuro. W godzinę później kwatermistrz pakował bagaże. Instynkt mu podpowiedział, że

wkrótce opuści 49. Pułk. Co za zimny drań z tego pułkownika!

Była późna godzina, gdy w końcu nowy dowódca zajął miejsce w fotelu swego poprzednika, za wielkim, mahoniowym biurkiem. Korpus oficerski od dawna znajdował się w kasynie, ale po raz pierwszy od lat nastrój był nie taki. Szampan miał niemiły posmak.

Później nastąpiła katastrofa. Upiór zwołał oficerów. Skrzywił się lekko, stwierdziwszy, że połowa tych panów była na weekendowej przepustce od piątku wieczór. Wiedzano, że jest to nielegalne, ale od tak dawna weszło w przyzwyczajenie, a zresztą i tak nikt nie wracał do koszar przed poniedziałkiem.

Upiór zażądał spisu stanu pułku. Zgodnie z regulaminem powinni takie listy sporządzać codziennie dowódcy kompanii. Ale od dawna nikt się tym nie zajmował. Sądono, że robią je Hauptfeldweble.

Adiutant obtelefonował kompanie. Z góry wiedział, jaki będzie rezultat, ale ciekawiło go, jakie będą następstwa. On na to gwizdał. Jego wuj był zastępcą dowódcy sztabu tej części armii, która pozostawała na ziemi ojczyściej. Gdziekolwiek go przydziela, będzie bezpieczny. A przy tym zaczął już się we Wrocławiu nudzić.

Odłożył słuchawkę i zameldował upiorowi rezultaty swych rozlicznych telefonów.

- Herr Oberst, stan liczebny nie jest znany. Wszyscy Hauptfeldweble wyjechali na przepustki końca tygodnia. Najwyższym stopniem okazał się Unteroffizier gwardii. Biura pozamykane są na klucz.

Upiór z namysłem pogładził ręką swój czarny pas koalicyjny.

- Oficer ordynansowy! - zawołał.

Najmłodszy Leutnant podbiegł i zawołał niepewnym głosem: - Leutnant Hanns baron von Krupp, na rozkaz, Herr Oberst.

Upiór wyszeptał: - Ach, więc to istnieje także tutaj. Leutnancie - kontynuował skrzypiącym głosem - (wyczuło, że nadciąga burza) - pójdźcie sprawdzić, czy przynajmniej są przed bramami posterunki. Przypuszczam, że wartownicy także wyjechali na weekend

Nim Leutnant opuścił gabinet, został jeszcze raz przywołany.

- Za kwadrans proszę wrócić z dokładnym stanem załogi obecnej w koszarach.

Baron von Krupp, o dowcipnym przezwisku „Mała Armata”, wyszedł.

Adiutant był już gotów powiedzieć, że stan faktyczny w koszarach wynosi około trzydziestu procent tego, co powinien. Do tej pory nikt się takimi szczegółami nie interesował. Wrocław leży daleko od Berlina, nigdy nikt tutaj nie przyjeżdżał.

Upiór wyraził swe zdumienie z faktu, że ani jeden z obecnych oficerów nie miał jakiegokolwiek odznaczenia bojowego.

- Nigdy nie byliśmy na froncie - oświadczył Hauptmann Dose, najgłupszy z oficerów pułku.

Po raz pierwszy upiór uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech przyjacielski, nie bardziej przyjacielski niż mina, jaką przybrał mówiąc: - Będziecie. Wojna jeszcze się nie skończyła. W nadchodzących dniach będziecie potrzebować całej waszej wiedzy wojskowej. Liczę, że jeszcze dzisiejszego wieczoru otrzymam od każdego z was wniosek o przeniesienie do jednostki frontowej. - Następnie zwrócił się do adiutanta:

- Wyśle pan we wszystkie strony telegramy: „Przepustka anulowana. Natychmiast zameldować się w pułku. Stan alarmowy. Podpisano: Oberst Bahnwitz, dowódca pułku”. Przypuszczam, że wiadomo panu, gdzie ci panowie się znajdują?

Adiutant zamiast odpowiedzi nieznacznie wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc nie miał o tym pojęcia. Postanowił wysłać ludzi do wszystkich miejscowych barów i wszystkich burdeli z zadaniem przeprowadzenia jak największej liczby oficerów, po czym uznał, że ma sprawę z głowy. Popatrzył na Hauptmanna Dose i zdecydował zepchnąć zadanie na niego.

- Dose, to twoje zadania jako oficera inspekcyjnego.

Dose był tak zdumiony, że zapomniał zaprotestować.

- To przecież twoje zadanie, Dose - kontynuował adiutant - by w przypadku alarmu zebrać pułk w komplecie.

I podał telegramy Hauptmannowi, niezdolnemu wykrztusić nawet jednego słowa.

- Wyślij po telegramie do wszystkich, którzy są na przepustkach. Jako oficer inspekcyjny musisz mieć wszystkie adresy.

Hauptmann Dose wyszedł chwiejnym krokiem.

Upiór obserwował nieprzeniknionym spojrzeniem jedyne oko swego zastępcę. Postanowił go zachować. Tego rodzaju ludzie mogą się przydawać. Oberst wiedział, jak w razie potrzeby pozbywać się sfory z Gestapo.

Ze śmiercią w duszy Dose przeszukiwał kartotekę adresową, zawierającą zresztą błędne w większości dane, modląc się, by nalot aliancki natychmiast zniszczył bombami cholerną kartotekę.

Pomimo wszystkich wysiłków zdołał dotrzeć tylko do dziewięciu ludzi z tysiąca ośmiu, którzy poszli sobie na przepustki.

W poniedziałek urlopowicze wrócili, wszyscy pełni radości i chętni do opowiadania o swych przygodach mniej czy bardziej pikantnych. Ale zastali koszary wywrócone do góry nogami. Na swych biurkach wszyscy oficerowie znaleźli małe karteczki z wypisanymi trzema słowami, trzema przerażającymi słowami: „Natychmiast do dowódcy”.

Najmniej doświadczeni pospieszyli wykonać rozkaz. Pozostali wykręcili najpierw kilka telefonów, by zasięgnąć języka. Najroztropniejsi natychmiast się rozchorowali i wezwali lekarza pułkowego. W godzinę później opuszczali pułk w karetkach pogotowia.

Wśród tych pierwszych znajdował się Hauptmann baron de Vergil, dowódca kompanii sztabowej. W trzy godziny później znajdował się w batalionie marszowym. Prawda, że został awansowany na Majora, ale to nie sprawiło mu żadnej przyjemności, ponieważ równocześnie otrzymał rozkaz udania się na front wschodni. Choć jego wyobraźnia nie zaliczała się do najbardziej błyskotliwych, nie miał wątpliwości, co kryje przed nim przyszłość.

- Wszy - myślał, drżąc z odrazy. - Brudni żołnierze, śmierdzący ludzie. - Miał ochotę zapłakać, ale opanował się. Dowódca, który płacze odjeżdżając na front rosyjski, to by zrobiło złe wrażenie.

W ciągu ośmiu dni 49. Pułk Piechoty znikł. Wszyscy oficerowie zabierali swoje rzeczy. Żaden nie wziął mniej niż dwie załadowane ciężarówki. Baron wziął ich trzy.

Teraz, w sercu gór, dowodził grupą szturmową. W rekordowym tempie udało mu się dać otoczyć przez Rosjan. We wszystkie strony słał prośby o pomoc i w końcu podniesiono go na duchu obietnicą takiego wsparcia. Ale, wielkie nieba! Cóż to było za wsparcie! Baron wściekł się, gdy je zobaczył. Kompania czołgów bez czołgów, banda włóczęgów w łachmanach. Baron pienieł się z wściekłości, całkowicie zdecydowany, by być twardym, twardym jak stal Kruppa. Zupełnie nie pojął, że przysłanym mu wsparciem była kompania wojowników o wielkim doświadczeniu, dowodzona przez dwóch doskonałych oficerów frontowych. Ta kompania warta była całego pułku garnizonowego. Każdy dowódca frontowy odczułby głębokie zadowolenie na jej widok, ale u oficera garnizonowego wywoływała dreszcze. W jego oczach wydawała się słoniem w składzie porcelany.

Dowódca, baron de Vergil, wlepił spojrzenie w białą opaskę na rękawie Leutnanta Ohlsena, na której dawał się odczytać napis „Pułk karny”, z dwiema uszkodzonymi trupami główkami na początku i końcu.

- Leutnancie, podczas regulaminowej postawy na baczność stopy mają być rozchylone pod kątem 45 stopni. Pańskie nie są.

Leutnant Ohlsen poprawił ustawienie stóp. Dowódca kołysał się na nogach.

- Przykro mi, ale muszę zwrócić pańską uwagę, Leutnancie, na fakt, że podczas postawy na baczność, dłonie muszą znajdować się na szwach spodni, a łokcie tworzyć linię prostą z kłamrą pasa. Pańskie tego nie robią.

Leutnant Ohlsen zmienił położenie swych dłoni i łokci.

Siedmiu oficerów przy stole przestało jeść i zaczęło, z pewnym wstydem, wyglądać przez okno. Dowódca uderzył szpicrutą po swych wyglansowanych do połysku butach.

- Leutnancie, pański nos nie znajduje się dokładnie na linii guzika pańskiego kołnierzyka. Rusza pan głową. Przypuszczam, że oficer taki jak pan zdaje sobie sprawę, że żołnierz w postawie na baczność trzyma głowę nieruchomo.

Leutnant Ohlsen poprawił pozycję głowy.

Dowódca wyciągnął złotą zapalniczkę i powoli zapalił papierosa, który przedtem umieścił w długiej, srebrnej cygarniczce. Jego sygnet z herbem przodków błyszczał.

Z pełnym wyższości uśmiechem kontynuował: - Zgodnie z regulaminem każdy żołnierz - dowódca podkreślił z naciskiem słowo „żołnierz” - musi natychmiast po bitwie z wielką starannością wyczyścić swoje wyposażenie i swój mundur. Wszystko musi być doprowadzone do takiego stanu, w jakim wydano je z magazynu. Leutnancie, wystarczy jeden rzut oka na pańską osobę, by mnie przekonać o pańskim niedbalstwie. Pańskie stawienie się w tak zaniedbanym stanie bliskie jest sabotażu. Zgodnie z instrukcjami dla Armii na froncie, ten, kto uprawia sabotaż, lub kto będzie zaledwie o to podejrzany, stawia się przed sądem wojennym, który w wypadku konieczności może się składać zaledwie z dwóch oficerów. Mam ich tu siedmiu i jak z tego wynika mógłbym taki sąd powołać natychmiast. Ale przypuszczam, że pańskie załamane nerwy wywołała mieszanina strachu i tchórzostwa i to z tego powodu pan się zapomniał.

Leutnant zaczerwienił się po same uszy. Opanowywał się z największym trudem, ale wiedział z doświadczenia, że dać upust złości byłoby fatalnym błędem. Jedno słowo tego błazna wystarczyłoby, aby uczynić z niego człowieka martwego.

- Melduje się Leutnant Ohlsen z 5. Kompanii 27. Pułku. Pozwalam sobie z całym szacunkiem zauważyć, że nie mieliśmy jeszcze okazji, by oczyścić nasze wyposażenie i nasze mundury. 5. Kompania wykonuje zadanie specjalne i od trzech i pół miesiąca znajduje się nieustannie w bitwie. Tydzień temu stan kompanii spadł do dwunastu, którzy przeżyli.

Dowódca machnął w powietrzu białą serwetką.

- To mnie nie interesuje, lecz muszę panu przypomnieć, że powinien pan milczeć, póki nie zostanie zapytany. Albo też powinien pan zgodnie z regulaminem poprosić o pozwolenie zabrania głosu.

- Herr Oberst, Leutnant Ohlsen, dowódca kompanii, 27. Pułk Pancerny, 5. Kompania, prosi o pozwolenie zabrania głosu.

- Nie - przerwał dowódca. - To, co ma pan do powiedzenia, zupełnie nas nie interesuje. Może pan powrócić do swoich ludzi i zabrać się do zrobienia tam porządku zgodnego z regulaminem.

Zrobił krótką przerwę, a po tym wyciągnął to, co uważał za swój atut. - Jutro o godzinie 10.00 odbędę u was apel i proszę mieć się na baczności Leutnancie, jeśli pańska kompania nie wystąpi w sposób należyty. A propos, właśnie sobie przypomniałem: ci Rosjanie, których przyprowadziliście, czy zostali już zlikwidowani?

Leutnant przełknął ślinę. Popatrzył dowódcy prosto w oczy. - Uważaj powiedział sobie - on jest niebezpieczny.

- Likwidacja nie została dokonana, Herr Oberst.

Dowódca uniósł brwi, małym palcem strącił popiół z papierosa, dokładnie obejrzał zar na jego

końcu i bardzo cichym głosem stwierdził: - Sabotaż, niesubordynacja.

Podniósł wzrok na Leutnanta Ohlsena i suchym głosem powiedział: - Ale jesteśmy istotami ludzkimi, Leutnancie. Przypuszczamy, że rozkazu likwidacji nie wydaliśmy w należycie wyraźny sposób i robimy to, wręcz przeciwnie, obecnie w sposób jak najbardziej jasny. Leutnancie, rozkazuję wam powiesić waszych jeńców. Liczymy na otrzymanie meldunku o egzekucji jutro o godzinie 10.00 podczas apelu.

- Ale, Herr Oberst, przecież nie można tak po prostu zabijać jeńców wojennych.

- Doprawdy? - zapytał z uśmiechem dowódca. - Przekona się pan. Pozwalam sobie zwrócić pańską uwagę na fakt, że jeśli nie wykona pan moich rozkazów, uciekniemy się do środków nadzwyczajnych.

- Machnął swą serwetką na znak, że rozmowa została skończona, wrócił na swoje miejsce przy stole i uśmiechnął się do otaczających go, bardzo zadbanych oficerów.

Skosztowano wina. Było gładkie jak aksamit i miało doskonały bukiet. Leutnant brnął w ciemnościach, by odnaleźć pozycję kompanii.

- Drogi Iwanie - prosił - zechciej wysłać kilka małych rakietek w tę bandę kutasów. Tylko trzy lub cztery, i wystarczą niewielkie.

Ale nic się nie ruszyło. Iwan nadal milczał. Gorąca modlitwa Leutnanta Ohlsena w ogóle nie została wysłuchana.

Wskoczył do dołka grupy dowodzenia.

- I jak było? - zapytał Stary, starannie ubijając tytoń w fajce.

- Ten dowódca, to zwykły łajdak - mruknął przez zęby Ohlsen. Niebezpieczny wariat. Wydał rozkaz zbiórki na apelu jutro o godzinie 10.00.

- Co?! - wrzasnął Porta, nie wierząc własnym uszom.

- Jesteś głuchy, Porta? Apel. Regulaminowy apel.

Porta ryknął śmiechem. - To najlepszy od dawna kawał. By się wyczyścić, będzie nam potrzebny przynajmniej rok. - Wylazł ze swego dołka i zaczął podśpiewywać.

- Mały, będziesz musiał pozamiatać swoją dziurę. Idziemy na apel.

- Jaką dziurę? - dał się słyszeć w ciemności głos Małego. - Dziurę w dupie?

Śmiech chyba było słychać na wiele kilometrów.

- Zamknijcie się! - wrzasnął Leutnant Ohlsen. - Iwan jest tuż przed nami.

- Och, na litość boską - wyszeptał Porta, udając przerażenie. - Przecież to może być niebezpieczne.

Ciemności zdawały się jeszcze mocniej ogarniać góry. Księżyc znikł. Zupełna cisza. Wszystko wyglądało tak spokojnie.

Leutnant Ohlsen zajął w dołku miejsce między Spaetem i Starym.

- Musicie mi pomóc - oświadczył. - Dowódca chce, abyśmy zabili jeńców jutro przed godziną 10.00.

Jak zrobić, żeby znikli i jak zrobić, żebyśmy byli czysti?

Stary pociągnął z fajki.

- To nie będzie łatwe. Trzeba będzie ukryć tych sześciu i zdobyć sobie sześć trupów bez egzekucji.

- A gdyby dać im po prostu uciec? - zapytał Leutnant Spaet. - Myślę, że Borys przesadza. Nie mogę uwierzyć, gdy twierdzi, że zostaną zlikwidowani, jeśli wrócą do swoich po pobycie w niewoli.

- Przyrowadź go, Spaet - powiedział Leutnant Ohlsen. - Będzie musiał nam pomóc, to między innymi idzie o jego głowę.

W chwilę później do dołka wskoczył młody rosyjski Lejtnant.

- Nasz dowódca żąda, abyśmy was powiesili, ciebie i twoich ludzi, jutro przed godziną 10.00 - rozpoczął Ohlsen. - W przeciwnym wypadku to ja zostanę powieszony. Jeśli masz jakiś pomysł, to powiedz nam, sprawa jest pilna.

Rosjanin wyszczerzył białe zęby.

- Mam ich wiele, ale nic nie są warte, drogi kolego. Jeśli uciekniemy, jak już o tym mówiliśmy, i tak zostaniemy zabici. W każdym razie to bardzo prawdopodobne. Mamy u nas prawo, które kategorycznie zabrania dać się wziąć do niewoli. Żołnierz powinien walczyć do ostatniego naboju i ostatniego tchu. Jeśli zobaczą, że wracamy, ot tak sobie, to będzie najzwyczajniejsza niesubordynacja. To prawo wydał osobiście ojczulek Stalin.

- A do partyzantów po naszej stronie? - zaproponował Stary.

- To stwarza pewną możliwość, ale ona się nie nadaje - odpowiedział Rosjanin. - Wszystkie oddziały partyzanckie mają łączność ze swym wyższym dowództwem, którym kieruje komisarz. Bardzo szybko się dowie, że naszym miejscem wcale nie jest ta część frontu. Nasza jednostka znajduje się o setki kilometrów stąd. A poza tym nie można zapominać, że musimy ukryć fakt, że byliśmy jeńcami. Jedyne naszą szansą jest utrzymać, że zostaliśmy odcięci podczas natarcia i że pozostawaliśmy w ukryciu za frontem nieprzyjacielskim. Ale jeśli tak jest u was, u nas tym bardziej nie da się tego robić przez długi czas. Partyzanci mają nerwy na wierzchu. Strzelają najpierw, a potem się dowiadują, do kogo. Jeśli nasze wyjaśnienia wzbudzą najmniejsze wątpliwości, skrócą nas o głowę z obawy, że możemy być szpiegami. A to nie byłby pierwszy taki wypadek. Podczas tej wojny widziało się świństwa wszelkiego rodzaju.

Leutnant Spaet zapalił papierosa, ukrywając żar w dłoni.

- Być może będzie to nieustanna zabawa w chowanego, ale gra idzie o wasze życie i nie możemy brać pod uwagę tylko chwili obecnej. Trzeba, żebyście włożyli niemieckie mundury, ukryli się wśród żołnierzy i mieli nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy będziecie mogli sobie pójść.

- I mamy włożyć niemieckie mundury? - odpowiedział sarkastycznie Rosjanin. - W taką prawdę nikt nie uwierzy. I powieszają nas jako rosyjskich ochotników w waszej armii. Nawet nasi najbliżsi zrobią to bez wahania.

- No więc co proponujesz zamiast tego? - zniecierpliwiał się Leutnant Ohlsen.

- Nie mam pojęcia - mruknął Rosjanin. - Jedyne co pozostaje, to nas powiesić. Tu czy tam, co za różnica?

- Porozmawiajmy o tym z Portą - zaproponował Stary.

- No, to już szczyt wszystkiego! - krzyknął Leutnant Ohlsen. - Jest nas tu trzech oficerów i jeden Feldwebel i mamy prosić o radę antyspołecznego Obergefreitara. Dobra. Zawołajcie go. Nie zdziwię się, jeśli będzie miał jakiś pomysł.

Porta na brzuchu wślizgnął się do wykopu.

- Może ktoś ma się czymś sztachnąć? Leutnant Spaet poczęstował go papierosem.

- No i gites. W ten sposób oszczędzam swoje.

- Porta - zaczął Leutnant Ohlsen - mamy problem. Musimy się pozbyć naszych sześciu kolegów.

- Cała kompania o tym wie. Przed chwilą, gdy pan mu składał wizytę, dowódca szepnął: - Sześciu Rosjan zawiesznie albo zawiesznie pan we własnej osobie. A to panu nie pasuje, prawda? Heide nie chce nic o tym wiedzieć. Zdecydował, że naszpikuje jeńców, gdy tylko spróbują przekroczyć linię frontu. I nic nie będzie pan mógł przeciw niemu zrobić, Herr Leutnant. Wręcz przeciwnie, trzeba będzie mu podziękować, jeśli powie, że to pan wydał mu rozkaz strzelania, bo w ten sposób ocali pańską głowę.

- Zamknij dziób, Porta - przerwał mu Stary. - Wezwaliśmy cię, żebyś nam pomógł. Widzę, że wiesz już wszystko i wiesz także, że oni nie mogą, ot tak sobie, przejść przez linię frontu.

- Taaa, mój imiennik w Moskwie robi mnóstwo rzeczy. Po roku 1941 jednym zarządzeniem potrafił całkowicie zahamować dezercję. Lepiej sam bym tego nie wymyślił. Bardzo lubię tego starego

kutasa. Ten, to ma wyobraźnię.

- Zatrzymaj swoje sympatie przy sobie - rzekł groźnie Leutnant Ohlsen.

- Woli pan może szefa Partii w Berlinie, Herr Leutnant?

- Nie wolę żadnego z nich.

- Herr Leutnant, teraz nie wolno tego mówić. Za czy przeciw? A jak nie, to człowieka rozwalają. Co ci łatwiej powiedzieć: Rotfront czy Heil Hitler?

- u nas takiego typu jak on, już dawno by zlikwidowano - przerwał rosyjski Lejtnant.

Porta zerknął na niego łagodnie. - Tym lepiej, że u nas się tak nie robi, moj ruskiej officer. Bo gdyby tak było, jutro założylibyśmy ci kołnierzyk ze sznura.

- Więc jaki pomysł? - zawołał zniecierpliwiony Leutnant Ohlsen.

- Cierpliwości, Herr Leutnant, jak powiedziała dziewczyna, po raz czwarty próbując to sobie zrobić zbyt dojrzałym bananem.

- Kretyn - warknął Leutnant Spaet. Porta popatrzył na niego.

- A więc to tak, Herr Leutnant! Dobra, oddalę się do małej osobistej dziurki w ziemi, Małego i mojej.

- Prawie do połowy wysunął się z dołka dowództwa.

- Dobra, nie indycz się, Porta. To było w żartach - wyjaśnił Leutnant Spaet.

- Tym razem niech będzie, Herr Leutnant, ale lepiej, żeby się nie powtarzało. Jestem na tym punkcie dość wrażliwy. Gdy się przebywa głównie w towarzystwie idiotów, człowiek bardzo chce, aby go z nimi nie mylono. - Porta roześmiał się beczelnie.

- Natomiast, gdy idzie o ocalenie sześciu maleńkich Stalinów, sprawa nie jest tak trudna, jak na to wygląda. Wystarczy sprawić im po tamtej stronie pogrzeb bohaterów.

- Wyjaśnij to - zażądał Leutnant Ohlsen.

- Potrzebujemy sześciu trupów, Herr Leutnant. Mamy już trzy, Przed chwilą Mały i ja kropnęliśmy sobie po jednym Ruskim. Obserwatorów artyleryjskich. Dochodzi do tego partyzant uduszony przez Małego w lesie. Trzech ostatnich będzie się miało i nawet jeszcze więcej, to żaden problem. Mały, Pustynny Włóczęga i ja popatrzymy odrobinę Iwanowi prosto w oczy. Potem da się nogę z burdelu. Parę serii z karabinu maszynowego wzdłuż okopu z pewnością ich obudzi. Trzeba będzie zrobić tak, żeby w ciągu pięciu minut mieli wrażenie, że atakuje ich cały batalion. Mój żółty cylinder spowoduje, że się zsikają. A potem daje się w długą i ukrywa w okopie obserwacyjnym.

Ostrzem bagnetu narysował plan. Trzej oficerowie i Stary go zaaprobowali. Zaczęli pojmywać pomysł Porty.

- A potem - kontynuował - to się zacznie na serio. Barcelona będzie w gotowości z miotaczem ognia. W tej samej chwili, gdy wystrzelę czerwoną flarę, ogoli nim brody wysuniętym posterunkom bolszewików. W trzydzieści sekund później podniesiecie straszny alarm u artylerzystów. Jestem na sto procent pewien, że chłopcy od naszych wyrzutni rakiet tam w tyle, narobią w portki, usłyszawszy tyle hałasu. Zaczną strzelać salwami. A Czerwoni będą przekonani, że atakuje cała armia. Obudzi się sąsiedni batalion bohaterów naszego dowódcy i nie myślę się przypuszczając, że rzucą się w nogi, a to jest zaraźliwe. Polecą do dowódcy i jego nadmuchiwanym żołnierzyków. Ci także dadzą dęba, nie pakując walizek. Gdy taki dowcip się zaczyna, liczą się minuty, Herr Leutnant, a sytuacja rozwija się szybciej, niż to się da opowiedzieć. Wtedy trzeba będzie uruchomić całą naszą broń automatyczną: karabinki szturmowe, karabiny maszynowe i resztę tego kramu.

- Co do pana, Herr Lejtnant - kontynuował, zwracając się do rosyjskiego oficera - trzeba będzie trochę o pana zadbać, aby wyglądało, że był pan torturowany. Ale Mały zrobi to w mgnieniu oka. Rzekomo ucieknie pan naszej żandarmerii w chwili, gdy będą pana prowadzili na rozstrzelanie.

Następnie pan powie, że ze swoimi pięcioma muzykami zaatakował pan łowców głów, dokładnie z tyłu tego odcinka frontu. Doda pan, że został aresztowany wraz z kilkoma partyzantami, których spotkał pan na własnym odcinku i że partyzanci towarzyszyli panu aż do farmy, na którą zrobiliśmy nalot. Jeden z nich, co prawda, umknął, ale nie sądzę, by zdołał przejść przez linię frontu, na to był zbyt tępy. Na koniec opowie pan, że umknąwszy łowcom głów dotarł pan do naszej pozycji, bez najmniejszych trudności zajął pan okop i pogonił cały batalion. Ale to wszystko trzeba zrobić szybko, Herr Lejtnant. Koledzy z naprzeciwka szybko zechcą zaatakować i zajmą pozycję, porzuconą przez naszych herosów garnizonowych.

- Ale co będzie z waszą kompanią, gdy zostanieie zaatakowani? - zaniepokoił się rosyjski oficer. Porta zarechotał.

- Cienia ryzyka. Naprzeciwko nas są papierowi żołnierze. Ten sam gatunek, co obok nas. Gdyby tak nie było, nie moglibyśmy się zabawiać, Mały i ja. Im się wydaje, że sobie spacerują po Moskwie.

- Masz kompletnego świra - roześmiał się Leutnant Ohlsen. - A kiedy zamierzasz rozpocząć przedstawienie?

- Punkt o 3.00. Mały, a za nim ja i Pustynny Włóczęga, wyruszmy o wpół do trzeciej. Ale trzeba, żeby to było punktualnie o 3.00. Bo w tym momencie zaczniemy rozróbę, a nie sądzę, by naprzeciwko byli sami idioci.

Rosyjski Lejtnant uśmiechnął się.

- Mimo wszystko dziękuję.

- Dlaczego o godzinie 3.00? - zainteresował się Leutnant Spaet.

- To jest pora, o której nikt nie spodziewa się, że zostanie zaatakowany. Teren jest zbyt wilgotny. W górach stoi mgła. Ale najłżejszy wiatr ją rozpędzi. W dwie godziny później mgła powraca i rozprzestrzenia się, będzie więc można się ukryć. Cała tamta banda sobie pochrapuje, podobnie jak nasi bohaterowie z boku. Tamci padną, sztywni ze strachu, gdy nas zobaczą. Ale radzę panu, Herr Lejtnant, zmykać, jakby panu dupę ogniem przypiekano, gdy tylko ciśnie pan swoje granaty i pójdzie pan drogą, która panu podam. Lepiej, żeby poszedł pan ze mną, to ja panu pokażę. Jeśli ją pan zmyli i wpadnie na garotę Małego, tym gorzej dla pana. Jest teraz w takim humorze, że chętnie będzie dusił.

Rosjanin skinął potwierdzająco głową.

- Julius Heide ma noktowizor i jest mordercą - kontynuował Porta. - Zajmę się Małym, ale nie gwarantuję niczego, co dotyczy Heidego. To świnia. Nowych nie znam. No, to chodźmy, Herr Lejtnant, pokażę panu drogę. Ale proszę być ostrożnym, pańscy czerwoni bracia wystawili tu mnóstwo czatowników.

Przepętlili pod drutami kolczastymi i dotarli do ziemi niczyjej. Bez szelestu. Znikli w ciemności.

Powrócili po kwadransie. - Zgoda? - zapytał Porta. - Leutnant Ohlsen potwierdził ruchem głowy. Uzgodnili zegarki. Była godzina 22.05.

- Cześć - powiedział Porta i znikł we własnym dołku. Usłyszano, jak mówi do Małego: - Wojna, Mały, to coś okropnie niebezpiecznego. Powinniśmy spisać testamenty, jak to robią bogacze. - Reszta jego przemówienia była niezrozumiałym pomrukiwaniem.

Mały zaśmiał się beztrosko. Legionista zaklął. Zbłąkana kula świsnęła im nad głowami. A później na całym odcinku zapanował spokój.

Wkrótce po północy dwaj oficerowie wyszli na inspekcję pozycji.

- Ta cisza jest złowroga - mruknął Leutnant Spaet i podniósł wzrok do nieba, po którym płynęły ciężkie chmury.

Zatrzymał ich jakiś dźwięk. Był to tylko cichy szelest. Lekki ruch wśród liści, ale dla obu oficerów wydał się okropnym hałasem, z trupa główką szczerzącą zęby za ich plecami. Przez chwilę stali

nieruchomo, z pistoletami maszynowymi w gotowości. Po chwili Leutnant Ohlsen zaśmiał się z cicha.

- To tylko tchórz wybrał się na polowanie. Przyroda też toczy wojnę.

Poszli dalej w górę wzniesienia. Szli bez hałasu. Tam, gdzie to było możliwe, kryli się wśród drzewek i krzaków. Korzystali z każdego cienia.

Trochę dalej zatrzymali się, by nasłuchiwać. Doleciał ich nieokreślony dźwięk. Krew uderzyła im do głowy. Ktoś przed nimi chrapał, i to chrapał bardzo głośno.

- Coś podobnego! - wyszeptał Leutnant Spaet. Ruszyli w kierunku tego niesłychanego hałasu.

Pod stopami mieli miękką trawę jak puszysty dywan. Tłumiła jakikolwiek dźwięk.

Na skraju dołka zatrzymali się. Był głęboki i dobrze wykopany. Na samym dnie zainstalował się podoficer, zwinięty w kłębek jak pies i chrapiący na cały głos. Swój pistolet maszynowy położył niedbale obok siebie.

Leutnant Spaet cicho pochylił się i schwycił pistolet. Przyłożył lufę do piersi głęboko uspiętego podoficera. A potem obudził go uderzeniem w głowę. Podoficer skoczył do góry, ale został brutalnie odepchnięty. Bełkotał coś niezrozumiale, wytrzeszczał oczy i w końcu zapytał przerażony: - Co się dzieje?

- Ty głupi kutasie! - warknął Leutnant Ohlsen. - Co by było, gdybyś obudził Iwanów? Wykończyliby cię?

- Wyznaczyłem posterunki - próbował bronić się podoficer.

- Z pewnością - zadrwił Ohlsen. - A twoi wartownicy śpią, ponieważ wiedzą, że ich dowódca śpi także. Gdyby Iwan zaatakował, miałbyś gardło podcięte, zanim byś się obudził. Zaslugujesz na natychmiastową kulkę za niedbalstwo na służbie.

Obaj oficerowie ruszyli dalej. Kilka zbłąkanych kul gwizdnęło groźnie. Dał się słyszeć głośny śmiech.

- To Mały - stwierdzili Leutnanci. A potem czekali na odpowiedź Porty, która zaraz nastąpiła. W ciemności dostrzegli żółty cylinder, który wyglądał, jakby ktoś słaby na umyśle umieścił tam komin.

- Mamma mia, wygrałem! - usłyszeli radosny okrzyk.

- Zastanawiam się, jak w tej ciemności są zdolni ujrzeć kropki na kościach zdziwił się Leutnant Spaet.

- Przy papierosie. Tyle im wystarczy - odpowiedział Ohlsen.

Dwaj oficerowie powrócili do swej grupy dowodzenia. W tym momencie zadzwonił telefon polowy.

- „Emil 27” - zgłosił się cichym głosem podoficer Heide. Słuchał przez chwilę, a potem podał słuchawkę leutnantowi Ohlsenowi. - To dowódca batalionu.

Leutnant zrobił kwaśną minę, a następnie zgłosił się regulaminowo.

- Tu dowódca „Emila”. - Cztery razy odpowiadał krótko: - Jawohl, Herr Oberst. - Potem odłożył telefon i zwrócił się do Starego.

- Rozkaz do dowódców plutonów. Kompania wystąpi do przeglądu plutonami, koło sztabu dowództwa. Pierwszy pluton o godzinie 10.00, drugi dziesięć minut później i tak po kolei.

- Wspaniały ten dowódca - mruknął Leutnant Spaet.

- I do tego wściekle zwierzę - uzupełnił Ohlsen. - On chce jutro widzieć sześciu powieszonych ludzi.

Owinęli się kocami, by trochę odpocząć.

Zjawił się Porta.

- Powiedziano mi, że dowódca zarządził przegląd. Pozwalam więc sobie zgłosić, że Mały i ja jesteśmy gotowi. Mój kapelusz i moje nogi zostały umyte, a we włosy na dupie wpleliśmy czerwone wstążeczki.

- Spieprzaj mi natychmiast - zaklął Leutnant Ohlsen.

- jawohl, Herr Leutnant. Idę sobie. - Zdjął swój wielki, żółty cylinder, potarł go energicznie o rękaw, dmuchnął na niego i znów zaczął polerować.

- Boże ty mój, jakie wspaniałe nakrycie głowy! Jestem pewien, że zrobi przyjemność panu dowódcy z Wrocławia, gdy w dupie Małego i mojej ujrzy czerwone wstążeczki. Jeśli zażąda wyjaśnień, powie mu się, że to jest strój paradny.

- Każę rozstrzelać całą kompanię i koniec - oświadczył mały Legionista.

- Porta, po raz ostatni uprzedzam, że nie chcę widzieć tego kapelusza w okolicy sztabu batalionu - zagroził Leutnant Ohlsen.

- Ależ on jest prześliczny, Herr Leutnant. - Porta dmuchnął na cylinder, aby usunąć nieistniejące ziarnko pyłu. - Mógłbym też włożyć frak, który wygrałem od tego barona w Rumunii, pamięta pan?

- Kutas dowódcy nie stanie na baczność na ten widok - zauważył Heide.

- Dobra, ale teraz Joseph Porta, z Bożej łaski Stabsgefreiter, już się niecierpliwi. Pójdziemy złożyć wizytę naszemu bratu Iwanowi. Nie śpijcie, by wam nie przypalono włosów, o których myślę. Nikt nie miał ochoty na sen. W ciemności niewyraźnie widzieliśmy, jak Porta, Mały i Legionista gramolą się ze swych dołków strzeleckich. Znikli przy pierwszej zaporze z drutu kolczastego i pochłonęła ich noc.

- Oby to się powiodło - głośno wyraził swą myśl Leutnant Spaet.

Minuty mijały. Barcelona Blom i Stary od dawna trzymali swe drużyny w stanie gotowości. Trzy sekcje moździerzy gotowe były do strzału, pociski trzymano w dłoniach. Barcelona przytulił do siebie ciężki miotacz ognia. Po raz pierwszy sprawdził jego działanie.

- Gdybym tylko mógł wymienić ten cholerny zawór - mruknął. - Nie jest całkiem pewny. Zreperowałem go kawałkiem gumy do żucia.

- Nie ma na to czasu - odparł Leutnant Ohlsen. - Zostały nam tylko cztery minuty.

Heide odwrócił się z groźną miną. Leżał za ciężkim karabinem maszynowym. Popatrzył kolejno na nowych szeregowców.

- Tego, który nie będzie się trzymał przylepiony do mojej dupy, gdy wyruszę, osobiście spuszczę do piachu. Ponimajecie?

Siedemnastoletni rekrut rozplakał się. Heide przewrócił się na bok i trzy czy cztery razy brutalnie uderzył go w twarz.

- Przestań się mazać. Ryzykujesz tylko tyle, że ci odetną baniak. Nie okazuj, że masz cykora. Jeśli nie, to będzie twój pierwszy i ostatni atak.

Rekrut zaczął wyc. Heide rzucił się na niego i bez przerwy bił go po twarzy otwartą dłonią.

- Zamknij pysk, świnię, albo cię ubiję. Leutnant Ohlsen wraz z rosyjskim Lejtnantem w milczeniu przyglądali się tej scenie. To, co robił Heide, było cyniczne i brutalne, ale konieczne. Strach młodego rekruta mógł się udzielić i ogarnąć całą kompanię jak ogień benzynę. Oddział uciekający w panice - łatwiejszego łupu dla nieprzyjaciela nie dałoby się wymyślić. Od tej chwili sekcja ciężkich karabinów maszynowych będzie bardziej bała się Heidego niż samych Rosjan.

- To dobre, sierżancie, to coście tu zrobili - oświadczył rosyjski Lejtnant.

- Owszem, tak długo, póki jesteśmy na wojnie - odparł natychmiast Leutnant Ohlsen.

Ledwo skończył mówić, gdy teren przed nimi jakby rozpadł się na kawałki. Długi, głośny wybuch wstrząsnął naszą pozycją. Ujrzelismy, jak wstaje ogromna postać Małego, w meloniku na głowie, tuż przed nieprzyjacielskim okopem. Jego przyciśnięty do biodra pistolet maszynowy zaczął pluć pociskami smugowymi. Widać było uciekające sylwetki ogarnięte paniką.

To było absolutne zaskoczenie.

- Co za typy! - krzyknął z podziwem rosyjski Lejtnant.

- Barcelona! - ryknął Leutnant Ohlsen. Miotacz płomieni rozświetlił teren. Żywe pochodnie rozbiegły się wyjąc.

Leutnant Ohlsen dał znak, opuszczając rękę. Nasza broń automatyczna zaczęła pluć ogniem.

Heide śmiał się jak fanatyk, puszczać serię za serią.

- Moździerze, ognia! - ryknął Leutnant Spaet. Pociski wyleciały w niebo wysokim łukiem i spadły za rosyjskimi okopami.

Wszyscy ludzie w kompanii przygotowywali się gorączkowo. Jakikolwiek niepokój znikł.

Rozłożyłem nóżki mojego MG, pobiegłem naprzód i zająłem pozycję w leju po pocisku w samym środku ziemi niczyjej. Cała grupa ludzi wyskoczyła z okopu przede mną. Żołnierze ogarnięci paniką.

Zaczerpnałem głęboko powietrza, mocno przycisnąłem kolbę erkaemu do ramienia, jakbym znajdował się na strzelnicy. Mając dobrze nastawiony celownik, opróżniałem magazynek, który mój amunicyjny, człowiek w podeszłym wieku, natychmiast porywał i zastępował nowym. Odciągałem do tyłu zamek z iglicą, naciskałem na spust.

Nad naszymi głowami zagrział grom. Oślepiające morze ognia zmieniło niebo w gigantyczny, świetlisty ekran, rozjaśniający teren, jakby to było samo południe. Góry pękały i zmieniały miejsce.

Porta miał rację. Obudziły się baterie raketowe. Strzelały bezładnie, salwa goniła salwę. Ich przerażające rakiety padały z tyłu za nami.

Skoczyłem do tyłu i rzuciłem się na ziemię obok Leutnanta Ohlsena. Od tych rakiet dostawało się dreszczy.

Rosyjski Lejtnant pobiegł na złamanie karku, jego ludzie za nim.

- Do swidania! - rzucił nam, znikając.

Batalion wrocławskiego dowódcy zrobił dokładnie to, co przepowiedział Porta. Uciekł. Ale ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu Rosjanie nie zaatakowali. Później dowiedzieliśmy się, że oni też dali nogę.

Dopiero po godzinie siódmej na odcinku zapanował dawny spokój. Rosjanie nieustannie okładali nasz teren sporadycznym ogniem artyleryjskim.

Dopiero późnym popołudniem odzyskaliśmy łączność z batalionem. Przegląd został anulowany. Powrócono na pozycje. Znow położono druty telefoniczne. Nikt nie wiedział zbyt dobrze, co właściwie się wydarzyło.

Leutnant Ohlsen mógł więc podać, że nastąpiło zaskakujące natarcie piechoty. Jakiś oddział próbował zająć nasze okopy. Sąsiednia kompania podała takie samo wyjaśnienie. Relację uznano za wiarygodną.

Zebraliśmy trupy sześciu żołnierzy rosyjskich i powiesiliśmy je na drzewach. Leutnant Ohlsen złożył meldunek, że likwidacja została dokonana.

Następnego dnia dowódca przysłał nam swego adiutanta, by sprawdził, czy egzekucja przez powieszenie rzeczywiście nastąpiła. Ten nie życzył sobie oglądać trupów. Zwrócił się do Leutnanta Ohlsena: - Obaj zgadzamy się stwierdzić, że je widziałem.

Gdy adiutant odjechał, Ohlsen potrząsnął głową: - Można było sobie darować całe to mordercze przedstawienie.

Nazajutrz dano nam rozkaz wysłania patrolu rozpoznawczego za linie rosyjskie. Chciano się dowiedzieć, jaka jest siła ich artylerii i czy mają czołgi. Oczywiście to miała być nasza drużyna. Posłużyć się dla takiej misji rekrutami byłoby szaleństwem.

Jeden za drugim wyszliśmy z okopu i bezszelestnie skierowaliśmy się ku okopom rosyjskim.

Mały biegł, ściskając swą garotę.

- Złotem podzielimy się po połowie - powiedział do niego Porta zanim wyruszyliśmy.

Dobrze wiedzieliśmy, jakie złoto ma na myśli. Obaj nigdy nie mijali żadnego trupa, nie przekonawszy się, czy ma złote zęby, a jeśli tak było, to je wrywali.

- Ta mania kolekcjonerska pewnego dnia będzie was kosztować głowę przepowiedział Stary. -
Dokonujecie przez to dwóch przestępstw naraz. Pierwsze, to zbezczeszczenie zwłok. Uznają to
wszystkie kraje. Drugie, uznane tylko przez nasz rząd, to złamanie prawa, że wszystkie złote zęby
należą do państwa i w związku z tym trzeba je oddawać do biur SS. Przestępstwo to karane jest
śmiercią.

- Pesymista! - zaśmiał się Porta.

- Ja moich nie oddam - zdecydował Mały. - Mam zamiar z kasy, którą mi to przyniesie, kupić sobie
po wojnie wędliniarnię i burdel. W obozach koncentracyjnych złote zęby wrywają żywym. A my
jesteśmy ludzcy. Czekamy, aż ostygną.

- Zamknij gębę - zażądał Stege.

- Ty się tu nie mieszaj, intelektualisto jak mój tyłek - ostrzegł go Porta. - Zajmuj się swymi
książczydlami, a my zajmiemy się interesami. Zobaczmy, kto zajdzie dalej.

Byliśmy już daleko za pozycjami rosyjskimi, gdy Stary nagle zatrzymał się w zdumieniu przed
wąwozem.

- Tam w dole ktoś jest - szepnął.

Mały i Legionista cicho przecisnęli się przez krzaki, by przyjrzeć się temu bliżej.

- Chodźcie wszyscy - zawołał Legionista. - To starzy znajomi.

My także poszliśmy tam.

- Znajomi? - spytał Stary, patrząc na pięć trupów.

- Zlikwidowani - wyjaśnił Porta. - Strzałami z nagana w potylicę.

- Co jest napisane na tych papierach, które mają przyczepione do piersi? zainteresował się Mały.

Porta podniósł jeden z leżących na trupach papierów i przetłumaczył rosyjski tekst.

- Zdrajcy ludu.

- Cała robota na nic - mruknął Barcelona, kopiąc jednego z martwych Rosjan.

Natychmiast rozpoznaliśmy naszych eksjeńców. Nasz trik, polegający na wielkiej inscenizacji, nie
udał się.

- Zastanawiam się, co się stało? - rzekł Stary. - I gdzie znikł Lejtnant?

- Chyba nie będziesz wylewał łez z powodu tych świń - syknął przez zęby Heide. - Gdybym wiedział,
że chcą uciekać, sam bym ich rąbnął.

- Któregoś dnia skręcisz sobie kark, Julius - przepowiedział Barcelona. Dobrze ich znałem, tak jak
ty.

Heide roześmiał się.

- Tobie pierwszemu urwie dupę.

- Dobra, naprzód - przerwał Stary - i gęby na kłódkę. Jeśli nie, będziemy mieli komplikacje.

- Co to są komplikacje? - spytał Mały. - Hemoroidy?

- Kutas - powiedział Porta i cisnął przez ramię zapisany po rosyjsku papier, który odfrunął jak ptak.

Gdy wróciliśmy, był już prawie dzień. Czas spędziliśmy na ulepszaniu naszych pozycji. Dowódcy
udało się opanować swój strach. Wydał rozkaz odzyskania przegładu nazajutrz.

Rozłożyliśmy się wygodnie na dnje okopów. Od czasu do czasu rzucaliśmy okiem na gniazda
karabinów maszynowych. Zналиśmy tych Ruskich. Bardzo łatwo mogli się podsunąć i z zaskoczenia
wziąć cały okop. To do pewnego stopnia ich specjalność.

- Porta, opowiedz jakąś historyjkę - poprosił Leutnant Ohlsen.

- Tak, historię, w której coś się dzieje - poparł go Julius Heide.

Porta najpierw wypluł łupiny słonecznika.

- Zgoda, ale jakiego rodzaju historię? Nie idzie się do kina, prosząc: pokażcie mi jakiś film. Już tutaj słyszę laseczki z okienka, jak wrzeszczą: - Powiedzcie, jaką historię chcecie? - Kilka razy objechałem cały świat z siłami zbrojnymi Adolfa.

- O pierdoleniu - zażądał Mały, oblizując się.

- Myślisz tylko o tym - rzekł z niesmakiem Stege.

- Możesz sobie wsadzić granat tam, gdzie myślę i zdetonować go - odciął się ze złością Mały - jeśli nasze towarzystwo cię krępuje. - Zwrócił się do Porty: Historie o laskach, Porta. - Uwielbiam słuchać o tych cholernych dziwkach, które mają ogień w pośladkach.

- Tak, ty tylko w to wierzysz - powiedział z szerokim uśmiechem Porta. Historie świńskie i niecenzuralne. Zastanówmy się trochę. - Udał, że się namyśla.

- Na przykład ta o dziedzicu, który oszukał swego czyściciela szamba. Nie, ta wam przecież nic nie powie. Trzeba znaleźć coś innego. Na dzień, w którym wystąpimy na przeglądzie, w samym środku tej niebezpiecznej wojny. Szlachetny baron z Wrocławia, któremu zły los postawił nas na jego drodze, wymaga dyscypliny i porządku, i ma całkowitą rację. Bez porządku nie można brać udziału w takiej wojnie. Wojnę bierze się na serio, jak wszystko, co wojskowe. Czy widzieliście już oficera, który żartowałby, wyciągając swą szablę z pochwy? Nie, nie, powaga, panowie. Widać cię, Mały, ubłoconego i pierdzącego w samym środku wojny, bez hełmu. Gdzie twoja maska gazowa? Nie masz pojęcia, co? Obejrzyj trochę swój mundur. Usmarowany jak u pijanego, rzygającego żebraka. Na litość Boską, Mały. Choć trochę charakteru. Jeśli nadal będziesz tak się zachowywał, ryzykujemy, że wygramy tę wojnę. Czy wyobrażasz sobie, ile nam to sprawi kłopotów?

- Nie chcę wygrać tej pierdolonej wojny - zaprotestował Mały. - Powiedz mi, gdzie mogę oddać legitymację, a wypiszę się z tego stowarzyszenia szybciej niż w dwie sekundy.

- Wątpię - odparł Porta - bo tutaj się mylisz. Nie porzuca się pięknego, wojskowego życia ot tak sobie. To nie jest Armia Zbawienia. Ale to nastąpi. Mamy szczęście. Jezusie, ukochany synu Marii i Józefa z Nazaretu, ześlij nam dowódcę, szlachcica, z niebieską dupą i wodnistą krwią. Zrobi wszystko, co będzie mógł, abyśmy przegrali wojnę. Ale on sam o tym nie wie. Chce zrobić przegląd, piękny i zdyscyplinowany przegląd wojskowy, jak za dawnych, dobrych czasów w garnizonie, w poniedziałek rano. - I podtykając Małemu pod nos granat ręczny, zapytał: - Wiesz, co to jest, ten przyrząd?

- Granat ręczny - krzyknął Mały, nie odważając się odwrócić wzroku od niebezpiecznego przedmiotu.

- Dobrze, chłopcze. Granat ręczny, Dokładnie: Model 1908. Urodzony w klinice materiałów wojskowych w Bambergu. Owinięty drobnymi rączkami kurwy i wysłany do nas, bohaterów. Czy wiesz, do czego to służy? - Porta zakręcił granatem nad swoją głową; ujrzano, jak porusza się kółko zapalnika.

- Uważaj - poradził Steiner. - Może wybuchnąć i pozabijać nas wszystkich.

- Przecież takie jest jego zadanie - wyjaśnił Porta. - To bardzo pożyteczne. Można tym zabić Iwana, można wyczyścić całą ziemiankę. Można się tym posłużyć do otworzenia piwnicy z winem, można też do wyekspediowania jakiegoś dowódcy na tamten świat.

- I można też pójść z nim na ryby - wtrącił Mały

- Brawo - powiedział Porta. - Więc nie jesteś zupełnym tępakiem. Dowódcy z Wrocławia miło będzie dowiedzieć się, czego się nauczyłeś. Wyobrażam sobie, że będzie wrzeszczał coś w rodzaju: - Obergefreiter! Baranie jeden! Zajmę się tobą! Naprawdę zasłużyłeś na uczciwą śmierć od prochu i stali. Zrobicie przyjemność plutonowi egzekucyjnemu!

- A dlaczego miałbym zostać zlikwidowany? - zdziwił się Mały.

- Phi! Podczas wojny trzeba od czasu do czasu dokonywać egzekucji. To konieczne, by ludzie traktowali wojnę na serio. Naród musi rozumieć i odczuwać, że śmierć zagraża ze wszystkich stron. A prócz tego generałowie i dowódcy też chcą widzieć, jak padają trupy. Przecież taki jest cel ich zajęcia. Ponieważ nie mogą jechać na front, gdyż ich konwojażerowie twierdzą, jakoby mieli wrzody żołądka, muszą sobie wynajdywać ludzi do egzekucji, aby móc opowiadać o zabitych, gdy wojna się skończy. W każdym jednak razie nie wierzę w twoją egzekucję, Mały. Jesteś żołnierzem ekstraklasy. A poza tym w piekle jeszcze nie jest dostatecznie gorąco dla ciebie. To wszystko wymaga czasu. Widać było wyraźnie, że to wszystko bardzo Małemu pochlebiło.

- Tak, przecież jestem imponujący, prawda? Porta potwierdził skinieniem głowy i mówił dalej:

- Ależ oczywiście. Jesteś wszystkim tym, co wojskowi zaaprobowałiby. Jesteś analfabeta, kutasem jak stąd do mostu. Robisz wszystko, co ci się mówi, jak czołg, któremu odpalono silnik. Z takimi żołnierzami armie niemieckie podbiłyby cały świat i udałoby im się nawet wsadzić swastykę Stalinowi w dupę.

- Porta, Porta - roześmiał się Leutnant Ohlsen - twój język zaprowadzi cię kiedyś na szubienicę.

- Włochy uderzą nas w plecy - zaczął Mały, zmieniając temat bez uprzedzenia i kończąc w ten sposób opowiadanie Porty, które jak zwykle nie było nawet opowiadaniem.

- A czemu Włochy miałyby uderzyć w plecy nas dwóch? - spytał naiwnie Porta.

- Nie nas dwóch, ale tak czy inaczej nas - mruknął Mały.

Stary wyjął fajkę z ust i potrząsnął głową.

- W tym co mówisz, jest coś z prawdy.

- Najgorsze, co mogłoby nas spotkać - mówił dalej Porta - to zapomnieć, po co toczymy wojnę. Wyciągnął z kieszeni małe ciasteczko.

- To tutaj dostałem, gdy wyjeżdżaliśmy z Wiednia, trzy i pół roku temu. Podarowała mi je wielka, partyjna kurwa. Jako cenną pamiątkę. Czytam napis na nim, gdy zapominam, po co toczymy wojnę. Podniósł do góry wyschnięte ciasteczko, aby wszyscy mogli przeczytać napisane różowym lukrem: „Zwycięstwo i Zemsta”.

- Nigdy nie zapominajcie, chłopaki: „Zwycięstwo i Zemsta”. Pozwólcie mi położyć łapę na Henryczku od SS, kiedy nasi przyjaciele zwyciężą.

Leutnant Ohlsen potrząsnął głową. Spojrzał wzdłuż szeregu, gdzie jego ludzie zajmowali się usuwaniem wielotygodniowego błota z mundurów i ekwipunku.

- Niech on się da wypierdolić, ten dowódca - zaklął. A potem, osłupiały, zamilkł.

Nawet Porta się zamknął. Leutnant Ohlsen, który zawsze wyrażał się niezwykle elegancko, zdumiał nas.

Zwrócił się do Spaeta i do Starego, palącego fajkę na dnie okopu.

- Można się od tego wściec - wytłumaczył.

- To naturalne - oświadczył Leutnant Spaet. - Jesteśmy kulisami i robi się z nami, co się chce.

Przegląd odbył się tak, jak można było oczekiwać. Przeszedłszy się wzdłuż szeregu, dowódca zrobił złośliwą awanturę.

Z punktu widzenia oficera frontowego, ludzie byli zdumiewająco czyści. Znikł cały stary brud. Umyliśmy się w lodowatym strumyku. Byliśmy przemoczeni, ale czyści. Lecz oczywiście nie dało się zadowolić takiego starego frontowca, jak nasz dowódca, von Virgil. Według niego byliśmy brudni z samego założenia.

Wściekał się z powodu matowych rzemieni. To, w jaki sposób mamy zdobyć pastę do skóry, nie interesowało go.

Gdy nas opuścił, każdy człowiek w naszej kompanii czuł się jak kupa gówna. Na następny ranek wyznaczył nowy przegląd. I tak to trwało przez trzy dni. Od ręki wyznaczał kary aresztu, które miały zostać odbyte, gdy zostaniemy zmienieni przez inną jednostkę. Inny pododdział został ukarany pełzaniem przez pięć kilometrów w maskach gazowych i w pełnym ekwipunku.

To kosztowało życie jednego rekruta. Wylew krwi do płuca.

Leutnant Ohlsen rozpaczliwie próbował nawiązać łączność z naszym pułkiem, ale wszędzie panował totalny chaos.

Dość dziwne było, że Rosjanie dali nam spokój. Jedyne świadectwem ich obecności był rozproszony ogień piechoty. Ale bitwa toczyła się daleko na północy. Dniem i nocą słychać było strzały z wszelkiego rodzaju broni.

Dowódca zachowywał się jak wariat. Można było przypuszczać, że chce nas całkowicie zniszczyć. Kazał nam wykonywać najgłupsze patrole. Pewnego ranka, bardzo wcześnie, wysłał nas na poszukiwanie fugasów w samym środku pola minowego. Przez to ubyło trzech ludzi. Nieustannie wzywał Leutnanta Ohlsena, który musiał, narażając życie, biegać trzy kilometry do sztabu, by odpowiedzieć na parę bezsensownych pytań.

- On jest gorszym dowódcą, niż był kiedyś Meier - kłął Porta. - Ale poczekajcie. Gdy Czerwoni zaatakują, zobowiązuję się wsadzić mu kulkę eksplodującą w czachę.

Mijały dni. Na naszym odcinku panował zupełny spokój. Gdyby dowódca się od nas odpieprzył, byłoby nam całkiem dobrze. Oczywiście naprzeciwno, podobnie jak u nas, byli strzelcy wyborowi. Wobec tego od czasu do czasu jakiś nieostrożny inkasował kulkę, ale my już przyzwyczailiśmy się. Nie przejmowano się tym.

Mały był przekonany, że wojna wkrótce się skończy i będziemy mogli wrócić do domu.

- Będę pierdolić przez sześć miesięcy bez przerwy - oświadczył z przekonaniem Heide.

- Nie, na Proroka, daleko jeszcze do końca, na nieszczęście - powiedział mały Legionista.

W tym momencie nadbiegł Barcelona.

- W sztabie jest burdel - wyjąkał bez tchu - Iwan musiał zmieść całe lewe skrzydło.

Stary podniósł się bez pośpiechu, schował fajkę do kieszeni i odbezpieczył pistolet maszynowy.

- Nie wątpię w to. Ta cisza była zbyt piękna, by być prawdziwa. No i zaczynają się kłopoty. Iwan za plecami.

- Obudzić plutony! - ryknął Leutnant Ohlsen. - I to galopem! Spieszcie nam się, panowie.

Usłyszeliśmy za plecami bezładną strzelaninę, przeplataną odgłosami wybuchających min i granatów ręcznych.

Plutony, trochę senne, stanęły na zbiórce przed grupą dowodzenia.

- Leutnant Spaet, zostajesz tutaj z pierwszym plutonem jako osłona wzdłuż drogi - rozkazał Ohlsen. -

Rozmieść dobrze swoje lufy i osłaniaj nas, gdy będziemy wracali. Reszta kompanii gęsiego za mną.

Mały wsadził sobie w usta ogromne cygaro. Zawsze tak robił, gdy mieliśmy atakować na bagnety.

Skórzany pas swego karabinu zawiesił przepisowo na ramieniu. Długi, trójkątny bagnet połyskiwał złowrogo na końcu lufy. Zsunął cylinder na kark i mruknął z zadowoleniem: - No, to chodźmy.

Biegiem wspięliśmy się na pagórek. Porta złorzeczył: - I znów trzeba galopować w tej pieprzonej wojnie, a ja tego nie znoszę.

Za kilku wielkimi głazami znaleźliśmy dwóch rekrutów. Prawie oszalałych ze strachu.

- Co się dzieje? - spytał Leutnant Ohlsen, trącając ich lufą swego peemu.

- To koniec - wydyszał jeden z nich. - Ruscy zjawili się nagle. Nie wiadomo ilu.

- Gówno - rzucił Legionista, przyglądając się małej, wąskiej ścieżce, prowadzącej do willi.

- Nic nie rozumiem. Tylko was dwóch postawiono na warcie?

- Reszta się położyła. Dowódca nie uwierzył starym, frontowym żołnierzom, którzy próbowali go ostrzec. Obrzucił ich wszelkimi możliwymi obelgami, mówiąc, że nerwy im puściły. Rosjanie to sami tchórze i nie ośmielą się zaatakować. Wczoraj powiedział w sztabie, że większe jest niebezpieczeństwo w garnizonie podczas nalotu niż tu na froncie.

- A potem przyszedł Iwan - roześmiał się Barcelona.

Młody rekrut skinął głową.

- Nie słyszeliśmy ich, zanim tu się nie pojawili. To było niewiarygodnie szybko. Nie wystrzelili ani razu, tylko noże i kolby. Jedyne leutnantowi Kahlowi udało się rzucić jeden granat. A my uciekliśmy i to nam ocaliło życie.

- A dowódca? - zapytał niedbałym tonem Leutnant Ohlsen.

- Nie wiemy. Gdy tamci przyszli, byliśmy na zewnątrz.

- Mam nadzieję, że odcięli mu pytę i wepchnęli w pysk - stwierdził, śmiejąc się na całe gardło, Porta. - Jeśli tak zrobili, wyślę im piękny prezent gwiazdkowy.

- Z całą pewnością słyszeli o tej świni - warknął Mały. - Herr Leutnant, zaczekajmy tu, póki ich wszystkich nie wyrzną. To będzie miłe Panu Bogu i wszyscy pójdziemy do nieba.

- Za mną - rozkazał krótko Ohlsen.

- Porta, znów będziemy kłusować - pozałił się Mały. Przesunął swe wielkie cygaro z jednego kąta ust w drugi.

Gdy minęliśmy zakręt powyżej, ujrzeliśmy willę dowódcy. Roiło się tam od Rosjan, wrzeszczących i śpiewających.

- Założę się, że znaleźli zapas wina dowódcy - rzekł z uśmiechem Barcelona.

- Chodźmy tam, zanim wszystko wychleją - zaproponował nerwowo Mały.

Z okna na pierwszym piętrze wylatywały papiery, kartony, strzępy niemieckich mundurów. Plądrowanie już się rozpoczęło.

- Nie opierdalają się - stwierdził Porta. - Będą mieli niespodziankę, gdy nas ujrzą.

- Szczególnie, gdy przekonają się, że jesteśmy z innej gliny niż ci, których porznęli na kawałki - zauważył Heide, głaszcząc swą broń.

Doleciała do nas piosenka o Kozaku, który sobie znalazł dwie dziewczyny.

- Bagnet na broń - zakomenderował krótko Leutnant Ohlsen. - Kierunek willa.

Mały wyjął swe wielkie cygaro i zwrócił się do Porty: - No i znów będziemy kłusować.

- W krzyżach mnie od tego boli - oświadczył, dysząc, Porta. - Zawsze kłusować.

Plutonami rozciągniętymi w tyralierę zaatakowaliśmy willę.

Stary, Legionista i ja biegliśmy u boku Leutnanta Ohlsena.

Rosjanie jak sparaliżowani patrzyli na nas, gdy napadliśmy na nich, wyjąc jak dziki.

Nasza broń automatyczna biła seriami w osłupiałych Rosjan. Już pierwsi z nich padli. A potem rzuciliśmy się na pozostałych.

To była prawdziwa bitwa - krwawa i dzika. Każdy walczył o życie. Bagnety wbijały się w żywe ciało, przebijały piersi.

Miałem tuż przed sobą ogromnego, rosyjskiego Lejtanta. Posługiwał się swą pepeszą jak maczugą. Odkoczyłem w bok, uchylając się przed morderczym ciosem. Odruchowo uderzyłem moim bagnetem pionowo, z dołu do góry. Poczulem krótki opór, a potem bagnet przebił sobie drogę do pachwiny oficera, który ze strasliwym wrzaskiem padł na plecy. Jego upadek dosłownie wyrwał mi broń z ręki. Postawiłem nogę Rosjaninowi na brzuchu, by odzyskać broń. Ale kolba złamała się. Trzymając ułamaną część, znów rzuciłem się naprzód. Nie byłem już człowiekiem, lecz maszyną do zabijania. Ze strachu. Dla przyjemności. Z konieczności.

Porta znalazł się obok mnie. To był totalny chaos. Uderzano, przebijano, ryczano. Mały trzymał się na środku podwórza. Wielkie cygare w ustach. Dym wychodził z niego na wszystkie strony. Cylinder miał zsunięty na czoło. Zgubił swój pistolet maszynowy. Dwóch Rosjan rzuciło się na niego. Krzyknąłem przeraźliwie, ale Mały, szybszy niż błyskawica, złapał ich obu za gardła i zderzył ich głowami. Puścił, a oni osunęli się bez życia u jego stóp. Pochylił się, podniósł jeden z peemów i zaczął dziko strzelać w grupę nieprzyjaciół. Jeśli przy tej okazji padli jacyś z naszych, tym gorzej dla nich.

Ilu zostało zabitych? Stu? Dziesięciu? Dwudziestu? Nie miałem pojęcia. Jeden Rosjanin padł na kolana za jakimiś taczkami. Z bliska wsadziłem mu serię w głowę. Jego twarz pękła, jak jajko rzucone o ścianę. Długo widziałem tę twarz przed sobą.

Porta wbił bagnet w plecy jakiemuś młodemu typkowi, który próbował uciec. Heide dziko deptał twarz młodego piechura, który nawet po śmierci przyciskał do piersi pepeszę. Ile czasu upłynęło? Jeden dzień? Jedna godzina? Kilka sekund? Nikt nie wiedział. Spotkaliśmy się za willą, gdzie padliśmy na ziemię, dyszący i skapani we krwi, z bronią niedbale odłożoną na bok. Rozpięliśmy mundury, hełmy rozrzučiliśmy wokół nas. Niektórzy zaczęli płakać. Przekrwione oczy szukały kumpli. Czy są jeszcze tutaj? Obawiano się najgorszego. A potem rzucaliśmy się sobie w ramiona, z ulgą i zadowoleniem.

Oto Barcelona leży na brzuchu w podartym mundurze. Tam dalej Stary, siedzący u stóp drzewa i palący fajkę. Mały i Julius Heide, oparci plecami o mur. Mały wyglądał, jakby zmoczył głowę w stawie pełnym krwi. W kącie ust miał pęknięte i zgaszone cygare. Stege, rozłożony na plecach, patrzył na chmury. Wyglądał jak sparaliżowany. Nigdy nie będzie prawdziwym żołnierzem. Mały Legionista siedział na stopniu schodów z odwiecznym papierosem w dziobie. Na kolanach miał gotów do strzału pistolet maszynowy. Jak zawsze, właśnie go pucował. Po szesnastu latach udziału w wojnach wiedział, że o broń trzeba dbać. Steiner siedział na gruzach stajni. W ręce trzymał do połowy opróżnioną butelkę alkoholu. Był już pijany.

Tak, byli tu wszyscy. Wszyscy starzy frontowcy. Ale brakowało ponad jednej trzeciej nowych. Leżeli rozciągnięci, podobni do wysepek w całej tej zieleni.

Ktoś zaproponował, by ich pochować. Usłyszeliśmy to wszyscy, ale nikt nie odpowiedział. Po co ich chować? My byliśmy zmęczeni, a oni martwi. Już niczego nie czuli. A trzeba przecież, by wielkie ptaki z czegoś żyły. Atak taki jak ten, kosztuje drogo. Trzeba, by go popróbowali ci, którzy opowiadają o pojedynkach.

Leutnant Ohlsen wyszedł z willi. Zgubił czapkę. Twarz znaczyło długie cięcie.

- Zlikwidowani - mruknął, rzucając się na ziemię. Porta podał mu papierosa.

- Dowódca, Herr Leutnant?

- Zarżnięty jak świnia, złapali go za włosy i podcięli gardło od ucha do ucha.

- Dzięki ci, dobry Boże - zaintonował Porta. - Zaiste jesteś sprawiedliwy.

Leutnant Ohlsen zwrócił się do Heidego: - Weź dwóch czy trzech ludzi i pozbierajcie książeczki wojskowe wszystkich zabitych.

- Rosjan także? - zapytał Heide.

- Oczywiście. Nie zadawaj głupich pytań. Nieco później opuściliśmy to miejsce, przed tym rzucając kilka butelek benzyny i granaty do wnętrza willi, która zaraz stanęła w płomieniach. Pociski moździerzowe padły wśród nas.

- Naprzód, biegiem - rozkazał Leutnant Ohlsen.

- Iwan chce się zemścić - powiedział Stary. Skokami przedostaliśmy się na drogę, gdzie czekał na nas Leutnant Spaet ze swymi ludźmi.

- Lufy na pozycję, Stary, by osłaniać nasz odwrót - rozkazał Ohlsen.

- Święta Maryjo - krzyknął Porta - zawsze my, gdy coś źle idzie.

Mały i Legionista już ustawili cekaem na pozycji. Trach, trach w Rosjan na skraju lasu. Za nami, na pagórku, pociski moździerzowe wybuchają z głuchym hukiem.

- Biegiem! - zawołał Leutnant Ohlsen. - Szybciej! - Z wściekłością popychał rekrutów, którzy poruszali się za wolno.

Jeden z nich, który przebył już część drogi, wrzasnął przeraźliwie i zaczął biegać w kółko, obiema rękami trzymając się za brzuch.

Przybiegł Sanitatsgefreiter Berg. Położył rannego na ziemi, rozciął jego mundur, ale szesnastoletni chłopak był już martwy.

Berg ruszył dalej, zarzuciwszy na ramię torbę Czerwonego Krzyża. Zgubił swój stalowy hełm. Pociski moździerzowe padały tuż za nim. Cudem nic mu się nie stało. Byliśmy zadowoleni; bardzo kochaliśmy Sanitatsgefritera Berga. Wielokrotnie ryzykował własnym życiem, by ratować nasze. Iluż ludzi przeniósł przez miny i zasieki z drutów kolczastych! Gdy biliśmy się w fortyfikacjach Sewastopola, widzieliśmy, jak wskoczył z całym rozmysłem do płonącego budynku, by wynieść ciężko rannego Leutnanta Hinkę. Później biegł trzy kilometry, niosąc na plecach Hinkę i do tego pod piekielnym deszczem pocisków.

Gdy Leutnant Barring spytał go, czy chce za ten wyczyn Krzyż Żelazny, Berg odpowiedział po prostu, że nie jest zbieraczem żelastwa. Dzisiaj, dwa lata później, Berg wciąż nie miał najmniejszego nawet odznaczenia. Jedynie ciesząc się najwyższym szacunkiem Medal Czerwonego Krzyża.

Kompania ulokowała się w bezpiecznym miejscu za pagórkami. Zainstalowaliśmy się tam, gdzie las tworzył coś w rodzaju zatoki. Byliśmy sami. Batalion z Wrocławia znikł.

Jak zwykle zaczęliśmy w jednym z dołków grać w kości. Graliśmy o resztki wina z piwnicy nieżyjącego dowódcy von Virgila.

Toczyliśmy się od wielu dni, z licznymi postojami na stacjach. Całymi godzinami nasz pociąg wyczekiwał na bocznicach, wśród innych towarów. My także byliśmy towarem. Żołnierzami na wojnie. Na oficjalnych wykazach zostaliśmy zapisani jako pociąg towarowy Nr 149.

Szesnastego dnia po naszym odjeździe z frontu długi pociąg zatrzymał się z gwałtownym wstrząsem, ruszył odrobinę, a potem zatrzymał się znowu. Koła zazgrzytały. Lokomotywa gwizdnęła i znikła.

Porta wstał z miejsca na słomie w głębi wagonu bydłowego Nr 9, wyjrzał przez zasuwane drzwi i skonstatował krótko: - jesteśmy w Hamburgu.

Mały Legionista przeciągnął się.

- Na Allaha, dziś wieczorem będziemy w „12 w Skali Beauforta” u Ciotki Dory.

- Dziś są Zielone Świątki - oświadczył Stary, nie nawiązując do tematu.

- Po co to mówisz? - zapytał Heide. - Co nas to obchodzi, czy są Zielone Świątki czy coś innego?

- Tak, wiem - odparł Stary wzruszając ramionami.

- Rok temu na Zielone Świątki byliśmy w Demiańsku - rzekł Porta.

- A dwa lata temu w Brześciu Litewskim - stwierdził Mały, przypomniawszy sobie, jak zuchwale ukradł wówczas esesmanom cztery czołgi.

- Nie przypominaj nam, gdzieśmy byli - zirytował się Legionista. - To obrzydliwe. Trzeba patrzeć w przód.

- Dziś wieczorem pójde do burdelu - zdecydował Porta, zacierając ręce.

- „Bernhard Namoczony” czeka na mnie „Pod Trzema Zajęciami” - oświadczył Heide. - „Pod Trzema Zajęciami” jest więcej dziwek, niż trzydziestu twardzieli zdołałoby załatwić w ciągu miesiąca.

* * *

Rozdział III REAKCJA ŁAŃCUCHOWA

Kantyna rozbrzmiewała głośnymi wrzaskami. Dzwoniło szkło. Uwijające się kelnerki były w złych humorach. Śmierdziało smażonymi kielbaskami i piwem. Gęsty dym podłego tytoniu snuł się pod sufitem.

Podpity Feldwebel wpatrywał się złośliwym wzrokiem w holenderskiego esesmana.

- Nie jesteś piękny - orzekł. - Masz odstające uszy! Nie podobasz mi się!

Wrzeszczał na całe gardło, posługując się tym dziecinnyim sposobem mówienia, używanym przez prymitywnych ludzi w rozmowach z cudzoziemcami.

Kelnerki roznosiły kufle piwa.

Porta pochylił się nad stołem w stronę młodego żołnierza ze srebrnymi odznakami Sicherheitsdienst na kołnierzu i wybuchnął śmiechem pełnym pewności siebie, jak to bywa u pijanego.

- Skurwielu, jesteś dupą wielkiego człowieka, Paskudną dupą. A przede wszystkim nie wyobrażaj sobie, że ktoś się ciebie boi. - Wysmarkał się w palce. Mam nóż. Wiesz, do czego to służy?

Człowiek popatrzył na Portę, niczego nie rozumiejąc. Przez ostrożność nie odpowiedział.

- Nie masz pojęcia, brudny kutasie. - Całą swą pogardę Porta zawarł w tym ostatnim słowie.

- Służy do odcinania ogonów kutasom.

- A potem wsadza się je do butelek - wmieszał się do rozmowy Mały.

- Przecież byłem tu przed wami - wściekł się SD-man.

- Wiem - przyznał Porta. - I wystarczy. Wypierdalaj stąd.

- Co to, to nie. Nie możesz mi rozkazywać. Porta wstał, wziął z ziemi swój żółty cylinder i włożył go na głowę. A potem odezwał się z oficerską arogancją.

- No tak, szeregowcu SD. Co sobie wyobrażasz, skurwielu ponury? A do tego, gdy odzywasz się do Stabsgefreitera, masz mówić w trzeciej osobie, parszywy skurwysynu.

Zastanowił się przez chwilę nad słowami „parszywy skurwysyn”, a potem postanowił użyć innych, odpowiedniejszych.

- Pierdolony dupek! - krzyknął. Wziął haust piwa, spojrzał na Małego.

- Przegramy wojnę. Na dowód wystarczy spojrzeć na tego typka. Dyscyplina już nie istnieje.

- No tak, też mam taką nadzieję - przyznał Mały.

- Powieszą cię, brachu - stwierdził krótko Porta, zwracając się do człowieka z SD. - Uszy masz zatkanie? Kazałem ci wstać, gdy do ciebie mówię. - Podsunął mu rękaw pod nos i kontynuował przyjacielskim tonem: - Nie poznajesz odznak Stabsgefreitera naszej wielkiej Armii? Dwa galony i trochę wełny. Wstać, do kurwy nędzy!

- Nie ma mowy, mam cię w dupie!!! - ryknął SD-man, nie posiadając się ze złości. - Podniósł się, oparł dłonie o stół i spojrzał groźnie na Portę.

- Niesubordynacja? Coś takiego! - stwierdził Porta ze zdumieniem. - Mały, bądź łaskaw sporządzić meldunek.

- Wiesz dobrze, że nie umiem pisać - zaprotestował Mały. - Ale użyję moich pięści.

- Użyj - polecił Porta.

Mały dopił piwa, wyciągnął z kieszeni ogromne cygaro i włożył je do ust. Barcelona podał mu ogień. Mały wyprostował swą potężną postać, podciągnął spodnie i wymierzył cygarem w człowieka z SD.

- Chodź, malutki. Ukarzę cię.

- Czego ode mnie chcecie? Nic nie zrobiłem! - zawołał SD-man, nerwowo spoglądając na Małego. Ten wziął go za ramię i łagodnie, ale zdecydowanie popchnął do drzwi.

W parę minut później Mały powrócił samotnie. Chwycił kufel Heidego i opróżnił.

- Znokautowałem go. Zemdlął przy drugim uderzeniu. Lubię to - zwierzył się.

- Pamiętasz, jak spotkaliśmy się pierwszy raz, Pustynny Włóczęgo?

- To ty wtedy oberwałeś - zaśmiał się Barcelona.

- Jak to? - zaprotestował Mały. - To Pustynny Włóczęga dostał, po tym triku z wyciągniętą dłonią.

- Masz rację, towarzyszu, ale to mi się już nigdy nie zdarzy - dodał Legionista.

- Ale wtedy tak było - uśmiechnął się z dumą Mały.

- Zgadza się.

Porta uderzył z całej siły litrowym kuflem w stół i ryknął na całe gardło, by przekrzyczeć piekielny hałas, panujący w kantynie.

- Dziwki, kurwy, pięć podwójnych z połową śliwowicy, ale pospieszcie się, burdelówki!

Przybiegła Gruba Helga. Na szeroko rozstawionych nogach i z dwiema pięściami opartymi na masywnych udach, jej wielka postać znalazła się przed Portą. Miała minę najgorszego gatunku sierżanta.

- Gdzie ci się zdaje, że się znajdujesz? Nie nazywaj moich dziewczyn kurwami, żebym cię stąd nie wyrzuciła. Jesteśmy uczciwymi kelnerkami, należymy do Partii. Wbij to sobie mocno do głowy. Przyjaciel Gertrudy jest w SD. Tak się tobą zajmie, że sam siebie nie poznasz.

Porta obojętnie machnął ręką.

- Masz na dupie małe swastyki, a twoje dziewictwo jest ufarbowane na czerwono, biało i czarno.

- Dziewictwo! - wykrzyknął Mały, tańcząc dokoła Helgi. - Ona go nie posiada. Jest zużyta jak beton na autostradach Adolfa.

Helga chciała zacząć ryczeć, ale Mały jednym pchnięciem wysłał ją na drugi koniec sali.

- Przestań prawić kazania, ty apostołko Adolfa. Zamówiono piwo, a nie trzaskanie dziobem.

- Mały jest gotów - oświadczył Steiner. Mały klasnął w ręce.

- Prędejj, prędejj, kurwy! Ile trzeba czekać? Tu jest bar czy poczekalnia?

Gruba Helga wściekła się. Rozpoczęła dziką kłótnię z wysoką i chudą Gerdą, zwaną Kij od Miotły. Ta energicznie machała rękami, nic nie rozumiejąc z potoku słów, które Helga wylewała na jej głowę. Podrapała się w pośladek, włożyła fartuch i zmieszała pięć wielkich kuflów piwa ze śliwowicą.

- No i widzisz, jaka jesteś rozsądna - oświadczył z szerokim uśmiechem Porta, gdy Kij od Miotły przyniosła piwo. - Gdybyś miała trochę większy tyłek, wziąłbym cię do łóżka - zaproponował uprzejmie Porta, wsuwając rękę pod jej spódnicę. Można się podrapać o twoje kości.

Kij od Miotły zaklęła i walnęła go tacą w głowę.

- Nie brak ci możliwości - dodał Mały. - Jesteś po prostu za chuda. Jesteś żywym świadectwem stanu wojennego w Trzeciej Rzeszy. Ale niech będzie, jak mi dasz trzy kawałki słoniny, mógłbym jeszcze tej nocy zająć się tobą za tą ścianą.

Jedynym komentarzem Kija od Miotły było: - Świnia!

Blom, który nas opuścił na chwilę, pojawił się znowu. Wrócił ze sztabu. Został zwolniony od służby polowej. Wokół szyi miał gigantyczny opatrunek: ogromna rana od granatu ręcznego, gdy próbował ocalić nasz kociołek z gorzałą. To zdarzyło się ostatniego dnia naszego pobytu w górach. Opatrunek powodował, że musiał trzymać głowę bardzo sztywno. Mógł zostać w szpitalu, ale wolał zrezygnować. Nie stawiał się przed sądem wojennym, ale Oberst Hinka zdołał pomóc mu wykręcić się ze sprawy. Typki z Gestapo, które myślały, że już go mają, były bardzo rozczarowane, gdy okazało się, że muszą odjechać bez niego.

Porta splunął w ich kierunku i syknął przez zęby: - Wydusi się te wszystkie świnie, gdy nasi przyjaciele wygrają wojnę.

Żandarmi zatrzymali się na chwilę, nie z tego powodu, co Porta powiedział, ale dlatego, że splunął.

- Plunąłeś! - krzyknął ich Feldwebel, gramoląc się z samochodu.

- I co? Czy to zabronione?

- Nie, ale to zależy, w jaki sposób i na kogo się pluje.

- Regulamin nic nie mówi o pluciu. Można pluć, gdzie się chce, a ja zawsze robię to w taki sposób. - Znowu splunął, tuż przed nogami Feldwebela.

- A gdy smarkam, robię to tak. - Wysmarkał się w palce, robiąc to tak, że smarki upadły na buty tamtego.

Feldwebel rzucił się na niego, wymachując wielką pałką policyjną.

- Przypuszczam, że chcesz nam złożyć małą wizytę, co?

Porta wzruszył ramionami. Mały do połowy wysunął z kieszeni swe wielkie cygaro.

Nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć, gdyby nie pojawił się Leutnant Ohlsen wraz z adiutantem. W mgnieniu oka pozbyli się żandarmów.

Barcelona został przydzielony do służby wewnątrz budynków. Na wykazie figurował jako goniec biurowy, ale najczęściej widywano go albo w kantynie, albo w zbrojowni. Był uszczęśliwiony, że znów znalazł się w swojej kompanii. Tamci mogli robić z nimi co chcieli. I nigdy nie było wiadomo dokąd nas wyślą, gdy będą nas wypisywać. Dla nowo przybyłego do grupy, która go nie zna, w praktyce oznacza to śmierć. Na nowego zawsze zwalano najniebezpieczniejsze zadania. Miny i druty pod napięciem. W kompanii było się między swoimi. Czulo się bezpiecznie.

- Dziś wieczorem mamy wartę - zawiadomił nas Barcelona. - Inspekcja w koszarach o godzinie 19.00.

- Gdzie mamy trzymać wartę? - zainteresował się Porta. - Żeby to było w burdelu!

- Nie martw się - roześmiał się Barcelona. - To ma być na Karl-Muck Platz.

- Co za gówno, wartować dla Gestapo! Barcelona rzucił Staremu rozkaz, który ten przeczytał z obojętną miną:

2. Pluton 5. Kompanii stawia się jako warta przy Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa, Karl-Muck Platz, dowódca warty Feldwebel Willie Beier. Zastępca: Feldwebel Peter Blom.

- Jeśli dalej tak pójdzie, zrobią z nas esesmanów! - krzyknął Heide.

- To nie jest dokładnie tego rodzaju robota, jaką lubię - zauważył Stege. - Nic gorszego dać nam nie mogli.

- Tak uważasz? - zapytał Barcelona. - 4. Pluton spotkało coś jeszcze gorszego. Są plutonem egzekucyjnym Wehrmachtu w więzieniu Fuhlsbittel.

- Być może uda się zdobyć jakieś kieszonkowe - powiedział z rozjaśnioną twarzą Mały. - Gdy się kogoś uwalnia, ten łatwiej pozbywa się kasy.

- Mam nadzieję, że nie każesz płacić ludziom, których spotkało nieszczęście zrugął go Stege.

- Czemu nie? W takich wypadkach można przecież jakoś uznać przysługę, oddaną przez dobrego kolegę - bronił się Mały.

- To oczywiste - powiedział z przekonaniem Porta. - Przecież istnieje ryzyko.

- Wypiliśmy za dużo piwa - stwierdził nie na temat Heide i zaczął liczyć podstawki.

- I ty płacisz za wszystko - zdecydował Mały tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Wiem, że za cholewą butów masz pieniądze.

- Skąd to wiesz? - przyznał zaskoczony Heide.

- Wyjaśnię ci, Julius. Wczoraj potrzebowałem forsy. Szukając, zajrzałem też do twoich szmat. Twoja szafka jest źle zamknięta.

Heide nerwowo zdjął but, pomiędzy skóry i podszewki wyciągnął plik banknotów i przeliczył.

- Okradłeś mnie. Brakuje stu marek.
- A? No i co?
- Ukradłeś je - upierał się Heide.
- Kto to mówi?
- Nie możesz zaprzeczyć! - ryknął Heide, nie posiadając się z wściekłości.
- A kto mi w tym przeszkodzi? Prawo jest bardzo jasne: nie wystarczy wierzyć i przypuszczać, trzeba dowodów.
- Zadenuncjuję cię - zagroził Heide. - Kradzież na szkodę podoficera. Może cię to drogo kosztować. Pójdiesz prościutko do Torgau. Mam tego dość.
- Nic mi nie zrobisz - stwierdził kategorycznie Mały. - Jeśli rzucisz mnie w ramiona Geheime Feldpolizei, polowego Gestapo, mogę wpaść na doskonały pomysł, by z nimi współpracować. Gdy z tym skończę, twoja sprawa wypełni kilka segregatorów.
- Szpicel! - rozdarł się ze wstrętem Heide.
- Więc jesteśmy kolegami - roześmiał się Mały.
- A może by kupić jedną czy dwie butelki na wynos? - zaproponował Porta, Kij od Miotły zrobi mieszaninę. Umieści się je w opuszczonym schronie. Przez ostatnie dwa miesiące wartość trzymali strzelcy. Podobno to znakomita kryjówka. Żaden policaj nie wejdzie do piwnicy, w której jest wartownia.
- Do piwnicy? - zapytał Steiner. - Przecież są też podziemne cele.
- Tak, ale tylko cele przejściowe - wyjaśnił Porta. - Każdy więzień zmienia miejsce następnego dnia. Ci, z którymi Gestapo jeszcze nie skończyło, są umieszczani jak najwyżej, pod samym dachem. Heide, który już stracił nadzieję odzyskania swoich stu marek, włączył się do rozmowy.
- Można by umieścić butelki w pustych nogach konia cesarza.
- To był mój pomysł - oznajmił triumfalnie Mały. - Zawsze miałem nosa do wykrywania nieprawdopodobnych miejsc.
- No, to się dało zauważyć - stwierdził sucho Porta, głaszcząc swą butelkę.
- Kupmy trzy butelki - zaproponował Mały. - Tyle mieści się w końskiej nodze.
Wrzasnął do Kija od Miotły: - Dortmunder, O tak. - Palcem pokazał na butelce. - Reszta śliwowica. Zrozumiano, kociaku?
- Ciszej - mruknęła Kij od Miotły.
- Rób to, co ci powiedziano - poradził Porta. - I całkiem pełne, nie?
Zwrócił się do małego Legionisty: - No nie, Pustynny Włóczęgo? Zacznie się od piwa, a potem śliwowica.
- Tak, camarade - zgodził się Legionista.
- I nie wstrząsaj jej, flądro! - krzyknął Mały, wrywając butelkę z ręki Kija od Miotły.
- Ostrożnie - poradziła mu Kij od Miotły.
- Zatkaj ją, dziwko, albo dostaniesz ode mnie pięścią w ryło. Wstrząsać nasze piwo... Butelkę można tylko obrócić, bardzo lekko. O, tak.
- Dlaczego? - zapytała Kij od Miotły, zupełnie ogłupiała.
- Nie wiem - odpowiedział Mały - ale tak to się robi.
Kij od Miotły przyniosła jeszcze dwie butelki i w milczeniu przyjęła pieniądze. Dokładnie sprawdziła banknot po banknocie, by upewnić się, że nie są fałszywe.
Wsadziła je do woreczka noszonego na brzuchu, pod fartuszkim. Bez słowa odwróciła się i podeszła do bufetu. W połowie drogi zatrzymało ją długie przekleństwo Porty.
- Panie Jezu, niech cię płomienie piekła pochłoną! Co zrobiłaś z jałowcem?

- Zapomniałam o nim - wyszeptała Kij od Miotły.

- Zapomniałaś? I ośmielasz się to powiedzieć? Możesz zapomnieć, co tylko chcesz, nawet swój pesar, ale jałowiec...

- W porządku - mruknęła Kij od Miotły i rzuciła na stół całą torebkę jagód jałowca.

- Uważasz, że tu jest samoobsługa? - spytał Porta, oddając jej jałowiec.

- Ach, zamknij się! - zawołała kelnerka, ale mimo wszystko zaczęła uzupełniać zawartość butelek. - Wolałabym, aby to był arsenik - rzuciła im, oddalając się.

Steiner wyszedł z toalety. Rozstawiwszy nogi zaczął się zapinać, nie zwracając uwagi na kelnerkę.

- Jakie to przyjemne, gdy się ma ochotę. Zdawało mi się, że jestem w dziewiątym miesiącu i że urodzę wielką beczkę piwa. - Wziął swój do połowy pełny kufel i opróżnił go wielkimi łykami. Jego jabłko Adama podskakiwało jak jajko, tańczące we wrzasku. Czknął głośno, odstawiając z hałasem kufel i prostacko ocierając usta rękawem. Na koniec wylizał pozostałość.

- To było dobre - oświadczył.

- Co było takie dobre? - zapytał Porta, wpadając nagle w kłótny nastrój. Prowokacyjnie rozwalił się na ławie, zajmując ją w całości.

- Opowiedz nam, co uważasz za takie dobre.

- Wyszczuć się.

- A dlaczego to jest takie dobre?

Steiner stał z otwartymi ustami. Szukał słów. Podrapał się w koniec nosa.

- Przecież to oczywiste. To jest dobre, gdy się ma na to ochotę. - Rozjaśnił się, bardzo dumny z siebie. - Przecież oczywiście tak jest.

- Tak nie idzie. Widzisz pająka na suficie? Co robisz, jeśli nie masz na niego ochoty?

Heide pochylił się nad stołem, śmiejąc się złośliwie.

- Opowiedz nam, co robisz, jeśli nie masz na coś ochoty.

Wybuchliśmy wszyscy ordynarnym śmiechem.

- Co za kutas! - ryczał jak krowa Porta. - On nam chce wmówić, że chodzi do sracza nie mając na to ochoty!

Steiner zdenerwował się. Pokazał Porcie pięść.

- Brudny zasrańcu, chcesz to poczuć na gębie?

- Och, proszę cię bardzo! - zadrwił Porta.

Steiner wściekle się zamachnął. Porta uchylił się błyskawicznie.

- Na Boga, mogłeś mnie trafić! Przemoc to bardzo poważna sprawa.

Steiner szalał ze złości. Machał rękami jakby to były korby samochodowe, ale Porta umiał uchylać się przed straszliwymi ciosami.

Steiner wściekł się. Chwytał kufel i cisnął nim w Portę. Porta zrobił unik, szkło rozprysło się o ścianę.

Kij od Miotły rzuciła się na nas z wielką pałką w ręce.

- Kto rzucił kuflem? - ryknęła histerycznie. - Dziesięciu ludzi z ochotą wskazało Steinera.

Kij od Miotły wymierzyła mu gwałtowny cios w ramię. Zawył dziko, ale zanim zdołał się połapać, Kij od Miotły walnęła go pałką w twarz.

Steiner zapomniał o Porcie. Skoczył do Kija od Miotły, która z wrzaskiem rzuciła się do ucieczki.

Steiner przyłapał ją tuż przed drzwiami. Unieruchomił kobietę i zaczął walić jej głową w futrynę.

Kelnerka wrzeszczała rozzdzierająco i broniła się jak lwica.

Gruba Helga ruszyła jak czołg, z butelkami szampana w obu rękach.

Steiner nie zauważył tego skrajnie niebezpiecznego ataku z flanki. Helga starannie wycelowała. W

sekundę później pierwsza butelka wylądowała mu na karku. Druga też rozbiła mu się na karku. Krew i szampan popłynęły strumieniem.

- Morderca! - zawyła Helga i wymierzyła mu kopniaka w krocze.

Padł nieprzytomny.

Kij od Miotły była wolna. Pozbierała potłuczone butelki i już miała je cisnąć Steinerowi w twarz, ale Gruba Helga zareagowała i rozbroiła ją z zadziwiającą szybkością, jak na tak otyłą kobietę.

- Zabiję go! - wrzeszczała Kij od Miotły. - Pogadam z przyjacielem z SD. Zostanie powieszony!

Gertruda pojawiła się ze skrzynką piwa. Włosy na głowie miała związane w staromodny kok.

- Gertrudo, znajdź coś dla twojego Julka z SD - zawołała Kij od Miotły. - Coś złośliwego na temat tego nikczemnika. - Wściekle kopała Steinera, nieprzytomnego i zakrwawionego.

- Ala bonne heure - odpowiedziała po francusku Gertruda. Nie miała pojęcia, co to znaczy, ale uważała, że tak będzie elegancko. Nauczyła się tego zwrotu od pewnego francuskiego marynarza, z którym była zaręczona przez osiem dni postoju jego statku w Hamburgu. Jeśli od Gertrudy chciało się coś uzyskać, wystarczyło powiedzieć z podziwem: - Mówisz po francusku, Gertrudo?

A wtedy Gertruda rzucała wszystko i zaczynała opowiadać nam długą historię o swej bogatej rodzinie, która zbankrutowała, o swym długim pobycie na francuskiej pensji. Lokalizacja tej pensji nie była zbyt jasna, ale wystarczyło słuchać okazując zainteresowanie, by uzyskać od dziewczyny wszystko, czego się zapragnęło.

Porta i Mały już tego doświadczyli. Pili i żarli cały wieczór na jej koszt. Prawda, że Małego kosztowało to dziurę w głowie. Wracając do koszar chciał pokazać Porcie, jak należy się regulaminowo kłaść na brzuchu, szczególnie w 14. Pułku Piechoty, w którym Mały niegdyś rozpoczął swą karierę wojskową. Padł z hałasem, trafiając głową w wielki kamień. Krew płynęła mu z rany na środku czoła, po czym poszli dalej trzymając się pod rękę i śpiewając na cały głos. Żołnierze to nie akrobaci. Tak dotarli do izby chorych, gdzie Mały został hospitalizowany.

Mały wstał z miejsca i krzyknął do Kija od Miotły: - Jeśli mi postawisz ze trzy piwa, kopnę tego Steinera w dupę, a po tym zmiążdżę mu pysk kopniakami.

Natychmiast wmieszał się mały Legionista.

- Nie, nie, przyjacielu. To wystarczy. Chyba nie chcemy go zabić?

- Nie mam nic przeciw temu - oświadczył Mały. - Szkoda, że tak trudno pozbyć się trupa. Tu, w Hamburgu, mamy tylko duży basen.

- Nim przedostalibyśmy się do portu z trupem pod pachą, dawno złapałaby nas Kriminalpolizei - stwierdził Blom.

- To idiotyczne, że dziś w nocy mamy wartę. Wolałbym raczej wstąpić pod „Kocura”, by spotkać się z kurwą w zielonej sukni - zwierzył się nam Heide, nagle zmieniając temat. - Zeszłej soboty proponowałem jej pięć stów za wieczór, ale nie chciała.

- jest taka droga? - wykrzyknął Barcelona. - A ile sobie zażyczyła?

- Dwa razy tyle i tylko za jeden numer.

- Bernhard Namoczony twierdzi, że spędził z Zieloną całą noc i dużą część dnia za pięć tysięcy - powiedział Porta.

- Ja też to słyszałem! - zawołał Steiner, cały we krwi, podnosząc się z podłogi. Zrobili to sześćdziesiąt siedem razy. Z Bernharda Namoczonego został zupełny flak.

- Widziałem, jak zataczając się wracał Pod Trzy Zające - oświadczył Barcelona.

- Natychmiast wypił cztery jałowcówki. Wykopał dwie kurwy, tkwiące przy barze. Ponieważ ktoś zaprotestował, Namoczony stwierdził, że ma dość na trzy miesiące i nie może znieść widoku dziwki. Poruszał się tak, jakby Zielona zapeklowała go w occie.

- To zupełny obłęd, co w dzisiejszych czasach można mieć za pieniądze stwierdził Porta. - To mi przypomniało doświadczenie z jedną prostytutką. Pograżony we wspomnieniach wbił jajko mewy do swego piwa i energicznie zamieszał bagnetem.

- Dobrze to jest? - spytał Julius Heide.

- Odwal się - odpowiedział Porta i oblizał bagnet.

- Opowiedz nam historię o dziewczynie, którą poprosiłeś, by wyszła za ciebie za męża - zażądał Stary, paląc fajkę. Spojrzał na zegarek. - Jest jeszcze czas, nim mamy się stawić na inspekcję. - Rozsiadł się wygodnie z nogami na stole.

Wszyscy poszli za jego przykładem, już z góry ciesząc się na opowiadanie Porty. Wspaniała mieszanię kłamstw i prawdy.

- To było tuż przed rozpoczęciem naszej wojenki - zaczął Porta. - W tym czasie byłem w II. Pułku Pancernym w Paderborn, małym, nieznośnym i purytańskim miasteczku. Jeśli chciałeś się zabawić, trzeba było powlec się w niedzielę rano do katedry. Niezbyt paliłem się do tej wojny. Bardzo lubiłem skromne, spokojne życie garnizonowe. W wyobraźni widziałem, jak jadę ku pociskom artyleryjskim, małokalibrowym, abstynencji, głodowaniu i gorzkim zwycięstwom. - To nie twoja broszka, Josefie Porto - powiedziałem sobie i natychmiast zostałem dotknięty ciężką chorobą. Stary zaśmiał się cicho.

- Nigdy tego nie zapomnę. Próbowaleś co najmniej trzydziestu sztuczek, by zgłosić chorobę i za każdym razem czułeś się coraz lepiej, zamiast wylądować w lazarecie.

- Tak, zahartowałem się do tego stopnia, że nawet granaty artyleryjskie nic mi nie mogą zrobić - przyznał Porta. - Wyłowił palcami resztki jajka mewy. - Ale mimo wszystko udało mi się dostać do garnizonowej izby chorych.

- Tak, to było w klasztorze za katedrą - wrzasnął Mały. - Poszedłem tam, gdy zaczął mi puchnąć palec u nogi. Zrobiłem pieszo dwa kilometry od koszar, tylko w jednym bucie. Później spotkałem Feldwebela Meyera. Niech go diabli wezmą. Kazał mi cztery razy wspinać się na mur koło wielkiej piekarni i to z taką szybkością, że prawie zapominałem, jak boli mnie noga.

- Ale dlaczego to zrobił? - spytał Stege.

- Nie potrafiłem mu dość szybko wytłumaczyć, co mi jest. Ryczał na mnie jak krowa z drugiej strony ulicy, gdzie stał z Gerdą, córką rzeźnika. Wiecie, tą, która w przystępie szału ucięła ogon Gefreiterowi Brandtowi. Chciał na niej zrobić wrażenie, na tej cipie.

- Creutzfeld - ryknął na mnie Meyer - czy wynalazłeś nowy regulamin mundurowy Armii, bo niesiesz but w rękę? A także nie zasalutowałeś? Czy zapomniawszy, że trzeba podnieść rękę na wysokość górnej połowy ciała, gdy podejrzewasz, że jakiś Feldwebel znajduje się w promieniu stu metrów?!

- Herr Feldwebel - odpowiedziałem - nie mogę salutować, gdyż w jednej ręce mam laskę, a w drugiej but.

Meyer wybuchnął.

- Skurwielu jeden! - ryknął - rzuć mi tę laskę i ten but. Zasalutuj przechodząc obok mnie...

Pozbyłem się buta i laski. Nie miałem ochoty dać się powiesić za niesubordynację. Następnie, kulejąc, cofnąłem się dziewięć kroków i nadal kulejąc przed moim Feldwebelem zasalutowałem regulaminowo. Wyraźnie nie był zadowolony z tego wszystkiego. Dziesięć razy musiałem przechodzić koło niego, oddając honory. Patrzył na mnie rybim spojrzeniem. Wyjaśniłem mu przypadek mojego puchnącego palca u nogi, który był całkiem czarny. Przyjrzał mu się i zabronił mi trzymać go w górze. Musiałem w należyty sposób stanąć na baczność. Próbowalem mu wytłumaczyć, że trzymanie tego cholernego palca poziomo jest absolutnie niemożliwe. Stał się ordynarny, twierdził, że należy mi się egzekucja.

- Atak czołgów z lewej! - warknął. - W ukrycie za murem!

- Pokłusowałem. Rozkaz, to rozkaz. Ledwie przedostałem się przez trzyipółmetrowy mur i położyłem się z drugiej strony, gdy doszedł do wniosku, że mnie mu brakuje.

- Atak czołgów z prawej!

- A ja znów przeskoczyłem przez mur. Aby nie było to zbyt monotonne, wymyślił, że atakuje mnie eskadra samolotów. Przebiec przez ulicę. Przeskoczyć przez mur. Zabawiali się tak kosztem mojej gęby przez pół godziny. On i Gerda. Przez cały ten czas musiałem unikać ataków wszystkich broni nieprzyjacielskich. Jakżeż się spociłem! A potem znowu na baczność przed nim.

- Palec u nogi poziomo - rozkazał.

- Niewykonalne, Herr Feldwebel - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Podszedł tuż do mnie.

- Creutzfeldt, po raz ostatni: opuśćcie ten palec na jezdnię.

Robiłem wszelkie możliwe wysiłki, ale palec nadal wskazywał do góry. Jak by się ze mnie wyśmiewał. Wtedy Feldwebel zrobił coś niedobrego. Nadepnął obcasem na mój palec u nogi. Wrzasnąłem przeraźliwie.

Miał tego dość.

- Nieszczęsny facet. Znikaj sprzed moich oczu.

- Nie możecie sobie wyobrazić, jak mnie to bolało. Aż do korzeni włosów. Dowlokłem się do izby chorych, gdzie mnie hospitalizowano.

Zwrócił się do Porty: - Ty też go znałeś, tego pierdolonego łamignata, majoralekarza z drewnianą nogą, Brettschneidera? Najgorszy drań pod słońcem. Pewnego dnia kazał mi osiemdziesiąt razy wleźć pod łóżko, ponieważ schowałem kiełbasę pod prześcieradłem.

- Owszem, dziękuję - zaśmiał się Porta. - Miałem ten zaszczyt. Pierwszego dnia wkroczył do mojej sali z całym orszakiem. Spojrzał na mnie, zakaszał mi w twarz, a ja leżałem regulaminowo wyciągnięty na mojej pryczy. Zdołałem wyszlochać: - Joseph Porta, Gefreiter 11. Pułku Huzarów, na pańskie rozkazy, Herr Major. Jestem sparaliżowany i, niestety, niezdolny - do udziału w wojnie. Udawałem przed nim, że jestem chory na dżumę. Ta wielka, wojskowa bestia już się obliżywała. Oczekiwałem jej potwornego chrząkania. Zamiast tego, potwór zaczął mówić tonem słodkim i łagodnym, który naprawdę mnie przestraszył.

- Więc to tak? Żołnierz jest sparaliżowany. Co za wielka szkoda.

- Tak, Herr Major, to doprawdy mnie wkurza - odrzekłem, udając, że szepczę z wielkim wysiłkiem. Roześmiał się złośliwie.

- Czyż to nie jest nieszczęśliwy wypadek, żołnierzyku? Sparaliżowany dokładnie w chwili, gdy jego pułk wyrusza na wojnę, by zmiażdżyć wrogów Rzeszy?

- Herr Major, to wielkie nieszczęście - powtórzyłem, jeszcze bardziej wyciągając się na baczność. Ściągnął mój koc, aby wszystkie obecne siostry mogły mnie podziwiać. Kłuł mnie igłą w różnych miejscach. I tak się zabawiał, bydlak. Ale ja się nie dałem złapać. Ani westchnienia. Było to tak, jakby kłuł drewno.

Gdy skończył, zwrócił się do swych admiratorów: - Widzicie naszego żołnierzyka. Doskonale zdaje sobie sprawę, że złapał go paraliż w bardzo złym momencie.

Wpatrywałem się w sufit w regulaminowej pozycji: ręce wyciągnięte, stopy należycie rozchylone pod kątem 45 stopni między obu wielkimi palcami. W wojsku musi panować porządek. To normalne. W przeciwnym razie byłoby burdelem.

- To miłe, żołnierzyku - uśmiechnął się - że przyszedłeś do nas ze swoim paraliżem. Nie bój się. Wyleczymy cię. Wiem, co to jest. Spadło na ciebie jak błyskawica, prawda? Dokładnie w momencie wybuchu wojny. Poprzedniego dnia, gdy na Ziemi panował jeszcze pokój, skakałeś jak młody

zajęczek. Nieprawdaż, żołnierzyku? - Podrapał się za uchem i przyjrzał mi się półprzymkniętymi oczami.

- Właśnie tak, Herr Major.

- Znam to dobrze, ale opowiedz nam, żołnierzyku, jak to się stało. Twój przypadek jest bardzo interesujący.

- A więc - powiedziałem sobie - łatwo jest naciągnąć tego rzeźnika.

- Oto tak, Herr Major. To nastąpiło, gdy Hauptfeldwebel zakomenderował: Zbiórka dla pobrania amunicji. Zrobiłem się bardzo zimny, wręcz lodowaty i powiedziałem sobie: - Porta, na litość Boską, co się z tobą dzieje? Koszary kręciły się jak koło. Dochodziłem właśnie do schodów zbrojowni, gdy paraliż mnie dopadł. Płakałem z rozczarowania, że nie mogę mieć nadziei na bohaterską śmierć. Pan i pani Porta w Berlinie byliby tacy dumni. Mogliby opowiadać wszystkim swym sąsiadom i znajomym: - Nasz syn zginął jak bohater! A zamiast tego mają teraz biednego paralityka, przykutego do łóżka na resztę wojny. - Wydusiwszy z siebie łzę, wśród łkań kontynuowałem: - Herr Major, byłem taki szczęśliwy, że wezmę udział w wojnie! Kiedyś wszyscy będą mnie wytykać palcami, ponieważ nie mam orderu. Gefreiter Porta pozwala sobie pokornie zapytać Herr Majora, czy nie ma sposobu, aby paralytyk mógł służyć Fuhrerowi, swojemu narodowi i swej ojczyźnie w czasie wojny? Rzeźnik powiedział, że tak, naciskając lekko mój brzuch. A potem zrobił się zły. Bez uprzedzenia walnął mnie młotkiem w kolano. Moja stopa natychmiast pofrunęła w powietrze i uderzyła go w twarz, zrzucając z niej okulary. Bez żadnych względów dla obecnych przy tym dam, ryknął:

- Kopiesz, parszywy symulancie! - Pogłaskał się po nosie i splunął. Nagle zatrzymał się i spojrzał na mnie oskarżycielsko.

- Nie masz apetytu?

Najpierw sobie powiedziałem: - Boże, skąd on to wie? Myślałem tylko o kielbasach, które ukryłem pod prześcieradłem.

Wsadził mi do ucha jakiś aparat i długo tam czegoś szukał. Być może chciał zobaczyć, czy nie jestem świrnięty. Później odciągnął mi powieki, - Może jest daltonistą - pomyślałem. Wobec tego zaryczałem: - Mam oczy niebieskie, Herr Major.

- Zamknij mordę - syknął. - Pytałem, czy nie jesteś głodny?

- No, robisz dobre postępy, mój stary Porta - powiedziałem sobie. - Każe ci zamknąć mordę i równocześnie zadaje ci pytanie.

Co robić? Ośluchał mi serce, kazał otworzyć usta, by obejrzeć moje migdałki. Zbierało mi się na ogromne pierdnięcie, które chciało wyjść na wolność, ale nie śmiałem tego zrobić.

- Apetyt! - ryknął. - Czy masz apetyt?

- Nie mam, Herr Major. - To była nieprawda, zżarłbym całą krowę.

- Zaoszczędzi się żywności - oświadczył z uśmiechem zadowolenia. - I do tego nie możesz spać?

- Nie mogę, Herr Major.

Bestia otworzyła pysk, ukazując wilcze zęby.

- Jakąż masz straszną chorobę. Niemal się jej boimy. Może lepiej byłoby cię izolować. Więzienie wojskowe bardzo by się nadawało. Poczekamy parę dni. Jesteśmy bardzo wytrzymali i znamy wiele ciekawych chorób. Okropnych chorób, które zawsze pojawiają się wraz z początkiem wojny. Nie martw się, żołnierzyku. Jesteśmy przygotowani, a ty przecież nie pragniesz nic innego, jak wyzdrowieć, by móc się zachowywać jak prawdziwy bohater.

- Byłbym bardzo szczęśliwy, Herr Major, gdybym mógł stać się odważnym.

Potwór pokiwał głową i energicznie przetarł swe okulary.

- Spróbuj wstać z łóżka, żołnierzyku. Może paraliż już minął?

- Zupełnie nie mogę wstać z łóżka, Herr Major. Kazał salowym pomóc mi wstać z łóżka, ale gdy tylko postawiły mnie na nogi, znowu upadłem. Robiły, co mogły, ale opierałem się: w grę wchodziło moje życie. - Trzeba się trzymać, Porta powiedziałem sobie. Wojna wkrótce się skończy. Wielki czarownik miał wyraźnie chęć kopnąć mnie w to, co mam na myśli.

Czterem dziewczynom udało się położyć mnie znów do łóżka.

- Nie ma możliwości - kontynuowała bestia. - Jakaż uporczywa choroba! Ale damy z nią sobie radę. Już tu takich widziano. Zaczniemy od lekkiego, łagodnego leczenia. Lewatywa trzy razy na dzień. Równocześnie środek na wymioty. Dieta bardzo ścisła. Co drugi dzień podawanie chininy, ale proszę uprzejmie w maksymalnych dawkach. Nasz żołnierz jest dotknięty ciężką chorobą i chciałby bardzo szybko powrócić do zdrowia, by móc się bić za swego Fuhrera, swój Naród i Partię. Dosłownie serce się kraje, gdy się go widzi w takim stanie.

Ten hipokryta pochylał się nad moim łóżkiem i poklepał mnie po policzku.

- Ufaj nam, żołnierzyku, wyprowadzimy cię z tego w rekordowym czasie. Szybko udasz się na front, by okryć się chwałą.

- Czy naprawdę możliwe jest, bym został wyleczony? - udało mi się wyszeptać.

Skinął głową z szerokim uśmiechem. Wziąłem go za rękę i polizałem jak zgłodniały tygrys, który znalazł kilka kropel ciepłej krwi.

- Bóg panu odpłaci, Herr Major, i jego matka, Maryja Dziewica, zaprowadzi pana duszę do nieba, gdzie pańskie liczne grzechy zostaną panu wybaczone.

Patrzył na mnie przez chwilę z bardzo dziwną miną, a potem oddalił się prawie biegiem. Jego drużyna podążyła za nim.

Wyleczyli mnie w ciągu jedenastu dni. Niech ich diabli porwą! Byłem tak dobrze wyleczony, że do koszar wracałem krokiem defiladowym pod eskortą trzech Sanitdsfeldwebli. Towarzyszyło mi czterech innych miłośników bohaterstwa, którzy też byli leczeni. Jeden na reumatyzm, drugi na zapalenie nerek, trzeci na chroniczny debilizm i czwarty na amnezję. Ostatni z nich został tak radykalnie wyleczony, że przypomniał sobie swoją praprapraprababkę. Pamiętał nawet datę i godzinę swej utraty dziewictwa.

Musieliśmy przyznać, że medycyna zrobiła ogromny krok naprzód.

W koszarach tak nam dano do wiwatu, że chory na nerki doszedł do wniosku, że jedynym sposobem pozbycia się jego choroby jest wzięcie do ust wylotu lufy karabinu i naciśnięcie na spust palcem u nogi. Połowa jego mózgu została na suficie, Unteroffizier Gerner próbował dodać nam ducha dobrą, wojskową piosenką. Przylecieli wszyscy, co do jednego, trzymając pod pachami krzesła. Zaśpiewaliśmy:

Jestem człowiekiem wolnym i dumnym, zem huzar. Kochają mnie wszystkie dziewczyny. Nasz sztandar jest symbolem wolności. Ola-hi. Ola-ho.

Gerner, stojąc na stole, podawał rytm, machając pałeczką, a równocześnie grożąc nam dożywotnim więzieniem.

Gerner wynalazł specjalną metodę pozbywania się kurzu. Rozkazywał żołnierzowi wspiąć się na szafę, gdzie leżąc na brzuchu musiał kręcić się w kółko. Jeśli potem był jeszcze kurz, inni musieli brać skazanego na szafę za ręce i nogi i przeciągać nim po całej jej powierzchni. Podłogę zamiatano w ten sam, radykalny sposób. Połowa ludzi kładła się na brzuchach, druga połowa ciągnęła ich za nogi. Gerner, stojąc na stole, ryczał: - Oddział zamiatania, naprzód marsz!

Maszerowaliśmy krokiem defiladowym aż do przeciwległej ściany. Tam wykonywaliśmy zwrot na komendę Gnera.

- W prawo zwrot! Jeśli jeden z odkurzaczy ujrzy ziarnko pyłu, ma je wylizać!

- Pamiętacie Schnitiusa? - zaśmiał się Porta. - Tego, który kazał amputować sobie stopy? Pewnego dnia zapomniał opróżnić popielniczkę. Przypomniawszy sobie o tym na sekundę przed wejściem Gerner na inspekcję sali. Szybko schował pełną popielniczkę pod poduszkę, ale Gerner musiał być superjasnowidzem. Miał własny sposób czepiania się dyżurnego sali. Schnitius za każdym razem umierał ze strachu. Gerner zawsze musiał siłą wydobywać z niego meldunek. Ale ledwie skończył składanie raportu: - Sala oczyszczona i przewietrzona, gdy Gerner wydał jeden ze swych słynnych ryków i zaczął podnosić poduszki.

Ujrzawszy pełną popielniczkę, wrzasnął do zzieleniałego Schnitiusa: - Czy to ty schowałeś tutaj to gówno?

- Jawohl, Herr Unteroffizier - wybełkotał Schnitius.

Gerner wyciągnął i odbezpieczył pistolet.

- Zasłużyłeś, bym cię zastrzelił, ale jestem dobrym człowiekiem. Jeśli spowodujesz, by to świństwo znikło natychmiast, tym razem cię ułaskawię.

- W jaki sposób, Herr Unteroffizier?

- Zeżryj je - rozkazał Gerner.

Schnitius zjadł wszystko i wylizał popielniczkę do połysku. Wkrótce po tym źle się poczuł i miał ochotę wymiotować. Dotarł tuż przed drzwiami sracza, gdy wszystko z niego wyleciało. Gerner, siedzący w jednej z kabin, usłyszał odgłos rzygania.

- Co to takiego? - zaryczał.

Schnitius zadrżał i zawołał w stronę drzwi: - Panzerschitze Schnitius melduje, Herr Unteroffizier, że wymiotował.

- Wyliz to - rozkazał krótko Gerner. Schnitius był w trakcie wykonywania rozkazu, gdy powstrzymał go nasz dowódca kompanii.

- Kto był waszym dowódcą? - zainteresował się Heide.

- Leutnant Henning.

- Zaczny człowiek - zauważył Barcelona. - Był kiedyś dowódcą mojego plutonu. Nie znosił szykanowania żołnierzy. Co zrobił Gernerowi?

- O, ho, ho - kontynuował Porta. - Ależ był burdel. Henning kazał Schnitiusowi przyjść do swego biura, a Schnitius był na tyle głupi, że opowiedział o wszystkim i następnego dnia Gerner został stanowczo przywołany do porządku. Najpierw przez Henninga, następnie przez Hauptfeldwebela Edela. Edel palnął podoficerom kazanie. Słyszeliśmy, jak ryczy:

- W dupie mam, jeśli moi podoficerowie tłuką po gębach kulisów, ale nie życzę sobie skarg! Nie mam na to czasu! Gerner, wyrządziłeś szkodę całej kompanii. Idziesz do kicia na dziesięć dni. Osobiście szepnąłem słówko profosowi aresztu, Stabsfeldwebelowi Krausowi i obiecał mi kopać cię w dupę tak długo, póki nie dostaniesz hemoroidów na migdałkach!

Ale nim zakończył swą przemowę, Edel wyciągnął Schnitiusa i okręciwszy go wokół, powiedział do zgromadzonych podoficerów:

- Obejrzyjcie sobie tę kupę gówna. Przez całą noc opowiadał historyjki dowódcy kompanii. Jest naszym obowiązkiem, panowie, nauczyć go kochać prawdę. Miał niedobrych rodziców. Trzeba go reedukować.

- Schnitius miał absolutnie kiełbie we łbie. Powinien był powiedzieć Henningowi, że pożerał rzygowiny dla żartu. I na tym by się skończyło. Teraz wszyscy mieliśmy na karku Feldwebela i innych podoficerów. Ja wykręciłem się z tego całkiem skutecznie. Postarałem się pójść do pierdła, póki wszystko się nie uspokoiło.

- Miałeś nam opowiedzieć, jak poprosiłeś dziewczynę o rękę - przerwał mu Stary.

- O, kurwa, to prawda. No, dobra. Miałem chrapkę na jedną dziewczynę, która zawsze szła w orszaku Majora-lekarza. Wobec tego, wyszedłszy z pudła, posłałem jej pocztówkę. Przede wszystkim kupiłem kartkę w kantynie. Wiecie, prawdziwą, wojskową pocztówkę. Był na niej Feldwebel 96. Pułku w chwili, gdy dusi polskiego kawalerzystę. Na górze było napisane wielkimi literami „Zemsta”. I to wszystko. Wysyłając tę kartkę pomyślałem sobie, że istnieje ryzyko, iż ślicznotka nie zrozumie. Wobec tego wysłałem jej następną kartkę, gdzie takie ryzyko nie istniało.

- A co na niej było? - zaciekał się Steiner.

- „Kurwa”, i to było piękne! - Był na niej lotnik z laseczką na ławce. On wsadzał jej ręce między pośladki, zaś dziwka robiła słodkie oczy. Naskrobałem tam parę dobrze dobranych słów: - „Moja wdzięczna i szlachetna panienko”.

- Była szlachcianką? - zapytał zdziwiony Heide.

- Ale lipa! - zarechotał Porta. - Ale zawsze robi znakomite wrażenie, jeśli będą uważały, że się je za takie uważa. Następnie dodałem: - Zechce mi Pani wybaczyć, że pozwalam sobie przesłać Pani słówko z tych zasranych koszar. Ale „zasranych” nie wydało mi się stosowne. Zmieniłem to na „pruskich”. Zakończyłem, prosząc ją o spotkanie, najchętniej na kanapie w przyćmionym, czerwonym oświetleniu.

- I zerznąłeś ją? - zapytał Mały, z lubieżnym błyskiem w oczach.

- Wulgaryzmy zostaw dla siebie. W tych sferach tak się nie mówi. Wymieniwszy kilka listów, jak to się mawia w Ministerstwie Sprawiedliwości odmawiając ulaskawienia, zdecydowała się ze mną zobaczyć. Wysłała mi nawet liścik przez pewnego podoficera, który robił to tylko ze zwierzętami. Przekazawszy mi wiadomość, miał tyle bezczelności, że zażądał za to ode mnie 2 marek na piwo i śliwownicę.

- Obiema pięściami w ryja? - zaproponowałem, oddalając się. - Ale on się nie ruszał z miejsca i wyrzaskiwał obelgi. Właśnie w tym momencie przechodził mój stary kumpel, Feldwebel Skoday, który tego dnia był podoficerem służbowym. Z całym szacunkiem poprosiłem go, aby nauczył tego gówniarza zasad należytego zachowania, do którego ma prawo Gefreiter z moim stażem. Feldwebel Skoday z całą pewnością był największą świnia w całym Wehrmachcie. Wszyscy o tym wiedzieli. To widać było z daleka. Miał taki sposób stawania przed kompanią podczas poniedziałkowych ćwiczeń, podpierając się rękami pod boki, rozstawiając nogi, z czapką naciągniętą na bakier. Na jedno oko, rozumiecie? Następnie pozdrawiał nas nader grzecznie.

- Dzień dobry, bando chujów.

Kompania odpowiadała chórem: - Dzień dobry, Herr Feldwebel.

Potem przechodził od żołnierza do żołnierza.

- Czy będziesz żywy dziś wieczorem?

- To pan zdecyduje, Herr Feldwebel - odpowiadali rekruci.

Następnie wydawał komendę: - Baczość! Na ramię broń!

Ale zanim zakomenderował na lewo zwrot, miał miłą mówkę, jak następuje:

- Bando nierobów, nie wyobrażajcie sobie, że jesteście tu, by się bawić. Dziś wieczorem zapłacę za wasze piwo w kantynie, za wszystko, co zdołacie wypić, ale pod jednym warunkiem: gdy będziemy wieczorem wracali z placu ćwiczeń, kompania musi być w komplecie. Żadnych martwych. Żadnych chorych. - Wiedział, że to nie jest możliwe.

Dla takiego podoficera jak Skoday nie ma nic łatwiejszego, jak spowodować, że jeden z kulisów złamie nogę w kostce i rekruci o tym wiedzieli. Nigdy nie było inaczej. Po godzinie ćwiczeń padali już pierwsi. Następnie przechodzili w ręce Gernerera i Richardta. Jeśli faceci nie wpadali w Omdlenie, wypadki nie liczyły się dla Skodaya. Nie trzeba było nawet kwadransa, by uzyskać taki

wynik. Ale ze mną było zupełnie inaczej.

- A czemu? - zapytał ze zdziwieniem Mały. Porta mrugnął okiem.

- Jedyne sposobem obrony przed takimi typami jak Skoday, to pogrzebać w ich przeszłości. W dniu, gdy znaleźliśmy się razem przy baryłce piwa, dałem mu do zrozumienia, że znam nie mało rzeczy na jego temat, od początku jego istnienia. Oczywiście zaczął wrzeszczeć, że to nie prawda i że nie mogę niczego udowodnić.

- Tym lepiej - odpowiedziałem - jeśli masz to w dupie. Przy najbliższych ćwiczeniach spróbujesz mnie katować i zacząć wypluwać, co wiem. Wtedy przekonamy się, co się stanie. Dobrze rozumiałeś? Dasz mi znak, gdy będziesz chciał, żebyśmy zaczęli.

I wyobraźcie sobie, Skoday nigdy nie dał mi takiego znaku. A wracając do mego opowiadania o wysłanniku z liścikiem miłosnym, usiadłem sobie na kamieniu, by patrzeć, jak Skoday wdeptuje go w błoto. Kutas tak oberwał za to, że zażądał ode mnie forsy, że gdy wracał do koszar chwiał się jak pijany. Wsadzono go do pudła za opilstwo. Ale ten epizod dowodzi, że jakiś drobiazg może mieć nieoczekiwane konsekwencje. Typek został przeniesiony do batalionu w Heubergu, gdzie został zabity przez granat moździerzowy, a wszystko dlatego, że zaproponował pewnej laseczce, że będzie jej postillon damour i zażądał ode mnie dwóch marek. Gdyby pilnował swojego nosa, pozostałby w 929. Batalionie w Sennelager. Być może wysłano by go do Rosji, gdzie padłby pod kulami partyzantów i pośmiertnie otrzymałby Krzyż Żelazny. Spocony kamieniarz wyrzyłby jego imię na kamieniu przy wjeździe do Sennelager, wraz z innymi bohaterami i co roku, ci z batalionu, którzy przeżyli, zbieraliby się, by złożyć kwiaty na jego grobie, wygłaszając piękne mowy o dzielnych obrońcach ojczyzny, a następnie szliby do burdelu. A wszystko stało się inaczej. Jego śmierć spowodowała dochodzenie i dowódca kompanii miał zawracanie głowy, że nie podjął podczas strzelania należytych środków bezpieczeństwa. Wywołało to w batalionie cholerną rozróbę. Ileż listów wymieniono między kompanią, batalionem, pułkiem i plutonem! Żona tamtego o mały włos nie została wykończona w obozie koncentracyjnym. Zażądała odszkodowania za utratę swego małżonka. Nigdy nie powinna była tego robić. Przede wszystkim pojawiła się w czasie, gdy Hauptfeldwebel jadł śniadanie. Tak się przestraszył, że połknął rolmopsa w poprzek. Położono go na biurku, by móc walić go po plecach. Rolmops wyskoczył i szybując w powietrzu wylądował na pięknym dokumencie, który z wielkim wysiłkiem sporządzono. Hauptfeldwebel prawie się udusił z wściekłości.

Jego złość jeszcze się zwiększyła, gdy dowiedział się, kim ona jest i czego chce.

Cisnął jej w twarz kielbasę, wyjąc: - Chcesz odszkodowania, cipo?! To ty powinnaś zapłacić nam odszkodowanie za to całe kurewstwo, które twój tak zwany mąż zwał nam na głowę! I masz tyle bezczelności, by przychodzić tutaj i zawracać nam głowę. Popatrz! - ryknął, pokazując zbrukany dokument. - A do tego próbowałaś mnie udusić. To ma swoją nazwę. Sabotaż, sabotaż! Daję ci dziesięć sekund, byś znikła sprzed moich oczu, zanim wezwę żandarmerię.

Biedaczka zrozumiała, że wdepnęła w coś, co ją przerasta. Odeszła ze śmiercią w duszy. Powoli zaczęła zdawać sobie sprawę, że dzięki swemu mężowi należy obecnie do pariasów społeczeństwa. Na dworcu postanowiła, że rzuci się pod pociąg. Była straszliwie naiwna i miała nadzieję, że upadnie w taki sposób, by pociąg przejechał nad nią.

- Chciała znaleźć się między szynami, tak jak my, gdy pociąg zaskoczył nas w tunelu? - krzyknął Mały.

- Dokładnie tak. Tyle tylko, że ze wszystkich pociągów wybrała ekspres Nr 914 z Kolonii. Powinna była przed tym zapoznać się z rozkładem jazdy.

I oto stoi na peronie, w kapeluszu z żółtymi piórami na głowie, czekając na pociąg. Zobaczyła, jak

wyjeżdża zza zakrętu. Dwie latarnie, patrząc jej prosto w twarz, mrugnęły jeden raz, jakby chciały jej powiedzieć: - Odwagi, stara! Usłyszała trzykrotny gwizd, niby wezwanie Trójcy Świętej. Wzięła to za dobry omen. Ale czekało ją nieszczęście. Ekspres rozciął ją na dwoje. Gdy koła po niej przejechały, uderzenie było krótkie. Miała to szczęście, że zginęła na miejscu, w przeciwnym razie miałyby kłopoty. Z powodu tego wydarzenia ekspres miał trzygodzinne opóźnienie. O mały włos uniknął zderzenia z pociągiem towarowym. Trzeba było mu zmienić trasę, a sprawa była poważna, gdyż był to pociąg amunicyjny, Ale najgorsze było to, że pewien generał podróżujący ekspresem nie przybył na czas na pożegnalną paradę 47. Pułku Piechoty i nie mógł wbić gwoźdźnia w drzewce jego sztandaru. Wobec tego pułk musiał odjechać na front bez sztandaru. Ludzi tak to zdeprymowało, że dezercerowali do Greków podczas bojów w dolinie Strumy. Później nasi uwolnili ich z obozu jeńców i natychmiast wsadzili do obozu koncentracyjnego w Karpatach, gdzie cała grupa została po części powieszona, po części rozstrzelana. Nazwano to „buntem i nielegalnym kontaktem z nieprzyjacielem”. Utworzono nowy 47. Pułk, ale ta liczba musiała przynosić pecha, bo nowi żołnierze zdezerterowali do Rosjan i zostali przez nas wyzwoleni w Charkowie. Powiesiwszy ich i rozstrzelawszy, utworzono jeszcze jeden 47. Wysłano go do Stalino, gdzie...

- Zamknij pysk, Porta - przerwał Stary. - Nie zaczynaj nam opowiadać, że ci z kolei też zdezerterowali do Rosjan i następnie nasi ich wyzwolili...

- Właśnie nie - sprzeciwił się Porta, - Było znacznie gorzej. Ale to już całkiem inna historia. 47. Pułk odtwarzano dziewięć razy. A potem im się znudziło. Dziś liczba 47 jest w Rzeszy synonimem zdrady głównej. Ale wracając do mojej laseczki, czekałem na nią przed szpitalem. Po upływie pełnej godziny zawiadomiła mnie, że opóźniło ją zapalenie wyrostka robaczkowego. Czekałem jeszcze przez godzinę. Cierpliwość jest cnotą. Czekaając zaliczyłem sobie młodą salową, która tamtędy przechodziła.

- Była ładna? - przerwał Mały. - Jakiego koloru miała majteczki?

- Ona ich w ogóle nie nosiła. Nie była też ładna. Brakowało jej snu. Była na dwóch posadach. Od godziny 22.00 była rogowką na placu Generała Goeringa. W szpitalu było to wielką tajemnicą. Nikt nic nie ma przeciw kurwom, tylko nie chce się ich znać. Ale na tej Ziemi nic nie może pozostać w ukryciu. Pewnej nocy mała spotkała komisarza Zitala z brygady obyczajowej.

- Przyjdiesz do mnie, kochanie? - zaproponował. Pochodząc ze wsi, nie znała niebezpieczeństw wielkiego miasta i zupełnie nie spodziewała się, jaką tamten jest świnią. Zażądała dziesięciu marek, połowę normalnej stawki, którą się płaciło za numerka na ławce przed pomnikiem Fuhrera.

- Może być - zaśmiał się komisarz z obyczajówki. - Pokaż twoją książeczkę kontrolną.

Porta opuścił rękę i na jego twarzy odmalowało się ogromne rozczarowanie.

- Czy muszę wchodzić w szczegóły? Gurli nie miała książeczki. Pracowała jako niezależna, poza kontrolą władz. A na coś takiego nie można pozwalać. Władze poszłyby na bezrobocie, a to byłoby okropne, bo nie byłoby nikogo, komu można by zapłacić podatki.

Za kratki, Gurli.

W następną środę zostałem zaproszony do rodziny mojej narzeczonej. Mieszkali w starej willi przy Bismarck Strasse. Wytarłem nogi na wycieraczkę, pamiętającej lepsze czasy. Drzwi otworzyła mi służąca. Zostawiła mnie samego w holu, sama zaś poszła zaanonsować moją wizytę.

- Czy ma pan wizytówkę? - zapytała tuż przed tym, zanim się zmyła.

- Nie potrzebuję jej, w Paderborn jestem dobrze znany - odpowiedziałem.

Czekając, wypucowałem sobie buty aksamitną poduszką, leżącą na sofie. Aksamit jest znakomity do pucowania butów do połysku, a błyszczące obuwie, tym, po czym poznaje się dżentelmena. Przeczesałem też włosy grzebieniem.

- W korytarzu była sofa? - zdumiał się Mały.

- U takich ludzi, Mały, to się nazywa hol, a nie korytarz, nawet, jeśli jest wielkości znaczka pocztowego. Jeśli chce się utrzymywać stosunki z ludźmi z wyższych sfer, takie rzeczy koniecznie trzeba znać.

- Mam to w dupie - kontynuował ordynarnie Mały. - A więc wytarłeś sobie glany o ich aksamitną poduszkę, zwaloną na sofę, która znajdowała się w holu. I co dalej? Ona zdjęła majtki, czy co?

- Cierpliwości, cierpliwości - mówił dalej Porta. - Zawsze staram się wszystko zapamiętywać. Jak zwykł był mawiać komisarz Rauen z Komendy Policji na Alexanderplatz swym podlizuchom na temat przesłuchań: - Niczego nie zapominajcie, liczy się każdy szczegół. Niedbale postawiony przecinek może całkiem zmienić dokument, liczący tysiąc stron. - I miał rację.

Podczas gdy oczekiwałem w holu, przyglądałem się obrazom i rysunkom, poprzyklepianym mniej więcej wszędzie. Każdy obraz przedstawiał bohaterskie trupy i innych przestępców wojennych, stanowiących część burzliwej przeszłości naszej ojczyzny.

Służąca otworzyła drzwi i powiedziała mi, bym wszedł. Było tam całe zgromadzenie na moją cześć.

- Grufles Gołt - powiedziałem. - Na nieszczęście wymknęło mi się małe czknięcie. Pozostałem panem sytuacji i wyjaśniłem, że to była kiszona kapusta.

- Joseph Porta, z Bożej łaski Gefreiter.

Następnie zwróciłem się do jej ojca. W stylu stosownym do sytuacji, jak o tym czytałem w pewnej książce, poprosiłem o rękę jego córki. Między innymi powiedziałem mu: - Mój teściu, udziel nam swego błogosławieństwa, abyśmy mogli dzielić jedno łóżko zgodnie z moralnością.

Jego asysta pozostała sztywna jak słupy. Powiedziałem więc sobie: - Trzeba zrobić coś niezwykłego, by ich rozweselić. - Skłoniłem się grzecznie przed matką, grubą, pocziwą kobietą w binoklach na sznureczku, zwisającym jej na facjacie.

- Droga pani, ma pani stroskaną minę. Proszę się nie smucić. Niech pani pójdzie do kościoła i poprosi Boga, by napełnił jej duszę miłością do Trzeciej Rzeszy.

Teść zaczął rozrabiać. To nie były krzyki, raczej to wyglądało tak, jakby mieszanina bóleści, wściekłości i smutku wrzuciła go do wielkiego stawu. A potem nastąpiła przygnębiająca cisza.

Coś mi podpowiadało: - Trzeba coś zrobić, bo w przeciwnym razie ryzykujemy zbiorowe harakiri. - Zaproponowałem partyjkę pokera. To obudziło matkę i trzy ciotki, utworzyły wspólny front. Zaczęły gdać, jakby gwałcił je półparalitik na tylnym podwórku.

- Pan nas obraził - zagdakała jedna z tych staruch.

- Droga pani, myli się pani bardzo poważnie. Nie zdoła pani udowodnić tego twierdzenia. Poza tym w sprawie o zniesławienie bardzo jest trudno dostarczyć dowody. Na przykład pewnego dnia znajdowałem się w pewnym burdelu „Pozłacane Cycki” i nawiązałem dyskusję z burdelmamą, panią von Tagenheim zu Barnfleth, w której żyłach płynęła błękitna krew. Dotyczyło to wiedzy, jak długo jej najlepsza kurwa może kontynuować. - Siedemnaście razy - twierdziła bezwstydnie.

- Niemożliwe - odparłem. - Najwyżej dziesięć.

- Siedemnaście.

- Dziesięć - powtórzyłem z naciskiem na to słowo, oznaczające potocznie również „zamknij się”.

W tym samym momencie pewien pan, nazwiskiem Busch, z Bremy, reprezentant jakiejś błahej firmy, uderzył mnie gwałtownie w kark.

- Nie możesz mi mówić „zamknij się” - wrzasnął. To publiczne miejsce.

A potem zaczął mnie obrzucać wszelkimi możliwymi obelgami. Ten pan Busch z Bremy całkowicie nie pojmował sytuacji i wyobrażał sobie, że go obraziłem.

Widzi więc droga pani, do czego takie rzeczy mogą doprowadzić, ale w „Pozłaczanych Cyckach” tego

wieczoru było jeszcze gorzej. To się rozprzestrzeniło, jak ogień po ścieżce prochowej. Musiałem wypieprzyć typka na dwór. Upadł tak nieszczęśliwie, że rąbnął głową o poręcz schodów i zwalił się, jak samochód, który trafił w ścianę. Nie wiem, czy ktoś z państwa zna „Pozłacane Cycki”? U schodów jest tam poręcz ze spiralnymi prętami. Przerwy między prętami są tak duże, że mogłaby między nimi przejść głowa dorosłej świni. Pan Busch wbił więc swoją świńską głowę między dwa pręty i jak już wyjaśniłem zwalił się do tyłu, z głową zakleszczoną, co miało taki skutek, że skręcił sobie kark. Gliniarze zabrali go furgonetką, a komisarz policji Joseph Schneider oświadczył:

- Musiał być pijany w trupa, inaczej nie upadłby w taki sposób. - I zwracając się do trzech dziennikarzy, kontynuował: - Panowie, napiszcie, że był to nałogowy pijak, ale nie mieszajcie do tego kurew, bo za następnym razem każą wam drożej płacić. Więc nie wymieniajcie nazwy tego domu. To obrzydliwe, gdy widzi się, gdy typy takie jak ten próbują zbrukać dobrą reputację „Pozłaczanych Cycków”. Może uważać się za szczęściarza, że nie żyje. W Trzeciej Rzeszy oszczerstwo uważane jest za bardzo ciężkie przestępstwo.

Ale jego firma w Bremie znalazła się w niemiłej sytuacji. Był jakoby bardzo zdolnym sprzedawcą ich chłamu. Przez dwa lata rozpaczliwie szukano kogoś na jego miejsce, dając ogłoszenia w dziale „Prace zaofiarowane”, z tekstem: „Poszukuje się pana, dobrze reprezentującego nasze byle co”.

Pierwszym, który odpowiedział, był jakiś świntuch, uczesany a la Juliusz Cezar. Chciał, aby sprzedawczynie przymierzały majtki. Gdy zaprotestowały, stał się ordynarny.

Dziesiąty, który się zgłosił, był znakomitym sprzedawcą. Miał białe włosy zaczesane do tyłu i jedno oko niebieskie, a drugie piwne, zupełnie niesymetryczne wobec pierwszego. Miał drobną wadę, na pierwszy rzut oka niewidoczną. Zapominał prowadzić rachunki.

Nieszczęścia zawsze idą w parze, jak się mawia w dziale personalnym. Zaangażowano pewnego pana, który sprawiał pod każdym względem dobre wrażenie. Pochodził ze słynnej rodziny Adamsów z Frankfurtu i nazywał się Rudolph Adams. Należał do tej gałęzi Adamsów, która handlowała ptakami. Specjalizowali się w papugach. Ale Rudolph był niedobrym dzieckiem. Odwrócił się od ptaków. Był drań złodziejem. Nie trzeba robić dramatów, jeśli ktoś zwędzi jakiś drobiazg tu czy ówdzie. Kto tego nie robi? Ten, kto nie „organizuje”, to kutas. Ale ten bandyta Rudolph okradał panie. Ostatecznie można to robić. Ale Rudolph robił to w łóżku, w czasie, gdy dama była zajęta czymś zupełnie innym, niż pilnowanie swej biżuterii. Gdy firma z Bremy dowiedziała się o brakach moralnych Rudolfa, zawiadomiono go listownie, że jego współpracę uważa się za niepożądaną.

Następnie wpadli na pana Brandta z Monachium, który dotychczas sprzedawał dżem pomarańczowy, ale miał ochotę pracować w drobiazgach. Ów pan słyszał, że to będzie wymagało ubierania się w spodnie w paseczki i noszenia jasnoszarego krawata. Pewnego dnia znajdował się „Pod Kulawym Capem” przy Liitzhauer Strasse w Karlsruhe, rozmawiając o jednym z ekszszefów firmy, Adolfie Mullerze, z dwoma innymi przedstawicielami. Jeden z nich, pan Uwe Nehr Korn, sprzedawał butelki różnych rodzajów; drugi, pan Kohl, sprzedawał drewniane ramy do obrazów. Obaj znali Adolfa Mullera. W miarę tego, jak w siebie wlewali, mówili coraz głośniejsze.

- Adolf to największy kutas, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Ale osobiście zobowiązuję się zrobić z nim porządek! Związek przedstawicieli handlowych podziękuje mi za to! - krzyczał Brandt.

W tym momencie drzwi nagle się otworzyły i do środka wkroczył Oberscharführer SS Gelb, a za nim pięciu jego kolegów. Brandt i dwaj jego przyjaciele znikli z knajpy jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Zawieziono ich na Wieland Strasse 6, budynku pod każdym względem najobrzydliwszego w całym Karlsruhe. Rezydował tam Obersekretar Hóst. Ukazał trzem mężczyznom swój zwykły, ohydny uśmiech.

- My, prawdziwi Niemcy, jesteśmy uczciwym narodem. - Bardzo lubił wyrażenie „prawdziwi

Niemcy”. Był z pochodzenia Węgrem.

- Wystarczy, ziomkowie. Karty na stół. Panie Brandt, pan powiedział, że Adolf jest kretynem. Brandt go poprawił: - Nie, nie, powiedziałem, że jest kutasem, a moi dwaj koledzy zgodzili się z tym. Hóst, ze słodkawym uśmiechem, potrząsnął głową ze zrozumieniem i wszyscy odnieśli wrażenie, że z tym się całkowicie zgadza. Trzech zatrzymanych mówiło równocześnie, by przekonać Hósta, jakim brudnym kutasem jest Adolf.

Protokół był niezwykle krótki. Odczytując go, Hóst zacierał entuzjastycznie ręce. Było tam napisane: PROTOKÓŁ Geheime Staatspolizei Wydział 4/II a Karlsruhe

Przedstawiciele handlowi Joachim Brandt, Alfred Kohl i Uwe Nehr Korn zostali dziś zatrzymani „Pod Kulawym Capem”, gdy wyrażali swe niezadowolenie z Fuhrera. Na zmianę krzyczeli:

- Adolf to... i słowa, których nie można zacytować, lecz stanowiące najcięższe obelgi pod adresem naszego, wybranego przez Boga, Fuhrera.

Nawet tutaj powtórzyli wszyscy trzej wielokrotnie i namiętnie, że podtrzymują powyższe wyrażenie. Zatrzymani zostali przekazani do SD celem podjęcia czynności prawnych.

Hóst Kriminalsekretar

Trzech kretynów zawieziono do Dachau, gdzie spotkało ich gorące przyjęcie. To dowodzi, do jakiego stopnia trzeba być ostrożnym, gdy się pyskuje na ludzi. Gdyby choć trochę się zastanowili, krzyczeliby o Adolfie Mullerze. Teraz nikt nie chciał wierzyć, że mówili o Adolfie Mullerze, a nie Adolfie Hitlerze. Ale konsekwencje poszły jeszcze dalej, to znaczy aż do Bremy, ponieważ w ubraniu Brandta, wśród wszystkich drobiazgów, znaleziono też ulotkę z imieniem „Hermann”, schowaną w zielonych majteczkach. Natychmiast skontaktowano się z Goeringiem. Brandt zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek widział ten papier i twierdził kłamliwie, że jego pracodawca ma ich większą ilość. Telefon do Bremy i w godzinę później z budynku przy Adolf Hitler Strasse 9 wyjechał mercedes, by przywieźć zaproszenie grubemu fabrykantowi. Ten zmarł w Neuengamme. Personalny, który zaangażował Brandta, również został przesłuchany.

Zwolniono go, ale doznał takiego szoku, że wracając do siebie rzucił się do rzeki. Znalaziono go w dwa dni później, był już martwy. Po tym wszystkim firma zrezygnowała z poszukiwania przedstawicieli. Co dowodzi, panie i panowie, że trzeba być skrajnie ostrożnym i strzec się obrażania kogokolwiek. Jako przykład opowiem wam o pewnej piekarce, która nie była dziewicą...

- Dobra, Porta - przerwał mu Stary. - O twojej dziewicy opowiesz nam innym razem. Mamy wartę. Masz akurat tyle czasu, by skończyć opowiadanie o twoim małżeństwie.

- Och, to się skończyło tak, jak zawsze. Nagle znalazłem się za fotelem, na którym tatuś ślicznotki umieścił swój tyłek. Jej wuj mówił, by zawołać żandarmerię i naprawdę to zrobił. To mnie zresztą kosztowało trzy dni w kiciu. Nazwali to nieporządkiem na drodze publicznej, jakby salon był drogą publiczną.

W tym momencie przez megafon rozległ się gwizdek podoficera służbowego.

- 5. Kompania, po jednym człowieku z każdego plutonu po przydział amunicji.

Powoli podnieśliśmy się z miejsc, by udać się do budynku. Pustynny Włóczęga syknął: - Chciałbym was wszystkich widzieć, jak zdychacie.

- Ja się niczego nie boję - twierdził jakiś młodzieniaszek, siedząc w zlewie i pożerając korniszony.

Wszędzie - na podłodze, w kuchni, w pokojach, nawet w łazience leżała lub siedziała banda młodych chłopców i dziewcząt, a wszyscy udawali, że niczego się nie boją.

- Nasi starzy powariowali - oświadczył ten, który siedział w zlewie. Wszyscy poumierają podczas ich wojny.

- Wszyscy zdychają w klatkach Gestapo - powiedziała młoda dziewczyna, całując bardzo młodego

chłopca, który jeszcze nigdy nie spał z kobietą, - Dziś wieczorem cię uwiodę. - Nawet w przybliżeniu nie była tak młoda, jak wyglądała.

- Jeśli zostanę zmobilizowany - krzyknął znerwicowany młodzieniec z trochę nieprzytomną miną - palnę sobie w łeb.

- Oczywiście - odpowiedzieli pozostali. - Nie dostaną nas.

- Niech Gestapo sobie przychodzi - oświadczyła para, leżąca za piecem kuchennym i podniecająca się widokiem dwojga innych, kochających się w kącie łazienki.

- Do nas, narodzie - powiedział niewielki młodzieniec w okularach, który miał manię deklamowania poematów heroicznych.

W pięć miesięcy później, pewnego sobotniego wieczoru, ich interesujące spotkania zostały przerwane wizytą trzech ludzi. Trzech mężczyzn w kapeluszach z opuszczonymi kresami i pistoletami pod lewą pachą.

Znerwicowany młodzieniec otrzymał policzek i dlatego nie miał nic więcej do powiedzenia.

Dziewczyna z bardzo długimi włosami, która odmówiła opuszczenia miejsca za piecem kuchennym, dostała kopniaka. Po czym stanęła na baczność.

Mały amator poematów heroicznych leżał obok kasztanowatej dziewczyny na półce szafy kuchennej.

Usłyszeli potok sprośnych obelg. Następnie stanęli szeregiem pod ścianą.

Ruda, która uważała, że jej starzy zwariowali, złała się w majtki.

Długim szeregiem poszli gęsiego do dwóch zielonych autobusów. Pięćdziesiąt dwie młode osoby, które nie bały się niczego na świecie.

Przez trzy doby pozostali na Stadthausbrücke Nr 8. Nie byli bardzo źle traktowani. Po prostu, gdy tam byli, nauczyli się, co to strach i łzy. Stali się mężczyznami i kobietami, którzy spostrzegli, że odwaga to puste słowo. Tylko ten, kto znalazł się po dobrej stronie pistoletu maszynowego, jest odważny.

Wszystkim im nałożono mundury. Niektórzy z nich zginęli podczas szkolenia rekruckiego. Inni sami wybrali śmierć, jeszcze inni płakali. Zapomnieli, jak można się śmiać.

Nie chcieli się bić. Ta sprawa ich nie obchodziła. Ale przecież musieli się bić za sprawę, która nie była ich sprawą.

* * *

Rozdział IV NA WARCIE PRZY GESTAPO

Szli, mając między sobą starą kobietę, dwaj najdzikszy łowcy głów Kriminalrata Paula Bielerta, Oberscharführerzy Schultz i Paulus.

Podeszliśmy do samych drzwi.

- Chyba tylko Bogu wiadomo, co zrobiła ta staruszka - mruknął Porta.

Nie odpowiedziałem. Co mogłem powiedzieć? Skąd mogłem wiedzieć, czego ona mogła się dopuścić ta stara kobieta w zjedzonym przez mole palcie? Podbiegała, aby dorównać kroku dwóm długonogim ludziom z SD. Uśmiechnęła się do nas tak, jakby chciała nam coś powiedzieć. Nam, dwóm żołnierzom przemoczonym od deszczu, w hełmach, z których spływały strumyki wody.

Została trochę z tyłu. Unterscharführer Schultz warknął i popchnął ją do przodu.

- Pospiesz się trochę, stara. Spiesz się nam. Nie jesteś jedyną zaproszoną tego wieczoru.

Pojechali windą aż na trzecie piętro. Porta i ja wyszliśmy na korytarz, by ją widzieć. Paulus popatrzył na nas złym okiem.

- Na co się gapiecie? Spierdalajcie! Jesteście na warcie! - ryknął.

- Zamknij pysk! - odwrzasnął mu Porta. - Nie możesz nam rozkazywać, kutasie jeden.

- Jeszcze się o tym przekonasz! - ryczał dalej Paulus, zatrzymawszy windę w pół drogi. - Nie zapominaj, że jestem Unterscharfuhrerem.

- Jesteś brudnym kutasem, oto czym jesteś... Paulus wychylił się do połowy.

- Jeszcze się zobaczymy, wredny gnoju.

- Bez żadnej wątpliwości - zadrwił Porta - ale raczej pogadamy o nalocie, jaki zrobiłeś na Herbertstrasse 7. Coś mi podpowiada, że tego dnia koło fortuny się obróciło, ale na moją korzyść. W naszym pułku znajdzie się miejsce dla ciebie, a ja zajmę się tobą osobiście.

- Co wiesz o tym nalocie? - zapytał zaniepokojony Paulus.

- Dowiesz się o tym bardzo szybko, złodzieju.

- Zdurniałeś? Nazywasz Unterscharfuhrera SD złodziejem?

- Owszem, i powtórzę to tam, gdzie zechcę i wtedy, gdy zechcę. Wytoczysz mi proces o zniesławienie?

Paulus kłął i bluzgał. Winda znikła.

- Ten kutas spędzi bezsenną noc.

- Co się stało na Herbertstrasse 7? - spytałem.

- Prawdę mówiąc dużo o tym nie wiem - przyznał Porta. - Ale jak się okazuje dosyć, aby mu napędzić strachu. Wyobraź sobie, że wiem, jak cztery dni temu uczestniczył w obławie. Poszli tam szukać dwóch ukrytych przez kurwy dezertersów.

- Przecież to nie wystarczy - zauważyłem.

- Nie, ale pewna kurwa, mieszkająca też pod numerem 7 opowiedziała mi, że Paulus i jego kumpel zwinęli karty żywnościowe dwóch zatrzymanych kurew. A także znikły pieniądze, które były schowane pod gipsową figurką. Nie byłem pewien, czy to prawda, ale sądząc z jego wrzasku, trafiłem w sedno.

- Masz zamiar go zakapować?

- Nie jestem skończonym idiotą. Najpierw wyduszę z niego wszystko, co ma. A gdy już nie będzie z niego żadnego pożytku, wyeksponuję go do Fuhlsbuttel w taki sposób, by nikt mnie nie podejrzewał. W dniu, w którym ten kutas znajdzie się w jednostce karnej, nawalę się z radości jak stodoła.

- Pod warunkiem, że ktoś nie znajdzie cię pewnego dnia z kulką w potylicy, wystrzeloną przez tłumik. Igrasz z ogniem.

- Phi, mają cykora. Od Himmlera do samego dołu to banda nędznych typów. Jedyne sposoby, by się przed nimi zabezpieczyć, to wiedzieć coś kompromitującego na ich temat.

- Co oni mogą chcieć od tej biednej starej? - pomyślałem na głos.

- Bez wątpienia to jakaś przygłupia, która za dużo gadała - rzekł obojętnie Porta. - Co to nas może obchodzić?

- Myślisz, że będą ją torturować? - zapytałem.

- Oczywiście, jeśli pomyślą, że ona coś ukrywa. Nasze podkute buty stukały. Słabe światło lamp ulicznych odbijało się na naszej broni i mokrych hełmach.

- Co byś powiedział na filiżankę herbaty ze śliwowicą? - zapytał Porta.

- Bardzo małą ilość herbaty i bardzo dużo śliwowicy. A po tym laska. Specjalistka.

- Gdybyż tylko wojna się skończyła! Wyobrażasz sobie, mój stary, jak ludzie otwierają okna tam wysoko, w gnieździe Gestapo i podnoszą krzyk: - Wojna się skończyła! Natychmiast pieprznąłbym moim mundurem w powietrze i usiadłbym na chodniku, machając nogami. I piłbym piwo z włóczęgami.

Porta wybuchnął śmiechem. - Masz kompletnego pierdolca. Co za pomysł! Ta wojna nigdy się nie

skończy i poza tym może nie trzeba sobie tego życzyć. Nasi kochani nieprzyjaciele są tak chciwi zemsty, że nie będą przebierać. Wepchną nas do swych kopalń węgla i tam możesz sobie zdychać, jeśli chcesz.

- To nieprawda. Zawsze są tacy, którzy zdołają się wykręcić.

- Zgoda. Ale nie my, niewolnicy. Może ten Bielert z najwyższego piętra. Ten Piękny Paul. To bardzo zdolny łowca ludzi. Zawsze może być zbyt użyteczny, żeby go zsyłać do kopalń węgla. Ale nie my dwaj, bo niby do czego możemy się przydać? Pustynny Włóczęga słusznie wczoraj mówił. Ta wojna zaczęła się tysiące lat przed Mahometem. I jeszcze trwa i będzie trwała przez tysiące lat po naszej śmierci. My wyobrażamy sobie, że wojny pojawiają się na nowo, ale to ciągle ta sama wojna, prowadzona na różnych frontach i z różnych powodów.

Wzruszyłem ramionami, przypomniawszy sobie dyskusję Starego z Legionistą. To kapitaliści toczą wojnę, twierdził mały Legionista, i nie chcą, żeby się skończyła. Kontynuują ją, tylko z małymi przerwami.

- Jeśli mówisz takie rzeczy - ryknął Heide - jesteś komunistą.

- To czysty nonsens - odciął się Legionista. - Jestem żołnierzem, wiecznym, ochuiałym żołnierzem i w dupie mam komunistów i nazistów, robię to, co mi każą, żebym robił.

- I to ci się podoba? - zapytał Stary.

- Na Allaha, nie, ale nikt mnie nie pyta, czy mi się to podoba. A ja pogardzam sobą z tego powodu.

- Więc dlaczego to robisz?

Legionista zachichotał, pochylając się do Starego. - A jak sobie wyobrażasz, komu tutaj to się podoba? Czy można zawrócić w miejscu i pójść do domu? Nie. Trzeba być idiotą, by stawiać sobie takie pytanie. A dlaczego ludzie nie przestają płacić podatków? Dlaczego nie prowadzą samochodów bez prawa jazdy? Dlaczego płacą za chleb? Dlatego, że boją się pójść do pierdła, Stary. Choćby na krótki czas. Ale nas by aresztowano. Tamci nie zadowolą się wsadzeniem nas do paki. Postawią nas pod mur, ale przed tym połamią nam wszystkie kości. Czy możesz mi wymienić choć jednego kulisa, któremu udało się dać nogę? W zeszłym roku próbowało tego stu sześćdziesięciu czterech. Wszystkim dano w czapę.

Stary zakończył dyskusję, polecając mu, by się zamknął. Mały Legionista wiedział, o czym mówi. Zwiedził wszystkie koszary od Morza Chińskiego po tundrę północną.

- Ach, gdybyż tylko doczekać końca tej warty - westchnął. - Jestem przemoczony. Ten zasrany deszcz spływa mi aż po plecach.

- Gdyby tylko pojawił się jakiś kot - zażartował Porta. - Strzeliłbym sobie do niego. Tu jest trochę monotennie.

- Po skończeniu chodźmy do Ciotki Dory - zaproponowałem. - Tam zawsze jest zwierzyna.

- Ja najpierw pójde „Pod Trzy Zające” - odrzekł Porta. - Namoczony pracuję na dziewięć zmian. - Otworzył swój mały, czarny notesik.

Dotarliśmy do drzwi w ścianie, uwieńczonych niewielkimi blankami.

- Wejźmy do środka na pokera - zaproponował Porta. - Mały i Heide wkrótce przyjdą. Przyniosą bańkę. Rozgrzejemy się przez kwadransik. Nikt nas tu nie zobaczy.

Pozbył się hełmu, położył karabin na ziemi.

- Być może damy jakiemuś biedakowi okazję do wywalenia w powietrze całego tego burdelu. Zapewniam cię, że są tacy, co mają na to ochotę.

Przysiedliśmy w kącie, by omówić możliwości sprzedania rzeczy, które pokradliśmy w zbrojowni.

- Pustynny Włóczęga zorganizował sobie dwa tysiące stalowych hełmów wyjaśnił Porta. - Są złożone u pewnego Szweda, który jest dozorcą na Bernhard Nacht Strasse. Jest taki ślusarz na Thalstrasse,

który je weźmie. Trzeba będzie je umieścić w składzie przy Ernst Strasse, na ukos od dworca Altona. Ale nie można ich przewieźć naszą ciężarówką.

- Ile on proponuje za kilo? - spytałem. Wiem, że łusek jest całe mnóstwo, ale trzeba je zabrać wczesnym rankiem i do tego ciężarówką z rejestracją SS. Prawo jazdy musi mieć pieczętą „SS, Pułk Fuhrera”, w przeciwnym razie się nie wywiezie. Są straszliwie nieufni od czasu zniknięcia dwóch lokomotyw. Cynk dał mi pewien szeregowiec SS. Ma do SS pretensje. Kiedyś chciał dać od nich nogę i znalazł się w Heubergu. I tego nigdy nie mógł im wybaczyć.

- Daje nam 67 fenigów za kilo - powiedział Porta. - Przy odrobinie szczęścia uzyskamy 69, ale nie więcej. Mały zajmie się tablicami rejestracyjnymi. Następnie weźmie się za wielkiego diesla Kruppa, 6 ton. Wygląda jak rodzony brat ciężarówek SS. Twój kumpel esesman powinien nam dostarczyć rozkaz wyjazdu.

- Ile trzeba mu będzie za to zapłacić?

- Kopa w dupę! Nie zapominaj, że jesteśmy na warcie przed Gestapo. Już miałby prawo do biletu w jedną stronę do Torgau, za samo to, co opowiadał.

- Kapuj się, ktoś idzie.

Słuchaliśmy. Kroki rozlegały się z daleka. Mały wystawił lufę karabinu między blankami.

- Jeśli to jeden z zasrańców z Gestapo, ukatrupię go. Później się powie, że wzięliśmy go za sabotażystę.

- Zwariowałeś?! Będziemy mieli krzywe kluski.

- Mam to w dupie. Warto, za taki numer. Rozległ się metaliczny dźwięk.

- To Mały i Heide - rzekł Porta. Ujrzeliśmy ich. Wynurzyli się zza drzewa w parku. Od czasu do czasu zatrzymywali się, szeroko wymachując rękoma. W dłoni Małego widać było butelkę.

- Bogu niech będą dzięki za pustą w środku nogę cesarskiego konia stwierdził Porta. - Nikomu nie przyjdzie do głowy, by tam zajrzeć.

Dał się słyszeć ordynarny śmiech Małego. Julius Heide narzekał: - Już ja pokażę temu sprzedawczykowi - mrucał. - Nie mógł go znieść.

- On jest „homosocjalistą”, prawdziwym obrzydliwcem - stwierdził Mały.

- To śmieć. Rozwałę mu pysk - obiecał Heide. - Zatrzymał się, splunął na chodnik, a potem rozdeptał plwocinę swym podkutym butem. - Oto co z nim zrobię.

- W życiu widziałem wielu tych świrów - kontynuował Mały, gestykulując. Zgubił swój hełm, który z ogromnym hałasem potoczył się po chodniku.

- Oni rozmawiają na temat Feldwebela Brandta - zaśmiał się Porta. - Ten naprawdę przeznaczony jest do likwidacji, a coś mi mówi, że dobry Bóg wyznaczył do tej pracy Małego.

Mały podniósł hełm, umieścił go gdzie należy i obwieścił: - Będę mu podskakiwał na brzuchu aż zdechnie.

Heide kiwnął głową zaciskając zęby.

- Mały, ty stary kutasie, wystarczy o tym pomyśleć, a już w głowie mi się kręci. Wszystko było zgodnie z regulaminem. Jestem najlepiej ubranym, najbardziej zadbanym facetem w całym pułku, w całej dywizji i do tego, kurwa, w całej Armii.

- Tak, to prawda - mruknął Mały. - Nikt ci nie sięga do pięt, nawet Hauptfeldwebel Edel. Jesteś najpiękniejszym żołnierzem Armii.

Heide z dumą zgodził się z tym. Przesunął pistolet maszynowy na ramieniu w jeszcze bardziej regulaminową pozycję.

- I więcej, Mały, jestem najpiękniejszy w świecie. Spójrz tylko na pasek podbródkowy mego hełmu. Mój pięcioletni żołd, jeśli zdołasz znaleźć na nim choć kroplę wilgoci. Czegóż oni nie wyrabiali

podczas przeglądu hełmów, ale nigdy nie zdołali mnie przyłapać. W szkole podoficerskiej, gdy nie potrafili niczego znaleźć, w końcu zaglądali nam w dupę.

Heide pochylił się do przodu. - Jazda, Mały. Dupę też mam czystą. Trzy razy dziennie szoruję ją rękawicą kąpielową. Mój grzebień jest jeszcze bardziej czystszy niż w dniu, kiedy go kupiłem. Zmierz mi paznokcie u stóp, mają po pół milimetra. Ani więcej, ani mniej. Jaka jest pierwsza moja czynność po wykopaniu okopu? No, Mały?

- Czyścisz paznokcie - mruknął Mały.

- Dokładnie, i to pilniczkiem do paznokci. Nie końcem bagnetu, jak ty i inni.

Heide zerwał sobie hełm z głowy. - Powiedz mi, czy choć jeden włos na mojej głowie nie leży zgodnie z regulaminem? Nawet moje wszy maszerują krokiem defiladowym i trzymają się prawej strony. Ale Leopold Brandt, Feldwebel diabła, stwierdził, że mój przedziałek nie jest dość prosty. To był pierwszy wypadek w historii wojny, że coś podobnego spotkało takiego żołnierza, jak ja. Wiesz, co wynalazł, żeby udowodnić, że mój przedziałek nie jest dość prosty? Dalmierz artyleryjski! Ustawił mnie na drugim końcu placu ćwiczeń, następnie wlaź na dach 3. Kompanii i wycelował dalmierz. Udowodnił, że mój przedziałek nie jest prosty. Ale przysięgam, że to się więcej nie zdarzy. Od tej chwili będę sobie cesał nawet włosy na dupie. Dlaczego on jest taki upierdliwy?

Mały hałaśliwie wysmarkał się w palce, odchrząknął, odchylił głowę do tyłu, jak lama, i wycelował prosto w orła ze swastyką na murze.

- Pewnikiem zabawiano się z jego matką, gdy była w ciąży.

- On jest poronionym płodem - orzekł Heide.

- Ach, gdybyż można wysłać go do Ruskich. Jego pierwszego, a my w dwie godziny później. Mnie ukarał za wrośnięty paznokieć u nogi.

- Oto cały Leopold - wrzasnął Heide, a jego krzyk rozległ się w cichej ulicy. Z wściekłości walnął w ziemię kolbą swego peemu.

Weszli do pomieszczenia.

- Macie zamiar ukatrupić Leopolda? - spytał Porta.

- Tak, możesz nam zaufać. Dość tego - syknął Heide. - Jeśli uda się postawić go na stanowisku numer 3, w strzelnicy, jako podającego wyniki podczas ostrego strzelania, to koniec z tobą, piękny Leopoldzie.

- W jaki sposób? - zapytałem. Mały schylił się i dał znak Heidemu.

- Powiemy mu? Heide skinął głową.

- Jeśli wszyscy przysięgną, że nie puszcza pary z ust.

Porta i ja przysięgliśmy.

Mały uradował się, łyknął ogromny haust śliwownicy, a potem przekazał butelkę Porcie.

- Słuchajcie uważnie. Niedawno, kiedy miałem służbę w drużynie obsługującej strzelnicę, zacząłem sobie kombinować, jak by tu sprawić małą niespodziankę niejakiemu Leopoldowi Brandtowi. Wkręciłem się jako złota rączka u Oberfeldwebela Pausta. Trzeba było zmienić jedną tarczę na stanowisku 3. Postawiłem piwo całej bandzie, aby musieli bez przerwy iść się odlewać. Nie odważyli się robić tego gdzie indziej niż w sraczu. Wiecie, że Hinka dostaje szału, jeśli robi się to gdzieś indziej. Nie znosi obsikiwania Trzeciej Rzeszy. W ten sposób, gdy tylko odeszli, przyheftowałem tarczę u dołu, przez to głowa nie jest za osłoną, jeśli stoi się na górze obserwacyjnej. Nikt, podziwiajcie moją robotę, chłopaki, nikt nie podejrzewał, że byłem koło trójki. Podwyższenie obserwacyjne jest pokryte miłkim piaskiem. Wszyscy wiecie, że Leopold uwielbia zgrywać tam kutasa. Ponieważ to Pustynny Włóczęga ma pod opieką listę strzelań, nie będzie mu trudno umieścić Leopolda przy trzeciej tarczy. Ćwiczenia zawsze kończy się strzelaniem z karabinu

snajperskiego i tylko do tarczy numer 3. Zaczynacie kumać?

Mały miał już dość. Zwracając się do Heidego, powiedział: - Ty, Julius i Porta bez trudności umieścicie pociski eksplodujące w tarczy w tym miejscu, gdzie Leopold będzie trzymał głowę i w końcu to nie będzie wasza wina, jeśli zniesie wam strzał trochę w bok, prawda?

- To wszystko trzyma się kupy - stwierdził Heide. - To prawie zbyt proste, by mogło być prawdziwe. Wkrótce odbędzie się ostre strzelanie, tak nam powiedział Pustynny Włóczęga. Nawet Duch Święty nie ocali głowy Leopolda, a pod koniec strzelania Legionista umieści nas jako ostatnich na liście, a magazynki opróżni się na stanowisku Małego.

- A jeśli on zejdzie z podwyższenia? - spytałem.

- To też wzięto pod uwagę - rzekł Heide. - Zrobiliśmy chronometraż. Będzie potrzebował co najmniej dziewiętnastu sekund na oddalenie się od stanowiska, a Porcie i mnie wystarczy dziesięć, by mu wsadzić dwie wybuchowe pigułki w czachę. Nigdy w życiu nie będzie skuteczniej załatwiony. Mały zgiął się w pół ze śmiechu.

- Będzie łysy nawet pod czaszką.

- To najlepsze, co się może wydarzyć! - wykrzyknął Porta.

- Uważajcie - ostrzegłem. - Jeśli Stary coś wyczai, mleko się wyleje. To morderstwo z premedytacją.

- A ty co, uważasz, że jesteś w Armii Zbawienia? - spytał Porta. - Morderstwo? To obrona konieczna. Gdybyś zadusił kurewkę po numerku, to tak, to byłoby morderstwo.

- Tylko źli ludzie to robią - oświadczył Mały - ale w każdym razie skazuje się ich na śmierć. Leopold ukarał mnie za palec u nogi. Wszystko inne było bez zarzutu. Wszystkie swoje rzeczy rozdałem rekrutom z rozkazem doprowadzenia ich do nieskazitelnego stanu. Jeden z nich zaczął pyskować, więc natychmiast wziętem go za mordę. Po tym wyczyścił mi broń tak, jak nigdy w życiu nie była czysta. Nawet sam Leopold był zdumiony!

- A co zrobiłeś rekrutowi? Stłukłeś go na kwaśne jabłko?

- Oczywiście dałem mu parę kuksańców, ale to nie wystarczyło. Więc wsadziłem mu gębę do dołu w latrynie rosyjskich jeńców. Nawet pewien stary sierżant-szef spośród jeńców to pochwalił, gdy zapoznał się z przyczyną. Zaproponował nawet, abym rekrutowi dał się tam utopić, ale przecież jestem ludzki pan. Zrobiłem go moim osobistym ordynansem z prawem stawiania mi piwa każdej soboty.

- Zabierasz mu cały żołd? - zainteresował się Porta.

- Ależ nie, nigdy w życiu. Zostawiam mu jedną markę, by mógł kupować środki czystości.

- Pewnego dnia, Mały, zostaniesz zakapowany, mówię ci!

- Możliwe, ale się wykręcę. Ale ten, kto to robi, nadawał się będzie tylko do szpitala.

- Trzeba mieć litość dla Leopolda - przerwał im Heide. - Strzeli mu się prosto w gębę. To będzie najpiękniejszy dzień mego życia.

- A propos, czy wiecie, że on poprosił o przeniesienie do SS? - wtrącił Porta. Ale mu odmówiono. Ma tylko metr i 67 centymetrów wzrostu. Tamci nie biorą niższych niż 170 centymetrów.

Porta wyciągnął z kieszeni kostki do gry, dmuchnął na nie, potrząsnął nimi w dłoni i dmuchnął ponownie.

- Partyjkę?

Mały przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Przykucnął na ziemi.

- Po co to całe przedstawienie, Porta? Wszyscy wiemy, że są podfałszowane.

Porta z oburzeniem potrząsnął głową.

- No i tu się właśnie sypnąłeś. Mam dwa komplety. Te są dobre.

- Chory jesteś? - zdumiał się Heide.

- Zamknij dziób - odparł Porta. - A poza tym właśnie naprowadziłeś mnie na myśl, że jesteś mi krewny dwa litry śliwownicy i dwanaście fajek opium. Wczoraj upłynął termin. Wobec tego będzie to plus 80%. Julius, twoje długi przyprawiają o zawrót głowy.

Porta wyjął mały, czarny notes i oblizawszy palec zaczął kartkować. Zajrzyjmy sobie, ach, tu jesteś, wałku. „Julius Marius Heide, Unteroffizier, urodzony w Dortmundzie, służy w 27 Pułku, 5. Kompanii, 2. Plutonie, 3. Drużynie.” O tobie mowa?

Heide słabo kiwnął głową.

Porta wsadził sobie w oko swój pęknięty monokl i poprosił Małego, by mu poświecił latarką.

- 4 kwietnia: 9 butelek wódki. 9.: 3 butelki śliwownicy. 12. były twoje urodziny, nie miałeś szczęścia, mój stary. Powinieneś przekląć własną matkę za to, że cię nie udusiła natychmiast po porodzie.

Dobra, wróćmy do rzeczy. A więc dnia 12.: 712 marek i 13 fenigów, 21 butelek śliwownicy, jeden litr wody różanej, 9 fajek opium, wódka duńska, pół skrzynki Dortmundera, bezpłatny wstęp do burdelu na okres miesiąca. Później jest 20., urodziny Hitlera, dzień najbardziej złowieszczy ze wszystkich. Nie zapominaj, że byłeś członkiem Partii.

- Tak, ale z tym skończone - zaprotestował Heide.

- Nie twoja wina. Po prostu zostałeś stamtąd wykopany - ujawnił brutalnie prawdę Porta. - Nie chciano cię więcej oglądać. W dniu urodzin pana Hitlera straciłeś tylko pieniądze: 3,418 Reichsmarek i 12 fenigów. Możesz dodać 80% odsetek. Nigdy się z tego nie wyplącesz, Julius.

- Umieć pisać, to musi być coś wspaniałego - oświadczył Mały z podziwem. Gdybym to był ja, szybko bym się wzbogacił. Wystarczyłoby, abym wysłał do parku sztywnych jednego z tych typków, którzy spacerują z tymi jakimiś książeczkami w kieszeniach, podpisywałbym te czeki i to wystarczyłoby, żebym poszedł do banku i zgarniał kasę.

Nikt nie odpowiedział. Zbyt wiele czasu wymagałoby wyjaśnianie mu, że sposób na książeczkę czekową nie jest tak prosty, jak mu się wydaje.

- Julius - zabrał głos Porta - wiesz, że jestem dobrym kumplem. Doskonale zdaję sobie sprawę, że dług ci ciąży. Chciałbyś się go pozbyć?

- Anulujesz go? - nie mógł uwierzyć Heide.

- Najdokładniej - potwierdził Porta z chytrym uśmieszkiem.

- Jesteście tego świadkami! - wrzasnął Heide, coraz bardziej zdenerwowany.

- Spokojnie - przerwał mu Porta, by ochłodzić jego entuzjazm. - Oddasz mi trzy bele materiału. Te, które schowałeś w pokoju Kija od Miotły. Chcę również dwóch beczek śledzi holenderskich, które wraz z „Kielbasą” złożyliście u dentysty na Hans Hoyer Strasse.

- O, kurwa, skąd o tym wiesz? Małe, świńskie oczka Porty zabłysły.

- Wiem znacznie więcej, niż sobie wyobrażasz.

- Dywany na Paulinen Platz także?

- Oczywiście - odparł krótko Porta. - Po tym anuluję twój dług i przymknę oczy na resztę. To było ryzykowne posunięcie, ale Porta miał szczęście.

- Nie będziesz próbował mnie szantażować? - chciał upewnić się Heide.

- Słowo honoru - przysiągł Porta, unosząc trzy palce do góry.

- Twoje słowo honoru mam tam, gdzie wiesz. Daj mi pokwitowanie na piśmie za śledzie, za materiał i za pięćset dwadzieścia pięć wełnianych dywanów.

- Powiedziałem „wszystkie dywany” - odparł przebiegle Porta.

- Trochę za dużo chcesz się nachapać! - ryknął Heide. - Osiemset dywanów! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że to będzie o wiele więcej, niż jestem ci winien?

- Zapominasz o mojej dyskrecji, a ona jest kosztowna. Mógłbym równie dobrze pójść przeszukać

cały burdel, zamiast tracić czas na dyskusję z tobą.

- Ale chyba nie pójdziesz mnie zakapować? - odparł oburzony Heide.

- We wszystkich sprawach, jeśli to się opłaci. Historia z tamtym chłopem nie poszła w zapomnienie, Julius.

- No właśnie, cienia uczuć - warknął Heide. - Ale coś ci powiem. Śledzie i dywany parzą ręce, a ja nie będę nic wiedział, jeśli zostaniesz zwinięty.

- Nie martw się - odparł Porta. - Tego dnia, do pudła pójdzie się razem. Ręka w rękę, jak dwaj dobrzy przyjaciele, jakimi jesteśmy.

- A to jakim sposobem?

- Doprawdy, ale z ciebie tępak - zażartował Porta. - To ty pójdziesz po dywany i ty je odsprzedasz. Ja zaś, jeśli wolisz, zadowolę się inkasowaniem i sprawdzaniem należności.

- Coś podobnego! Ty rzeczywiście uważasz się za nietykalnego. Ale nie wyobrażaj sobie, że ujrzysz choć okruszek z tego, co mi zostanie.

- To się jeszcze zobaczy - stwierdził Porta.

- Nigdy! - zawył Heide. - Ja też coś wiem na twój temat. Mam przyjaciela, który jest szefem obozu szkoleniowego w SS. Szepnął mi, że poszukują faceta, który zwinął stalowe hełmy. W tej sprawie jest już gotowa cela w Fuhlsbiittel ze wszystkim, co należy.

- I wyobrażasz sobie, że mnie to obchodzi? - Na Porcie nie zrobiło to wrażenia.

- Ten, którego poszukują, to ty! - wrzasnął Heide.

- Zamknijcie się - powiedziałem. - Wszystkich pobudzicie.

- Jeśli nadal będziesz mieszał się do moich spraw - zagroził Heide - pójdziesz tłuc kamienie w Torgau, Herr Obergefreiter Joseph Porta.

Mały położył kres ich dyskusji. Rozejrzał się wokół i oświadczył tajemniczym tonem: - Gdy Leopold odda duszę, napcham się kielbasami ze śliwowicą.

Heide potwierdził skinieniem głową.

- Leopold i jego koledzy mogą być dumni. Mają pierwszorzędne zajęcie. Zrobili z nas to, co chcieli. Takich, co pójdą na wszystko. Ludzi ze stali Kruppa.

- Stal Kruppa w porównaniu ze mną, to jest masło - oświadczył Mały, waląc pięścią w betonową ścianę, która skruszyła się od uderzenia. To wyglądało tak, jakby walnął w nią młotem. Tym koreańskim ciosem udowodnił, że jest z nas najsilniejszy. Mógł rozbić cegłę na połówki, ale to wymagało dwóch uderzeń. Steiner, próbując tego samego, fatalnie uszkodził sobie dłoń. Ale później zaczął ćwiczyć na otynkowanej ścianie i doszedł do tego, że szło mu całkiem dobrze. Każdy potrafi złamać trzonek od szpadla. W tej chwili Mały ćwiczył to na żelaznym pręcie.

Pierwszy raz pokazał nam to pewien mongolski żołnierz. Jednym ciosem powalił Małego. Prosto między oczy. Tak nam zaimponował, że byliśmy gotowi go uwolnić, jeśli zechce nas nauczyć tego triku. I zrobił to w ciągu sześciu tygodni. Wsadziliśmy go w niemiecki mundur i zabraliśmy ze sobą. Rozstaliśmy się w wigilię Bożego Narodzenia. Widzieliśmy, jak biegnie przez obie linie frontu. Było nam trochę smutno, był to fajny facet. A potem zapomnieliśmy o nim.

Rozległ się odgłos kroków. Nastawiliśmy uszu. To nie był żołnierz.

- Kto to taki? - spytał Porta. - Mały, pójdz się przekonać.

Robiąc więcej hałasu niż potrzeba, Mały wyszedł z naszego schronienia i wrzasnął: - Stój, hasło!

- Och, dobrze - rozległ się głos w ciemności. - Przestań zgrywać kutasa.

- Hasło, albo strzelam - powtórzył Mały.

- Nie, czy ty masz świra? Rozpoznaliśmy głos Barcelony, ale Mały się wściekł.

- Hasło, albo zrobię z ciebie rzeszoto! - Zarepetował broń.

- Przecież to ja, kretynie! - krzyknął zdenerwowany Barcelona, kryjąc się w rynsztoku. Dostrzegliśmy cień jego hełmu.

Mały odezwał się jeszcze groźniej: - Hasło, albo cię rozwalę. Jest wojna i mówię poważnie. Nikt tu nie wejdzie bez hasła.

- To ja, kutasino - wściekał się Barcelona z rynsztoka. - Twój kumpel Barcelona, do kurwy nędzy.

- Nie znam, nie mam stałych przyjaciół. Hasło, albo strzelam. - Przyłożył broń do ramienia i wycelował.

Ze strachu nie śmieliśmy oddychać. Gdy Mały był w takim nastroju, można było spodziewać się wszystkiego.

- Przestań - szepnął Heide. - Narobisz nam bigosu.

- Mam to w dupie! - rozdarł się Mały. - Jestem dobrym żołnierzem i znam tylko moje zadania. Hasło, albo w niego strzelę!

- Ty kurwo z burdelu, strzelaj, jeśli chcesz. Mam cię w dupie razem z twoim hasłem. - Barcelona podskoczył do góry i w trzech susach znalazł się między nami.

Małemu znudziło się.

- Boisz się, co, ty mokry worku?

- Zastrany żołnierzyku - syknął Barcelona - powiedz mi, co to takiego, hasło?

- Nie mam pojęcia - odparł szczerze Mały. - Istnieje jakieś hasło? To ty jesteś Feldweblem. Ty powinieneś je znać.

- W takim razie, czemu robisz z siebie takiego kutasa? - zagrzmiął Barcelona. Wyciągnął rękę do butelki ze śliwowicą.

- Daj mi ją. Stary wysłał mnie, by was zawiadomić, że dzisiejszej nocy będziecie mieć spokój. Gestapo ciężko pracuje. Piękny Paul właśnie przesiewa swych pacholków. Wielka czystka. Na dole stoją w kolejce do wejścia do więzienia.

- A co oni takiego zrobili? - spytał z zainteresowaniem Porta.

Barcelona zatarł dłonie.

- Wszystko. Sabotaż. Niesubordynacja. Niedbałe pełnienie służby. Do tego drobne grzeszki w postaci korupcji i złodziejstwa. - Zachichotał. - Nie brak nawet małego morderstwa. Jeśli Piękny Paul będzie to kontynuował, jutro rano na najwyższym piętrze znajdzie się sam. Wszyscy skurwiele właśnie srają w portki. Każdy robi, co mu się podoba.

Porta potrząsnął głową.

- Ależ okazja! Bylibyśmy kutasami nie korzystając z niej.

- Chcesz pomóc Pięknemu Paulowi? - zdumiał się Mały.

- Właśnie, ale nie tak, jak myślisz.

- Nic już nie rozumiem - oświadczył Heide.

- Qui vivra, verra - stwierdził Legionista, mając wątpliwości, co do pomysłu Porty.

W dziesięć minut później zostaliśmy zmienieni. Umyślnie robiąc tyle hałasu, ile się dało, weszliśmy do wartowni, gdzie Porta ogłosił: - To ja biorę na siebie rewidowanie ich wyrzuconych podpolikierów.

Na twarzy Legionisty pojawił się pełen zrozumienia uśmiešek.

- Dobra, camarade. Zwęszyłeś zwierzynę.

- Uważaj, Porta, to się nazywa sprzeniewierzeniem cudzej własności.

- Ach, dajże spokój... - zaczął Porta. Ale u drzwi rozległ się dzwonek. Stary otworzył je bez pośpiechu.

Jakiś sekretarz brutalnie wepchnął do środka trzech ludzi z SD.

- Oto kandydaci do pułka. Zajmijcie się nimi. - Rzucił na stół Starego żółte nakazy aresztowania. Barcelona otworzył książkę zatrzymań i wpisał ich nazwiska oraz powody aresztowania. Ta księga została założona w czasach Cesarstwa, służyła nadal za Republiki Weimarskiej, a teraz działała pod skrzydlatym godłem nazistowskim.

Stary rozłożył na stole żółte nakazy aresztowania. W lewym, górnym rogu miały następujący napis: „Zatrzymany zostanie postawiony przed Wysokim Trybunałem Policyjnym Stanu Wojennego SS w ciągu 48 godzin. Czasowo pod dozorem Kompanii Karnej”.

Porta zajął miejsce po środku pomieszczenia. Pożyczył czapkę Heidego i uczesał się na wzór Feldwebela, z daszkiem opuszczonym na lewe oko. Uśmiechnął się do trzech zatrzymanych z udawaną dobrocią.

- Spójrzcie na mnie. Nie przeoczyliście mojego stopnia? Nigdy o nim nie zapomnijcie. Będziecie mieli dość czasu by go pamiętać w nadchodzących godzinach. To wy zdecydujecie, jakie będą nasze przyszłe stosunki. Potrafię być jak kociaczek, głaskany z włosem. I mogę być zły jak wygłodzony niedźwiedź syberyjski. Jestem Obergefreitem, kręgosłupem Armii. Nazywam się Joseph Porta z 27. Pułku. Opróżnijcie kieszenie, kładąc wszystko na stół.

W świetle dziennym pojawiły się ciekawe rzeczy.

Unterscharfuhrer SD Blank z niepokojem przyglądał się pięciu papierosom marihuany, które wydobył spod podszewki.

Porta pokazał je palcem.

- Wstydu nie masz? To jest kontrabanda. Uważam, że trzeba się ciebie strzec.

- Dał mi je pewien aresztant - próbował tłumaczyć się Blank.

- No proszę, aresztant zrobił z kolei prezent mnie - triumfował Porta, wkładając je do kieszeni.

Zwrócił się do Scharfuhrera SD Leutza.

- A ty, też dostałeś prezenty? - Nie czekając na odpowiedź odłożył na bok pięć małych buteleczek.

- Brakuje jeszcze tylko fajki. Na Boga, jak wy, obrońcy ojczyzny z SD, śmiecie posiadać opium?

Leutz spuścił oczy. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Czy ma wrzeszczeć, kłąć, dać kopniaka w podbrzusze tego kurewskiego Obergefreitera? Zerknął w stronę Małego. Skłaniał się raczej do kopniaka. Ale ten wielki zwał mięsa trochę dalej wyglądał zbyt niebezpiecznie. Bawił się bardzo mocno wyostrzoną łopatką piechoty. Nagle Mały zrobił coś takiego, co więźniom dech zaparło. Położywszy łopatkę na dwóch oparciach krzesel, złamał jej trzonek, i to jednym uderzeniem kantem dłoni.

- Widziałeś, Porta? - zawołał. - Załatwiona! Dajcie mi któregoś z tych z SD i złamię mu plecy. Powie się, że się na ciebie rzucił.

Leutza przeszedł dreszcz. Wolał skapitulować.

- To dla ciebie. Zabierz wszystko.

Porta zrobił dumną minę. Nie czekając na odpowiedź tamtego wziął zegarek na rękę i przyłożył do ucha.

- Doskonały zegarek. Oprze się wojnie totalnej. - Zegarek znikł w jego kieszeni.

Leutz ciężko westchnął, ale powstrzymał się od protestu.

Wzrok Porty, drapieżnego ptaka, padł na pierścień na palcu Oberscharfuhrera SD Kruga. Było to cyzelowane złoto. Pierścień przedstawiał dwa skręcone węże z głowami z brylantów.

- Daj mi go, a będziesz miał spokojną noc - obiecał, wyciągając rękę.

Krug zaprotestował z oburzeniem, apelując do uczciwości Porty.

- Zatrzaśnij dziób, pyskaczu - przerwał mu Porta. - Oddaj mi pierścionek, i to szybko, proszę pana. Spiesz się. Sam go ukradłeś.

Oberscharfuhrer SD zmienił taktykę. Stał się ordynarny, lekko powiedziawszy.

- Co wy sobie wyobrażacie, Obergefreiter? Nie widzicie, kim jestem? Dostyc już tego albo strzeżcie się mnie!

- On jeszcze nie zrozumiał, co, Oberscharfuhrer? Powiedz mi, Pustynny Włóczęgo, co sądzisz o tym niedonosku?

- Głupi - orzekł krótko Legionista.

- W przeciwnym razie nie byłby w SD - roześmiał się Porta.

Krug wpadł we wściekłość. Zapomniał, gdzie się znajduje. Wziąwszy się pod boki nadał się na pruską modłę. Z najwyższym trudem ukryliśmy nasz podziw.

Tylko Stary udawał, że nic nie widzi. Zagłębił się w księdze zatrzymań, ale dobrze wiedzieliśmy, że nie ma najmniejszego współczucia dla tych upadłych policajów.

- Nie widzicie, że jestem Oberscharfuhrerem! - ryczał Krug.

- Nie jestem ślepy - odrzekł arogancko Porta - ale nawet gdybyś był generałem, powiedziałbym ci tylko: gówno.

Krug zapłakał. Zabrakło mu słów. Jąkał się z podniecenia.

- Wymagam, na Boga, wymagam, szacunku dla mojej osoby. Musicie się do mnie odzywać zgodnie z regulaminem. Jestem Oberscharfuhrer SD Krug, człowiek, który dobrze zna swe obowiązki. Stańcie przede mną na baczność, Obergefreiterze.

- Gówno z dna latryny!

- Złóż meldunek! - ryknął Krug.

- Podetrę się nim - odpowiedział wymownie Porta. - Teraz cały świat ma w dupie twoje meldunki. Aż do nowych rozkazów teraz jesteś moim zatrzymanym. Porta położył nacisk na słowa „moim” i „zatrzymanym”.

- A teraz grzecznie zrobisz mi prezent ze wszystkiego, co masz, nie zapominając o pierścionku. Mogę go podarować Gorącej Werze z Siły Wiatru, za pracę, którą zawsze dla mnie wykonywała. Jeśli będziesz nadal protestował, nie gwarantuję za nic.

Następnie, wskazując Małego, zabawiającego się talią kart, poprzednio należąca do Blanka, dodał: - Ten zajmie się tobą. On was, chłopczyków z SD, bardzo kocha. Zrobi wszystko, o co go poproszę. Ale jeśli jesteś miłym i mądrym dzieckiem, powiem Gorącej Werze, że pierścionek jest prezentem od ciebie i razem będziemy cię wspominać przez te kilka tygodni, które spędzisz w brygadzie Dirlewangera, zaciskając sobie półdupki.

Krug wstrząsnął się, usłyszawszy nazwisko Dirlewangera. Chociaż brygada była najściślej „Gekados”, Krug i jego koledzy bardzo dobrze wiedzieli, co oznacza to nazwisko. Była to karna brygada SS, której jedynym zadaniem było tępienie wszelkimi środkami partyzantów, znajdujących się w wielkich puszczech wokół Mińska. Jej dowódca, Brigadenfuhrer SS Dirlewanger, był byłym katorżnikiem, który dzięki swemu brutalnemu cynizmowi i skłonnościom sadystycznym otrzymał dowództwo tej jednostki. Jego okrucieństwo było tak wielkie, że nawet w pewnym momencie Himmler i Heidrich zażądali, by został postawiony przed sądem wojennym i skazany na śmierć. Gwałcenie polskich więźniarek było najłagodniejszym punktem oskarżeń, skierowanych przeciw niemu, ale cieszył się on protekcją dowódcy szkół oficerskich SS, Obergruppenfuhrera SS Bergera. Ten zaś 22 listopada 1941 przez ponad godzinę przekonywał Heydricha i Himmlera, że konieczne jest tolerowanie Brigadenfuhrera Dirlewangera. Jego argumenty zrobiły wrażenie przede wszystkim na Heydrichu. Jego teorie były zgodne z wyznawanymi przez Bergera. Z terrorem trzeba walczyć za pomocą terroru. Aż do swej śmierci Heydrich był przekonany, że zwycięstwo odniesie ten, kto lepiej będzie posługiwał się przemocą.

Na trzy dni przed zamachem na Heydricha w Pradze, Dirlewanger oświadczył: - Jesteście tylko sentymentalnymi wieśniakami, nic nierozumiejącymi z wojny, którą prowadzimy. Jest prawdopodobne, że trzeba będzie zgładzić 90% narodu niemieckiego. Dla wszystkich i za wszystko może istnieć tylko jedna forma kary: śmierć przez ścięcie. Karmienie więźniów jest zbyt kosztowne. Dałem memu oddziałowi dyspozycyjnemu, Einsatzkommando, rozkaz rozstrzeliwania wszystkich więźniów z grup roboczych, gdy tylko wykonają swoją pracę. Transporty zbyt wiele kosztują. Ludzie Dirlewangera byli skazani na śmierć, zarówno przez nieprzyjaciela, jak swych współobywateli. Gdziekolwiek pojawiali się samotnie, ryzykowali, że będą likwidowani. Rozpoznawano ich po dwóch pozłacanych godłach, noszonych na czarnych kołnierzach SS. Oficjalnie dawano im dwa miesiące życia. Gdy w sztabie Dirlewangera odbywała się jakaś uroczystość, a to zdarzało się często, wysyłano oddział na obławę do jednego z miast Polski czy Białorusi, by dostarczył kobiet.

Kariera Dirlewangera miała taki koniec, na jaki zasługiwała, ale na nieszczęście nastąpił on o wiele za późno. Osobiście ustanowił barbarzyńską karę, polegającą na powolnym smażeniu człowieka nad ogniem. Dirlewangera znaleziono powieszzonego na drzewie, głową w dół, szerniałego jak przypalony tost. Polscy partyzanci opowiadali, że zrobili to ludzie z jego własnej brygady. Wrzeszczał przez cztery i pół godziny, a ośmiu z nich utworzyło koło taneczne wokół drzewa i śpiewało:

Jak daleko sięgają wrzosowiska Wszystko należy do mnie, Jestem wolnym myśliwym...

Tych ośmiu partyzanci nie tknęli. Gdzieś w Polsce ponoć, znajduje się obraz, ukazujący to wydarzenie. Wyraźnie widać na nim twarz Dirlewangera tuż nad płomieniami. To było 21 stycznia 1945.

Oberscharführer SD nie miał złudzeń co do swojej przyszłości. Wiedział, co go czeka. Widział wielu odjeżdżających do przerażającej brygady, ale nigdy, ani jednego powracającego. Wszyscy znikali bez śladu, jak również dotyczące ich dokumenty. Oczywiście istniała zawsze jedna szansa na tysiąc. To zależało od szefa więzienia wojskowego Torgau, ale ten jednoręki Oberst nie był bardzo miły dla ludzi, wyrzuconych z SD. Krug obiecywał sobie, że będzie się tam zachowywał wzorowo. Przeklinał SD. Gdy Obersta poinformują o tym jego kapusie, być może ten okaże się na tyle przychylny, by go wysłać do zwykłego pułku karnego.

Mimo wszystko niewyraźnie protestował przeciw żądaniom Partii.

Dwoma kocimi skokami Mały znalazł się u jego boku.

- Nie opieraj się, mój SD-manie. Rób to, co ci się każe. Opróżnij kieszenie. Pchnął Kruga w stronę drzwi celi. - Oto twój pokój do chwili, gdy przyjdą po ciebie twoi kumple.

Porta roześmiał się.

- Nie masz szczęścia, Krug, to gniew Boży. Staczasz się po równi pochyłej. Zostałeś zapomniany. Już nie istniejesz. No właśnie - dodał. - Więc co on zrobi ze swoim bogactwem?

- Jak człowiek się czuje, gdy jest żywym trupem? - zainteresował się Mały.

- Nie ma się z czego naśmiewać - zaprotestował Krug, ocierając sobie czoło niezbyt czystą chusteczką, na której wyhaftowane były nie jego inicjały.

- Ale chyba nie oczekujesz, że zacniemy popłakiwać?

Krug wymamrotał coś niezrozumiałego. Mały wziął pierścionek, obwąchał go i dokładnie obejrzał.

- Mógłbym go odprzedać u „Emila”. Pachnie dziwką. Porta, co tam jest w środku napisane?

- „P.L. ”. Krug, opowiedz nam, kto to był P.L.?

- Paula Landau. Zmarła w Neuengamme.

- I podarowała ci pierścionek za to, że ją dobrze traktowałeś? - spytał łagodnie Porta.

Krug pogłaskał się po karku, patrząc to na jednego, to na drugiego. Stanowczo wolał nie wchodzić w szczegóły sprawy „Paula Landau”. Już w chwili przybycia do Neuengamme była trupem.

Spędził wiele złych dni w obawie, by fakty nie wyszły na jaw. Piękny Paul w takich sprawach dziwnie się zachowywał. Bez skrępowania zarządzał straszliwe tortury, ale biada temu, kto robił to z własnej inicjatywy. Nawet w przypadku samoobrony. Nikt z tej grupy nie mógł zapomnieć końca Unterscharfuhrera Willyego Hirscha, usmażonego na wolnym ogniu poczynając od nóg. Bardzo powoli. To trwało przez trzy tygodnie. A wszystko z powodu pięciu dziewcząt, które i tak miały zostać powieszane.

Krug zadrżał. Trzeba będzie zainteresować tych dwóch zamiataaczy czymś innym niż Paula Landau. Wyglądali na bardzo rozluźnionych, ale czuł, że to jest świadomie przybrana postawa. To były demony. Z całkiem obojętną miną odkręcił obcas buta i pokazał w nim tajną skrytkę. Wyjął z niej dwa banknoty po 50 dolarów i buteleczkę białego proszku.

Porta udał, że się dziwi. Powąchał proszek.

- To hera!... Musiałeś być bogaty. Jak to się stało, że stoczyłeś się w dół tak szybko?

Krug się skurczył.

- Nie musisz się krępować - kontynuował Porta - nie jesteśmy tu zbyt delikatni. Nie należymy do chóru dziecięcego.

Mały zrobił w stronę Kruga karcący gest i zabrał głos.

- Gdybym ci się zwierzył z tajemnic mego życia, padłbyś na dupę, strażniku bezpieczeństwa mego tyłka. Mówią, że Mały jest głupi, ale mimo wszystko nie jest aż tak głupi, by przyznawać się do tego, czego nie można udowodnić. Skazują tylko za to, do czego się przyznasz. Póki się nie przyznałeś, sędziowie i inne świntuchy nie mogą ci nic zrobić. Przyznałeś się, bezpiecznik moich jajec?

Krug skinął głową. Wyglądał, jak chrześcijanin w jaskini lwów.

- Idiota - stwierdził krótko Mały.

- Do czego się przyznałeś? - zainteresował się Porta.

- Szantażu. Była taka dziewczynka we Friedrichsbergu. Trzymaliśmy jej alfonsa, i to od dawna. Robiłem takie numery już wcześniej, ale nie spodziewałem się, że jej mamusia pójdzie do Pięknego Paula.

- Mogłeś zaprzeczyć - powiedział Porta.

- To nie wypaliło. Zastawili na mnie pułapkę.

- A ty wlałeś do niej jak głupek. - Małego to wyraźnie zeźliło. - I z tego powodu jesteś u nas.

- I bardzo dobrze, wkrótce wyruszysz w drogę do Dirlewangera - wesoło stwierdził Heide.

- Jesteś zbyt pazerny - kontynuował Mały. - Nie zarzyna się kury, znoszącej złote jaja. Widzisz, przyjacielu, gdyby moja droga zaprowadziła mnie przed dziesięć fajek opium, wziąłbym tylko osiem.

- Tak to i jest - potwierdził Barcelona.

- Owszem, ale tak czy tak zabieracie wszystko, co mam - zaprotestował słabo Krug.

- Z tobą jest inaczej - oznajmił triumfalnie Mały. - Dlatego, że choć jeszcze oddychasz, jesteś człowiekiem martwym. Twoje papiery są przekreślone na czerwono. Nikt cię nie zna. Nikt nie chce cię znać. Partyzanci wujaszka Stalina już na ciebie czekają w Puszczy Mińskiej. Widziałeś, co robią z kulisami Dirlewangera, którzy żywcem wpadną im w łapy?

Krug przewracał oczami.

- Co robią?

Mały zaśmiał się szatańsko.

- Porta, powiedz mu, co oni robią.

Porta oblizal sobie wargi, a potem splunal na czystą i błyszczącą podłogę. Krug spojrzal na plwocinę.

- To cię interesuje? - spytal Porta, uśmiechając się kącikami ust. - Daję ci to do wyczyszczenia. Twoi mali koleżkowie w Fagen nauczyli mnie tego sposobu.

- To nie moja wina - zaprotestował Krug. - Nigdy nie byłem w Fagen.

- Jesteś głównem - zdecydował Porta. - To czysty przypadek, że nie byłeś także w Fagen. Tego dnia, gdy przyjdzie do zdawania rachunków, okaże się, że nikt nic nie robił. Wszyscy otrzymywali tylko rozkazy od swych przełożonych, aż dojdzie się do tego, który znajduje się na samej górze drabiny. Wsadzi rękę do ognia na dowód, że to sam Pan Bóg osobiście wydawał mu rozkazy, za pośrednictwem dwóch białych gołąbków.

- To nie moja wina - powtórzył Krug.

- Oczywiście - zadrwił Porta. - A do wstąpienia do SD też cię zmuszono, prawda?

- No dobra, może nie dokładnie tak - przyznał Krug. - Ale w Infanterieregiment SS Deutschland byli skurwiele. Mimo wszystko tu było lepiej.

Po raz pierwszy Stary podniósł wzrok. Skierował uparte spojrzenie na Kruga. Chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał i znów zagłębił się w rejestrze.

- Oczywiście tu jest lepiej - zgodził się Porta. - W pułku Deutschland trzeba było robić wrażenie, że należy się do bohaterów. Bohaterów z pełnymi portkami. Rozumiem. Ale pewnego dnia drogo za to zapłacisz.

- Zamknij się, Porta - zażądał Mały. - Ochujałeś? Powiedz temu skurwielowi, co robią leśni partyzanci. - Oblizal się. - Mogę ci w zaufaniu powiedzieć, Krug, że w porównaniu z artystami Józia w Mińsku, wy mali hitlerowcy jesteście zupełnie pozbawieni wyobraźni. Pamiętasz, Porta, tego typu, którego znaleźliśmy w mrowisku?

- Ta historia z mrowiskiem jest bardzo stara - przerwał Krug. - Znają ją nawet w Dywizji Policji SS.

- Nie wątpię - odparł Porta. - Ale czy znasz tę? Przywiązuje się ciebie wygiętego w łuk między dwoma drzewami. A mewy bardzo powoli wydziobują ci oczy? Nie możesz się uwolnić, póki wielkie ptaki nie powyjadają ci ścięgien. Ale do tej pory będziesz już martwy.

- Tylko jeden raz widziałem taką, która wyszła z tego z życiem - dodał Mały. To była mała donosicielka, Nastazja z Mogilewa. Ale nikt już nie będzie się z nią bawił. Nieźle jej się wiodło, póki nie wpadła w ręce partyzantom. Przepiękna laleczka, ale gdy ją odnaleziono, koniec z urodą.

Barcelona Blom zaśmiał się sardonicznie.

- Zabawnie ją załatwili, Mnóstwo ludzi było z jej winy powieszonych. To jeden z naszej grupy powiedział im, gdzie ją znaleźć.

- A co jej zrobili? - zapytał Krug.

- Na pośladkach wycięli jej dwie wielkie swastyki - wyjaśnił Mały. - W parę minut po tym, jak zdjęto ją z drzewa, rzuciła się pod przejeżdżającego tygrysa. Była kompletnie stuknięta. Bała się wszystkiego, jak samego diabła.

- Boże Świąty - dodał mały Legionista - ci partyzanci są fantastycznie pomysłowi. Buntownicy z Rifu nie wymyśliliby nic lepszego.

- Pamiętacie Hauptsturmführera SS Ginge z kompanii ochronnej w Mińsku? krzyknął entuzjastycznie Porta.

- Tego, którego upieczono jak świnie? - upewnił się Barcelona.

- O, właśnie - odrzekł Porta. - A on nie był nawet od Dirlewangera. Zupełnie zwykły oficer Waffen SS. Krug, dać ci dobrą radę?

Krug kiwnął głową. Był błądy jak ściana. Porta roześmiał się cichutko.

- Kurwa, wpadłeś po uszy. Gdy będziesz miał chwilę czasu, tam w Fuhlsbiittel, załóż sobie sznur na szyję. Jeśli zaczniesz od tego, że staniesz przed sądem wojennym, już nie będziesz miał najmniejszej szansy. Założą ci żelaza, które zostaną zdjęte dopiero w momencie przekazania cię Dirlewangerowi. Nie ludź się, że skierują cię do oddziału karnego. Tam ciebie nie chcą. Esesman przybywa do nas tylko za drobne wykroczenia. Nie, sznur, to będzie dla ciebie najlepsze i najłatwiejsze. Typki od Dirlewangera są wysyłani w najgorsze miejsca. Każda ich operacja równa się masowej egzekucji. Nikt ich nie chce, nawet emerytowane kurwy.

Krug, Oberscharfuhrer SD, twarziel nad twarzielami, płakał. Nigdy w pełni nie potrafił w to uwierzyć. Często mu to przepowiadano, ale nigdy nie chciał w coś takiego uwierzyć. A teraz został przekonany. Co robić? Nie chciał pozłacanej odznaki na czarnym kołnierzu. Usłyszał, jak z daleka Mały życzy mu dobrej nocy.

Ciężkie drzwi celi zatrzęsły się z hałasem. Był teraz odcięty od świata, w którym żył do tej pory. Rzucił się na ziemię. Tylko tam mógł się położyć. W celi nie było nic. Gdyby go umieszczono w prawdziwym więzieniu, miałby tam pryczę i brudny koc. Ale tu nie było nic. Było niewiarygodnie czysto. Armia była twarda na swój sposób. Na policji można było się skarżyć, ale nie w Armii. Cokolwiek ci zrobili, trzeba było odpowiadać „Jawohl”. Tutaj było się tylko kulisem wśród kulisów. To sobie całkowicie uświadomił. W głębi serca wszyscy ludzie z SS i SD bali się Armii. W obu tych formacjach szkolenie było twarde, ale w SS było się traktowanym jak człowiek, człowiek z elity. W Armii było inaczej. Tam było się tylko kulisem. Krug przyjrzał się swej leżącej obok czapce. Wielka trupia głowa uśmiechała się makabrycznie. Zawsze był dumny z tej trupiej głowy. Zapewniała mu pewność siebie. Ileż to razy widział, jak to godło hipnotyzuje ludzi. Zawsze chciał wstąpić do dywizji SS Totenkopf, jedynej jednostce SS, która na czarnych kołnierzach miała wyhaftowaną trupią główkę. Ale go nie zechciano. Był za duży. Tamci chcieli tylko małych. Nie ponad 170 cm wzrostu. Małych, największych twarzieli. Nigdy nie zapomniał Unterscharfuhrera Brinkendorfa, który dość krótko służył u nich w wydziale IV/2a i który pewnego wieczoru pokazał im swoją książeczkę. Osobiście wyprawił na tamten świat 189 ludzi gdy odbywał służbę w Gross Rosen. Był na tyle cyniczny, ten Brinkendorf, że nie chciał służyć w szturmowym Rollkommando. Po trzech miesiącach Piękny Paul wyrzucił go za drzwi. Przekroczył granicę, organizując prywatny nalot na Teehaus. Został przeniesiony do Dirlewangera jako instruktor. Od tej chwili nic już więcej o nim nie słyszano. Krug pomyślał, że być może znów go spotka. Niechętnie widziałby Unterscharfuhrera Brinkendorfa w roli dowódcy drużyny. Brinkendorf był z tej samej gliny, co większość ludzi w dywizji Totenkopf, zdolnych do rozwalenia kogokolwiek, przyjaciela czy wroga, brata czy siostry; wystarczyło, że kogoś mają rozwalić.

Zapadł w niespokojny sen, ale budził się za każdym razem, gdy dzwoniło do bramy, a to było często. Całe więzienie było wypełnione. Można było już tylko przekazywać zatrzymanych Armii. Słyszał, jak wartownicy kłócą się półgłosem.

Kopnięto ciężkimi butami w drzwi. Nie rozumiał, czemu. Spojrzał w stronę judasza, w którym błyskało oko.

Doleciał go sardoniczny śmiech. Rozpoznał głos Małego.

- Wszystko w porządku, jeszcze żyjesz, strażniku mego tyłka? Myślałem, że powiesiłeś się na skarpetkach.

Śmiech ucichł na korytarzu.

Ci faceci z Armii zdecydowanie nie nosili SD w sercach...

Heide i Porta zaczęli się kłócić. Porta odkrył się podczas gry w oko. Miał asa pik, ale nie ujawnił go, póki pula znacznie nie urosła.

Wściekły Heide wbił swój nóż bojowy w stół, o milimetr od dłoni Porty.

- Oszukujesz! - zawył.

- I co dalej?

- Miałeś asa pik! Widziałem go!

- Może jest twoją własnością?

Heide zbladł. Zupełnie stracił samokontrolę. Tego było za wiele. Zamachnąwszy się nożem nad głową pchnął go Porcie w twarz, twardo postanowiwszy, że potnie ją na kawałki.

Porta ledwie uniknął uderzenia, spróbował zwodu z uderzeniem w jabłko Adama Heidego, ale ten uchylił się. We wszystkich brudnych chwytach judo byli sobie równi.

Porta chwycił butelkę, rozbił ją, aż odłamki szkła rozprysły się po pomieszczeniu. Wtedy rzucił ją Heidemu w twarz, ale nie trafił.

Heide wydał triumfalny ryk i rzucił się na Portę, wymachując nożem.

- Mam cię, parszywy łajdaku!

Krzyknął przeraźliwie. Cios Porty dosięgnął go w podbrzusze. Nóż potoczył się na ziemię. Dłonie Porty ścisnęły go za gardło.

Wielki Heide zachwiał się. Padł na ziemię. Porta już miał go kopnąć podkutym butem w twarz, ale Stary go powstrzymał.

- Wystarczy, Porta.

- Brzydzi mnie jego pocztówkowa mordą - syknął Porta. - Powinien mieć o jedno ucho mniej, tak jak Mały, nos złamany jak Sven, szklane oko jak Barcelona i przecięte na ukos czoło jak ty. Czemu tylko on jeden nie jest bliznowaty?

- Pozwól Porcie chociaż raz rozdeptać mu twarz - błagał Mały. - Jeśli go się nie pokroi, pewnego dnia zostanie oficerem.

- Zamknij twarz! - ryknął Stary. - Ja tu dowodzę. - Wziął ze stołu pistolet maszynowy, zarepetował i wycelował po kolei we wszystkich.

Śledziliśmy wzrokiem jego ruchy. Stary nie będzie strzelał. Tego byliśmy pewni. Stary nie robił takich rzeczy, ale słuchaliśmy jego wszystkich żądań.

Atmosfera była napięta. Mieliśmy ochotę rzucić się na Heidego. Zasłużył na ciężkie lanie. Jego piękna twarz nas drażniła. Jego brutalny cynizm wobec samego siebie, tak jak wobec innych, był cierniem w naszym boku.

- Do wszystkich diabłów! - krzyknął Legionista, przełamując w ten sposób lody.

Heide podniósł się. Oparłszy się na rękach potrzasał głową jak mokry pies.

- Oszukiwałeś - powiedział przez zaciśnięte zęby z głuchą złością. Podniósł rękę do gardła, czerwonego i spuchniętego po brutalnym uścisku Porty. - To, co zrobiłeś, nie było w porządku.

- Unteroffizier Julius Heide - odparł cichym głosem Porta - nie oskarżaj uczciwych ludzi. Nie możesz sobie na to pozwalać. Jesteś złym człowiekiem, Julius. A do tego jesteś zbyt piękny.

Heide wyprostował się na całą wysokość.

- Święta Maryjo, ty nigdy nie będziesz kimś uczciwym - odpalił mu Heide. Spotka cię największa w życiu niespodzianka, gdy Czerwoni wsadzą ci kulkę w czaszkę. Nie zechcą cię w niebie. Ściągną ci buty i każą boso pomaszerować po kamykach aż do piekła, zarządzanego przez najpaskudniejszego Feldwebela wszechświata.

- Niewątpliwie masz rację - odparł wesoło Porta. - Ale ty będziesz mi dotrzymywał towarzystwa.

Pan Bóg zapewne zrobi mnie dowódcą tej drużyny. Z całą pewnością będzie miał więcej zaufania do Obergefreitera niż do pruskiego Unteroffiziera i mogę cię zapewnić, że będziesz musiał nieść móżdziej przez całą drogę aż do pieca Lucyfera.

Dzwonek przerwał dyskusję. Weszło dwóch z SD, prowadząc starą kobietę. Była to ta sama, którą Porta i ja widzieliśmy wchodzącą do budynku wczesnym wieczorem. Postarzała się w ciągu kilku godzin. Kapelusz miała przekrzywiony.

Jeden z SD podał Staremu papiery.

- To dla ciebie - oświadczył. - Trzeba je wypełnić.

Stary sprzeciwił się zdecydowanie.

- Nie ma mowy. Nie mamy nic wspólnego z waszymi sprawami. Jesteśmy żołnierzami, nie gliniarzami.

- Spokojnie - mruknął SD-man, pochylając się do Starego. Wyszeptał mu kilka słów do ucha.

Stary zerknął na starszkę.

- No, dobra, gratulacje, ależ z was zespół.

- Masz rację - przyznał SD-man. - Rzygać się chce. Wyciągnięto mnie z Policji Kryminalnej. Wkrótce będę starcem. - Obszedł wartownię w koło i oświadczył, kierując przemówienie do sufitu: - Wolałbym być daleko stąd.

- Ach, gównu prawda - zarechotał Legionista. - Nikt cię nie zmuszał, byś został gliniarzem. Więc odejdz. Możesz wybierać wśród 33 dywizji SS.

- Ma za dużego cykora - zawołał Heide. - Znam ten gatunek. W tych swoich habitach boją się nawet zbliżyć do poligonu artyleryjskiego.

SD-man stał się ordynarny.

- Wy tam, wielcy pyskacze! Co wy sobie wyobrażacie? A gdyby tak zabrać jednego czy dwóch z was na małą rozmówkę wysoko, tam pod samym dachem?

- O, gównu, to jest możliwe - uśmiechnął się Legionista. - Ale jestem jednak pewien, że odwalisz kite wcześniej niż my. Nasza izba zatrzymań jest tak pełna twoich koleżków, że aż pęka. Wczoraj byli tak dumni, jak ty. Dziś stracili swe piękne kolorki.

Mały policjant spojrzał złym okiem na Legionistę, który jak zawsze miał odwiecznego papierosa w kącie ust.

- Znam cię. Cały świat cię zna. To ty jesteś tym zasranym Francuzem, o którym się tyle gada, ale nie przeciągaj struny. Twoje dni są policzone. Szepnę Pięknemu Paulowi słówko na twój temat.

W trzech skokach Legionista znalazł się przed małym, nadętym SD-manem. Podsunął mu pod oczy nabój 9 mm.

- Wiesz co to jest, łapaczu? Tamten wzruszył ramionami.

- Wszyscy to wiedzą. To nabój do walthera P38.

- Doskonale, łapaczu. Ale przyjrzyj mu się dobrze - nalegał Porta. - Jest nacinany. Czy widziałeś, jaką to dziurę robi w facecie? A mogę ci powiedzieć, że mam ich jeszcze pełne pudełko.

- I może chcesz, żeby to gównu mnie obchodziło? - zdenerwował się SD-man.

- Być może bardziej, niż myślisz, łapaczu. Tego rodzaju pestki są zarezerwowane dla typków twojego gatunku. Jesteś w SD, w porządku. Świństwa, jakie robisz, to też w porządku, należą do twojego zawodu. Masz pełne kieszenie pokradzionych rzeczy. To bardzo sympatyczne.

- Kto ci powiedział, że kradnę? Gównu prawda!

- Nie trzeba używać ordynarnych wyrażen - zganił go Mały z drugiego końca sali. - Matka musiała ci to powiedzieć, kiedy byłeś mały, no nie? W każdym razie musisz wiedzieć, że policjant zawsze musi być panem samego siebie, bez względu na sytuację. I oto wsiadasz na wysokiego konia jak dziwka, która ma 38 lat i dała się rozdziewiczyć przez jakiegoś nieznajomego na rogu ulicy.

- Powtarzam, że kieszenie masz pełne kradzionych rzeczy - kontynuował nieugięte Porta. - Jesteś nędznym kutasem, ale ponieważ próbujesz nam udowodnić coś przeciwnego, pozwalam sobie

zwrócić ci uwagę, że znajdujesz się na terenie pod jurysdykcją Armii i że Stary, nasz Feldwebel i nasz dowódca warty, może mi wydać rozkaz, bym cię aresztował. Zrewidujemy cię, a potem zaprowadzimy jako podejrzanego do Pięknego Paula. Nie nadymaj się. Raczej spuść z tonu. To twój interes. Możesz zrobić wszystko, co zechcesz. Z jednym wyjątkiem: nie wydasz żadnego z nas. Może będziesz mógł spowodować aresztowanie jednego czy dwóch, ale to będzie twój koniec. Załatwimy cię. Jesteśmy bardzo dobrzy w strzelaniu w potylicę. Komisarze Iwana nauczyli nas tej sztuczki.

- Przestań prawić kazanie! - zawołał Heide. - Wsadźmy mu kulkę, natychmiast. Niczym nie ryzykujemy. Zrobił już dość, aby Piękny Paul nam za to podziękował.

- To są groźby karalne - syknął SD-man, macając kaburę pistoletu.

Jego kolega pozostał obojętny. Dokładnie przyglądał się zdjęciom dziewczyn, mniej lub bardziej rozebranych.

- Masz bystry umysł - uśmiechnął się do niego Porta.

- Nie boję się was! - ryknął histerycznie SD-man.

- Właśnie srasz w swój habit - skonstatował, siedząc w kącie, Mały.

- Nie kłóćcie się, moje dzieci, to nie jest dobre. Na ziemi jest już tyle niezgody.

W zdumieniu spojrzeliśmy na staruszkę, która zbliżała się do nas z uniesionym palcem.

- To nerwy, a winna jest wojna - kontynuowała piskliwym ze starości głosem.

- Trzeba być tak miłym jak wasz szef, pan Bielert. Jest bardzo dobry, nawet nie chciał, abym wracała do siebie pieszo o tej nocnej godzinie. Chciał mi dać samochód. To miłe, prawda?

Mały chciał coś powiedzieć, ale Heide kopnął go w kostkę.

SD-man zrezygnował. Kłótnia została zapomniana. Wskazał leżące przed Starym papiery.

- Teraz wiesz, czemu chciałem, byś je wypełnił? Stary skinął głową.

- Dobra, spieprzaj.

Starsza pani podała rękę obu SD-manom.

- Dziękuję za wszystko, żołnierzyki. Wstąpcie do mnie, we Friedrichsbergu, jeśli będziecie tamtędy przejeżdżać. Zawsze mam cukierki i magazyny ilustrowane. To wam się spodoba. Wszystkim młodym ludziom się podoba.

- Dziękujemy - odpowiedzieli zażenowani. - Wstąpimy do pani po drodze.

Na schodach jeden z nich odwrócił się. Trupia czaszka na jego czapce błyszczała ponuro.

- Do widzenia, pani Dreyer.

Skinęła im ręką. A potem drzwi zatrzasnęły się głośno.

Legionista zamknął je na trzy spusty i na zasuwę. Z drugiej strony drzwi Gestapo. Tutaj Armia. Dwa światy, nie mające nic wspólnego ze sobą.

Staruszka grzebała w torebce, szukając paczki cukierków. Obeszła wartownię, by dać po jednym każdemu z nas. Cała kompania wartownicza zaczęła je ssać.

Mały miał prawo do dwóch poczęstunków.

- Proszę się niczego nie obawiać, pani Dreyer - powiedział. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu stał się grzeczny. - Wszystko się ułoży. Zajmiemy się tymi z Gestapo. Pewnego dnia ukatrupięm... - wrzasnął z bólu i zaczął rozcierać sobie kostkę.

- Mam nadzieję, że się zamkniesz? - uśmiechnął się delikatnie Heide.

Mały zamilkł naburmuszony.

- Nie ma nic złego w opowiedzeniu, co zrobiliśmy w Pińsku, gdyśmy pomogli trzem dziewczynom uwolnić się od SD.

- Zamknij się! - ryknął Barcelona. Pani Dreyer próbowała się wmieszać.

- Ależ pozwólcie mu mówić. To przecież tylko duży chłopczyk. Nie umiałby skrzywdzić muchy.

- Jest wypchany po uszy kłamstwami - zażartował Porta. - On nie wie, co to jest prawda. Nigdy o niej nie słyszał. Jeśli jest poniedziałek 19, on powie, że to wtorek 20.

- Za pięć groszy sprzedałby własną duszę - stwierdził Steiner.

Mały chciał zaprotestować. Ale Legionista przytrzymał go za rękę i wyszeptał do ucha kilka słów, po których Mały natychmiast zamilkł.

Zaczęliśmy grać w kości.

Pani Dreyer zasnęła siedząc na krześle opartym o ścianę. Obudził ją nasz śmiech.

- Bardzo bym chciała już wrócić do domu. Czy sądzicie, że samochód wkrótce nadjedzie?

- Bingo! - zawołał Porta, wskazując sześć kostek.

- Pan Bielert obiecał mi, że wkrótce będę mogła wrócić do siebie.

Nie chcieliśmy jej słuchać. Była to tylko stara kobieta, która niczego nie rozumiała. Była w rękach bezlitosnej sprawiedliwości dyktatorskiego państwa.

Heide zebrał kostki, potrząsnął nimi energicznie, a potem eleganckim ruchem wyrzucił na stół. Sześć asów. Ryknął z radości, znów je zebrał i w śmiertelnej ciszy potrząsnął.

- Panie Feldwebelu, może zechce pan spróbować zatelefonować, by dowiedzieć się, czy samochód już jest? Jestem śpiąca i zmęczona.

Heide rzucił kości. Sześć asów. Nikt nie rzekł ani słowa. Napięcie rosło. Porta wziął dwie kostki w dłoń, by je zbadać.

- Niezmiernie mi przykro, Herr Obergefreiter Joseph Porta, ale nie są sfałszowane. By grać, potrzeba inteligencji, a wyżej wymieniony Heide ją posiada. Po raz trzeci wyrzucę trzy asy i zabieram wszystko, albo podwajacie stawki.

- To jest niemożliwe - przerwał Barcelona.

Heide zaśmiał się. Potrząsnął gwałtownie skórzanym kubkiem. Trzymając ręce nad głową okręcił go, a potem głośno uderzył nim w stół. Przez dwie minuty trzymał go nadal nie podnosząc dłoni, po czym zapalił papierosa, całkowicie swobodny. Porta nawet nie zauważył, że był to jeden z jego papierosów.

- Stopy mam spuchnięte. Pantofle mnie uciskają - jęknęła pani Dreyer. - Od rana jestem poza domem.

Heide pokazał na stojący bezczelnie na środku stołu kubek.

- Na Boga, podnieś go - mruknął Steiner. - Podnieś go.

- Dlaczego? - zadrwił Heide. - Mogę wam powiedzieć, co tam jest: sześć asów. Dajcie mi, co macie. Wszystko jest moje.

- Przechwałki - mruknął Porta.

- Trzymam cię za słowo - postanowił Heide. - Jeśli pod tym nie ma sześciu asów, stawka wzrasta dziesięciokrotnie.

Porta wahał się. Namiętność do hazardu trzymała go w szponach. Przewracał swymi małymi, świńskimi oczkami. Przeczesał palcami swą rudą czuprynę.

- Na Boga, Julius, robisz sobie z nas jaja? Nie możesz wiedzieć, że tam jest sześć asów. To nie jest możliwe.

- Herr Feldwebel, jest godzina druga w nocy. Jeśli samochodu nie będzie w ciągu trzech godzin, wsiadam do tramwaju.

- Naprawdę powiedziałeś dziesięciokrotna stawka? Boję się tego.

- Pokaż nam - błagał Barcelona. - Zdejmij pieczęć.

Heide powoli zbliżył dłoń do kubka. Czuł się panem sytuacji, ale na jego czole ukazały się kropelki potu.

Mały ze zdenerwowania drapał się po twarzy. Zapomniał, że ma w ustach zapalonego papierosa. Nie

czuł, że parzy sobie ręce i usta.

Stary połową ciała położył się na stole, jakby i jego zahipnotyzował skórzany kubek.

- Jesteś pewien, że tam jest sześć asów?

- Ano - mruknął Heide. - Jest tak, jak wam mówię: sześć asów. Przegraliście.

- Niemożliwe - wyszeptał Barcelona.

Czyjś pistolet maszynowy upadł na ziemię. Nie zwróciliśmy na to uwagi.

- Otóż i samochód. Być może dla mnie. - Pani Dreyer podniosła się z krzesła i zaczęła zapinać swoje stare, zniszczone palto.

Heide bardzo wolno podniósł kubek.

Było tam sześć asów.

Mały skoczył do tyłu. Krzesło przewróciło się.

- On ma pakt z diabłem! - krzyknął. Porta podniósł wzrok.

- Jak, u diabła ty to robisz, Julius? Ja w to nie wierzę. Trzy razy sześć asów. Nigdy tego nie widziałem.

- Nie kłopotz się tym - odrzekł arogancko Heide - ale oddaj mi to, co mi jesteś winien. Możesz wykreślić moje długi z twego czarnego notesika.

Porta, zmrużywszy oczy, wpatrywał się w Heidego.

- Heide, a gdybyś zagrał jeszcze raz? Dwudziestokrotna stawka.

Heide tupnął nogą. Pot go oblewał. Spojrzał na nich po kolei. Wszędzie widział wlepione w siebie pełne chciwości oczy. Bardzo go kusiło. Potem opanował się. Cisnął kubek na ziemię.

- Nie, nie chcę.

- Tchórz - mruknął Porta, nie mogąc ukryć rozczarowania.

- Dlaczego Gestapo przyszło po panią? - spytał Heide panią Dreyer. Nie dlatego, by go to interesowało, lecz by odciągnąć Portę od gry.

- Pani Anna Becker, moja sąsiadka, napisała do pana Bielerta, że obraziłam fuhrera.

Nastawiliśmy uszu: obraziła Fuhrera!

- Paragraf 1062b, rozdział 2. kodeksu karnego Rzeszy - westchnął Steiner.

Stęge pochylił się nad stołem i powiedział cicho: - „Ten, kto słowem lub pismem obraża fuhrera, podlega karze więzienia lub karze śmierci”.

Spojrzelśmy na panią Dreyer innymi oczami. Stała się interesująca. Jej prawdopodobne skazanie na śmierć nie było niczym niezwykłym. Tyle ich już widziano. Ale interesujące było to, że nie miała żadnych obaw.

- A co takiego pani powiedziała? - spytał Heide.

Pani Dreyer otarła sobie czoło małą, pachnącą lawendą chusteczką.

- Och, nic innego niż to, co wszyscy powtarzają. To było podczas wielkiego ataku lotniczego w zeszłym roku. Wiecie, zbombardowali Landungsbrücke i pensjonat za pomnikiem Bismarcka. Pani Anna Becker i ja poszliśmy popatrzeć. Potem powiedziałam te słowa, które nie spodobały się panu Bielertowi: - Za Cesarza było lepiej. Nie bombardowano miast w taki sposób. Nie mamy wystarczająco jedzenia. A nasze obuwie jest dziurawe. Adolf Hitler nie zrozumiał tego dobrze. Urodził się jako biedak, ale to wielcy wiedzą, jak rządzić krajem.

- Wielkie nieba - rzekł Barcelona. - Jeśli ona przyznała się, że powiedziała to wszystko, jest skończona. Znam to od czasu mego pobytu w Servicios Speciales w Hiszpanii. Ludzie bardzo często gadali różne rzeczy na temat generała Miaji lub La Pasionarii, uważacie. Drobne głupstewka, nawet o tym nie myśląc. Ale gdy to raz znalazło się czarno na białym w departamencie Especiales, to stawało się czymś bardzo poważnym. Zamachem na bezpieczeństwo Państwa.

- Potrząśnij kostki - zaproponował Porta - i pokaż nam trochę.

Wszyscy przycisnęliśmy lewe kciuki do blatu stołu. Heide potrząsała kostkami.

- O co się gra?

- O małego ptaszka na ogrodzeniu parku - odparł Porta.

- Jeden - powiedział Mały.

- Jeden przeciw sześciu - rzekł Porta.

- Jeden przeciw sześciu - powtórzyliśmy chórem.

Sześć kostek potoczyło się po dywanie. Ośmiu żołnierzy grało w piwnicy Gestapo, podobnie, jak swego czasu żołnierze rzymscy grali u stóp małego pagórka pod Jerozolimą.

- Przestańcie - mruknął Stary. - Zwariowaliście. - Zwróciwszy się do pani Dreyer rozpoczął długą dyskusję o byle czym, by odwrócić jej uwagę od naszej makabrycznej gry.

Spojrzeliliśmy na kostki. Cztery asy, dwie szóstki.

- Jest skończona - stwierdził Barcelona. - Kości zawsze mówią prawdę.

- Wszyscy powiedzieli jeden przeciw sześciu? - zapytał Heide.

Porta potwierdził: - Szóstka życie, jedyńka śmierć.

Legionista zaczął nucić Przyjdź śmierci, przyjdź.

Popatrzyliśmy na panią Dreyer, która właśnie wyjaśniała Staremu, że jej różom brak wody. Upały wszystko wysuszyły.

- Mój mąż zginął pod Verdun - powiedziała. - Był dowódcą oddziału wartowniczego 3. Pułku Dragonów, który miał garnizon w Stental. W Stental było miło. Koszary były bardzo stare. Mój mąż służył w 3. Dragonów od 1908 roku, a zginął 23 grudnia 1917. Wyszedł, żeby znaleźć choinkę na Boże Narodzenie i zginął w drodze powrotnej. Padł na ziemię, a choinka na niego. Był z Hauptmannem Hauptem i OberLeutnantem Jenditschem, gdy zdobyli fort Douaumont.

- Nie na długo tam zostali - skomentował Heide. - Francuzi ich wyrzucili w mgnieniu oka.

- Ach tak, przypominam sobie, nasz profesor w Domu Opieki o tym nam opowiadał! - zawołał triumfalnie Mały. - Odesłano Prusaków na drugi brzeg Renu, podczas gdy paryskie cwaniaczki pozostały w forcie, zabawiając się strzelaniem do chłopczyków Kronprinza. Kurwa, co ty wyrabiasz?

- zwrócił się do Heidego. - Przestań mnie kopać. To, co opowiadam, jest zgodne z historycznym punktem widzenia.

- Opowiadaj to w inny sposób - rzucił mu Heide. - Mąż tej pani zginął pod Verdun.

- To nie moja wina - obruszył się Mały. - Tej damie nie mogłoby być przyjemnie, gdybym powiedział, że Prusacy zostali w Douaumont. A gdy mówię, że Francuzi ich stamtąd wypieprzyli kopniakami w dupę, nie przesadzam.

Porta roześmiał się.

- To prawda, Mały. Prusacy zostali tak pobici na głowę w bitwie o Douaumont, że Kronprinz został paskudnie opieprzony przez swego tatę, Cesarza.

- Te tutaj kostki są wiarygodne - mruknął Mały.

- Założę się o sześć przeciw jednemu, że mówią prawdę. Stara zginie.

- Co pani powiedział ten Kriminalrat? - spytał Stary, szybko odwracając się do pani Dreyer.

Heide bawił się kostkami.

Pani Dreyer spojrzała tkliwie na fotografię Himmlera. Pod zdjęciem napisane było złotymi literami:

HEINRICH HIMMLER Reichsführer SS Komendant Główny Policji

Minister Spraw Wewnętrznych.

- On był taki miły, ten pan Kriminalrat Bielert. Zapewnił mnie, że już wszystko skończone.

Nie trzeba będzie już myśleć o tej małej sprawie.

- Czy powiedział, co teraz nastąpi? - spytał Barcelona. - Czy zapisali w papierach wszystko, co im pani powiedziała?

- Tak, pan Bielert dyktował drugiemu panu. Nawet tego nie słuchałam, zaczęłam być senna. Zapisali dużo stron. Prawie książkę. Pan Bielert powiedział mi, że pojedę do Berlina.

Barcelona dalej drążył temat.

- By spotkać się z Führerem?

- Nie, nie z nim, to było coś innego. - Spojrzała na fotografię Himmlera. - Już sobie nie przypominam, ale to były jakieś litery.

Barcelona gwizdnął i bardzo powoli przeliterował.

- R. S. H. A.?

- Tak, właśnie to, R.S.H.A. - Pani Dreyer wyraźnie ulżyło.

- Pan je zna, Herr Feldwebel?

Barcelona wzruszył ramionami i zerknął na Heidego, który nadal bawił się kostkami.

- Oczywiście. To coś wielkiego w Berlinie.

- A co oni tam robią? - zapytała niewinnym tonem pani Dreyer.

- Po trosze wszystko. Jest to coś jakby pomiędzy rejestrami stanu cywilnego i biurem pośrednictwa pracy.

Porta zaśmiał się cichutko.

- Oto znakomite porównanie. Ale mimo wszystko to nie jest dobre określenie tego domu wariatów.

- Dobra, to ja wam wytłumaczę! - zawołał Barcelona.

- Na litość Boską, bądź uprzejmy oszczędzić nam twych przechwałek przeciął ostrym tonem Stary.

- Bardzo obawiam się, że jutro spóźnię się do pedikiurzysty - jęknęła pani Dreyer. - Będę musiała odwołać tę wizytę. To mi się nie podoba, bo tak czy tak będę musiała zapłacić. Dwie marki dwadzieścia pięć, a to nie mało.

- Bola panią stopy? - zapytał Mały. - Jeśli tak, możemy poprosić naszego felczera, by panią zbadał. Robi wszystko, czego zechcemy. Mamy go w kieszeni. Będzie felczerem tylko tak długo, jak będziemy mieli ochotę. Trzymamy go za gardło od chwili, gdy zauważyliśmy, że bierze w łapę od Kija od Miotły. - Postukał się w swe niskie czoło z miną, że wszystko jest jasne. - Bo tu, w środku coś jest. Wiedzieliśmy, że zajmuje się czymś podejrzanym. Z jakiego powodu Kij od Miotły miałyby dawać kasę wojskowemu felczerowi? Upiliśmy ją, tę Kij od Miotły. To nas kosztowało 33 marki. Felczer nam zwrócił.

- Czy zamkniesz się w końcu? - mruknął Porta. - Twoja gadanina pewnego dnia zaprowadzi nas na szafot.

Ale w ten sposób nie dało się zatrzymać Małego. Opowiadał dalej.

- Gdy Kij od Miotły była już ubzdryngolona, zaczęła gadkę. Porta jej wytłumaczył, że może nam zaufać. Było to nader ciekawe i szybko wyczailiśmy, na czym polega numer. Dostarczała felczerowi klienteli. Bogatych dam, które chciały się pozbyć nielegalnej ciąży. Grzecznie poprosiliśmy o gratyfikację za to, że zapomnimy o naszym obowiązku wobec fuhrera, Narodu i Ojczyzny. Ale Kij od Miotły olała nasze oświadczenie. (Co za źle wychowana kobitka!). Poszliśmy więc do felczera. Już był u siebie. Zrobiło się późno. Na jego widok nie mogłem się powstrzymać od śmiechu do rozpuku. Nabił się w długi, jasnoszary szlafrok i biały szalik. Ja bym nawet do sracza nie poszedł tak odpicowany. Wszystko odbyło się tak, jak można było oczekiwać. Zaczął od straszenia nas więzieniem i sądem wojennym. Powiedziałem mu, żeby trochę przyciszył głos. Gestykulował jak wariat. Ale wystarczyło, gdy Porta mu wyjaśnił, że mamy prawo go aresztować. Zrobił się bardzo

miły. Ponieważ nie był głupi, doskonale rozumiał, że bardzo złe wrażenie zrobiłoby, gdyby taki wielki lekarz musiał się stawić przed Gestapo. Zaproponował nam dobre uposażenie miesięczne. Przynosi nam je regularnie.

- Na Allaha, zupełnie nie znałem tej historii! - zawołał Legionista.

- To największy idiota z całej Armii! - wrzasnął Porta, patrząc morderczym wzrokiem na Małego.

- To dla nikogo nie jest tajemnicą! - zarechotał Legionista. - Ale teraz, kiedy wysypał waszą kombinacyjkę, niech nam opowie, co dalej zrobił ten wasz konował.

- Stale to robi - zawołał Mały - i dobrze, że robi to nadal. Porta dał mu jasno do zrozumienia, że tylko pokaźna część jego dochodów wystarczy, abyśmy zapomnieli o naszym obowiązku obywatelskim. Ten typek szkodzi przyrostowi demograficznemu, a tego nie lubi się w kraju Adolfa. Porta mu powiedział: Posłuchaj, łapiduchu, jeśli ta sprawa się rozejdzie, zostaniesz skierowany do 27.

Pułku Huzarów, 2. Batalionu, 5. Kompanii, 2. plutonu, 1. Drużyny i podczas pieszej walki będziesz dla mnie nosił miotacz ognia. A to nie jest zabawa. Żaden nosiciel miotacza ognia nie przeżywa więcej niż dwa, może trzy natarcia. - Wtedy skapitulował, ale jeszcze próbował się wyklócać.

- Spróbuj choć ten jeden raz zamknąć jadaczkę - powiedział Stary. - Ból w stopach pani Dreyer, to nie to, co myślisz.

Mały nic już nie rozumiał. Ból stóp z jego punktu widzenia oznaczał uszkodzenie stóp wskutek marszu.

- W takim razie, czemu chce zobaczyć się z konowałem? Mieć bolące stopy bez pęcherzy na nich? Dziękuję, to nie dla mnie. Pamiętajcie, jak poszedłem spotkać się z łapiduchem u Grubego?

- Do jasnej cholery, zamknij twarz i nie otwieraj jej, póki cię nie zapytam rozkazał Porta.

Pani Dreyer zaczęła opowiadać. Nie wprost do nas. Wyglądało to, jakby mówiła do fotografii Himmlera na ścianie.

- Już miałam wychodzić z domu, kiedy oni przyszli. - Zamknęła oczy, odchylając się do tyłu na krześle. - Miałam pójść zapłacić mój rachunek u pana Berga na Gansemarkt. Robiłam to z góry. Lubiłam siadać na stacji i przyglądać się ludziom. Ładna jest ta stacja. A do tego w tym domu są kwiaty. Zawiadowca stacji, pan Gelbenschneid, ma wielki talent do hodowli róż. To musi być z powodu nawozu, który dają mu chłopci. Mój mąż mnie nauczył, by być zawsze na czele. Zawsze wychodził z domu przed nami. Gdy wyszłam na ulicę, natychmiast zauważyłam wielki samochód. Mercedesa, szarego, który miał na sobie te jakieś błyskawice. Z pewnością mieli spotkać się z panią Becker, moją sąsiadką, tak sobie powiedziałam. Bo ona miała syna w SS. Jest Untersturmführerem w dywizji Das Reich. Zanim został awansowany, był w pułku SS Westland. Tak, jak mój najmłodszy syn. Zrobiłam mu burę, gdy wstąpił do SS. Zwabił go mundur. Tego jestem pewna. To był dobry malec. Teraz nie żyje. Przesłali mi jego Krzyż Żelazny. Pogniewał się, gdy mu powiedziałam, że to by się nie podobało jego ojcu, że został esesmanem. Powinien był poczekać na pobór jak jego trzej bracia. Dwóch z nich jest w piechocie. Najstarszy był w pionierach szturmowych. On też nie żyje. Dwóch pozostałych zostało uznanych za zaginionych. Dowiedziałam się o tym kilka miesięcy temu. Najmłodszy odchodząc powiedział mi: - Mamo, byłoby moim obowiązkiem zadenuncjować cię za defetyzm, ale tym razem udam, że nie słyszałem tego, co powiedziałaś. - Nie chciał mnie nawet pocałować na pożegnanie. Teraz nie żyje. Został mi tylko jego Krzyż Żelazny. Włożyłam go do szuflady, gdzie przechowuję ich dziecinne koszulki.

Wielki, luksusowy samochód nie przyjechał do pani Becker. Jechał powoli przed siebie i zatrzymał się tuż przede mną. Wsiadł z niego bardzo przystojny młody człowiek. Na jego widok pomyślałam o moim synu Paulu, tym najmłodszym. Byli do siebie bardzo podobni. Prawie dwa metry wzrostu.

Szczupły, jak młoda dziewczyna. Piękne białe zęby. Dobre piwne oczy. Bardzo, bardzo przystojny. Wyglądał na bardzo dobrze wychowanego i był bardzo grzeczny. Gdyby tylko nie nosił peleryny z czarnej skóry. Nigdy tego nie lubiłam. Jest zimna i robi takie wielkie wrażenie.

Barcelona mruknął do Starego: - Ma całkowitą rację. One pachną śmiercią, te peleryny. Niegdyś katem był stary alkoholik. Dziś są to dobrze wychowani młodzi ludzie w pelerynach z czarnej skóry. Pani Dreyer nie zwróciła na nich uwagi. Dalej przemawiała do zdjęcia Himmlera.

Łatwo wyobraziliśmy sobie całą scenę. Dokładnie wiedzieliśmy, co powiedział wielki bandyta z piwnymi oczami. W naiwnych oczach pani Dreyer to wyglądało jakże miło. Ale dla nas było to coś innego.

- Pani Dreyer? - upewnił się, wysiadając z samochodu.

Spojrzała na niego zdziwiona, a potem przedstawiła się z uśmiechem: - Emilie Dreyer.

Pogłaskał się po podbródku ręką w rękawiczce, a potem zmrużył dobre i piwne oko.

- Emilie Dreyer, Hindenburgstrasse 9? Zgadza się?

Staruszka potwierdziła. Nie odgadła niebezpieczeństwa, skrytego za grzecznością. Pomacał swą kieszeń, w której miał walthera 7,65. Miał również wojskowy rewolwer. W kaburze pod lewą pachą.

- Mamy z panią do porozmawiania. Proszę z nami pójść.

Wyjaśniła, że jest to absolutnie niemożliwe. Miała zapłacić na mieście swe rachunki. A potem miała wizytę u doktora Jóhra.

Esesman roześmiał się głośno. To była najgłupsza wymówka, jaką w życiu usłyszał, by nie pójść do Gestapo.

- Pedikiur? - zawołał ze śmiechem. - Pójdzie pani do pedikiuru, pani Dreyer. A potem znów wybuchnął szalonym śmiechem.

Pani Dreyer zupełnie nie rozumiała, z czego on się śmieje. Wyjaśniła, że pójście na pedikiur jest dla niej niezbędne. Doktor miał wielką klientelę i jeśli nie przyszło się w terminie, skreślał pacjenta z listy, a i tak trzeba było zapłacić.

Esesman skłonił się grzecznie. Ten typ miał poczucie humoru. Nie udawało mu się powstrzymać śmiechu. Ta mała staruszka z pewnością była najbardziej pomyłona ze wszystkich, których kiedykolwiek widział. Wyjaśnił, że skontaktują się z pedikiurzystą i nie będzie musiała nic płacić.

Ale ona nadal protestowała. Chwycił ją za ramię.

Zauważyła, że miał tylko jedną rękę. Lewy rękaw był pusty.

- Ach, mój Boże! Taki młody i taki piękny. A przy tym jednoręki.

Mruknął, że jego druga ręka została w Stalingradzie.

Wskazała na jego sygnet SS.

- Mój syn też był w dywizji Das Reich.

Ale to jednorękiego nie zainteresowało. Zachowywał się tak, jakby tego w ogóle nie usłyszał.

Posadzono ją na tylnym siedzeniu szarego samochodu.

Jechali szybko. Ludziom w czarnych pelerynach zawsze się spieszy.

Kierowca należał do zupełnie innego gatunku niż jednoręki. Był jednooki. Jego szklane oko było źle zrobione. Nie można było odwrócić od niego wzroku.

- Żadnych numerów, babino - zagroził, gdy pani Dreyer usiadła.

Przez chwilę bała się, ujrzawszy prawdziwą twarz Gestapo, ale jednoręki natychmiast uciszył kierowcę.

- Scharführer, milcz. Masz prowadzić i nic więcej.

W milczeniu dotarli na Karl Muck Platz.

Jednoręki należał do tych nieprzekupnych funkcjonariuszy, którzy pozbawieni są jakichkolwiek ludzkich uczuć. Drapieżny wilk w owczej skórze. Jeden z tych gestapowców, którzy sprawdzali, czy dokument jest autentyczny, zanim wzięli się do jego czytania, zdolny, po dokonaniu takiej weryfikacji, kazać rozstrzelać własną matkę. Był uprzejmy, nawet wobec trupów. Póki nie poznało się Gestapo bardzo dobrze, nie można było sobie wyobrazić, jak bardzo ten człowiek jest niebezpieczny. Grzeczność jest zawsze cechą ludzi inteligentnych. Tylko idiota jest brutalny i ordynarny.

Pani Dreyer odetchnęła głęboko i otworzyła oczy.

- To nie było ładne ze strony kierowcy nazwać mnie babiną. Nikt do mnie tak nie mówi. Znam to słowo i nie uważam go za uprzejme.

- Mnie zdarza się mówić gorsze rzeczy - przyznał Mały.

- Ach, znowu ty! - przerwał mu Porta. - Odpowiadaj tylko tak lub nie, w ten sposób nic nie ryzykujesz.

- A ty gadasz, jak możesz! - krzyknął Mały, gestykulując. - Gdy po raz pierwszy powiedziałem przed sądem „tak”, kosztowało mnie to dwa miesiące pudła. Zdecydowałem więc, że od tej pory będę zawsze odpowiadał „nie”. Zresztą omal nie kosztowało mnie to życia w Mińsku.

- No to zamknij się - zaproponował Heide.

- Inne sposoby też nie skutkują. Próbowałem odstawić trupa podczas tej wielkiej afery z kradzieżą w Bielefeldt, kiedy byliśmy w 11. Huzarów. Pamiętacie historię z pancerną skodą i z bryką Goeringa. I to na mnie padło wszystko, ponieważ zostałem niemy jak karp. Jakież miałem przyjęcie w Fagen!

Legionista dotknął jego dłoni. Gest wskazujący na niemy podziw.

- Dobra, kolego, ale nie dali ci rady.

- Bo to zupełnie niemożliwe - zaśmiał się Mały. - Wypieprzyli mnie z obozu. „Szkodliwy dla dyscypliny”, tak powiedzieli. Nie ośmielili się zlikwidować mnie otwarcie. Przyszedłem przecież z Armii. Wręcz przeciwnie, musieli czuwać, aby nic mi się nie stało. Uważali się za spryciarzy proponując, bym się urwał. Jeden ze starych ostrzegł mnie. Był w Fagen po raz szósty. No i my dwaj zostaliśmy kumplami, choć on należał do wojsk inżynierskich, czego ja nigdy nie potrafiłem skumać. Był w porządku. Esesmani proponowali mi mnóstwo rzeczy, żebym tylko sobie uciekł. To był jedyny sposób, aby móc stuknąć faceta z Armii. Zawsze używali tego do załatwiania frajerów, przy pomocy świadków, którzy nie mieli nic wspólnego z Partią. Za pierwszym razem zostawili mnie poza obozem mówiąc, żebym spierdalał. Ale byłem sprytniejszy od nich. Postawili swoich typów za krzakami, z nabitą bronią.

Następnym razem wybrali do tego swoją strzelnicę. Było piękne popołudnie. Z paru kolegami zabawiałem się pieleniem chwastów. Jeden Sturmman SS, który miał nas pilnować, usiadł sobie na kamieniu. Nazywał się Greis. Najgorsza kanalia ze wszystkich, jacy kiedykolwiek nosili czapkę z trupią czaszką. Palił spokojnie fajkę z maryską, ale tak, jak dziewczynka. Mała kuleczka wewnątrz papierosa.

Dwóch innych esesmanów przyszło na spotkanie z Greisem. Razem to uknuli. A potem śmiali się razem w sposób, na który nikt by się nie nabrał. - Spust im lekko chodzi - szepnął mi jeden z kumpli. Ależ pilnowaliśmy się, żeby się nie wsypać. Prawdziwy balet na puentach. Pilnowaliśmy się jak cholera, żeby nie przekroczyć dozwolonej strefy nawet na milimetr. Potem zawołał mnie Oberscharfuhrer Breit. Miły był, aż rzygać się chciało. Klepnął mnie lekko rękawiczką, a potem odezwał się z uśmiechem dobrego wujaszka: - Założę się, że bardzo byś chciał od nas odejść.

- Jawohl, Herr Oberscharfuhrer.

Wszyscy trzej pękali ze śmiechu zapewniając mnie, że wkrótce stąd wyjdę.

- Doskonale - dodał Breit na własny rachunek. Wróciliśmy do obozu. Maszerując gęsiego, krokiem defiladowym, z wyprostowanymi palcami u nóg. Szło o to, że po powrocie znów wyszedłem z trzema esesmanami. Bardzo miło gadaliśmy sobie o tym i o owym. Opowiedziałem im o moim dzieciństwie w domu poprawczym Sonnenheim. Dyrektor był parszywym hipokrytą.

- Czy bawiłoby cię zbić na kwaśne jabłko księdza? - spytał Greis.

- Nie powiem, że nie.

Ale Oberscharfuhrer przerwał naszą dyskusję.

- On nie będzie tłukł księży na kwaśne jabłko. On stąd odejdzie.

Ryknęli śmiechem jak wariaci. Greis aż dostał czkawki. Łzy spływały mu po policzkach. Nie widziałem, co w tym zabawnego. Pokazywali mnie palcami, rozmawiając o mojej makówie. A potem znów wariacki śmiech.

Gdyśmy przyszedli na strzelnicę, Oberscharfuhrer pokazał mi trzy pniaki.

- Creutzfeldt, widzicie tamte pniaki? Oczywiście je widziałem, rzucały się w oczy.

- Właśnie tak sobie pomyślałem - zażartował. - Jesteś żołnierzem od lat, Creutzfeldt, wiesz, co to rozkaz. Teraz ja, twój Oberscharfuhrer, wydaję ci rozkaz. Pobiegiesz z całej siły aż do tych drzew. Jeśli do nich dotrzesz w czasie krótszym niż dwie minuty, będziesz człowiekiem wolnym i będziesz mógł wrócić do twojego pułku pancernego.

- A jeśli nie dotrę do nich w dwie minuty? - Zapytałem o to tylko dla formy.

Aż się skręcili ze śmiechu. Rżeli, klepali się po tyłkach.

- Ach, to oczywiste, jeśli nie dotrzesz, to nie dotrzesz, Mały - powiedział jeden z nich. - Ale jednak rób to, co ci powiedziano. Spróbuj się przekonać, czy dotrzesz.

- Chciałbym wiedzieć, co zrobicie, jeśli nie dotrę?

- Kupimy ci kwiatek - zażartował Greis. - wonny kwiatek, który ci się wsadzi w brzuch. Jazda, ruszaj. I to biegiem.

Ale ja zrozumiałem. Nie miałem najmniejszej ochoty, żeby biegać. Greis miał karabin z lunetką. Wiedziałem, w co oni chcą zagrać. W zająca i myśliwych. Nie urodziłem się wczoraj, co? Już się wywiedziałem. To była jedna z ich ulubionych zabaw w Fagen: zajac i myśliwi. Ależ mi spuścili knoty. Zaczęło się od uderzenia kolbą w kark, a skończyło paradnym marszem, z małym kamyczkiem w każdym bucie.

Powtarzałem sobie: - Mały, nie trzeba im oddawać, nie trzeba im oddawać. Zauważyłem, że jeden z nich trzyma palec na spuście.

Walili mnie wielkim kamieniem w czaszkę. Ale miałem szczęście. Wzięli okrągły kamień. Upadłem w kartoflisko, ale podnieśli mnie uderzeniem w podbrzusze. Wyskoczyłem do góry jak granat artyleryjski na polu minowym.

- Dobra, wystarczy - przerwał Stary. - Opowiesz nam o tym innym razem. Zwracając się do pani Dreyer powiedział: - I co było potem?

- Byliśmy w samochodzie. Wiele razy omal nie przejechaliśmy ludzi. Za każdym razem jednooki szofer śmiał się bardzo głośno. Na Harvesterhude zatrzymali się, by zabrać młodą dziewczynę, która bardzo płakała. Uderzyli ją w bok głowy i powiedzieli jej, że zostanie ogolona wielkim nożem. Co to oznaczało, Herr Feldweibel?

- To takie powiedzenie - odrzekł, wzruszając ramionami, Stary.

Mały chciał wytłumaczyć, co ono oznacza, ale Legionista natychmiast go uciszył.

Barcelona i Heide grali w kości, nie odzywając się. Porta zwałił się na jedno z krzeseł, układając jedną ze swych talii znaczonych kart. Starannie je zapakował, jak nowe, z pieczętką i wszystkim innym. Naiwni dawali się nabrać za każdym razem, gdy otwierał jedną z tych rzekomo dziewiczych

talii. A jeśli któryś na cokolwiek nalegał, Porta niczego nie ryzykował, bo zawsze dawał komuś innemu pieczętkę do przełamania.

- Gdy przybyliśmy tu, do Dyrekcji Policji - kontynuowała pani Dreyer umieszczono mnie w pokoju na trzecim piętrze z mnóstwem innych ludzi. Potem przyszedł do mnie i z powrotem odwieźli mnie do Friedrichsbergu. Tam wszystko przeszukali i zabrali mnóstwo starych listów. Potem znowu czekałam na trzecim piętrze. Zresztą nie lubię tego miejsca. Ściany są tam złośliwe. Pilnował nas pewien stary esesman. Już nie umiał mówić, jak człowiek. Rozmawianie było zabronione, a jeśli ktoś coś powiedział, esesman go bił. Pewien dystyngowany pan powiedział, że chce złożyć na niego skargę. Esesman tylko się roześmiał, plunął na dystyngowanego pana i powiedział: - Kiedy pójdziesz się skarżyć, nie zapomnij powiedzieć, że cię także oplułem.

W kilka godzin później miły Oberscharfuhrer z jedną ręką przyszedł po mnie. Zaprowadził mnie do małego gabinetu, gdzie byli dwaj ludzie po cywilnemu. Jeden z nich zapytał mnie, czy powiedziałam, że Fuhrer nic nie rozumie.

- Nigdy tego nie powiedziałam. - Potem z miłym uśmiechem pogłaskał mnie po policzku.

- Ale przecież twierdziła pani, że Fuhrer jest głupi.

Temu również zaprzeczyłam.

Drugi wstał od biurka i podszedł do mnie.

- Proszę posłuchać, madame. Nie ułatwia nam pani pracy. Chcielibyśmy po prostu zapisać parę słów o tej historii. Jest już stara, ale nie możemy jej zamknąć, nie opisawszy do końca. Proszę zeznać, co pani powiedziała, podpisać, a my prześlemy teczkę do archiwum i wszystko zostanie zapomniane. Powiedziała pani do swej sąsiadki, pani Becker, że fuhrer był głupi zaczynając tę wojnę.

- To prawda, tak powiedziałam i nadal tak myślę.

Wszyscy trzej wybuchli śmiechem, a jednoręki Oberscharfuhrer potrząsnął głową, patrząc na sufit.

- No i widzi pani, madame. Przecież powiedziała pani, że fuhrer jest głupi.

Wyjaśniłam im, że tego nie myślę w taki sposób. Wielu ludzi tak mówiło.

- Na przykład kto? - spytał sekretarz.

- Pan Gelbenschneid, zawiadowca stacji, mówi to bardzo często odpowiedziałam. - Dalej jest pani Dietrich, asystentka mojego pedikiurzysty. Ona też to mówi. Wymieniłam im wielu, którzy mówili takie rzeczy.

Jeden z panów wszystko zapisał na papierze, który dał jednorękiemu. Zapytali mnie, czy już byłam w domu starców.

- Sam zadaję sobie to pytanie - mruknął Porta.

- Wiele stronic wypełnili tymi dwoma słowami. Powiedziałam im, że chcę naprawdę przeprosić. Bałam się, że wymierzą mi grzywnę, ponieważ nie miałam wiele pieniędzy. Tylko małą rentę wdowią. Zaczęłam płakać ze strachu, że nałożą mi grzywnę, której nie mogłabym zapłacić. Bardzo grzecznie mnie pocieszyli. Wszystko się ułoży. Następnie wypytawali mnie o moich chłopców i ich kolegów, co sobie myślą o Fuhrerze. Opowiedziałam im o Bentcie, koledze Kurta, który był Obersturmführerem w dywizji Das Reich. Miał bardzo wiele odznaczeń, ale często nie zgadzał się z tym, co robił fuhrer i złościł się na Himmlera. Pewnego dnia powiedział mi, że to, co robią ci dwaj, nie jest dobre. Zapytali mnie, kiedy to powiedział. To nie było trudno zapamiętać, bo to było w urodziny Kurta, tuż przed wyjazdem batalionu na front.

- Nie powiedziała pani im tego?! - zawołał Stary.

- Ależ tak, nie ma w tym nic złego. Powiedzieli mi, że ten Obersturmführer nie może zostać na froncie. Był na to o wiele za inteligentny. Zostanie przeniesiony do Hamburga. Odpowiedziałam, że Bent będzie zadowolony, zawsze chciał służyć w garnizonie. Bardzo się uśmieśli i pokleпали mnie po

ramieniu. Potem mówili o moim siostrzeńcu Paulu, studencie teologii. Uważali, że z pewnością powiedział wiele złego o Fuhrerze. Powiedziałam, że nigdy niczego nie mówił. Wtedy się rozzłościł i grozili mi. Trzeba było powiedzieć, co mówił ten Paul. Nic mu się nie stanie. Ten pan z jedną ręką, który siedział za nimi, dawał mi znaki. Zawsze kręcił głową, gdy na niego patrzyłam, ale nie rozumiałam tego. Już miałam go zapytać, co chce przez to powiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Wszyscy trzej założyli kabury z rewolwerami i pospiesznie wyszli. Przyszedł inny esesman i zaprowadził mnie do małego pokoju. To się powtórzyło dwa czy trzy razy. Pod koniec wyglądali na bardzo zmęczonych.

Za ostatnim razem sekretarz miał zakrwawioną twarz i zupełnie nie wyglądał sympatycznie. Nakrzyczeli na mnie i zapisali wszystko, co powiedziałam. To była prawie książka. Potem podpisałam. Sekretarz pożyczył mi swoje wieczne pióro. Napisałam: Emilie Dreyer, gospodyni domowa. Potem znów zrobili się uprzejmi. Dali mi kawy i ciastek. W środku tego wszystkiego wszedł nieduży człowiek w czarnych okularach, ubrany całkowicie na czarno. Podał mi rękę i przedstawił się: Paul Bielert, Kriminalrat. Gdy wszedł, tamci zrobili się bardzo zabawni. Myślę, że się go bali. Pokazał mi wszystko, co było napisane na mój temat.

- Opowiedziała nam pani mnóstwo rzeczy - powiedział. - Jest pani pewna, że to wszystko prawda? Odrzekłam mu, że nigdy nie kłamię. Wyglądało, że to go bawi, a potem powiedział coś dziwnego, czego nie rozumiałam.

- Co mianowicie? - zapytał zaniepokojony Barcelona, równocześnie zapalając papierosa.

- Powiedział, że prawda jest często głupia. To wszystko, a potem odszedł równie cicho, jak wszedł. Jakby płynął. Tamci powiedzieli mi, że ma gumowe podeszwy butów. Jednoręki powiedział: - Drań.

- Nie wolno tak mówić o swoim przełożonym, prawda? Czy sądzi pan, że samochód wkrótce się pojawi, proszę powiedzieć, Feldwebel?

Stary kiwnął twierdząco głową, spoglądając na Legionistę, który potrząsnął głową i wyszeptał: - Jaka szkoda.

- Gdy któregoś dnia będziecie mieli czas, odwiedźcie mnie, żołnierze. Zrobię wam tort. Z rodzinami. Moi synowie bardzo to lubili.

- Powinna pani spróbować zrobić go z jałowcówką - zaproponował Legionista. - To też jest dobre. Zanotowała radę, a potem znów zasnęła. Lekko pochrapywała.

Porta skończył układać swe karty. Zaproponował partyjkę. Zgodziliśmy się pod warunkiem, że będziemy grać kartami Barcelony.

Graliśmy w milczeniu przez pewien czas. Potem zadzwonił telefon. Nikt go nie odebrał.

Pani Dreyer spała.

Gra pochłonęła nas wszystkich. Do tego stopnia, że odlewaliśmy się do umywalki, nie mieliśmy czasu, by pójść do toalety. Nagle usłyszeliśmy, że dzwonią do drzwi i kopią w nie.

Barcelona poszedł otworzyć.

Stało tam dwóch esdemanów z pistoletami maszynowymi przez pierś.

- Heil Hitler, koledzy. Macie tu niejaką panią Emilie Dreyer?

- To ja. - Obudziła się i chwiejnie powstała z miejsca.

- Dobrze - powiedział esdeman. - Wyruszamy do Fuhlsbuttel. Proszę zabrać swoje rzeczy.

- Nie jadę do Fuhlsbuttel - zaprotestowała. - Wracam do siebie.

- Wszyscy wrócą - zażartował esdeman. - Ale najpierw trzeba zrobić mały objazd.

Pani Dreyer zaczęła się niepokoić. Ogarniał ją strach. Popatrzyła na jednego i drugiego. Odwróciliśmy wzrok. Po omacku podała rękę Staremu.

- Niech Bóg panią strzeże - mruknął i pospieszył do toalety.

Zaczynała rozumieć. Cicho mówiąc do siebie poszła za esdemanami. Jedno sznurowadło miała rozwiązane. Trykotowe pończochy opadły i skręciły się.

Zatrzaśnięto ciężkie drzwi.

Usłyszeliśmy głosy na podwórzu na dole, tam gdzie czekały policyjne suki.

Trzaskały inne drzwi. Krzyki komend. Hałas rozgrzewanych silników. Ciemnozielone ciężarówki opuszczały podwórze Komendy Policji.

W jednej z nich pani Emilie Dreyer, gospodyni domowa, zamknięta w małym pudełku, śmierdzącym słonym potem.

Nie powiedzieliśmy nic. Każdy zajął się swoimi sprawami. Czuliśmy wstyd. Wstyd z powodu naszych mundurów.

Wkrótce potem Mały podniósł się i wyszedł na korytarz. Za nim Porta. Usłyszeliśmy otwieranie drzwi. Krzyki. Mały wrócił błyskawicznie.

- Blank wsiadł do pociągu do piekła. Jego ciało jest tam, na szelkach.

Wielkie poruszenie. Wszyscy spieszyli się, żeby zobaczyć.

Na podłodze jego czapka z trupa główką. Powiesił się na kracie okiennej. Twarz miał niebieską i spuchniętą. Szyję o wiele za długą. Oczy patrzyły na nas zgaszonym wzrokiem.

- Nie ma dobrej miny - wyszeptał Barcelona.

- Wyciął szpasa Dirlewangerowi - oświadczył Legionista.

- To oszczędzi czasu sądowi - stwierdził Heide.

- Nie pozostanie im nic innego, jak nabazgrać akt zgonu - zaśmiał się złośliwie Porta.

Mały wysmarkał się w palce.

- Nikt po nim nie zapłaci. Miał parszywą opinię.

- Są na pewno tacy, którzy odczują ulgę - zauważył Stege.

Stary usiadł za biurkiem, by sporządzić meldunek.

- Pod warunkiem, że nie będziemy mieli kłopotów z powodu tej historii.

- To mimo wszystko nie było bardzo grzeczne. Powinien był poczekać, aż przyjedzie do Fuhlsbuttel - oświadczył Steiner.

Mieli taki sam stopień. Jeden i drugi byli wielkimi oszustami, pomimo różnych mundurów. Panowie czarnego rynku, którzy sprzedawali wszystko, od kobiet do pustych łusek pistoletowych. Byli żołnierzami aż do szpiku kości, ale nigdy się do tego nie przyznawali, nawet jeden wobec drugiego.

Szofer z SS zważył w dłoni zwiniętego papierosa, obwąchał go.

- Uważam, że jesteś cholernym kłamcą - mruknął. - Niczego nie czuję. Rozpruj swoje szlugi, żebym zobaczył kulki.

- jeśli ci mówię, że w każdej fajce jest kulka - zaprotestował Porta - to jest to prawda. - Plunął na porporczyk SS, zdobiący prawy błotnik szarego mercedesa.

Esesman natychmiast odwzajemnił grzeczność, plując na pomnik piechurów, poległych w siedemdziesiątym szóstym.

- Mam trochę dętek samochodowych - zaproponował esesman - ale parzą w dłonie.

- Twoja dupa też będzie parzyła, gdy pewnego dnia dasz się przyskrzynić przepowiedział mu Porta. - Przyjdiesz do nas.

Nie zatrzymując się kontynuował: - Byłem kierowcą jak ty, ale to było u pewnego Obersta. Spławił mnie.

- A to dlaczego? - zapytał esesman.

- Uprałem nasz sztandar i podjadałem mu posiłki. Darł się przez cztery godziny, gdy pokazałem mu sztandar dobrze odprasowany i w ogóle. Twierdził, że gówno, które zmyłem, to była patyna spod

Austerlitz.

- Mogę ci zaproponować pewien adres, gdzie całkiem gołe panienki wchodzą na ring i okładają się kułakami.

Porta nastawił uszu, a na policzki wypłynęły mu czerwone plamy.

- Całkiem gołe?

- Nie, mają parę łachmanów. Pantofle, pończochy i paski do nich. Wszystko na czarno i z ozdóbkami.

- Można je wynajmować, te dziwki?

- Ano, możesz sobie zapłacić tuzin, jeśli cię to urządza.

Usiedli na stopniu samochodu. Błyskawicznie dobito targu.

* * *

Rozdział V PORTA I ESESMAN

Pewnego dnia Leutnant Ohlsen został aresztowany. Od ponad dwóch lat należał do naszej kompanii, a w pułku służył od 1938. Miał wielu kolegów w 11. Pułku Pancernym. Owszem, niektórzy z nich byli nawet wraz z nim prostymi szeregowcami. Został oskarżony o utrzymywanie kontaktów z pewną grupą nielojalnych oficerów. Później dowiedzieliśmy się, że zadenuncjowała go jego żona.

Przyszedł po niego jeden oficer i dwóch żandarmów. Przyszli cichaczem pewnego ranka, tuż przed ćwiczeniami. Bardzo by chcieli odjechać równie ukradkiem, jak przybyli. Doświadczenie ich nauczyło, że to było w najwyższym stopniu pożądane. Żadnego hałasu. Lepiej było, jeśli tego rodzaju rzeczy odbywały się delikatnie.

Ale ich ujrzano. Zaalarmowaliśmy Obersta Hinkę, jego zastępcę pospieszył się, by zatrzymać żandarmów w przejściu, właśnie gdy wychodzili z budynku kompanii. Drzwi zostały zamknięte. Nikt nie mógł wyjść z koszar.

Zastępca uśmiechnął się łagodnie do szefa policjantów.

- Nasz dowódca chętnie by się z wami spotkał, Leutnancie. Proszę uprzejmie pójść za mną do jego biura.

Leutnant i jego dwóch policjantów poszło za nim, nie wypuszczając Leutnanta Ohlsea.

U Obersta Hinki wybuchła głośnie dyskusja. Brzęczały druty telefoniczne. Postawiono w stan gotowości wszelkie możliwe służby. Najpierw Komendanturę w Hamburgu. Bez wyniku. Dywizję w Hanowerze. Bez wyniku. Abwehrę w Berlinie. Bez wyniku.

W końcu Hinka skontaktował się z Biurem Personalnym Armii w Berlinie, gdzie udało mu się skontaktować z Generałem Piechoty Rudolfem Schmidtem.

Tego rodzaju aktywność zwykłego poranka nie uszła oczywiście uwagi Gestapo.

Mercedes długi, niski i szary z dwoma Unterscharführerami SS i niskim człowiekiem w cywilu, ubranym całkowicie na czarno, zatrzymał się przed dowództwem pułku. Cywil wyglądał równocześnie śmiesznie i strasznie. Wyglądał, jak drobny urzędniczek, wyruszający na pogrzeb w wynajętym garniturze. Czarny melonik, płaszcz z czarnej skóry, białe rękawiczki trochę za duże, biały szalik, kilka razy owinięty wokół szyi. Całość zamykał czarny parasol z żółtą rączką. Twarz miał bladą i szpiczastą. Przypominała zmarzniętą mysz.

Rittmeister kawalerii Brockmann, dowódca lekkiej kompanii, nie wierzył własnym oczom, napotkawszy tę zdumiewającą osobistość na wielkich schodach.

- Kto to u diabła jest, ten tutaj? - zapytał podoficera służbowego.

- Nie wiem, Herr Rittmeister. Zażądałem, by pokazał legitymację, ale on nadal wchodził po schodach. Tak, jak bym mówił do trupa.

- Trupa! - zaśmiał się Rittmeister. - Powiedziałbym raczej wariata. Człowiek normalny nie ubierałby się tak bez gustu. - Chwycił telefon.

- Paul, za chwilę pojawi się jakaś dziwna małpa. Odeślij go do mnie pod eskortą. Włóczy się w budynku, jakby to była publiczna knajpa. - Z tymi słowami zaśmiał się wesoło i zatarł ręce. Rittmeistera Brockmanna uważano za jednego z wielkich żartownisiów pułkowych, ale jego żarty były szczególnego gatunku. Miesiąc wcześniej popchnął Leutnanta Kohlera do samobójstwa.

Wezwał paru swych kolegów oficerów. Przygotowywano się do gorącego powitania dziwnego cywila. Konkurs polegał na tym, kto znajdzie najlepszy sposób zajęcia się nim.

Brockmann uważał, że najlepiej będzie wsadzić go na pewien czas do karceru i oskarżyć o szpiegostwo. Być może uda się zrobić tak, by znalazł się w którejś kompanii rekrutów. Zawsze będzie można później powiedzieć, że przez pomyłkę.

Mały cywil został zatrzymany na korytarzu przez Feldwebela i dwóch ludzi, którzy zażądali, by poszedł z nimi do oficera inspekcyjnego.

Uśmiechnął się sardonicznie, potrząsnął głową i bez słowa poszedł z nimi do posterunku żandarmerii.

Pruską modą, z pięściami mocno przyciśniętymi do bioder, Rittmeister Brockmann przyjął pochód. Mrugnął do kolegów, którzy z zachwytem uczestniczyli w spektaklu.

- Jak u diabła ośmielił się pan tak włóczyć po koszarach? - zaczął Rittmeister. Cywile nie mają tu nic do roboty, proszę to sobie zapamiętać! - Kołysał się na nogach, mówiąc coraz głośniej.

- Masz zatkanie uszy, kulisie jeden, czy zagwożdżoną szczękę? Nie usłuchałeś nawet wezwania podoficera służbowego!

Bił się szpicrutą po cholewach i brzęczał ostrogami. Zawsze miał po kilka ostróg. Robiły straszliwy hałas. Ssał sobie ząb. Zawsze tak robił, zastanawiając się nad jakimś projektem. Miał śmierdzący oddech, z czego sam nie zdawał sobie sprawy.

- Mogę cię kazać zamknąć, póki nie zgnijesz. Taki czarny kurdupel jak ty, może mieć zamiar wysadzenia koszar w powietrze. Wyglądasz niebezpiecznie.

Reszta oficerów aż tupiała z radości. Cywil był nadal poważny nawet nie drgnąwszy, jakby go to w ogóle nie dotyczyło.

- Czy masz pozwolenie na broń? - pytał dalej Brockmann, wskazując parasol.

- Jest w paradnym stroju sabotażysty - wtrącił uradowany Leutnant Berni.

Ogólny wybuch śmiechu. Chodzili wokół cywila, badając go wzrokiem, jakby należał do najdroższych skarbów Muzeum Narodowego.

- Dobrze by mu zrobiło, gdyby został żołnierzem - odezwał się Leutnant Reichelt, uważany za największego erotomana wśród oficerów. Zawsze miał przynajmniej trzy kochanki równocześnie, a żadnej nie trzymał dłużej niż przez jeden miesiąc. Gdy przyjęcia oficerskie były u szczytu, miał zwyczaj dawać spektakl erotyczny na wielkiej kanapie w kasynie, kończąc go w pełnej wannie. W cywilu był handlarzem win. Nigdy nie pojechał na front. Wykupywał się od tego szampanem i koniakami.

Rittmeister kawalerii podsunął szpicrutę małemu człowieczkowi pod podbródek.

- Jak twojemu ojcu udało się sfabrykować takie indywiduum, jak ty?

- Założył tłumik - roześmiał się Leutnant Berni.

- Wyglądasz jak kiełbaska - zakrakał uszczęśliwiony szef kuchni Schmidt.

Ten zawsze przyrównywał innych ludzi do produktów żywnościowych. Tylko jedzenie było jego życiem. Otarł się niemal o szaleństwo, gdy znikły pięćdziesiąt dwie skrzynki kiełbasek turyńskich. Groził i wrzeszczał tak, że słyszano go poza koszarami, jak by w intendenturze nastąpiło trzęsienie

ziemi. Ale nagle nic już nie słyszano o znikających kiełbaskach. Co więcej, Schmidt twierdził, że one nigdy nie istniały i to pomimo tego, że ośmiu ludzi gotowych było zeznać pod przysięgą, że ulotniły się z tajnego magazynu, zamkniętego na klucz, i że nikt nie miał prawa postawić tam stopy inaczej, jak pod eskortą szefa kuchni. W tym składzie nie było okien. Tylko masywne mury. Metalowe drzwi miały cztery zamki i zabezpieczenie antywłamaniowe, co dzień sprawdzane.

Ale szefowi udało się ustalić, że nastąpiła pomyłka. Kiełbaski nie były nigdzie zinwentaryzowane. Uśmiechano się pod wąsem. Zrozumiano. Złodziej na złodzieju złodziejem pogania.

- Heil Hitler, Standartenfuhrer. Wiadomość z R.S.H.A. przez radio w samochodzie. Oddział szturmowy Nr 17 dokonał aresztowań.

Mały człowieczek skinął potwierdzająco głową. Jego oczy błyszczały za czarnymi okularami.

- Dobrze, Muller. Upewnijcie się, żeby więźniowie zostali zakwalifikowani jako tajni. Absolutnie tajni. - Popatrzył na zebranych oficerów.

- Dziękuję wam za chwilę wytchnienia. Jeszcze się spotkamy, panowie. Heil Hitler!

Za czarnymi okularami można się było domyślić nienawistnego spojrzenia.

Nagle koledzy Rittmeistra Brockmanna przestali uważać małego cywila za zabawnego.

- Ani słowa z tego nie rozumiem - mruknął Brockmann. - Do diabła, Feldwebelu - zwrócił się do podoficera - jeśli nie chcecie zostać wyekspediowani w kompanii marszowej, postarajcie się dowiedzieć, kim jest ten pan.

- Gestapo? - spytał szef kuchni Schmidt, którego męczyło wspomnienie o kiełbaskach.

Równocześnie myślał o kilku skrzynkach szynki, fasolce szparagowej i innych bagatelkach. Nagle zaczęło mu się spieszyć do wyjścia.

Tak szybko, jak mu na to pozwalały jego krótkie, grube nóżki, pospieszył do swego biura, gdzie zaczął dziko rugać podwładnych. Biegając przez wszystkie składy żywności, zdołał w rekordowym czasie wszystko postawić na głowie.

W dwadzieścia minut później dwie ciężarówki, wyładowane szynką i fasolką opuściły koszary.

Wszystko zostało złożone w kryjówce u szefa kuchni pułku artylerii. Ta operacja kosztowała Schmidta dziewiętnaście skrzynek szampana. Cały dochód z szynki. Chwyciło go śmiertelne przerażenie.

W koszarach ta niezwykła wizyta nie zrobiła na nikim wrażenia. W szczególności na wartowniku przed sztabem pułku, Obergefreiterze ze wstążeczką na piersi za osiem lat służby. Bardzo przyjaźnie rozmawiał z kierowcą mercedesa o sprawie, której szczegóły nie powinny były ujrzeć światła dziennego.

- Gadajże, do jasnej cholery - mruknął esesman. - Ile chcesz za dwanaście „lodyg”? - Na prawym rękawie miał białą opaskę z czarnymi literami R.S.H.A.

- Są drogie - stwierdził Obergefreiter. - Ile dajesz?

- Tysiąc kawałków - zaproponował esesman, wkładając rękę do kieszeni, by wyjąć pliki banknotów pod gumowymi opaskami.

- Upadłeś na głowę? - zadrwił Obergefreiter. - Uważasz, że tu jest instytucja charytatywna? - Włożył prosto swój hełm, poprawił pozycję karabinu i wsadził dwie ręce w kieszenie w sposób tak mało regulaminowy, jak tylko możliwe.

- Uważasz, nikt cię nie zmusza, byś kupił moje „lodygi”. Proponuję ci je, ponieważ wyglądasz mi na kogoś, kto potrafi na nich zarobić.

- Mógłbym mieć je gratis - oświadczył esesman i splunął na pamiątkowy kamień żołnierzy, poległych w Pierwszej Wojnie Światowej. Wszystkich tych, którzy byli w 76. Pułku Piechoty z Hamburga.

- Uważaj, nie spadłem tu z księżycy - oświadczył Obergefreiter i wysmarkał się w palce. Trochę

smarków upadło na swastykę żelaznego proporczyka SS, umieszczonego na przednim błotniku samochodu.

Esesman udawał, że nic nie widzi. W odpowiedzi plunął jeszcze raz na pomnik poległych.

Obergefreiter kpił sobie z tego. Splunął znowu i trafił w głowę cesarskiego orła dokładnie w miejscu, gdzie zrobił to esesman.

- Można by powiedzieć, że nie wiesz, kim jestem - chełpił się esesman - i nie wiesz, kto jest moim szefem. To ten, który poszedł po twojego dowódcę.

- Sram na twojego szefa.

- Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, kim on jest. Mam przecucie, że zrobisz mi prezent z twoich fajek, abym spróbował zapomnieć o moim obowiązku. Wysunął rękę i pokazał białą opaskę. - Ja też jestem pewnego rodzaju policjantem.

- Ty jesteś tylko zasrańcem - stwierdził bezczelnie Obergefreiter. - I możesz zatrzymać swe groźby przy sobie. - Dwukrotnie obszedł mercedesa, za każdym razem plując na żelazny proporczyk SS.

- Spuść z tonu, stara małpo. Znam cię dobrze, nawet bardzo dobrze. Gdyby przyszedł mi do głowy pomysł, by trochę pogadać, jutro byłbyś zupełnie małutki, podrzędny pomocniku łapsa.

Esesman zarechotał. Czuł się absolutnie pewnie. Wychylił się przez drzwiczki.

- Trzymaj dobrze swoją zabawkę, abys nie upadł na dupę. Moim szefem jest Standartenfuhrer SD Paul Bielert, Piękny Paul.

Triumfował. Powiedział „Piękny Paul” z takim nabożeństwem, jak misjonarz, przemawiający w knajpie do bandy pijaczków.

- Dech ci zaparło, co?! - krzyknął.

- Gówno prawda. Sram na twojego Pięknego Paula.

- Masz fioła! - zawołał esesman, patrząc na Obergefreitera z udawanym osłupieniem. - Piękny Paul jest największym draniem w całym kraju. Nawet Henryk od SS robi w portki, gdy słyszy jego imię. Istnieje tylko jeden człowiek, który nigdy nie bał się Pięknego Paula. To Diabeł z Pragi, Gruppenfuhrer SS Heydrich.

- Wobec tego ty także musisz się go bać?

- Wszyscy się go boją, i ty także, gdy go poznasz. Zresztą pamiętaj, że gdy mówisz o moim szefie, musisz go nazywać Standartenfuhrer.

- Wolę określenie ścierwnik. Albo pisuar.

- Gadaj sobie, mój chłopcze. Ale poczekaj, aż cię zadenuncjuję za przechowywanie narkotyków. Zdechniesz z przerażenia. - Uniósł palec gestem proroka, tuż pod nosem Obergefreitera i szepnął poufnie: - Nawet namiestnik Boga w Rzymie, papież we własnej osobie, by się go bał. I mam wszelkie powody przypuszczać, że nawet sam diabeł w piekle go się obawia.

- Przyznaj się, czy twój ojciec był pijany, gdy cię fabrykował? Bo cierpisz na okropną manię prześladowczą.

- Zamknij pysk. Gdy go zobaczysz, będziesz dokładnie taki, jak ja. Przechodząc sobie spogląda na jakiegoś typka, zapala papierosa. A potem mówi obojętnym tonem, tak jakby mówił o pogodzie: - Załatwić tego człowieka! A potem spokojnie wraca do siebie i bierze się znów za swoją robotę.

Któregoś dnia było dziewięciu, którzy kopnęli w kalendarz. Dziewięciu z SD, oskarżonych o szantaż. Nim zdolali powiedzieć „oj”, już kołysali się na powietrzu. Pozwolono im tylko przywitać się ze słońcem. A zaraz potem powiedzieli: - Żegnaj. Mój szef uwielbia wysyłać ludzi na szafot. To mu sprawia taką przyjemność, jak nam łyknąć drinka.

- To jest nic w porównaniu z dowódcą, jakiego kiedyś miałem - pochwalił się Obergefreiter. - Nazywał się Lindenau. Nazywano go Papa Lindenau. Został usmażony w Kijowie.

Roześmiał się głośno, jakby uważał za bardzo zabawne, że jego dowódca spalił się w Kijowie.

- Kiedy Papa Lindenau otrzymał z dywizji rozkaz natarcia, zawsze miał do nas piękną, krótką mowę. Nie trzeba być czarnoksiężnikiem, by mówić jak twój szef: „Załatwić tego człowieka”. Każdy idiota może to powiedzieć, pod warunkiem, że ma okruszek władzy. Twój szef jest nadętym błaznem. Słyszałem o nim znacznie wcześniej, niż ty otrząsałeś pył z twych butów w dywizji Totenkopf. Być może spotkaliśmy się już kiedyś?

- Chcesz powiedzieć, że znasz osobiście Pięknego Paula?

Obergefreiter zaśmiał się tajemniczo, zrobił kilka kroków koło samochodu, prychnął i plunął na porządek.

- Nie pluj na mój sztandar.

- Kto to mówi?

- Nie słyszysz?

- Mam to w dupie. - By podkreślić te słowa, Obergefreiter znów plunął. Esesman wolał udać, że niczego nie widział.

- Mówiłeś, że znasz Pięknego Paula.

- Żarty. Nigdy tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że być może go znam. Ale zrób małe świństwko z „łodygami”, a przekonasz się, czy go znam. Mogę powiedzieć, że zaproponują ci bardzo prostą drogę tutaj do mojego pułku, via Torgau i wtedy nauczysz się znajomości ze mną. Wiem, że zostanę twoim dowódcą w obozie szkoleniowym. Bo Bóg jest wielki i dobry. Jest zawsze sprawiedliwy. Nauczysz się przeklinać dzień, w którym po raz pierwszy spotkałeś Josepha Porte. Z Bożej łaski Obergefreitera.

- Pieprzysz. A zaczęłaś mi opowiadać o twoim dowódcy i nikt nie miał zamiaru cię denuncjować.

- Sam to powiedziałeś.

- Pusta gadanina. Tyle rzeczy się mówi. Myślałem, że może coś w tobie jest. Przecież nie mogłem zgadnąć, że jesteś kumplem, wybrańcem Boga. Jazda, podaj mi cenę twoich fajek. Biorę je bez gadania. Na dodatek dam ci adres takiego domu schadzek, gdzie burżujki przychodzą, by poznawać prawdziwych mężczyzn.

Porta udał, że niczego nie słyszy.

- Dobra, rozmawialiśmy o moim dowódcy. Gdy mówił do nas grzecznie, zawsze zaczynał od słów: - Łajdaki, będziecie starali się nie zesrać. Otrzymaliśmy rozkaz do ataku psychologicznego. Nasz pułk jest jedynym, który Iwan uważa za godny wymieniania w swoim radiu. Nie zapomnijcie i okażcie się tego godni. Łobuzy i świnię, bagnety na broń! Biegiem! Za mną, wybrańcy śmierci! - Podczas biegu spoglądał do tyłu i krzychał: - Biada draniowi, który spóźni się o pół metra! Osobiście zajmę się rozpruciem jego cielska. - Leciał naprzód, na czele pułku, z opuszczonym pistoletem maszynowym i szablą błyszczącą w słońcu. Jego przekleństwa słychać było o kilometr.

- Słuchaj no, nie chcesz chyba, abym uwierzył, że atakowaliście na białą broń?

- U nas atakuje się zawsze nożami i bagnetami - wyjaśnił Porta z szerokim gestem ręki. - Jesteśmy specjalistami ścinania makówek. Przyjdź rzucić okiem na nasz plac ćwiczeń, tam, tuż za garażami. Zobacysz tam worki z piaskiem, na których przez dwie godziny codziennie trenujemy walkę na bagnety. - Poglaskał bagnet, złośliwie połyskujący na lufie jego karabinu.

- Nim zdążysz powiedzieć „oj”, esesmanie, ostatni z nas pośle twoją strzelbę w powietrze.

- O kurwa, o kurwa - powiedział esesman.

- Podczas natarcia Papa Lindenau ryczał głośniejszym niż my wszyscy razem wzięci.

- A co krzyczeliście? Hurra?

- Hurra? Idiota! - wyśmiał go Porta. - To tylko w drugorzędnej piechocie i u strzelców tak się

krzyczy. No i oczywiście w twojej zasranej kompanii.

- Nazywasz SS kompanią zasańców?

- Masz zatkane uszy? No więc jak to jest? Nie krzyczycie „hurra” atakując?

- Tak, oczywiście. - Esesman zawahał się.

- My wykrzykiwaliśmy obelgi prosto w pysk Iwanowi. Job twoja mat, siskajezoo monował Wystarczy, że nas usłyszą, a Iwany robią w portki. Chwilami słyszało się głos Papy Lindenaua: - Naprzód, wybrańcy śmierci! Uderzajcie, parszywe szakale! - Biegliśmy ze wszystkich sił, szukając sposobu, by wsadzić kulkę w plecy tego przeklętego Obersta. Ale z nim to nigdy nie wypaliło. Zawsze się nas strzegł. Miał tysiąc oczu rozmieszczonych po całym ciele. Nawet miał jedno w dziurze w dupie, a ono zapalało się zawsze, gdy już miałeś palec na spuście. Miałem pestkę ładnie zawiniętą w szmatkę, specjalnie naciętą na tę okazję. Ale właśnie, gdy ją miałem włożyć do magazynka, właśnie gdy podnosiłem broń, by ją posłać, usłyszałem wrzask Papy Lindenaua, wypieszczonego na kolanach Szatana: Parszywy psie! Czy nie widzisz, że celujesz do swego Obersta? - O, kurwa, jakże się przestraszyłem! Wyrzuciłem zabaweczkę tak szybko, jakby mi parzyła palec.

- Obergefreiter Porta, Herr Oberst - szybko odpowiedziałem. - To była pomyłka. Myślałem, że Herr Kommandant jest ruskim oficerem.

Drań zarechotał i poprosił Pana Boga, by spuścił na moją mordę potop gówna i burzę z piorunami. Wróciwszy do koszar musiałem odbyć na rozkaz dowódcy osiem godzin musztry, bym się nauczył więcej nie popełniać omyłek. Po tym zostałem jego ochroniarzem.

- Naprawdę likwidowaliście waszych oficerów? - zapytał z drzeniem w głosie esesman.

- Zdarzało się. Na przykład w 2. Kompanii, bandzie dzieci szatana, samych strzelców wyborowych. Byli na wyprawie za Oceanem Lodowatym, gdy znajdowaliśmy się w Finlandii, by tam nauczyć twoich kolegów, jak się prowadzi wojnę. Gdy w jedenaście dni później powrócili, nie mieli ani oficerów, ani Feldwebli. Trzech Leutnantów, dwóch Oberfeldwebli i czterech Feldwebli znikło bez śladu. Kompanią dowodził jeden stary podoficer. Nie miał już nosa. Stracił go w Warszawie. Obcięła mu go dziewczyna szabłą polskiego ułana i to jednym uderzeniem, jak rzeźnik odcina kawałek kiełbasy. Rudy kot uciekł z jego odciętym nosem. Od tej pory 2. Kompania zawsze miała miłych oficerów.

- Ci z Drugiej muszą być twardzielami. A jak to jest w kompanii karnej?

Wyglądało, że esesman jest szczególnie zaciekawiony. Myślał sobie po cichu: Lepiej wcześniej zasięgnąć języka. Nigdy nie wiadomo, co przyszłość przyniesie.

Porta zaśmiał się, przymrużył tajemniczo swe świńskie oczka, znów wysmarkał się w palec i znowu udało mu się trafić w chorągiewkę.

- Och, to zależy, to zależy przede wszystkim od oficerów. Jeśli są to skurwysyny, którzy chcą, by kumplom popękały śledziona na przeszkodach poligonu, przez które potrafią przedostać się na brzuchu tylko najchudsi, to jest paskudnie. Przy takich oficerach oczywiście podoficerowie zmieniają się w wyjące wilki. Jaki pan, taki kram. Kiedyś mieliśmy Hauptmanna Meyera, którego manią było komenderowanie: - Pod czołgi, na czołgi! - Niekiedy maszyny zapadały się w miękką glebę i miażdżyły tych, którzy byli pod nimi. Hauptmann Meyer śmiał się jak szalony.

- I co zrobiliście z tym facetem?

- Miał prawo do kilku wybuchowych cygar w dupie i w ten sposób z nim skończono - odparł zwięźle Porta. - Był także Hauptfeldwebel, którego nazywaliśmy „Gruba Słonina”. Gdy spał, przywiązano mu parę granatów do szyi i podłożono bombę pod łóżko. Lont podłączony był do jego butów. Wyobrażasz sobie, co było potem. Gdy tylko ruszył kulasami, wyruszył w przestrzeń bez kłopotów ze

startem. To był twardziel, ten Gruba Słonina, wierz mi. Pewnego razu zmusił Małego do przepłynięcia rzeki dwadzieścia razy. W końcu Mały zaczął szczekać, wydało mu się, że został foką. Byliśmy tam wszyscy, z głupimi minami patrząc na przedstawienie. Buty Małego zniknęły w wodzie na jednym brzegu. Następnie czekaliśmy aż do chwili, gdy jego hełm pojawiał się na drugim, gdzie Mały oddychając puszczał bańki jak wieloryb na morzu. Gruba Słonina nie ukrywał rozczarowania za każdym razem, gdy ten hełm się pojawiał.

- W tył zwrot, naprzód, skok na głowę! - I buty Małego znów machały nam na pożegnanie.

Potem kazał mu maszerować. Sam jechał za nim na motocyklu. Dwadzieścia pięć kilometrów w pełnym oporządzeniu przy temperaturze plus 22, i jak sam się domyślasz w płaszczu i z ładownicami i plecakiem pełnymi mokrego piasku.

- I z maską gazową? - zapytał esesman.

- No, oczywiście! - zaśmiał się Porta. - Mały miał to wszystko gdzieś, ale następnej nocy Gruba Słonina poszedł na obchód szkół. Znikł w przestrzeni, napędzany przez paczkę granatów. Ruhe in Frieden, alk Seelen!

- Także u nas niekiedy bywa taka robota - stwierdził esesman i potarł trupa główkę na swej czapce.

- Ja, rozumiesz, jestem w tym tylko tymczasowo. - Obliznął się i kontynuował ze źle ukrywaną dumą: - Moim prawdziwym oddziałem jest Dywizja Kawalerii SS Florian Geyer. Ale miałem pewne historie. Wysłano mnie czasowo do Dywizji Totenkopf. Tam także źle się do nich dopasowałem Nie chcieli mnie. Nastąpiłem na odcisk pewnemu Untersturmfuhrerowi, wizytującej bestii z załogi Dachau. Zrobił ze mnie nadzienie do kielbasy Przebywałem osiem tygodni w izbie chorych a potem wysłano mnie na rekonwalescencje do SD w Hamburgu. Teraz jestem kierowcą Pięknego Paula. To dla mnie nie to, dziękuję. Chcę wrócić z całym bagażem. Byłem trębaczem w 1. Szwadronie. Nostalgia, uważasz, upijam się co wieczór, ale muszę uważać”. Przy pierwszej okazji wyślą mnie do Torgau. Nasz Hauptscharfuhrer każdego ranka wszystko mi wyjaśnia. To najpaskudniejszy na świecie Hauptscharfuhrer. Był szefem baraku w Buchenwaldzie. Opowiadają, że własnymi rękami dusił więźniów. I to na pewno prawda. Zawsze uważnie przygląda się szyjom innych ludzi.

Esesman do połowy wychylił się przez drzwiczki samochodu. Przyciszył głos i zaczął szeptać poufnie: Ale jestem starym cwaniakiem i wodzę ich za koniec nosa. Mam ich w dupie, wszystkich. Ale to o czym chciałem ci opowiedzieć, to było ciężkie życie, jakie nam fundowano u Floriana Geyera Nasz dowódca, Standartenfuhrer Rochner, ukatrupił trzech naszych kolegów za to, że powiedzieli to, co myślą o Adolfie. To było pewnego wieczoru, tuż przed gaszeniem światła. Właśnie polerowałem trąbkę Trąbienie na capstrzyk należało prawie zawsze do mnie - Ja także gram - powiedział Porta - Nagle uznał esesmana za bardzo sympatycznego Gram na trąbce. Jesteś dobry?

- O tak, niestety. Jestem najlepszym trębaczem w całej armii Adolfa. Dwa razy grałem w Norymberdze, właśnie gdy nadchodził Adolf, stawiając stopy do środka.

- To prawda, że on tak je stawia?

- Boże, nie wiedziałeś o tym? Często zartowaliśmy z tego. Prawą stopę ma zupełnie wykręconą do środka.

- W jaki sposób grasz capstrzyk?

- O taki: najpierw długi pasaż, potem krótki, aby miało się wrażenie, że trąbka oplakuje cudowny dzień. Trąbka żyje i trzeba ją traktować, jak żywą istotę, którą się kocha. W przeciwnym razie nie będzie dobrze grała. Znałem pewnego trębacza, który grywał pobudkę na zabrudzonej trąbce, ale nic z tego nie wychodziło. Trąbka w ogóle nie chciała śmiać się i witać nowego dnia. Ale moja to wie. Raduje się, gdy ją się kieruje na wschodzące słońce, bo rozumiesz, na mojej trąbce nie ma plam i zwracam się do niej po imieniu. Mówię do niej, a ona jest przyczepiona tuż nad moim łóżkiem.

Pewnego dnia pozwolę ci, byś jej spróbował. To coś, czego nigdy nie robię, ale w oczywisty sposób widzę, że jesteś prawdziwym trębaczem.

- Wobec tego ja też pozwolę ci spróbować mojego fletu. Ale opowiedz mi o twoim dowódcy.

- Wszedł do pokoju tuż przed tym, jak miałem zagrać. Zawołał trzech facetów i pierwszego zapytał, czy to prawda, że coś powiedział o Fuhrerze. Facet zaprzeczył. To oczywiste. - Świnio jedna! - wrzasnął Standartenfuhrer - okłamujesz swego dowódcę! - Trach, trach, dwa strzały z walthera 7,65. Kilka kopniaków i to był koniec. Niech go diabli wezmą. Porysował ostrogami nasz pięknie wyfroterowany parkiet. Mieliśmy z tym przez następne dni cholerną robotę. To jest taka słabość esesmanów, zawsze chcą mieć błyszczące parkiety. Dowódca zwrócił się do dwóch następnych. Obaj byli zwykłymi kawalerzystami konnych SS. Jeden z nich miał przypasaną szpadę, miał właśnie pójść na wartę. Obaj się przyznali i to natychmiast. Każdy dostał po dwie kulki w łeb. Jeden z nich pierwszym strzałem został tylko raniony. Podskakiwał a krew płynęła mu po twarzy. Czy kiedykolwiek widziałeś kurę, której odcięto głowę? Dowódca znów strzelił do niego, nie trafiając go. Biedny sukinsyn kompletnie wariował ze strachu. Rzucił się przez okno i pobiegł przez plac apelowy. Trzech ludzi wyskoczyło przez okno, pobiegło za nim i złapało go. Trzymali go, podczas gdy dowódca wbił mu kołek w twarz. Spróbuj gdziekolwiek znaleźć dowódcę bardziej skurwysyńskiego niż nasz.

- Przestań się łudzić. Ale interesuje mnie, czy ten morderca jest nadal dowódcą? Jeśli taki typek jeszcze jest przy życiu, jesteście tam u siebie bandą mięczaków. - Odszedł. Ruscy schwytali go, gdy szliśmy przez Elbrus. Powiesili go za nogi na jakimś pniu. My w SS nie zabijamy naszych oficerów.

- Dlatego, że jesteście kapcanami. Pozwalacie się torturować i torturujecie innych. Wykończyć tego człowieka, tak wam mówią wasi wygalonowani bonzowie. Od roku 1933 tak się przyzwyczailście mordować niewinnych ludzi, że teraz robicie to nawet nie pomyślawszy. Wasi oficerowie nie są złośliwsi niż inni. Nawet mają mniej wyobraźni. Zabić człowieka potrafi jakikolwiek idiota. Pustynny Włóczęga, który odsłużył osiem lat w Legii Cudzoziemskiej i Barcelona Blom, który był trzy lata w hiszpańskim Tercio, mówią, że u nas jest gorzej niż zagranicą. Nie zdołasz sobie wyobrazić wszystkiego, co z nami wyrabiano w 27. Pułku Pancernym. Źle przyszyty guzik kosztował trzy godziny biegu po piasku, w płaszczu, z całym wyposażeniem bojowym, chlebakami wypełnionymi granatami ręcznymi i to wszystko odbywało się w najgorętszej porze dnia. Oberfeldwebel Brandt, którego nazywaliśmy „Procarzem”, ponieważ potrafił ustrzelić każdego faceta z odległości 50 metrów, potrafi zmusić cię do biegania tak długo, aż padniesz zimnym trupem. Ma tak ostry wzrok, że podczas musztry kompanii, w samym środku marszu, potrafi wyśledzić takich, którym brakuje gwoździ w podeszwach butów. U nas każdy brakujący gwoździe kosztuje trzy godziny w piachu. Dwa tygodnie temu Mały został przyłapany i kosztowało go to dziewięć godzin. Dlatego teraz wiemy, że dni Procarza są policzone. Diabeł już przygotował dla niego pryczę w piekle.

- Przyznaję, że jesteście bandą twardzieli, ale robimy interes, tak czy nie? Co powiesz o trzech tysiącach, skrzynce duńskiego mleka w proszku, ukradzonej Organizacji Todta w Danii i na dodatek adresie domu schadzek z burżujkami?

Porta udawał, że się namyśla. Jeszcze raz się wysmarkał, podrapał się w tyłek, w wewnętrzną część ręki i zsunął swój hełm na czoło.

- Ale przypomniałem sobie - kontynuował tamten - że mam plik zdjęć porno, które mogę ci dodać do ceny transakcji. Cholernie dobrych, podobnych nigdy nie widziałeś, żadnych staroci, ale z gatunku, który obaj lubimy. Na ich widok nawet wykastrowana małpa zacznie bić gruche. Jeśli zwiążesz jej ręce, będzie to robiła palcami nóg.

- Pokaż towar - zażądał Porta, wyciągając rękę.

Esesman aż syknął z oburzenia.

- Nie wyobrażaj Sobie, że dam się nabrać!

- To by było tak, jakby kurwa zażądała pieniędzy dopiero po numerku. Masz moje słowo, że zdechłaby z głodu.

- Wobec tego handlu nie będzie - powiedział Porta, szykując się do odejścia.

- Chwileczkę, motylku! Będzie!

Dam ci je w ręce, abys mógł je obejrzyć.

no?

- Sprzedaję ci to bardzo tanio. I to tylko dlatego, że uznaję cię za sympatycznego. Jesteś równie bystry, jak ja. Coś mi mówi, że wkrótce znajdziesz się wśród nas. Czuję, że już zamiatają jedną z klatek w Torgau.

- Tu się mylisz, mój mały. Jeśli mnie wykopią z SS, by mnie wysłać do Torgau, nie znajdę się w waszym wszawym kabarecie, lecz w karnym pułku kawalerii.

nie znajdę się w waszym wszawym kabarecie, lecz w karnym pułku kawalerii.

Kałamucka zrobiła z niego mielonkę w Donbasie. Zostało z niego przy życiu najwyżej dziesięciu. Postanowiono nie odtwarzać pułku.

- Czy naprawdę wierzysz, że wyładuję u was jeśli mnie wykopią stąd? Macie u siebie trębaczy, Porta triumfował.

- Już się ślinisz na te myśl, co? Twoja pewność siebie wyparowała, pewność Nigdy nie można być niczego pewnym - odrzekł z przekonaniem esesman. - Zsunął swą czapkę z trupa główką na kark. - U Pięknego Paula miejsca długo się nie zagrzeje. Wyobraź sobie, że przychodzę do was. Czy macz kontakty, które mogą mi dopomóc, bym został trębaczem? - Wsiadł do samochodu i wyciągnął srebrzystą trąbkę. Trąbkę ze złotą wstążką kawalerii. Pokazał kilka przymocowanych do niej trofeów. - Dostałem je za to, że byłem najlepszy. Grałem podczas pewnej wyżerki u Adolfa. Grałem dla króla Karola. W 1938 grałem dla Chamberlaina, gdy dał się Adolfowi wydymać. Napisano o mnie w angielskiej prasie z nazwiskiem i wszystkim. Ludzie bardziej zwracali uwagę na mnie niż na Chamberlaina i Adolfa. Jeśli zostanę grajkim w waszej kompanii, będzie się o was mówić.

- Już teraz więcej się o nas mówi niż to dla nas dobre - odparł sucho Porta. Ale jeśli pewnego dnia zameldujesz się u nas, a tego jestem pewien, załatwię ci, co trzeba. Mam pierwszorzędne chody. W rzeczywistości to ja dowodzę kompanią. Przyjdź do Namoczonego Bernharda i pokaż, co potrafisz. A „łodygi”? Bierzesz je, czy nie?

- Oczywiście, że je chcę, ale cena trochę mi odebrała chęć na nie. Nie znajdziesz zdjęć ładniejszych od moich. Są najlepsze na rynku. One same warte są dziesięciu „łodyg”. - Wyciągnął jedną i dał obejrzyć Porcie. - Obadaj choćby tę. Ma dupę tak wielką, jak skrzynia ciężarówki na śmiecie.

Porta zrobił niechętną minę. Tylko jego świńskie oczka błyszcząc zdradzały, jaką ma na to chrapkę. Nie umknęło to uwagi esesmana. Uśmiechnął się chytrze i wyjął jeszcze jedną fotografię z okropną sceną pornograficzną.

- Niezłe, co? A jest to jedna z najśłabszych. Nawet owłaszony ksiądz podnieciłby się na ten widok. Kiedy nauczysz się robić to wszystko, co pokazują moje zdjęcia, wszystkie kobieciny od Atlantyku po Kaukaz staną w kolejce, by tego poprobować. Będiesz mógł z tego żyć.

- Bierzesz mnie za kurwę?

- Tego jestem pewien - roześmiał się esesman - Należysz do takich, którzy za kasę zrobią wszystko. Gdybyś mógł, sprzedałbyś raj diabłu.

- Nie gadaj tyle. Pokaż twój katalog świństw Już mi się zdarzyło, że mnie na to nabrano. To był pewien rybak, który sprzedał mi 35 zdjęć Cztery z nich były porno. Reszta była ilustracjami do bajek

braci Grimm. Przez osiem dni szukałem tego drania. Nawet obiecałem Małemu dwie butelki wódki jeśli mi znajdzie tego faceta, ale on znikł z powierzchni Ziemi.

- A co byś mu zrobił, gdybyś go znalazł? Porta roześmiał się złośliwie i wyciągnął zza cholewy długi sztylet. Przesunął palcem po ostrzu Koniec języka wystawił z ust.

Esesman kiwnął głową. Zrozumiał.

- Ale chyba nie podejrzewasz, że jestem taką świnią, by nabrać kumpla?

Porta przyjrzał mu się ukradkiem.

- Wszystko ci jedno, kiedy i wszystko jedno gdzie. Dlatego, że jesteś do mnie podobny, a ja wystawiam innych do wiatru za każdym razem gdy tylko mogę. To Bóg tak zdecydował. W przeciwnym razie nie byłoby na Ziemi ludzi cwanych i ludzi głupich.

Esesman wytarł sobie usta i podrapał się w ucho kluczykami do samochodu.

- Jeśli chcesz, dam ci obejrzyć towar, ale pod warunkiem, że będę w tym czasie trzymał w ręce jedną „łodygę”.

- Zgoda. - Porta złapał fotografie. Przekartkował je chciwie, oblizując się.

- Wielki Boże, ależ dziwki! Gdyby się spotkało jedną taką i jebało ją aż do śmierci, zdechłoby się przynajmniej szczęśliwym! Pasuje, przyjacielu, poddaję się. Wpadłem na fantastyczny pomysł. Gdy będę miał dość ich oglądania, będę je wypożyczał. Mały odda całoroczny żołd za oglądanie ich przez jedną godzinę.

Trzy grube pliki banknotów przeszły z ręki do ręki.

Porta przeliczył.

Esesman obwąchał zapach papierosów. Z zadowoleniem potrząsnął głową. To były najlepsze „łodygi”, jakie od dawna oglądał. Postanowił pewnego dnia Porte upić, by dowiedzieć się, jak je dostaje

- Brakuje 100 marek - skostatował Porta.

- To niemożliwe - zaprotestował esesman. - W każdym pliku było 1000 kawałków.

Przeliczył. Trzykrotnie. Pokręcił głową na znak, że nic nie rozumie. To przecież było coś dziwnego.

Wyciągnął banknot stumarkowy i wręczył go Porcie.

Porta założył gumki na wszystkie pliki.

- To była forsa. Pozostaje jeszcze adres burżuazyjnych kurew. Nie zapomnij tego.

Esesman zapisał adres na kawałku papieru.

- To blisko Elstery. Dom jest biały z czarnym dachem. Dawniej mieszkali w nim Chińczycy.

- Czy są tam także małe Chincezki? Miałbym na nie wielką chrapkę. Słyszałem, że potrafią to robić opierając się na rękach, z nogami w powietrzu.

- Nigdy tego nie widziałem, ale sikorek jest mnóstwo. Wystarczy, że powiesz iż przychodzisz z polecenia Klebera. Rudolfa Klebera. To ja. A poza tym, jeśli chcesz ze mną kiedyś pogadać, jestem w koszarach Longhorn. Tam mieszkam.

Równocześnie usłyszał cichy, ostrzegawczy gwizd i sztywno wyprostowany usiadł za kierownicą. W jednej chwili zmienił się w zdyscyplinowany automat.

Porta wziął broń na ramię. Kciuk, zgodnie z regulaminem, na jej rzemieniu. Stopy rozstawione pod kątem 45 stopni. Lewa ręka wzdłuż szwu spodni. Łokieć na wysokości klamry pasa. Śledził wzrokiem trzech mężczyzn, wychodzących z biura dowódcy. Paul Bielert po cywilnemu, Unterscharführer SD z ręką na kaburze pistoletu, a pomiędzy nimi Leutnant Ohlsen.

Wielki mercedes wyjechał z terenu koszar. Porta odprężył się. Przez krótką chwilę zastanawiał się, co się stało z Leutnantem Ohlsenem. Schowawszy się między dwoma pniami koło boksu, gdzie myto samochody, z uwagą oglądał zdjęcia pornograficzne. Schował trzy pliki banknotów. Z małej

kieszonki na dole kurtki wyciągnął banknot stumarkowy. Zaśmiał się z zadowoleniem. Kawał z chowaniem jednego banknotu podczas przeliczania widocznie nie był znany Kleberowi. Śmiejąc się cichutko poszedł dalej, aż do małych skrzynek amunicyjnych, gdzie czekał na niego stojący na warcie Julius Heide.

- Co się u diabła z tobą dzieje? - zapytał. - Mały był tu już dwa razy, szukając ciebie.

- Zamknij dziób, mam coś innego do roboty, niż stać na warcie.

- Mógłbyś przynajmniej mieć dla mnie trochę względów - mruknął obrażony Heide. Jak by nie patrzeć, jestem twoim przełożonym. Bez przerwy cię kryję. Czy wiesz, że Gestapo spaceruje po koszarach? Szukają kogoś, a ja jestem przekonany, że ciebie. Wszystko mi mówi, że skończysz ze sznurem na szyi.

- Spóźniłeś się, Julius. Już odjechali i zabrali zwierzynę. Ale ponieważ wspomniałeś o kryciu, zwracam ci uwagę, że lepiej, abyś to kontynuował. Byłoby dla ciebie cholernie krępujące, gdybym zapomniał o moim obowiązku dyskrecji. Widzisz, wiem dokładnie, jak potoczy się twoje życie. Jeśli będziesz jeszcze żywy, gdy przegramy tę wojnę, nadal pozostaniesz w Armii, chyba, że upadniesz jeszcze niżej i zostaniesz gliną. Już cię widzę z czerwoną gwiazdą na otoku czapki. Urodziłeś się do takiej roboty, Julius.

- Po kiego diabła miałbym opuścić Armię? - spytał naiwnie Heide. - Co dziesięć dni będę dostawał żołd, będę miał wygodne łóżko i będę wolny od czwartku wieczór do niedzieli wieczór. Pozwolę rekrutom dziękować mi za moją uprzejmość. Ci, którzy nie będą chcieli płacić, otrzymają traktowanie specjalne. A gdy tylko wojna zostanie zapomniana, a na to nie trzeba będzie wiele czasu, wypoleruję wszystkie moje medale i wszystkie moje krzyże. I wtedy zobaczysz, jak dziewczyny będą z przyjemnością kładły się do mojego łóżka. Będę, uważasz, bohaterem, którego będą uwielbiały odwiedzać.

- Wiedziałem! - zatriumfował Porta. - Zostaniesz w kabarecie. Ja wolę handel, wolną konkurencję. Kiedy przyjedziesz w starym, wojskowym rżęchu, spotkasz mnie w kabriolecie mercedes, z kurwą w futrze obok. Prawdziwą laleczką, w bardzo obcisłej spódniczce na tyłku. A potem, gdy będziesz darł się na rekrutów w poniedziałek rano, w deszcz, ja sobie z przyjemnością usiądę za wielkim, jak dziesięcotonowa ciężarówka, biurkiem i będę liczył moją forszę.

Jakby przypadkiem wyciągnął zdjęcia i szybko przesunął je przed oczami Heidego.

- Do kurwy nędzy, pokaż!

- Z przyjemnością - uśmiechnął się Porta. - Zostawię ci je na całą godzinę.

- Dawaj, i to szybko! - Heide oblizał się łakomie, a na policzkach pojawiły mu się dwie czerwone plamy.

Porta zaśmiał się. Przesuwał fotografie w swej dłoni wystarczająco powoli, aby Heide widział, jakie są dobre.

- Zostawiam ci je do obejrzenia, Julius. Zgadzam się nawet, abyś poszedł z nimi do sracza, by z nich korzystać w spokoju.

- Za ile je sprzedajesz?

- Nie sprzedaję. Wynajmuje je za opłatą. Sto marek na godzinę za całą serię albo pięć marek sztuka.

- Chory jesteś? Myślisz, że dam ci sto marek za oglądanie drugorzędnych kurew? - Heide udawał, że jest zgorszony. Nadał się jak prawdziwy podoficer, ale na Porcie nie zrobiło to wrażenia.

- Nikt pana nie zmusza, Herr Unteroffizier Julius Heide. To pan sam poprosił.

- Schował fotografie do puszek od maski gazowej, kopnął kłódkę skrzynki amunicyjnej i z przyjemnością stwierdził, że złamała się.

- Będziesz miał kłopoty, Herr Unteroffizier, gdy przyjdzie „Dupa i Buty” i ujrzy, że kłódka powiewa

w powietrzu.

- Zwariowałeś? Łamać kłódkę? Złożę meldunek.

- A, rzeczywiście! - zaśmiał się na całe gardło Porta i obojętnie oddalił się w stronę garaży, gdzie ukrył butelkę piwa.

Przez chwilę Heide wściekłym wzrokiem spoglądał na kłódkę i w końcu udało mu się z trudnością naprawić ją na tyle, aby na pierwszy rzut oka nie było widać, że jest złamana. Dla niego najważniejsze było, aby to pozostało niezauważone do końca jego warty. Potrząsnął głową z zadowoleniem i pobiegł za Portą.

- Daj mi zdjęcia. Tu masz sto marek. Ale przypuszczam, że masz świadomość, że to lichwa.

- Nie wyobrażaj sobie, że jestem instytucją filantropijną!

Heide zjawił się na posterunku pod koniec jego okresu warty, a potem znikł w toalecie, gdzie przez całą godzinę pozostał z fotografiami.

- Oni przyjechali po Leutnanta Ohlsena - powiedział Barcelona, gdy Porta wrócił na swój posterunek.

- Da sobie radę - orzekł Porta. - O co go oskarżają?

- Tego nikt nie wie, ale cały sztab staje na głowie. Hinka tak wrzeszczy, że słyhać go z daleka. Adiutant trzy razy zwymiotował ze strachu. Zdaje się, że będziemy mieć nowego dowódcę kompanii. To mi powiedział Feldwebel Griin.

- Gówno - szepnął Legionista. - Zbrodnia stanu. Widziałem ich, gdy odjeżdżali. Mercedes SS 333300. Wydział IV-2-a, Pięknego Paula. Tam się zajmują tylko ważnymi sprawami.

Porta obojętnie wzruszył ramionami.

- Ci panowie oficerowie są tak bardzo zajęci dyskutowaniem! Zapominają o pilnowaniu języka gdy się zbyt naoliwią. To dlatego tylu ich wraca bez mózgow, zresztą nigdy ich nie mieli. Wyobrażają sobie, że chronią ich blaszki medali, a poza tym mają tyle dumy z siebie samych! - Plunął na ziemię.

- Gówniana sprawa! Założę się o dziesięć do jednego, że nigdy już nie ujrzymy Leutnanta Ohlsena. Mały wszedł z hałasem, Rzucił karabin na stojak, cisnął hełm na nogi Barcelonie i napluł do filiżanki Heidego. Wyraźnie szukał zaczepki.

- Czy jest ktokolwiek, kto pragnąłby szatynki? - zapytał z wściekłością. - Przez całą wartę zabawiałem się z dziewczynką blisko płotu elektrycznego A potem wszystko się zepsuło, bo miałem ochotę się wyszczać. Boli mnie aż do końców włosów.

- Jakim sposobem? - zapytałem ze zdziwieniem.

- Nie pomyślałem o tym - mruknął. - Strumień dotknął płotu. Kurwa, myślałem, że się zwalę w kartofle. Dziewczyna skręcała się ze śmiechu i znikła przez pole, z majtkami w ręku. Byłem załatwiony. Nawet gdyby gwiazdka z Hollywood tańczyła przede mną kankana, nie byłbym w stanie nią się zająć.

Porta uśmiechnął się chytrze i podrapał się w ucho wyciorem.

- Innymi słowy porażenie, Mały. Ja też to poznałem. To prawda, że nie z powodu płotu elektrycznego. A propos, udało mi się dostać trochę cholernie dobrych zdjęć. Wynajmuję je na jedną godzinę, sto marek. Co na to powiesz? Dokładnie na twój gust. Lepsze niż film w najostrzejszym porno-kinie.

Mały zapomniał o przygodzie z płotem.

- Zgoda. Nie udzielasz przypadkiem kredytu? Porta roześmiał się.

- Dobra, niech będzie. Pójdę poszukać stu marek u pewnego faceta, który dostał dieńgi z domu. Cholernie nadziany. Jeśli mi ich nie da, walnę go w mordę.

- To jest kradzież - rzekł Stege.

- Bynajmniej - zaprotestował Mały. - To jest handel. W zamian dam mu cynk, jak czyścić lufę

karabinu papierem do dupy. Taki cynk z pewnością wart jest stu marek.

- Załatwione - stwierdził Porta. - Pieniądze nie mają zapachu. - Wyciągnął trzy pliki banknotów i chciwie je przeliczył.

- Może powinienem kazać zrobić fotokopie? W ten sposób mógłbym wynajmować kilka kompletów na raz.

- Do cholery, ty się nigdy nie zmienisz? - zapytał Stary. - Myślisz tylko o pieniądzach.

- Powiem ci, kiedy się zmienię. Najpóźniej w trzy lata po tym, jak Adolf spakuje walizki, a ja zdam mój mundur do magazynu. Wtedy mój szyld neonowy będzie świecił na czerwono, zielono i żółto: - „Joseph Porta, import-eksport. Kupuję wszystko. Sprzedaję wszystko”. Sprzedam własną dupę, jeśli mi za to wystarczająco drogo zapłacą.

- Dlaczego na czerwono, zielono i żółto? - zainteresował się Barcelona.

- Czerwień na znak miłości, zieleń na nadzieję, a żółty na znak oszukaństwa wyjaśnił Porta. - Nie próbuj mi mówić, że klienci nie zostali ostrzeżeni.

- Miałem dziewiętnaście lat, gdy po raz pierwszy asystowałem przy egzekucji

- opowiadał Legionista. - To było w Casablance, gdy służyłem w 1. Pułku Legii. To był pewien chłopak, który w wojsku odsłużył dwanaście lat. Dezerter. Później widziałem ich wiele. Nigdy się ich nie zapomina.

- A ja miałem tylko osiemnaście lat - powiedział Barcelona. - To było w Madrycie. Służyłem w 1. Plutonie batalionu imienia Thdlmanna. Zabiliśmy kogoś na tyłach rzeźni, syna jakiegoś bogatego typu. Został zabity za to, że jego ojciec był bogaczem. Wszyscy rzygaliśmy, oparci na naszych karabinach, jakbyśmy mieli chorobę morską.

Legionista rozłożył na ziemi swój dywanik modlitewny i bił pokłony, recytując półgłosem. Prosił Allaha o rozgrzeszenie ze wszystkich egzekucji, w których brał udział.

Heide wzruszył ramionami - Ja o tym nigdy nie myślę. W końcu jest podobnie, gdy się zabija faceta przywiązanego do słupa, czy też się załatwia przerażonego piechura, który ucieka przez pole.

- Pamiętacie, jak wykonywaliśmy egzekucję pewnej telefonistki, Blitzmadel z Marynarki Wojennej? - zapytał Mały. - Co za przedstawienie! To była wina Stegego i Svena. Chcieli być grzeczni i nie pozwolili, by cierpiała. Uciekła, pobiegła korytarzem i zbiegła po schodach. „Twardy Gustaw” zabronił nam strzelać. Miało być tak, by zginęła zgodnie z regulaminem, przywiązana do pala. W przeciwnym razie w papierach będzie nieporządek, tak powiedział. Schwytaliśmy ją dopiero, gdy ją walnąłem w głowę. Sanitariusze musieli ją przynieść aż do słupa. Konował nie chciał dać jej zastrzyku.

- To była morderczyni - powiedział Heide. - Otruła swoją przyjaciółkę. Widziałem dokumenty u Feldwebla Dorna. To było świństwo, to co jej zrobiła.

- To było z powodu pewnego faceta - dodał Porta.

- Tak - powiedział Heide, - bogatego faceta.

- Za tydzień będziemy mieli wartę w Fuhlsbittel - mruknął Steiner. - Zgłoszę się jako chory. Uzgodniłem to z Feldweblem izby chorych. Kosztowało mnie to dwa kartony papierosów. Wiem, że tam jest pięciu, których trzeba będzie uziemić.

- To mnie nie dotyczy - stwierdził Porta. - Wlepiono mi robotę, która mi zajmie co najmniej tydzień. Smarowanie karabinów maszynowych.

- W Fuhlsbittel będziemy mieli dodatek funkcyjny - zauważył Mały, człowiek praktyczny. - Bardzo potrzebuję forsy. Jeśli to nie my rąbniemy tych pięciu facetów, znajdą się inni na nasze miejsce. I to oni dostaną premie.

- Mam w dupie to, co mam robić - oświadczył Heide. - Kompania wartownicza ma w Fuhlsbittel

bardzo dobre warunki.

* * *

Rozdział VI W ARESZCIE ŚLED CZYM

W biurze Gestapo przy Stadthausbriicke 8, Leutnant Ohlsen siedział naprzeciw Paula Bielerta, Kriminalrata.

Leutnant Ohlsen trzymał w ręce dokument. Piękny Paul, zamyślony, palił grube cygaro. Z uśmiechem śledził dym wzrokiem. Było to sto dwudzieste trzecie aresztowanie tego tygodnia.

Gruppenfuhrer Muller w Berlinie nie mógł zrobić nic innego, niż wyrazić swoje zadowolenie. Muller był łajdakiem. Nie był taki, jak Obergruppenfuhrer Heydrich, zamordowany w Pradze. Tamten był prawdziwym szefem. Inteligentnym, bez skrupułów, aroganckim. Anielskim diabłem. Nawet Henryk od SS bał się go. Kto wie, czy Himmler i fuhrer nie maczali palców w zamordowaniu Heydricha. To wszystko było bardzo mgliste. Tajemnica, która śmierdziała. Dlaczego nie przeżył żaden ze sprawców? Rozkaz dowódcy operacji, Gruppenfuhrera SS Nebe, brzmiał: - „Żadnych jeńców. Zlikwidować wszystkich. Nawet, jeśli w tym celu trzeba będzie spalić przeklęty kościół, w którym się ukrywają”. Profesor, którego w końcu znaleźli w starej Pradze, podniósł bez walki łapy do góry, ale zanim zdołał cokolwiek wyjaśnić, został zabity w gabinecie, gdzie urzędował Nebe. W gazetach napisano, że popełnił samobójstwo. Nawet Anglicy w to uwierzyli i podali tę wiadomość w radiu.

Paul Bielert otworzył szufladę i miłośnie dotknął swego granatowego pistoletu 7,65. Z niego właśnie zabił profesora, ostatniego z rzekomego spisku. Po dochodzeniu Nebe został odsunięty. Zrobił się zbyt gorliwy i chciał je kontynuować.

Piękny Paul zaśmiał się cichutko. Natychmiast wyczuł smród. Coś się nie zgadzało. Zrozumiał to i szybko poprosił o przeniesienie. Następnie zlikwidowano wieś blisko Pragi. Zrobiły to jednostki żandarmerii wojskowej. Powstała plotka, że były to SS, ale faktem jest, że w całym oddziale wykonawczym nie było więcej niż pięciu esesmanów. To była policja wojskowa z Drezna i z Lipska. Paul Bielert zaśmiał się na samą myśl. To Obergruppenfuhrer SS Berger przeciwstawił się użyciu Waffen SS do likwidacji wioski. To by zaszkodziło rekrutacji ochotników z Czech i Słowacji. Pomysłodawcami likwidacji wioski byli Himmler i Nebe. Myśl była doskonała. Zrobić coś okropnego, co w całym świecie wywoła ogromne echo i w ten sposób cały świat zrozumie, jak głupi był czeski ruch oporu, likwidując Heydricha. Wściekłość i rozczarowanie, wywołane tymi wszystkimi represjami za jedno zabójstwo, powinno zwrócić się przeciw ruchowi oporu. Ale Anglicy byli szybsi. Zrozumieli, co to za sztuczki. Zarówno ta z batalionem policyjnym, jak i z masowymi likwidacjami. Nieustannie powtarzali, póki to ludziom nie utkwiło w głowach, że sprawcami byli SS i Gestapo. Ochotnicy z Czech i Słowacji zaczęli dezercerować. Biura werbunkowe stały puste. Ruch oporu rozszerzał się. Większość tych ludzi była wyszkolona w SS. Niebezpieczne typy, które walczyły nie z miłości do ojczyzny, lecz z nienawiści.

Spojrzał na Leutnanta broni pancernej. Teraz już szybko skończy. To był dobry chwyt, by pozwalać tym śmiesznym intelektualistom czytać postanowienie o zatrzymaniu. Bardzo szybko rozumieli, że znajdują się na niepewnym terenie i zaczęli wykladać kawę na ławę.

Uśmiechnął się, poklepał lewą ręką poręcz swego fotela i przyjrzał się białemu popiołowi swego brazylijskiego cygara. Zdawał sobie sprawę, że Leutnant po raz trzeci czyta postanowienie o aresztowaniu. Za pierwszym razem oni nie rozumieli ani słowa. Za drugim zaczęli coś pojmywać, a za trzecim ogarniało ich przerażenie. A za czwartym tracili wszelką samokontrolę.

Leutnant Ohlssen nie był wyjątkiem od reguły. Czytał bardzo powoli. Nic z tego nie rozumiał. To

musiał być zły sen, koszmar, z którego się zaraz obudzi.

tego nie rozumiał. To musiał być zły sen, koszmar, z którego się zaraz obudzi.

693) Hamburg, 3. kwietnia 1943 Stadtbausbruecke 8 Hamburg 2

Nakaz aresztowania Leutnant rezerwy Bernt Viktor Ohlsen, urodzony 4. kwietnia 1917 w Berlinie-Dahlem, w chwili obecnej odbywający służbę w 27. Pułku Pancernym, 2. Batalionie, 5. Kompanii, ma zostać zatrzymany przez Tajną Policję Państwową. 27. Pułk Pancerny aż do nowych rozkazów stacjonuje w koszarach piechoty w Hamburgu-Altonie. 2. Batalion ma tymczasowo pełnić służbę batalionu wartowniczego w Hamburgu.

Należy otworzyć dochodzenie przeciw Berntowi Viktorowi Ohlsenowi. Jest on podejrzany o chęć zakłócenia porządku publicznego przez szerzenie poglądów defetystycznych oraz zachęcanie do sabotażu i buntu. Przyczyny powyższego podejrzania:

- Bernt Viktor Ohlsen, 22. stycznia 1943, podczas pobytu pułku na Froncie Wschodnim oświadczył jednemu ze swych kolegów oficerów:

- „Ta kurewska wojna jest przegrana przez Rzeszę tak zwaną Tysiącletnią. Wkrótce Anglicy i Amerykanie wkroczą do Niemiec drogą przez Włochy i Bałkany. Wtedy ten pies Himmler i wszyscy jego kumple zostaną zmuszeni wleźć do pieców, które wynaleźli”. Ponadto oskarżony pokazał pewnemu młodszemu intendentowi drugiej klasy rosyjskie ulotki propagandowe, zachęcające żołnierzy niemieckich do dezercji.

Popelnione przestępstwa stanowią pogwałcenie paragrafu 5. i paragrafu 81., rozdział 1. Kodeksu Karnego. Aresztowanie i wstępne śledztwo mają zostać okonane przez Tajną Policję, oddział w Stadtbricke 8, Hamburg 2. Zatrzymanie wynika z faktu, że oskarżony, według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie próbował uciec. Popelnione przestępstwo podlega bardzo surowej karze.

Nakaz zatrzymania i uwięzienia podlega odwołaniu do Prezydenta Trybunału Ludowego.

Dr Mickert Prezes Sądu Apelacyjnego Leutnant Ohlsen wypuścił wspaniały dokument. Spojrzał na Kriminalrata Paula Bielerta.

- Co powinienem powiedzieć? - Zrobił gest rezygnacji.

Paul Bielert obojętnie wzruszył ramionami i pociągnął ze swego cygara.

- Jak pan chce, abym wiedział, co pan ma powiedzieć? To nie ja jestem oskarżonym o zdradę główną. Natomiast mogę panu wyjaśnić, co zamierzam zrobić ja, jako oficer prowadzący śledztwo. - Pochylił się nad biurkiem i wskazał Leutnanta Ohlsena swym cygarem.

- My w Gestapo nie jesteśmy idiotami. Gdy kogoś aresztujemy, gdy go wyłączamy ze zwykłego trybu życia, mamy poważne dowody. W swojej służbie nigdy się nie mylimy. Zaprzeczając tylko pogorszy pan swoją sprawę. Tak czy inaczej skończy się na tym, że pan powie to, co chcemy.

Uśmiechnął się. Jego oko błyszczało za czarnymi okularami.

- Środki mało nas obchodzą. Sam pan zdecyduje, czy chce pan wyjść stąd na nogach, czy ciągnięty jak worek kartofli. Ale nie opuści pan tego gabinetu, zanim nie przyzna się pan do wszystkiego. - Rozwalił się na fotelu i przez chwilę spokojnie przyglądał się zatrzymanemu. Następnie znów uśmiechał się przyjaźnie. Nieustannie zmieniał ton.

- Ale jeśli przyzna się pan natychmiast, w sposób, który nie spowoduje niepotrzebnej straty czasu na te głupstwa... - lekko poklepał ręką plik leżących przed nim dokumentów - zapewne wyjdzie pan z tego z dwoma czy trzema tygodniami w Torgau, a stamtąd zostanie pan wysłany jako zwykły szeregowiec do pułku karnego. Albo też znajdzie się pan w jednym z Polowych Obozów Karnych, ale tam pozostanie pan najwyżej przez trzy miesiące.

Leutnant Ohlsen pogładził się po włosach i uważnie przyjrzał się oficerowi policji.

- To mi wygląda kusząco, Herr Kriminalrat i przypuszczam, że większość ludzi panu by uwierzyło. Ale trzy lata służyłem w pułku karnym i wiem, że nikt nie potrafi przeżyć ponad dwa miesiące w P.O.K.

Bielert wzruszył ramionami. - To pewna przesada. Osobiście znam takich, którzy wyszli z P.O.K., ale oczywiście pod warunkiem, że ci panowie byli gotowi do współpracy z nami. Z mojego punktu widzenia nie ma pan wyboru. Dzięki swojej niezręczności został pan oskarżony o zdradę główną. Proszę się przyznać i skończmy z tym. Natomiast, jeśli pan należy do tych naiwnych dusz, które sądzą, że płacząc mogą się wykręcić ze sprawy, bardzo się pan myli.

Pogroził Leutnantowi swym wiecznym piórem. Jego oko błyszczało złośliwie.

- Jestem w stanie wytoczyć przeciw panu oskarżenie tak poważne, że pan Röttger z Plötzensee będzie miał prawo pana ściąć. Czy nigdy pan nie widział, jak on się posługuje toporem? To fachowiec. Jeden cios i wykrwawia się pan jak kurczak. I proszę nie przypuszczać, że jest to pusta groźba. Osobiście jestem przeciwny jakiemukolwiek Wetowaniu. To, o czym my tu, w Gestapo, mówimy, to rzeczywistość. Niczego nie robimy tylko w połowie. Jeśli podejmujemy jakąś sprawę, doprowadzamy ją do końca bez względu na koszty. W mojej służbie jesteśmy tak dobrze poinformowani, że wiemy nawet, co ludzie mówią we śnie. Moi informatorzy znajdują się wszędzie. W zakrystii kościoła. W sali zabaw przedszkola. Mało mnie obchodzi, jakie typy pracują dla mnie, pod warunkiem, że pracują. Posługuję się generałami, kurwami i sutenerami.

Jednych spotykam w salonach, innych w toaletach brudnych knajpek. W ciągu piętnastu dni zbadam pańskie życie tak dokładnie, Herr Leutnant, że będę mógł panu wymienić kolor pańskiego pierwszego smoczka.

Leutnant Ohlsen chciał przerwać, ale Bielert nie pozwolił mu na to, podnosząc rękę.

- Chwileczkę. Ma pan dowolnie długi czas na złożenie wyjaśnień. Na przykład już wiemy, że rozmawiał pan ze swoimi ludźmi na temat zdrady głównej, sabotażu i dezercji. Obrażał pan fuhrera, rozmawiał o zakazanej literaturze, w szczególności o odrażającym Na zachodzie bez zmian, z którego cytował pan liczne fragmenty. Wszystko to mogę podciągnąć pod paragraf 91. Pańska żona złoży inne zeznania. Proszę usiąść przy stole i skończmy z tym w godzinę. Zniknie pan w areszcie garnizonowym, gdzie się pan natychmiast uspokoi. Mniej więcej za miesiąc stawi się pan przed sądem wojennym, który oceni pańską głupotę na 6 do 8 tygodni w Torgau, a później zostanie pan zdegradowany i będzie pan maszerował jako zwykły szeregowiec. Sprawa zostanie załatwiona, a pan zrozumie, że na przyszłość trzeba bardziej pilnować swego języka.

- Czy gwarantuje mi pan, Herr Kriminalrat, że nie spotka mnie nic innego? Słyszałem że dokonywano egzekucji ludzi za coś znacznie mniejszego.

- Tyle się opowiada - odrzekł Paul Bielert - ale oczywiście nie jestem pańskim sędzią i niczego panu nie gwarantuję. Ale mam niemało doświadczenia na temat, co spotyka ludzi takich, jak pan. Wszelkie wyroki muszą nam być przedkładane, a my możemy zmieniać takie, które nam nie odpowiadają. Jeśli sędzia był przesadnie łagodny, mamy coś, co nazywamy obozami bezpieczeństwa i tam umieszczamy zarówno skazanego, jak sędziego. Możemy zmienić wyrok śmierci na natychmiastowe uwolnienie. - Uśmiechnął się. - To kwestia chęci współpracy, Herr Leutnant. Tutaj zawsze interesuje nas współpraca. Może chciałby pan pracować u nas? Byłbym szczególnie zainteresowany pewnymi informacjami na temat pańskiego dowódcy, Obersta Hinki. Ma pan również w swoim pułku Rittmeistra kawalerii Brockmanna, który uważa się za człowieka dowcipnego. Proszę dać mi informacje o tych dwóch. Szczególnie interesuje mnie Rittmeister kawalerii. Bardzo bym chciał ujrzeć jego głowę na katowskim pniaku. Sprzedawał artykuły żywnościowe Armii na czarnym rynku. Chciałbym poznać nazwisko ich nabywcy, ale najpierw pozbadźmy się pańskiej sprawy. Proszę się

przyznać, odbyć właściwy czas w Torgau, a za trzy tygodnie przyjadę, by pana odesłać do pańskiego pułku, jako Leutnanta, a wszystko odbędzie się tak, że w oczach pańskich kolegów będzie wyglądało naturalnie. Może pan szybko udowodnić, że żałuje pan swego głupiego zachowania, ale nikogo nie zmuszamy do współpracy. Sam pan zdecyduje.

Leutnant Ohlsen poruszył się niespokojnie na krześle. Długo patrzył na Kriminalrata, tak straszliwie bladego i skrywającego wzrok za wielkimi, czarnymi okularami. Miał wrażenie, że siedzi naprzeciw diabła. Dzięki czarnym okularom Bielert wyglądał na kogoś bezimiennego. Tylko głos miał własny. Potok złych słów.

- Herr Kriminalrat, zdecydowanie odrzucam oskarżenia, a co dotyczy współpracy, to znam moje obowiązki obywatela Trzeciej Rzeszy: natychmiast informować o wszelkich podejrzeniach, co do słów i myśli skierowanych przeciw Państwu.

Bielert roześmiał się.

- Proszę się zbyt nie ciskać. Nie jestem idiotą. Czy nie widzi pan, czego szukam? Pana mam gdzieś. Ten, kogo chcę, jest członkiem pana rodziny. Wystarczy mi tylko jeden. Gdybym chciał, mógłbym aresztować całą rodzinę, ale tego nie robię. Nam wystarczy tylko jeden członek każdej rodziny w kraju. To konieczność.

Leutnant Ohlsen wyprostował się.

- Nie rozumiem pana, Herr Bielert. Nie widzę, w jakim stopniu moja sprawa dotyczy mojej rodziny. Bielert przekartkował jakieś leżące przed nim papiery. Niedbale wyrzucił niedopałek cygara przez otwarte okno.

- Co by pan powiedział, gdybyśmy wystawili nakaz aresztowania pańskiego ojca? 26. kwietnia 1941 o godzinie 11.19 dyskutował o polityce z dwoma przyjaciółmi. Podczas tej rozmowy powiedział, że przestał wierzyć w zwycięstwo nazistowskie, że uważa Państwo za kolosa na glinianych nogach. To nie wygląda na bardzo poważne, Herr Leutnant, ale zdziwi się pan, gdy trochę to poprawimy. To nie będzie tylko paragraf 91. Pański brat Hugo, który służy w 31. Pułku Pancernym w Bambergu, wyraził nie mniej dziwaczną opinię o mężach stanu Trzeciej Rzeszy. Mógłbym również wysłać zaproszenia do pana matki lub pana siostry, Zatrzymajmy się na chwilę przy siostrze. - Rozsiadł się na fotelu i kartkował dokumenty.

- Jest sanitariuszką w szpitalu wojskowym Luftwaffe we Włoszech. Podczas swego pobytu służbowego na statku szpitalnym w Neapolu oświadczyła, 14. września 1941, że przeklina szaleństwo, które zainscenizował Hitler. On sam jest odpowiedzialny za cierpienia rannych. Paragraf 91, proszę pana. Jak pan widzi, my wiemy wszystko. Ani jeden obywatel, ani jeden więzień nie może zrobić nic, o czym byśmy nie wiedzieli. Słuchamy we dnie i w nocy. Nasze oczy przenikają nawet do grobowców na cmentarzach. Z trzaskiem opuścił rękę na plik dokumentów. - Mam tutaj sprawę przeciw wysokiemu funkcjonariuszowi Ministerstwa Propagandy. Idiota otworzył serce przed swą kochanką. Kiedy mu opowiem o jego eskapadach do Hamburga, będzie z całego serca gotów do współpracy. Chciałbym zrobić trochę porządku w ministerstwie doktora Goebbelsa. Dwaj moi ludzie pojechali do Berlina, by doręczyć temu gryziopiórkowi z Ministerstwa Propagandy zaproszenie na rozmowę ze mną.

Roześmiał się serdecznie, poprawił swój jasnoszary krawat, usunął odrobinę popiołu ze swego czarnego garnituru.

- To śmieszne. Ludzie zawsze skarżą się, że nie wychodzą na dwór. Ale gdy przysyłam zaproszenie na intymną rozmowę, zupełnie tego nie lubią. A przecież trzymamy drzwi otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Każdy jest mile widziany. A my umiemy słuchać. To cenna zaleta towarzyska - Ma pan dziwne poczucie humoru - nie potrafił się powstrzymać Leutnant Ohlsen.

Paul Bielert spojrział na niego okiem tak zimnym, jak lód podczas styczniowej nocy.

- Humor mnie nie interesuje. Jestem szefem wydziału wykonawczego tajnej policji. Nie cenimy żartów. Spełniamy nasz obowiązek. Służba jest naszym życiem. Bezpieczeństwo kraju spoczywa na nas. Likwidujemy każdego, kto nie potrafi żyć w naszym społeczeństwie. Ale teraz nie mam już czasu, by się panem zajmować. Proszę podpisać oświadczenie, a ja dam spokój reszcie pańskiej impertynenckiej rodziny. Jak przed chwilą mówiłem, potrzeba nam tylko jednego członka każdej rodziny. To był pomysł Reinharda Heydricha. Proszę poczekać na nasze zwycięstwo w wojnie, a ujrzy pan, jak cała ludność Europy kłania się każdemu oficerowi SS z głębokim szacunkiem. Przed paru miesiącami byłem w Japonii, gdzie widziałem Holendrów i Anglików, jak pokornie zginają się w pół przed porucznikiem piechoty.

Wcisnął się w kąt swego wielkiego, wyściełanego fotela, opierając głowę na wysmukłych dłoniach. Na oparciu fotela wyrzeźbiony był emblemat SS, trupia czaszka.

Leutnanta Ohlsena przeszedł dreszcz. Brakowało tylko paru wielkich kruków, by wyglądało to jak tron diabła albo jakiejś czarownicy. Na Łabie zagwizdał statek towarowy. Dwa gołębie gruchały miłośnie na gzymsie, a na urzędzie pocztowym powiewała czerwona flaga ze swastyką. Godło zrodzone z krwi.

Dwie mewy wrzaskliwie kłóciły się o kawałek chleba. Nie lubił mew od chwili, gdy po storpedowaniu na Morzu Śródziemnym widział, jak wydziobują oczy umierającemu majorowi. Kruki i sępy, a nawet szczury i hieny czekały, aż ofiara będzie martwa. Z mewami było inaczej. Nie miały cierpliwości. Dziobały oczy, wydłubywały je od chwili” gdy ofiara nie była zdolna, by się bronić. Niekiedy małe mewy wyrzucały oczy. Gatunek mew reprezentował w przekonaniu Ohlsena Gestapo ptaków.

Popatrzył na Pięknego Paula, siedzącego w swym świetnie utrzymanym garniturze i nagle zrozumiał, że Gestapo ptaków było miłosierne w porównaniu z tym dla ludzi.

Wziął oświadczenie i apatycznie je podpisał. Powiedział wiele rzeczy o Führerze. Rzeczy znacznie gorszych niż te, które tu zapisano. Ten, kto go zadenuncjował, nie miał nieomyślnej pamięci. Gdyby tylko mógł dowiedzieć się, kto był informatorem i zawiadomić Legionistę oraz Porte. Cieszył się na myśl, co spotka tego typka. Nawet jakiś Brigadengeneral nie umknąłby im. Porta posłał do ziemi wielu takich. Zawsze miał pełne kieszenie ponacinanych naboji. To jednym z takich zabił Hauptmanna Meyera i gestapowca Brandta, przydzielonego pewnego dnia do kompanii i zakamuflowanego jako Stabsgefreiter. Ale Legionista odkrył u niego owalny znaczek policyjny. Po powrocie z następnego zwiadu Stabsgefreiter Brandt został zgłoszony jako zaginiony. Gdy patrol rozchodził się ze zbiórki Porta powiedział dostatecznie głośno, by wszyscy go usłyszeli:

- Bóg jest dobry. Dał mi ostry wzrok i palec stworzony do naciskania na spust. Stawia przede mną ciekawe cele. On wie, gdzie diabeł się ukrywa.

Potem zwrócił się do Małego i kontynuował: - Chyba lepiej byłoby pójść do kapelana i wyspowiadać się.

Teraz były dowódca batalionu Stuber z pewnością zostanie dowódca 51-ej. Nie dorasta do tych chłopaków, nie ma najmniejszego pojęcia, co to są twardziele. Ale miał obowiązek przyjęcia dowództwa na froncie. Bardzo potrzebuje dodatkowych dochodów, aby zadowolić ambicję swej tłustej, małej żony. Ona pragnie ładnych mebli, drogich dywanów. Nie chciała ustępować kroku żonie dowódcy garnizonu i bardzo lubi wydawać przyjęcia.

Dowódca batalionu Stuber błagał Obersta Hinkę o powierzenie mu dowództwa na froncie. Hinka dał odpowiedź wymijającą. Wiedział, że Stuber nie jest zdolny do służby frontowej, ale w końcu, wyczerpany, obiecał mu to. I teraz 51. Kompania była do wzięcia. Jest najtwardsza z całej armii

niemieckiej. Nazywano ją kompanią diabłów. Cały korpus oficerski znał jej strzelców wyborowych: Porte, Legionistę, Barcelonę i Małego. Znał również grenadierów: Steinera, Juliusa Heide i Svena, którzy trafiają granatem w cel na odległość 80 metrów. Jakże łatwo było tym strzelcom i grenadierom zlikwidować kogoś niepożądanego. To się zdarzyło już wiele razy, a nikt nie był w stanie tego udowodnić. Morderstwo, mówili niektórzy. Samoobrona, mówili inni.

Legionista powiedział pewnego razu: - Uczestniczymy w wojnie, w której nie bijemy się o nic więcej niż nasze własne życie. Zabijamy i maltretujemy ludzi z innych narodów, przeciw którym nic nie mamy; Ludzi takich jak ci, którzy maszerują obok nas.

Nikt nie odpowiedział. To było tak prawdziwe tak idiotyczne.

Kriminalrat Paul Bielert wziął podpisany dokument poczęstował Leutnanta Ohlsena jednym ze swych brazylijskich cygar i krótko skostatował - oto wszystko zrobione.

Ohlsen nie odpowiedział. Nie zostało wiele do powiedzenia. Mógł sprawę opóźniać, zaprzeczać ale wynik końcowy byłby taki sam. Dla Gestapo liczyło się tylko przyznanie się i proces sądowy.

W dziesięć minut później do gabinetu weszło dwóch Unterscharführerów SD. Jeden z nich położył ciężką rękę na ramieniu Leutnanta Ohlsena i radośnie oświadczył: - Herr Leutnant, odbędziemy mały spacerek samochodem i cieszyłoby się, gdyby był pan jednym z nas.

Śmieli się. Ten Unterscharführer SD zawsze mówił: - Nie trzeba być brutalnym, jeśli można być miłym. Kiedy niedawno jego grupa została wyznaczona jako pluton egzekucyjny, powiedział pewnej lekarce, zawiązując jej oczy opaską: Droga pani po prostu umieszczam pani firankę przed kinkietami, bo to wszystko nie jest ładne do oglądania. Proszę sobie wyobrazić, że bawimy się w ślepą babkę. Cały pluton skręcał się ze śmiechu. Od tej chwili egzekucje nazywali zawsze „ślepą babką”.

Taki był ten Unterscharführer Bock. Teraz siedział z przodu, obok kierowcy, i jak przewodnik objaśniał wszystko, co widzieli. Wjechali na Mönckebergstrasse, przejechali przez plac Adolfa Hitlera Z powodu bombardowań zmuszeni byli zrobić objazd i wybrać drogę nad Elstera, gdzie przejechali obok hotelu Vier Jahreszeiten. Tam Bock uznał za konieczne, by powiedzieć: - Ci wszyscy maminsynkowie próbują się uchylać cichaczem, czekając aż przegramy wojnę, ale wkrótce ich wyciągniemy z gniazdek.

Następnie przejechali przez Gansemarkt, skierowali się na Zeughausallee, a potem pojechali wzdłuż Reeperbahn. Było tam pełno wesołych ludzi, włączających się od knajpy do knajpy.

- Gdyby tak nam się nie spieszyło - oświadczył Bock - mogliśmy golnąć sobie butelkę piwa.

Na Kleine Maria Strasse stała długa kolejka oczekujących.

- Umieściliśmy tam dwadzieścia nowych kurew - wyjaśnił Bock. - Ta banda byków z pewnością chce popробować nowalijek. Są tacy, którzy mówią, że w Trzeciej Rzeszy brak zorganizowanych usług. Herr Leutnant, czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, czym naprawdę jest narodowy socjalizm?

Ponieważ Leutnant Ohlsen nie odpowiedział na to bardzo aktualne pytanie, Bock kontynuował.

- Lepszą formą komunizmu.

- Jakim sposobem doszedł pan do takiego wniosku? - zawołał zaskoczony Ohlsen.

Bock roześmiał się, mile połechtany.

- Jesteśmy narodowymi komunistami, którzy chcą ze wszystkich innych narodów zrobić kraje niemieckie, oczywiście pod warunkiem, że nosy mieszkańców będą miały właściwy kształt. Oczywiście tamci w Rosji też są komunistami, ale oni gwizdzą sobie na robienie Rosjan z innych. Tam dostaje się kułakiem w dziób, a potem się słyszy: - Od dziś jesteś bolszewikiem i to, co ja myślę, ty także będziesz myślał. - U nas chłopców w sutannach zostawia się w spokoju i nie zmusza do noszenia swastyk, W Rosji ich się wiesza. W gruncie rzeczy są pewne rzeczy u tych typów z

Moskwy, które lubię. U nas jesteśmy zbyt miękcy. Ta klika papieża stanowi ryzyko, że nas wystawią do wiatru Są mocniejsi, niż myślimy i będą jeszcze silniejsi, jeśli nie będziemy uważać Ludzie lubią konfesjonał i wszystkie te ich miny. Osobiście wiem, że trzeba się trzymać z daleka od tego wszystkiego.

- I ma pan tak spokojne sumienie? - zapytał cicho Leutnant Ohlsen.

Bock spoglądał na Königin Allee, gdzie wielki kościół leżał w gruzach.

- Nie boję się niczego. Tylko byłem posłuszny i nadal będę. I gwizdzę sobie na to, kto mi wydaje rozkazy.

- Za dużo gadasz - mruknął kierowca. - To nie jest dobre, to co powiedziałeś o komunizmie.

- Może to nie jest prawda? - zaprotestował Bock.

- Nic o tym nie wiem. Jestem Unterscharfuhrerem SD i to mi wystarczy.

Zatrzymali się przed sztabem i powoli, kolejno weszli do środka. Nie było krat. Brama skrzypiała. Od dawna nie była smarowana.

- Skąd i dokąd? - zapytał wartownik, wysuwając głowę zza portiery.

- Gestapo, na Stadtbriicke 8 - wyszczał kierowca - Transport do aresztu garnizonowego - Rozkaz wjazdu - zażądał wartownik Skontrolował trzy osoby, przez chwile przyglądał się Leutnantowi Ohlsenowi. - Z tobą już koniec - pomyślał. To ostatni spacer na miękkich poduszkach. Następnym razem pojedziesz wózkami w towarzystwie dwunastu ludzi. - Stał przed samochodem, by obejrzeć tablicę rejestracyjną. Energicznie zsalutował aresztowanemu oficerowi.

Wielki mercedes wjechał dalej do koszar. Znak drogowy wskazywał szybkość: 20 kilometrów na godzinę na terenie koszar.

Leutnant Ohlsen zauważył grupę oficerów w białych kurtkach, wchodzących po wielkich schodach do kasyna. Znał kasyno oficerskie w koszarach kawalerii, najlepsze w całym okręgu wojskowym.

Samochód dalej jechał powoli przez wielki plac apelowy, gdzie tysiące rekrutów, dragonów i ułanów, podnosiło mnóstwo kurzu od czasu, gdy cesarz zainaugurował te koszary w roku 1896. Przejechali wzdłuż stajen, obecnie służących za garaże i magazyny. Ogniste, kawaleryjskie konie dawno znikły.

Nagle zatrzymali się przed aresztem garnizonowym.

- No i dojechaliśmy - zaśmiał się Bock z zadowoleniem. - Odświeżająca kąpiel i ciepłe łóżko czekają w każdym pokoju. Tutaj dewizą jest: - Wszystko dla klientów. Wszystkie drzwi są pozamykane, aby nie wkraść się jakiś porywacz dzieci.

- Ależ ty bzdury wygadujesz - warknął kierowca.

Ale nie jestem złodziejem - zażartował Bock.

To znaczy? - spytał kierowca, mrużąc małe, sprytne oczka.

Pozwolę ci trzy razy zgadywać - odparł Bock z uśmiechem.

Kierowca wymamrotał coś niezrozumiałego W głębi aresztu zadzwonił dzwonek. Słysząc było tupot wielkich, podkutych butów. Ponuro zabrzęczały klucze.

Okute drzwi otworzył obergefreiter kawalerii.

- Przekazanie więźnia śledczego z 27 Pułku Pancernego przez Gestapo Hamburg - wyszczał Unterscharfuhrer Bock. Obergefreiter bez słowa potrząsnął głową i potwierdził otrzymanie Leutnanta Ohlsena, jakby to był jakiś przedmiot - To kandydat pod topór? - zapytał, oddając Bockowi podpisane pokwitowanie.

- Czy to wiadomo? - zaśmiał się Bock.

Trzy ręce podniosły się w salucie, a potem Bock i Obergefreiter podali sobie ręce, mówiąc: - Gówno.

Leutnant Ohlsen był zupełnie zdezorientowany tym, a równocześnie był już martwy.

- Naprzód, marsz! - zakomenderował Obergefreiter.

Równy krok raz - dwa, raz, dwa. Nigdy nie robił musztry? Dwa razy w lewo zwrot, naprzód, stój. Na prawo!

Otworzył jakieś drzwi i kazał Leutnantowi Ohlsenowi wejść do gabinetu, gdzie Stabsfeldwebel artylerii tronował za biurkiem z surowych sosnowych desek Muskularny, łysy, ze złośliwą miną. Na piersi miał Krzyże Żelazne pierwszej i drugiej klasy.

Stabsfeldwebel nie spieszył się. Bardzo powoli przeglądał papiery Ohlsena. Stał przed nim, jak zmęczony goryl. Zmrużył małe, żółte oczka. Jasnobrązowe brwi powodowały, że podobny był do świni. Miał ksywę „Kiernoz”.

Uniósł jedną brew, oblizał się, zapałką wydlubał kawałek mięsa spomiędzy zębów i zakołysał się, aby zaskrzypiały jego długie, artyleryjskie buty

- Zbrodniarz stanu - skonstatował. - Zbrodniarz stanu. - Przybrał pogardliwy ton. - Niczego nie zwędził. Szkoda, wielka szkoda. Prawdziwi kryminaliści są lepsi od was, wy z paragrafu 91!.. Można zaufać tym z zielonym trójkątem, ale nie wam, z czerwonym. Nawet żółtych wołę od was. Przez cały dzień napychają się Biblią, ale kapitulują. Nie są idiotami jak wy, czerwone półgłówki. Walczycie z wiatrakami. Popróbujcie wbić to sobie do ciasnych głów. Słuchajcie mnie dobrze, więzień. Opróżnijcie kieszenie i nie zapomnijcie o tajnych skrytkach. Otwórzcie dziurę w dupie i połóżcie wszystkie swoje rzeczy tu, na stole. Od lewej do prawej, ale w prostej linii, proszę pana. Krawędź stołu ma wam służyć za linijkę. Między każdym przedmiotem odległość dwóch palców. Zapalniczka i zapałki całkiem na prawo. Pieniądze na lewym końcu. I to szybko, mamy wojnę i brak nam czasu do stracenia ze zbrodniami stanu.

Leutnant Ohlsen popatrzył na cały swój majątek na stole Stabsfeldwebela: zapalniczka, wieczne pióro, fajka, notes i wszystko inne, co mężczyzna zwykle ma w kieszeniach. Całkiem na lewo 32 marki i 67 fenigów. Żałował, że nie wysłał tych pieniędzy swemu synowi do obozu.

Wszystko zostało starannie zapisane w inwentarzu. Do każdego przedmiotu została przymocowana oddzielna etykieta, co przy niektórych przedmiotach, jak pilniczek do paznokci czy zapalniczka, nie obyło się bez trudności.

- Co za pomysł, żeby sobie spacerować z takimi sztuczkami - zaklął Kiernoz, próbując związać je sznurkiem.

W końcu zobaczył na portfelu Leutnanta Ohlsena czerwoną gwiazdę. Odznakę rosyjskiego komisarza, pamiątkę z Charkowa.

- Takich rzeczy się nie przechowuje - zdecydował Kiernoz, zerwał czerwoną gwiazdę, rzucił ją na ziemię i podeptał.

- Walczy się przeciw nim i ich niszczy. Nawet ciężkie ostrogi na jego butach zdawały się brzęczeć z zapałem podczas tego niszczenia.

Artilleriestabsfeldwebel Stahlschmidt kochał swoją pracę. Dobrze wiedział, że nazywają go Kiernozem, ale nikt nigdy nie ośmielił się powiedzieć mu tego w twarz. Oby Bóg i diabeł uchronili tego, kto by to zrobił! Był profosem aresztu garnizonowego w Altonie już blisko piętnaście lat. Na piersi miał liczne kolorowe wstążeczki: medalu zasługi oraz uznania za dobrą służbę w areszcie. Podczas Pierwszej Wojny Światowej został lekko ranny w bitwie nad Sommą. Brytyjski grenadier pociął mu trochę lewy pośladek bagnetem. Wrzask Kiernoza słychać było na kilometry. Podczas rekonwalescencji udało mu się otrzymać stanowisko pomocnika w areszcie polowym 31. Dywizji Piechoty w Mons. Następnie udało mu się wkręcić na stałe do wojskowej służby więziennej. Po przesłuzeniu kilku miesięcy we Freikorpsie generała von Luttwitza w 1920 roku, został pomocnikiem

w więzieniu cywilnym w Hanowerze. Ta cywilna służba nie trwała dłużej niż dziewięć miesięcy. Następnie wstąpił do Reichswehry. Poczul się jak ryba w wodzie w tej stutysięcznej armii, gdzie starannie przygotowywano machinacje, które miały otworzyć drogę Hitlerowi. Bez tej armii naziści nie byłiby w stanie w jedenaście lat później stworzyć Wehrmachtu.

Reichswehra robiła wszystko, by próbować się z tego uniewinnić. Nigdy jej się nie udało. Kiernoz został mianowany profossem aresztu garnizonowego w Celle, małego, miłego więzienia. To tam zamordował swego pierwszego więźnia. Był nieco niezręczny i o mały włos źle by na tym wyszedł. W jaki sposób ocalił skórę, pozostało tajemnicą. Pewien Leutnant szczególnie interesował się tą sprawą. Ale, dziwna rzecz, ten właśnie Leutnant został przypadkowo zabity na drodze, prowadzącej do koszar w Bergen, dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie o całe lata później utworzono obóz koncentracyjny.

Po trzech latach Kiernoz został awansowany na Oberfeldwebela i zainstalował się w areszcie garnizonowym Hamburg-Altona. Wehrmacht Hitlera zachował go na tym stanowisku i reprezentował dla niego dziedzictwo cenne i w najwyższym stopniu użyteczne po aroganckiej Reichswerze, która mogła być dumna z posiadania innych osobistości, takich jak marszałkowie Paulus i Keitel, nie zapominając o Obergruppenfuhrerze SS Bergerze, szefie wydziału SS pracowników cywilnych, składającego wyłącznie z więźniów obozów koncentracyjnych. Kiernoz został teraz Hauptfeldwebel i uważał się za wszechmocnego.

W roku 1940 Wehrmacht awansował go na Stabsfeldwebela, najwyższy stopień, do jakiego mógł pretendować. Siedział w głębi swego aresztu jak pajak w sieci. Bardzo rzadko widywano go na zewnątrz. Niektórzy nawet twierdzili, że bał się spotkać byłych więźniów. Inni mówili, że umarłby na widok słońca. Pałał dziką nienawiścią do wszystkich oficerów. Ta nienawiść datowała się od pewnego sierpniowego dnia 1940 roku, kiedy natknął się na dziewiętnastoletniego Leutnanta, który nie był zadowolony z jego sposobu salutowania. Młody człowiek przegnał liczącego 52 lata Stabsfeldwebela przez wszystkie przeszkody pola ćwiczeń i to z taką energią, że ten stracił wówczas osiem i pół kilo.

Przysiągł, że zemści się na wszystkich oficerach, którzy wpadną mu w ręce i dotrzymał tej obietnicy. Teraz Leutnant Ohlsen stał naprzeciw Kiernoza, zdany na jego łaskę. Wszystkie rzeczy Ohlsena zostały zarejestrowane i włożone do małego, białego woreczka, który powieszono na haczyku po zewnętrznej stronie drzwi jego celi.

Przyszedł czas na odzież. Była to chwila najbardziej lubiana przez Kiernoza. Młasnął językiem, mruknął zadowolony i wytarł wilgotne dłonie o swe jasnoszare spodnie do konnej jazdy. Przez półprzymknięte oczy dokładnie obserwował Leutnanta Ohlsena, oceniając, że ten Leutnant jest mięczakiem, który nie ośmieli się protestować. Ale z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo. Trzeba było umieć prowokować incydenty. Istotne było doprowadzenie do tego, by więzień zaczął krzyczeć, po czym nie trzeba było wiele czasu, by spowodować, że straci cierpliwość i spróbuje uderzyć.

Wtedy Kiernoz będzie mógł przejść do kontrofensywy. Obergefreiter Stever był chętnym świadkiem. Stał przed drzwiami jak ludzka skała, zagradzając drogę wszelkiej próbie ucieczki. Zamyślony Kiernoz postukał się lekko po butach długą i cienką szpicrutą. Niedawno mieli sprawę z idiotycznym Oberstem ze 123. Pułku Piechoty, oskarżonym o sabotowanie rozkazów dowództwa. Wpadł w zupełną histerię, gdy musiał pozbyć się swych ozdób. Krzyczał i wrzeszczał, groził i przeklinał tak, jak wypada, gdy się jest Oberstem.

Kiernoz roześmiał mu się w nos i powiedział: - Jest pan pułkownikiem i dowódcą pułku, pełnym medali i wszystkich tych rupieci, ma pan świetne nazwisko, pochodzi pan ze starej szlachty, o tym wszystkim wiemy, ale jest pan równocześnie kupą gówna, wyjętą spod prawa. Jeśli, Herr Oberst,

pożyje pan dość długo, zostanie pan stracony, rozstrzelany przez dwunastu strzelców wyborowych i to pomimo tego, że pańska krew jest tak błękitna, jak Morze Śródziemne. Ale mam przecucie, że pan tego nie dożyje. Jestem pewien, że w jednej z naszych cel zostanie pan zebrany jak kupa śmieci, by je później rzucić na koński nawóz, jak niedonosek klaczy. A potem wszystko zostanie rozrzucone na kartoflisku wraz z nawozem. Jeśli pewnego dnia dowiem się, którą część pan użył, kupię sobie gruli stamtąd i nażrę się ich.

Wtedy Oberst wybuchnął.

Obergefreiter Stever popchnął go w plecy w taki sposób, że ten upadł na Kiernoza, który natychmiast walnął go pięścią w żołądek, krzycząc: - Ty psie, atakujesz funkcjonariusza na służbie?

Oberst wyskoczył w powietrze jak granat 75 mm. Udało mu się uciec na korytarz, galopując z połami koszuli, objijającymi się o jego chude nogi. Nie dotarł dalej niż do kraty, na którą się wspiął. Wisiał pod sufitem jak małpa i wzywał pomocy. Wołał na zmianę do policji i Boga, ale nikt nie przyszedł. Zamiast nich przyszli Kiernozi i Stever. Zmusili go do zejścia i załatwili go tak gruntownie, że uznali za przeznaczone zamknąć mu usta na zawsze. Zabili go wystrzałem z pistoletu, urządzając to tak, by wyglądało na samobójstwo. Pomimo tego, że błagał ich, aby pozostawili go przy życiu.

„Sęp” (Unteroffizier Greinert) trzymał go, podczas gdy Obergefreiter Stever zmusił go do wzięcia pistoletu do ręki i pociągnięcia za spust. Przez cały ten czas Oberst płakał. Dawał słowo honoru, że będzie milczał o wszystkim, co się wydarzyło, jeśli tylko zechcą zachować go przy życiu. Obiecywał im pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Kiernozi śmiali się do tej pory na to wspomnienie.

Zapomnieli zaproponować im na dodatek swojej żony i córki!

Zabiwszy go, sporządzili meldunek do oficera dochodzeniowego 10. Armii. Stever zadławił się łykanym piwem i prawie się udusił ze śmiechu, czytając meldunek Kiernoza.

MELDUNEK Areszt Garnizonowy X/761 D/233 Hamburg-Altona

28 sierpnia 1941

Do Generała Dowodzącego 10. Armią Hamburg-Altona.

Zatrzymany Oberst Herbert von Hakenau pochwyił dziś, podczas codziennego spaceru, pistolet Obergefreitera służbowego Egona Stevera, Obergefreitera 3. Pułku Kawalerii. Pomimo natychmiastowej interwencji zatrzymanemu udało się przyłożyć pistolet do swej prawej skroni i oddać strzał ze skutkiem śmiertelnym. Ciało zostało natychmiast podniesione i złożone w celi, a następnie wezwany został lekarz. M. STAHLSCHEIDT Haupt - und Stabsfeldwebel.

Posłali po lekarza, aby mieć świadectwo zgonu. Przybył student medycyny, idiota, który niczego nie rozumiał. Lewym butem pchnął chude ciało Obersta.

- Jest martwy, Herr Leutnant - oświadczył Stever.

- Na to wygląda - odpowiedział student, biorąc podsunięte mu pióro wieczne Kiernoza. Ku wielkiej uldze wszystkich podpisał akt zgonu. Jako przyczynę zgonu podał samobójstwo strzałem pistoletowym w prawą skroń. Strzaskana czaszka. Śmierć natychmiastowa.

Oberst został pochowany na cmentarzu kryminalistów. Zajęło się tym Gestapo. Grób oznaczono numerem. Wszystkie dotyczące go dokumenty otrzymały napis „Tajne” i znikły w wielkim dossier o nazwie „Gekados”. Nikt i nigdy nie zdoła odnaleźć grobu.

Kiernozi przestał zagłębiać się w te miłe wspomnienia, odwrócił się do Leutnanta Ohlsena i wydał rozkaz:

- Więzień, zdjąć ubranie. Połóż je na dwóch krzesłach. Ubranie na prawym, bielizna na lewym. Buty pomiędzy krzesłami. I proszę to zrobić porządnie.

Przez chwilę uważnie przyglądał się Ohlsenowi. Ku jego wielkiemu rozczarowaniu ten nie zareagował. Ten Leutnant wojsk pancernych był kretynem. Nawet nie będzie z czego zadrwić.

Rutynowa sprawa. Śmiertelnie nudna. Pozostanie więc w swojej celi, zostanie przesłuchany, podporządkuje się regulaminowi. Faceci z sądu przyjdą wieczorem, zapaskudzą dokumenty swoimi głupotami Strata czasu. Wyrok będzie zawsze taki sam, z procesem czy bez. Najprawdopodobniej kara śmierci. Rano przyjdą po niego, około godziny siódmej Dwunastu ludzi spośród wartowników. Przyzwoici ludzie, z butami dobrze wyczyszczonymi, lśniącym wyposażeniem. Dla uspokojenia nerwów będą dowcipkowali. Dziś wszyscy chcą być uważani za twardzieli, nawet srając w portki ze strachu. Załadują go na trzęsący się wózek i pojedą na strzelnicę po drugiej stronie szosy do Bremy. Tam przywiążą go do słupa, na piersi przyczepią tekturowy cel. A w jego celi szybko znajdzie się nowy więzień Leutnant Ohlsen rozebrał się z filozoficznym spokojem. Kiernoz uznał, że lepiej będzie coś powiedzieć, by zmusić go do szybszych ruchów.

- Nie wyobrażajcie sobie, że tutaj jest burdel dla oficerów, gdzie możecie mieć kilka godzin na obnażenie swego narzędzia. Jazda, trochę szybciej!

Ale nawet to nie wystarczyło, żeby rozgrzać tego opornego oficera. Kiernoz pokazał żółte zęby w zgryźliwym uśmiešku i pomyślał sobie:

- Poczekaj tylko, aż zostaniesz pokazany Majorowi, wtedy zobaczysz, jak będziesz wyglądał. Nikt jeszcze nie wyszedł od Majora nie dostawszy parę razy pięścią w łeb. Popatrzył na stojącego przed nim nago więźnia i spróbował nowej próby prowokacji.

- Więzień, jesteście kupą gówna. Jeśli będziecie mogli przejrzeć się w lustrze, weźmie was obrzydzenie. Bez munduru, bez odznak stopnia, jedno wielkie zero. Małpa z koślawymi kolanami i stopami skręconymi do środka. W porównaniu z wami najędzniejszy rekrut jest walecznym żołnierzem. - Puściwszy oko do Obergefreitera Stevera, kilka razy obszedł Ohlsena w kółko. Można było pomyśleć, że to kot na brukowanym podwórku. Kiernoz był dumny ze swego kroku.

- Więzień, dziesięć przysiadów, dziesięć rozłożeń ramion. Musimy się upewnić, że niczego nie schowaliście w nieprzyzwoitych skrytkach. Dłonie płasko na podłodze, kolana wyprostowane, pochylić się do przodu! Stever, sprawdź mu dziurę w dupie.

Obergefreiter Stever zadrwił, udając że sprawdza. Kopnął Leutnanta Ohlsena w tyłek w taki sposób, że oficer nagle padł do przodu. Ale ku wielkiemu żalowi Kiernoza nawet go nie musnąwszy. Bo gdyby tak było, Kiernoz mógłby mu dać solidnego kopniaka w twarz pod pretekstem, że więzień go zaatakował.

Około miesiąca wcześniej mieli tu Feldwebela, którego Stever kopnął w taki sposób, że ten padając przewrócił Kiernoza. Połamali mu trzy zębra. Potem oddali go Sępowi, który położył go na podłodze celi i skoczył mu ze stołu na brzuch. Feldwebel wrzeszczał przez dobry kwadrans. Krzyczał tak głośno, że obudził cały areszt. W tym momencie w celi Nr 7 mieli dwóch wariatów. Byli to dwaj Gefreiterzy z 7. Pułku Artylerii. Nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób stali się wariatami. Mówiono o dwóch podoficerach, którzy nieco przekroczyli granice kar dyscyplinarnych. Tych po prostu przeniesiono do innego pułku. Zmaltretowanego Fedlwebela umieszczono u tych dwóch wariatów. Każdemu z nich dano po desce wyjętej z łóżka i powiedziano, by go tłukli. Wariaci zaśmieli się i zaczęli walić nieszczęsnego, bezbronnego typu. On także zwariował. Wkrótce potem jako nieuleczalny miał prawo do zastrzyku. Dwaj Gefreiterzy również, ale to nie była sprawa dotycząca aresztu. To była działka doktora Wenera Heyde.

Kiernoz uśmiechnął się z zadowoleniem. Wiedział, co robi. W areszcie to on decydował o wszystkim. Oczywiście Major od czasu do czasu przychodził na inspekcję aresztu, ale to nie miało znaczenia. Major Rotenhausen będzie milczał. Nieco dokładniejsze dochodzenie mogło także jemu spowodować przykrości, z forsownym marszem na Wschód jako finał sprawy. Człowiek przy zdrowych zmysłach nie podcina gałęzi, na której siedzi. - Szelki i pasek należy zostawić w worku -

mruknął, pokazując palcem mały, biały woreczek. - Żadnych samobójstw u nas, dziękuję bardzo. Podobałoby nam się wystawić do wiatru sąd wojenny, co? Aby spowodować bezrobocie wszystkich naszych sędziów i prokuratorów wojskowych? O, nie więźniu, tutaj czuwamy, aby nasi klienci nic sobie nie zrobili. Śledztwo wstępne, oczekiwanie i rozprawa, a na koniec, w najlepszym razie, pierdłe w Torgau i w Glatz. Mam nadzieję, że pojedziecie do Glatz. Jest tam Oberst Remlinger. On wie, jak dać sobie radę z kimś takim, jak wy. Wprowadził tam dyscyplinę, na widok której zbladłby nawet Alter Fritz, Fryderyk Wielki. Mierzą milimetrówką, czy jest właściwa odległość między czubkami stóp, gdy stoicie na baczność, a każdy milimetr kosztuje was dwadzieścia batów w plecy. Tam łamią najtwardszych bohaterów okopowych. Tam każą wam schodzić po schodach na rękach z czwartego piętra. Słyszałem, że trzech zwolnionych stamtąd więźniów, a przecież jeden z nich był sparaliżowany w chwili uwięzienia, no więc wszyscy trzej zaangażowali się jako akrobaci do cyrku o światowej sławie. Ale, Herr Leutnant, nie jest przecież pewne, że pan tam trafi. Być może zostanie pan ścięty. Kto to wie? Być może Piękny Paul chce pana ujrzyć pod wielkim nożem. To paskudne. Mając wybór wolałbym jednak słup na Luneburskich Wrzosowiskach. - Kiernoz w zamyśleniu głaskał się po karku.

- Raz to widziałem. I wystarczy mi. Ale pospieszcie się przecież, więzień! Włóżcie wasze ciuchy, i to w skok! Tu, u mnie, nie ma ociągania się. Zapamiętajcie to sobie, Leutnancie. Macie taką minę, jakbyście chcieli sobie zasnąć. Wyobrażacie sobie może, że Obergefreiter Stever opowie wam baśń Andersena? Na przykład Brzydkie Kaczątko?

Stever zaśmiał się zduszonym śmiechem.

Leutnant Ohlsen ubrał się szybko. Teraz, gdy odebrano mu pasek, zmuszony był podtrzymywać spodnie rękami.

- Tu zapina się kołnierz - oświadczył Kiernoz. Tu krawat jest zabroniony. Niczego nie robimy w połowie.

Ohlsen w milczeniu zapiął na piersi wyłogi swego munduru patką naramienną i spiął szeroki kołnierz kurtki.

Kiernoz skinął głową.

- Zobaczycie, zrobi się z was coś dobrego. U nas wielu oficerów znów stało się prawdziwymi żołnierzami. Ręce do góry! Skoki w miejscu, stopy pionowo w dół! Hop, hop, hop. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy!

Leutnant Ohlsen skakał z rękami w powietrzu. Spodnie zsunęły mu się na podłogę. Kiernoz i Stever radowali się głośno.

Ale Ohlsen spokojnie skakał i miał zupełnie obojętną minę.

Kiernoz zaniepokoił się. Ten człowiek musi być kompletnym wariatem pomyślał. Nigdy nie widział oficera, który by to wszystko wytrzymał. Większość z nich wybuchała już w chwili rewizji osobistej. Najtwardsi trzymali się aż do skoków. Stever też się zdumiał. Już nic nie rozumiał. Ten Leutnant musiał być z drewna.

- Paść na brzuch - rozkazał Kiernoz. - Trzydzieści obrotów na pępku.

Leutnant Ohlsen rozplaszczył się. Leutnant Ohlsen obracał się.

Kiernoz nastąpił mu na palce. Ohlsen jęknął, ale niezbyt i to nawet, gdy jeden z paznokci został wyrwany.

Dali mu karabin i to ciężki, belgijski, i w korytarzu Steve i Sęp kazali mu się musztrować pod nadzorem Kiernoza.

- Na kolana, pozycja strzelecka - zakomenderował Stever.

Jego kolega Sęp obszedł więźnia w koło, by sprawdzić prawidłowość pozycji, ale zawiedli się.

Leutnant Ohlsen dobrze znał musztrę z karabinem.

- Pozycja strzelecka stojąc! - krzyknął Stever.

Ledwie Leutnant Ohlsen zdołał stanąć z karabinem wycelowanym, stopką kolby przyciśniętą do ramienia, a łokieć pod kątem prostym do broni, Stever zawołał: Padnij! - A zaraz potem: - Na kolana, pozycja strzelecka! Powstań! Równaj w prawo! Padnij! Baczość! Spoczniej! Baczość! W tył zwrot! Baczość! Prezentuj broń! Bagnet na broń! Naprzód marsz! W tył zwrot! Skoki w miejscu, hop, hop, hop.

W końcu Sępowi udało się przyłapać Leutnanta Ohlsena.

- Widziałem to wszystko! Oficer, który nie potrafi posługiwać się bronią! A on twierdzi, że chciałby ćwiczyć rekrutów! W prawo zwrot i baczość, kupo gówna!

Leutnant Ohlsen zachwiał się tak nieznacznie, że trzeba było kogoś w rodzaju Sępa, by to zauważyć.

- On się rusza! - zawył Sęp. - Rusza się w pozycji na baczość!

Kiernoz i Stever usunęli się dyskretnie w kąt. Niczego nie widzieli. Niczego nie wiedzieli. Sęp rozgrzewał się.

- Kurwa mać! Ten skurwiel trzęsie się jak mokry pies, i to w pozycji na baczość! Na coś takiego człowiekowi robi się czerwono przed oczami!

Oficer, który nie umie słuchać rozkazów. Kupo gnoju, czy nigdy nie czytałeś tego, co stoi napisane nad drzwiami szkoły rekrutów? „Najpierw się słuchaj, później rozkazuj”. Trzymaj się prosto, małpo jedna! Kiedy rozkazuję „baczość”, musisz stać się posągiem, skałą, słupem, górą.

Leutnant Ohlsen zachwiał się po raz drugi. Sęp zmrużył oczy, przesunął kaburę pistoletu na miejsce, obciągnął mundur, zsunął czapkę na kark. Czapkę artylerzysty z krwawoczerwonym sznurem.

- O, kurwa - wyszeptał - zwykły podoficer musi uczyć dyscypliny oficera. Przygryzając wargi, wycelował w twarz Leutnanta Ohlsena. A potem jego pięść gwałtownie wyskoczyła do przodu, by z głuchym trzaskiem uderzyć więźnia w twarz.

Leutnant Ohlsen zrobił kilka kroków do tyłu, ale natychmiast odzyskał równowagę. Przystawił broń do nogi. Stał wyprostowany jak struna, pomimo krwi ciekącej z nosa.

Sęp zawył z pogardą: - Herr Leutnant rozwalił sobie dziób! Takie rzeczy zdarzają się podczas musztry. Spoczniej, stary capie! Baczość, dzika kaczo! Sęp był chodzącym słownikiem zoologicznym. Znał nazwy najdziwniejszych, mitycznych zwierząt. Powoli obszedł trzymającego się prosto więźnia, sprawdził, czy stopka kolby znajduje się dokładnie pionowo w stosunku do palców lewej nogi i czy kciuk jest oparty o ostatnie okucie łoża.

- W prawo zwrot na baczość, kretynie! Przed siebie patrz!

Sęp rozpoczął wówczas wojnę nerwów, znaną we wszystkich armiach świata. Nie istnieje żołnierz, który by przez nią nie przeszedł. Ale Sęp o wiele przekraczał wszelkie dopuszczalne granice.

Zaczął od tego, że stanął kilka centymetrów przed Leutnantem, patrząc mu prosto w twarz. Pobawiwszy się w ten sposób przez kilka minut zbliżył się jeszcze bardziej, próbując spojrzeniem zmusić go do opuszczenia oczu. Nie zdoławszy, zaczął obchodzić Leutnanta Ohlsena w kółko. Bardzo powoli i bez szmeru, jak kot bawiący się z myszą. Niektórzy wytrzymywali to przez pięć minut. Doskonale wyszkoleni żołnierze dziesięć minut. Bardzo niewiele przez kwadrans.

Leutnant Ohlsen wytrzymał to przez trzynaście. Powieki zaczęły mu drgać. Kolana drżały. Palce ogarniał skurcz.

Na to właśnie czekał doświadczony kat. Stanął bez ruchu za Ohlsenem. Nagle jego pięść wyskoczyła naprzód, trafiając karabin, który wypadł Leutnantowi z ręki i z okropnym hałasem zaczął sunąć po parkiecie.

Sęp, udając oburzenie, ryknął: - Wszystko już się widziało. Małpa dostała kompletnego fioła. Rzucić

karabin na ziemię! Dobrego, niemieckiego mausera 08/15! Padnij, szczurze ścierwojadzie! Naprzód, czołgaj się człowieku wężu! Chwyć karabin i liź go, ale czołgaj się bez przerwy, czołgaj się i liź, stale czołgaj się bez przerwy, psie, albo rozedrę ci pysk i wbiję karabin aż do żołądka. Czołgaj się i liź, czołgaj się i liź!

Za każdym razem, gdy nieszczęśnik mijał Kiernoza i Stevera, deptali go i obrzucali rynsztokowymi wyzwiskami. Słowami smrodliwymi. Ohydnyimi.

Dłonie miał we krwi. Krew płynęła mu z nosa. Z ust płynęła cienka strużka czerwonej krwi.

Kopnęli go kilka razy. Zmieniali się, by go bić.

Bawili się jego widokiem. A później złościli się za to, że brudził swą krwią ich ładny parkiet. Rozwścieczeni wrzeszczeli wszyscy naraz. Ich oczy pod daszkami czapek spoglądały jak oczy szaleńców.

W końcu Ohlsen zemdłał. Padł jak pęknięty balon. Nawet ciosy nie robiły na nim wrażenia. Nawet, gdy Sęp zrobił mu coś okropnego między nogami. To się stało w czasie, gdy wylizywał parkiet. - Krew, to coś cennego - oświadczył Kiernoz. - Nie trzeba jej marnować. Wrzucicie go do numeru dziewięć - mruknął na koniec i oddalił się, stąpając głośno i pewnie.

To był dobry dzień. Ten Leutnant broni panczernej był czwartym, któremu urządzili takie powitanie. Z przyjemnością zatarł sobie ręce. Gdybyż tylko pewnego dnia wpadł mu w łapy Leutnant artylerii, Hans hrabia von Breckendorf. Ten nikczemny smarkacz, który kazał mu biegać po placu ćwiczeń jemu, Haupt und Stabsfeldwebelowi Stahlschmidtowi jakby był prostym żołdatem. Aż w głowie mu się kręciło na myśl, co będzie wyprawiał z tym małym władcą armat. Nawet, gdy będzie miał sto lat nigdy tego nie zapomni.

Było to sobotnie popołudnie, gorącego dnia w połowie lipca. Kiernoz udał się do kantyny napić się dobrze schłodzonego piwa. Ślinka mu ciekła na myśl o piwie. Rozpiął kołnierz munduru i zsunął czapkę. Tuż przed wejściem do kantyny zatrzymał go porucznik artylerii, hrabia von Breckendorf, który stopień Leutnanta otrzymał w przeddzień swych dziewiętnastych urodzin. Spacerował sobie po maneżu na jabłkowitym koniu, gdy zauważył Kiernoza. Podjechał galopem aż do Stabsfeldwebela, niczego nie podejrzewał i zatrzymał się tak blisko, że końska piana splamiła mu mundur. Długą szpicrutą wskazał rozpięty kołnierz i odezwał się obraźliwym tonem:

- Jako Stabsfeldwebel musicie wiedzieć, że w takim stanie nie wolno sobie spacerować. - Równocześnie lekko stuknął szpicrutą Kiernoza w nos. - Ale być może zapomnieliście, co mówi regulamin, od czasu, gdy ukrywacie się w waszym areszcie? Staliście się także zbyt tłusty, Stabsfeldwebelu. Potrzeba wam trochę gimnastyki. Na plac ćwiczeń biegiem marsz!

Kiernoz biegł obok konia, jadącego kłusem. Od tego dnia zapach siodła przesyconego potem wprawiał go w obrzydzenie.

Młody Leutnant przegonił go przez wszystkie przeszkody na placu ćwiczeń.

Po przecięnięciu się przez druty kolczaste mundur Kiernoza był w strzępach. Gdy Leutnant miał dość placu ćwiczeń, zaczęli od nowa na maneżu, gdzie Kiernoz musiał posuwać się skokami, ale to nie wystarczyło Leutnantowi hrabiemu von Breckendorf. Rozkazał Kiernozowi zameldować się za dziesięć minut w stroju polowym z maską gazową i zmusił go do okrążenia maneżu trzydzieści sześć razy, biegnąc obok konia. Przez cały czas czuł na ramieniu czubek buta Leutnanta. Już był prawie na skraju omdlenia, gdy pozwolono mu odejść.

Leutnant powiedział z uśmiechem: - Jeszcze się zobaczymy, Stabsfeldwebelu.

Kiernoz z całego serca miał taką samą nadzieję. Tego ranka nerwowo przeglądał nadesłane nocą papiery, by przekonać się, czy nie ma aresztanta nazwiskiem Hans hrabia von Breckendorf. Już prawie nie mógł wytrzymać rozczarowania. Zamykał oczy, by wyobrazić sobie, jak jego życzenie

ureczywistnia się. Nie wiedział, że von Breckendorf zginął ponad rok temu w Sewastopolu, dowodząc swą baterią artylerii konnej.

Stało się to wcześniej rano. Bateria otrzymała rozkaz zmiany pozycji. Powinna była posunąć się za idącą naprzód piechotą. Leutnant von Breckendorf nadal jeździł na swym jabłkowitym koniu. Wyciągnąwszy szablę z pochwy, wymachiwał nią nad głową i stojąc w strzemionach zawołał do swych ludzi, wielkich, mocnych chłopów z równin Saksonii.

- Baterie, za mną galooopem! Woźnice walili biczami konie, zaś kanonierzy uczepili się przodków armatnich.

Leutnant nie posiadał się z radości. Uwielbiał takie rzeczy. Teraz potrzeba było tylko paru Rosjan do zmasakrowania. Najchętniej Rosjan bez broni.

Padł dokładnie tak, jak jego ojciec, który był rotmistrzem kawalerii w 2. Pułku Huzarów i zginął we wrześniu 1918 podczas bitwy kawaleryjskiej pod Signy l'Abbaye. On także jechał na jabłkowitym koniu na czele swego szwadronu. Wszyscy mężczyźni członkowie rodziny von Breckendorf byli oficerami kawalerii. Oczywiście w epoce cesarskiej huzarami, ale Leutnant Ulrich hrabia von Breckendorf został na nieszczęście powołany do artylerii, do 22. Pułku. Tam w odwecie zdobył sobie piękną renomę za swe wyczyny jeździeckie. Ale tradycja rodzinna wymagała, by został zabity siedząc na grzbiecie jabłkowitego konia. Po tym, jak został zraniony, żył jeszcze przez dwie i pół godziny i ku swojemu wielkiemu zdumieniu musiał stwierdzić, że umieranie jest nieskończenie nieprzyjemne. Zostawił po sobie trzyletniego syna, którego wychowywano w tradycjach rodzinnych. Zabroniono mu płakać po ojcu. Tego się nie robiło. Każdej niedzieli prowadzono go do kościoła, ubranego w niebieski mundur huzarów z czerwonym dolmanem. Z szacunkiem pozdrawianego przez wszystkich mieszkańców wsi, którzy uważali rodzinę hrabiego za reprezentantów Boga w ich wiosce. Nazywano chłopca „Panem Hrabią”. Biedny chłopak pocił się jak świnia na rożnie pod swą futrzaną czapkę i w mundurze obszytym futrem, paradnym stroju huzarów.

W następnych dniach personel aresztu był bardzo zajęty, tak zajęty, że niektórzy nowi więźniowie uniknęli ceremonii immatrykulacji. Rozpoczęto pewną sprawę o wielkiej doniosłości. Postanowiono przestraszyć oficerów. Niektórzy z nich stali się nieco zbyt swobodni w swych stosunkach z ludnością krajów okupowanych. Pewien Hauptmann z 10. Pułku Piechoty z Oldenburga został aresztowany, ponieważ mówił każdemu, kto chciał słuchać, że uważa Winstona Churchilla za znacznie sympatyczniejszego niż niektórych innych. Wywieszka na drzwiach jego celi mówiła: - paragraf 91b.

W kasynie, pewien Leutnant z 10. Szkoły Kawalerii w Soltau, podniósł rękę, by zsalutować. Na nieszczęście wpadł równocześnie na bardzo fajny pomysł rozstawienia palców, robiąc znak „V”. W pięć dni później znalazł się u Paula, oskarżony o przestępstwo z paragrafu 91. Gestapo otrzymało od tajnej policji kryminalnej liczący cztery linijki meldunek o pokazaniu „V”. Gestapo natychmiast zmieniło cztery linijki w czterdzieści bitych stron. Na prawo u góry przybito czerwoną pieczętkę „Gekados”. Oskarżony znikł bez śladu jak kurz rozwiany wiatrem.

Większość oskarżonych przyznawała się po mniej więcej godzinie, a potem podawali nazwiska kolegów, niewinnych lub winnych.

Dla Leutnanta Ohlsena również nadeszły długie, nieprzyjemne godziny przesłuchań „psychologicznych” w mizernie umeblowanym biurze Pięknego Paula. Jediną ozdobą był tu wazon z czerwonymi goździkami. Z tego wazonu Piękny Paul wyjmował co rano jeden kwiat, by go umieścić w butonierce.

Leutnant Ohlsen leżał na podłodze celi numer 9. Chłodził sobie rozpalone czoło o zimną betonową posadzkę. Żałował, że nie jest w okopach. W porównaniu z tym, gdzie znajdował się obecnie, były

wzorem komfortu. Nie rozumiał, czemu nie skontaktował się z nim nikt z kompanii. Być może sądzono, że nie żyje. Gestapo mogło z łatwością powiadomić, że odbyła się jego egzekucja.

Był strzeżony, ściśle izolowany. Innych więźniów widywał tylko podczas spacerów, ale nie mógł z nimi rozmawiać. Podczas całego spaceru był pod nadzorem Kiernoza i Sępa. Stever i dwóch innych strażników siedziało na murze i wyglądało, jakby spali, ale nic nie uchodziło ich uwagi.

Codzienny spacer był piekłem, podczas którego więźniowie musieli biegać przez pół godziny po podwórzu. Biec trzeba było na wyprostowanych nogach i z rękami założonymi na kark. Widok był komiczny, ale zapominano o śmiechu, popróbowałszy tego przez ledwie pięć minut. Za każdym razem, gdy obcasy uderzały o ziemię, ból przenikał aż do karku. Ten sposób spaceru był osobistym wynalazkiem Kiernoza. W swym bardzo ograniczonym zakresie Kiernoz był geniuszem.

Gdy przybyli esdeci po Leutnanta Ohlsena, by go zabrać na przesłuchanie, widok jego skatowanej twarzy wprowadził ich w szaloną radość.

- Spadł pan ze schodów? - zapytali ze śmiechem.

Wśród ogólnej radości Kiernoz twierdził, że Leutnant spadł z łóżka. Miał koszmar.

- Twoi klienci często spadają we śnie - zauważył pewien Unterscharfuhrer SD. Czy nie uważasz, że powinieneś im słać dywaniki przy łóżkach?

Ten żart był tak dobry, że trzeba go było natychmiast oblać w biurze Kiernoza. Wkrótce potem cały areszt słyszał, jak śpiewali.

Koło łóżka Ohlsena ktoś napisał na ścianie strofę:

Mój ukochany synu, moje ty szczęście,

Muszę cię zostawić sierotą.

Naród - nie - ty, którego opuszczam

Cały świat będziesz miał za ojca.

Erich Bernert Oberst

15-4-40

Te słowa odczytywał nieustannie. Myślał o swym synu Gerdzie, którego matka i cała jej rodzina umieściła w obozie wychowania narodowo-socjalistycznego koło Oranienburga. Tam szefowie hitlerjugend wyjaśniają Gerdowi, jakiego drania miał za ojca. Wroga narodu. Faceta, który zdradził swą ojczyznę. Rodzina jego teściów, „dystyngowani” Landerowie cieszyć się będą ze swej faryzejskiej sprawiedliwości. Jego teściowa poczuje się jak ryba w wodzie. Zaliczy go do zbrojców seksualnych oraz morderców. Prawie słyszał, jak opowiada swym przyjaciółkom przy herbacie, jaki wstyd spadł na ich rodzinę... A równocześnie w głębi serca będzie mu wdzięczna, że dostarczył jej takiego tematu do rozmowy.

Leutnant Ohlsen został zapomniany. Podczas długich godzin spędzanych w celi ogarniała go bezbrzeżna rozpacz.

A potem pewnego dnia Stary i Legionista przyszli do niego w odwiedzinach. Od tej chwili wróciła mu odwaga. Było to tak, jakby uchylono drzwi do świata zewnętrznego. Oczywiście, nie mogli go uwolnić, a także zrobić niczego, by poprawić jego los. Ale go pomszczą. Łatwiej było znieść wszystko wiedząc, że ten, który go maltretował, pewnego dnia spotka się z ręką zemsty.

Mały Legionista sfotografował oczami Kiernoza, Stevera i Sępa.

Asystujący przy odwiedzinach Stever poczuł się dziwnie zaniepokojony. Próbował wmieszać się do rozmowy, ale Legionista trzymał go na dystans. Potem nagle częstował papierosami, choć obowiązywał zakaz ich palenia. Odmówili i zamiast tego palili papierosy Legionisty.

Na zakończenie wizyty Legionista wyszedł ostatni i odwracając się w drzwiach do Stevera powiedział:

- To ty nazywasz się Stever, prawda? A ten gruby w gabinecie z trzema gwiazdkami na ramieniu to Stahlschmidt, a twój kumpel, podoficer z krzywymi ślepiami, to ten, którego nazywają Sępem? Stever potwierdził skinieniem głowy, nieco zbity z tropu.

- Dobra. W ten sposób będę to wiedział - rzekł Legionista. - Pewnego dnia spotkamy się wszyscy czterej, być może przy szklance piwa. Czy kiedykolwiek słyszałeś o gorzkiej herbacie chińskiego generała Thes Sot Fenga?

- Nie, nigdy - mruknął Stever, - Co to było?

- Zawsze pijał herbatę ze swymi wrogami. Ale herbata generała była posłodzona. A potem Legionista zanucił: - Przyjdź, przyjdź, śmierci przyjdź.

Potem Stever został w celi Leutnanta Ohlsena. Najpierw opowiadał o deszczu i pięknej pogodzie. Następnie w nieregulaminowy sposób usiadł na brzegu łóżka i nagle oświadczył:

- Ten mały podoficer ze zniekształconą twarzą i oczami węża, który mówił tyle głupstw, to najbardziej przerażający typ, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jak taki oficer jak ty może przyjaźnić się z taką bestią? Zmroziło mnie aż do szpiku kości. On wygląda na wariata.

Leutnant Ohlsen wzruszył ramionami.

- Nikt się z nim nie przyjaźni. Jego jedyną przyjaciółką jest śmierć.

- Śmierć? Nie rozumiem. On jest mordercą?

- W pewnym sensie tak, w innym sensie nie. Jest równocześnie sędzią i katem. Jego szkieletowa żona, kobieta z kosą, szepcze mu do ucha kogo ma odesłać do królestwa umarłych, on zaś, gdy już zdecyduje, podśpiewuje hymn swej pani.

- Zaproszenie dla śmierci? - mruknął Stever, ocierając wilgotne czoło wierzchem dłoni. - Nigdy więcej nie chcę spotkać tego faceta. - Zrobił kilka kroków.

- Spotykałem wielu paskudnych facetów z R.S.H.A. Facetów, wywołujących gęsią skórkę. Ale ten, który przyszedł cię odwiedzić, jest najgorszy ze wszystkiego, cokolwiek spotkałem. Na sam jego widok dostaje się zimnych dreszczy.

Stever znów usiadł na łóżku. A potem nagle nie mógł już wytrzymać i powiedział: - Ale chyba przypuszczasz, że on nie ma nic przeciw mnie?

- Nie mam pojęcia - odrzekł zmęczony Leutnant Ohlsen. - Nigdy nie wiem, czy on coś ma przeciw komuś, czy nie. To wiadomo tylko, kiedy przychodzi, a wtedy jest zwykle za późno. Może zauważyliście, Stever, że on chodzi absolutnie bezgłośnie. Jest jedynym żołnierzem całej Armii niemieckiej, chodzącym na grubych, gumowych podszewkach. Ma cztery pary butów tego rodzaju. Przypuszczam, że są amerykańskie. Ale, Stever, jeśli ma coś przeciw wam, szybko to zauważycie.

- Ale przecież nigdy mu nic nie zrobiłem, o czym bym wiedział, nigdy wcześniej go nie widziałem i nie chcę nigdy go znowu zobaczyć.

Pod koniec prawie płakał. Bał się samego siebie i położył sobie dłoń na ustach, potrząsnął głową, zdjął czapkę, otarł sobie twarz i pomacał dwa szewrony na rękawie.

- Nigdy nie byłem niczym innym, jak małym Obergefreiterem, który tylko słuchał rozkazów.

Pochylił się poufnie do Leutnanta Ohlsena, który stał oparty o ścianę pod oknem, jak tego wymagał regulamin.

- Coś ci powiem. To Kiernoz, ten śmieć, jest tutaj kimś niebezpiecznym. Jest Stabsfeldwebel, grubą rybą. Jeśli przyjaciel damy z kosą chce z powodu ciebie zabawić się z którymś z nas, bądź przyzwoitym człowiekiem i wyjaśnij temu diabłu, że się pomyli, jeśli załatwi kumpla. To w Haupt Stabsfeldwebela Stahlschmidta powinien uderzyć. Mariusa Aloisa Josepha Stahlschmidta. Otwarcie mówiąc, nie lubię tego małego faceta. Zażądam przeniesienia. Nie chcę tu dłużej być. Czuję, że to się zbliża do końca. Pewnego dnia powrócą wszyscy, którzy stąd wyszli. I wtedy wolę być o tysiące

kilometrów stąd. Wy tłumacz mu, że nie jestem tu w taki sam sposób, jak Kiernoz i Sęp. Zostałem tu przeniesiony. - Wyciągnął swą książeczkę wojskową i na dowód pokazał ją leutnantowi Ohlsenowi.

- Popatrz, należę do 12. Pułku Kawalerii, stacjonującego w Paryżu. Te kutasy mnie zwolniły i odesłały tutaj. Nigdy o to nie prosiłem. Nawet wielokrotnie prosiłem, żebym mógł odejść, ale Kiernoz nie chce się mnie pozbyć. On mnie bardzo lubi, ale ja jego nie. Powiedz temu pełnemu blizn typowi, że mu chętnie pomogę położyć łapę na Kiernozie i Sępie, jeśli będzie potrzebował alibi gdy ich będzie katrupił i do kurwy nędzy przysięgnę na wszystkie diabły z Biblii na jego korzyść.

- Nie wierzycie w Boga, Stever?

- Nie, niezupełnie.

- Nigdy nie modliliście się, Stever?

- Tylko parę razy, gdy naprawdę wpadłem w gówno. Teraz zajmę się tobą, Leutnancie i odpalę ci coś do czytania, ale uważaj, żeby Kiernoz tego nie znalazł. Kiernoza nie trzeba się bać. W moich celach on nie ma nic do roboty. A tutaj są papierosy. Weź je, mój stary. Jesteśmy kumplami, prawda? Stever wepchnął pod materac całą paczkę.

- Jaraj je koło kratki wentylacyjnej, aby nie było czuć dymu.

Już miał wyjść z celi, ale tuż przed zamknięciem drzwi odwrócił się i powiedział:

- Dziś wieczorem mamy otrzymać racje czekolady. Oddam ci moją. Położę ją na rezerwuarze, byś mógł ją zabrać, idąc do sracza, ale za to oddaj mi przysługę, wyjaśniając twemu kumplowi, że jestem w porządku. Pomyśl trochę, co ryzykuję dla ciebie. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem, wydałeś mi się sympatyczny. Czy nie zauważyłeś, że mrugnąłem do ciebie, kiedy tu przybyłeś? Ale przede wszystkim nie sądź, że się boję. Nie boję się niczego na świecie. Wszyscy, co mnie znają, powiedzą ci to samo. Zdobyłem moje dwa Krzyże Żelazne w Polsce, a tam było trudno. Z całej kompanii ja jeden je dostałem. Wyjaśnij to swemu przyjacielowi. Ja też jestem frontowcem. Na Westa Plata załatwiłem cały pluton. To mi dało Krzyż drugiej klasy. W Warszawie zniszczyłem miotaczem ognia cztery schrony przeciwlotnicze. Ani jeden Polak z nich nie wyszedł. Wszyscy zostali usmażeni, nim mieli czas otworzyć usta. Za to dano mi Krzyż pierwszej.

A więc widzisz, że nie jestem cykorem. Zapewniam cię, że prawie wrzasnąłem z rozczarowania nie mogąc być w Stalingradzie, ale od twego przyjaciela dostaję dreszczy. On się posługuje nożem? To znaczy, chciałem powiedzieć, sztyletem?

Leutnant Ohlsen kiwnął potwierdzająco głową.

Stever wstrząsnął się i zatrzasnął za sobą drzwi do celi. Poszedł do toalety, wsadził głowę pod kran z zimną wodą i trzymał ją tam przez pięć minut. Nie czuł się najlepiej.

Leutnant Ohlsen odetchnął głęboko. Otrzeptał łóżko w miejscu, gdzie siedział Stever. Później usiadł z głową wspartą na rękach. Czuł się lepiej. Miał sprzymierzeńców.

Gdy Obergefreiter Stever odświeżył się pod kranem, pobiegł tak szybko, jak go nogi poniosły wzdłuż korytarza i wszedł do biura Kiernoza. Zapomniał zastukać do drzwi. Słowa potokiem płynęły mu z ust.

- Czy widział pan gości w numerze 9, Stabsfeld? Zauważył pan małego? To był diabeł wcielony.

Kiernoz uważnie przyjrzał się Steverowi. Jego małe, sprytne oczka tak się przymrużyły, że były tylko dwiema szparkami.

- Nie denerwuj się, Stever. To byli tylko kulisi. Mały był prawdopodobnie pijany. Nucił coś dziwnego na temat śmierci, w chwili, gdy odchodzili. Jeśli nie był pijany, prawdopodobnie oberwał odłamkiem pocisku. Był całkiem przygarbiony pod ciężarem swoich odznaczeń. Z gatunku idiotów frontowych, którzy sobie wyobrażają, że mogą tu wystawiać stragan ze swym żelastwem. Stever usiadł na krześle i otarł sobie czoło.

- Co za morda! Nawet kanibal by się jej wstydził. Czy zauważył pan długą bliznę przez całą jego twarz, bez przerwy zmieniającą kolor? A oczy? Nigdy nie zapomnę jego oczu. A ręce? To są ręce stworzone do duszenia.

Kiernoz wziął zezwolenie na odwiedzin, leżące przed nim na stole i mruknął półgłosem: - Feldwebel Willie Beier i Unteroffizier Alfred Kalb.

- No właśnie, to on! - krzyknął Stever. - Alfred Kalb. Zapamiętam sobie to nazwisko.

Razem wzięli się do badania zezwolenia. Nagle Kiernoz zadrżał. - Niebo, piekło, dupa i saboty! Popatrz no na ten podpis!

- A co z nim? - zapytał zdziwiony Stever.

- Obergefreiter Stever, zaliczałem was do ludzi inteligentnych. Gdyby nie to, dawno bym was wysłał do batalionu marszowego. Utrzymuję stosunki tylko z ludźmi inteligentnymi. Inni człowieka przytępiają. Czy uważacie, że nie byłbym tym, kim jestem, gdybym nie używał mego mózgu? Stever, do diabła, popatrzcie na ten podpis!

Stever z bliska przyjrzał się podpisowi i musiał przyznać, że nie znajduje w nim nic dziwnego. Ale powstrzymał się od tego, by to powiedzieć. Zamiast tego ostrożnie odpowiedział, by zostawić sobie furtkę.

- Tak, teraz gdy pan to mówi, Herr Stabsfeldwebel, w tym podpisie jest coś nie całkiem normalnego - To oczywiście! - krzyknął Kiernoz. - Nareszcie skapowaliście. Żelazna kurtyna uniosła się. Zabrało wam to czas, Stever. Powinniście wieczorem wcześniej kłaść się spać. Pierdolcie trochę mniej. - Z szuflady biurka wyjął butelkę whisky, napełnił dwie szklanki.

- Stever, macie rację, ten podpis jest podrobiony. Całe szczęście, żeście to zauważyli.

Stever powstrzymał się od protestu. Znów zaczął kontemplować podpis i nie rozumiał, czemu miałby być fałszywy.

- Widzicie, Stever - kontynuował Kiernoz - widzieliśmy w tym pudle niemało zezwoleń na odwiedzin. Ale czy możecie mi powiedzieć, kiedy widzieliśmy podpisany przez Standartenfuhrera SD Paula Bielerta we własnej osobie? Nie faksymilka, ale prawdziwy podpis, zrobiony piórem i atramentem? To po prostu nie mogło się zdarzyć. To byłby dowód upadku człowieka. Normalny człowiek, jeśli ma faksymilkę, to się nią posługuje. Nawet wy moglibyście posłużyć się moją.

- Nigdy tego nie robiłem, Stabsfeld - zaprotestował z oburzeniem Stever.

Kiernoz perfidnie zachichotał.

- Być może robiliście to, Stever, nie zdając sobie z tego sprawy. Takie sprawy wychodzą na jaw tylko podczas wielkiej kontroli, a wtedy jesteście ugotowani, Stever, jeśli posłużyliście się moją faksymilką wbrew mojej woli.

- Po co miałbym to robić, Stabsfeldweblu?

- Mogłoby to być z mnóstwa powodów, Stever. - Kiernoz rozparł się na krześle dla swej wygody i by cieszyć się podnieceniem Stevera. - Może z braku pieniędzy. Może, by zamówić jakiś produkt i sprzedać go na czarnym rynku. Taka faksymilka jest dobra do wielu rzeczy, Stever. Wiecie o tym tak samo dobrze, jak ja. Należycie do ludzi inteligentnych, a ci są mniej lub bardziej ważnymi naciągaczami.

- Ale pan, Stabsfeldweblu, też należy do ludzi inteligentnych.

Kiernoz rozszerzył się.

- Uważajcie, co mówicie, Stever. Nie zapominajcie, że jesteście tylko Obergefreiterem. Zostaliście właśnie ledwie zaliczeni do ludzi inteligentnych. Ale do diabła z tym wszystkim. Zbadajmy dokładniej to sfalszowane zezwolenie. Coś mi mówi, że wkrótce będziemy tu mieli te dwa typki.

- A więc Bóg mi wybacza moje grzechy! - zawołał Stever. - Jeśli to nastąpi, będę chodził do

kościół co najmniej raz w miesiącu i to na sumę, przez całe dwie godziny. I przysięgam, że w każde Boże Narodzenie będę składał kwiaty przed obrazem Dziewicy. Proszę nie zapominać, że kwiaty drogo kosztują o tej porze roku. Ujrzeć tego małego szatana w łańcuchach u nas! Wyrwę mu oczy. Zrobię to, na wszystkich diabłów!

Kiernoz zatarł sobie ręce i zachichotał.

- Jak Sęp z majorem ze sztabu?

- Dokładnie tak! - krzyknął entuzjastycznie Stever. - Kciukiem. Szmata do ust i wszystko odbędzie się bez hałasu.

- Uważacie, że będziecie umieli to zrobić, Stever?

Stever wytarł nos.

- Temu Alfredowi Kalbowi, tak. Ach, teraz lepiej się czuję, Stabsfeld. Już go widzę, jak tu wchodzi pod eskortą dwóch typów z Gestapo.

Kiernoz pochwalił to skinieniem głowy, pewien siebie. Czuł się mocny. Zażądał połączenia z pierwszym sekretarzem oficera śledczego komisariatu, Feldweblem Rinkenem.

- Ech, Rinke, to ty? - zaczął beczelnie. - Czemu nie pojawiaasz się, abyśmy mogli dowiedzieć się, co się wyprawia z waszej strony? Mówi Stahlschmidt, Haupt und Stabsfeldwebel Stahlschmidt z aresztu garnizonowego. Odwiedziło nas dwóch oszustów. Czy masz ołówkę, paszycie? Kogo nazywam pasażerem? Ciebie, oczywiście. Nigdy nie będziesz należał do ludzi inteligentnych, Rinke. Zbyt się obżarłeś paragrafami. Jazda, zacznij notować nazwiska, ale pospiesz się. Do diabła, nie mam tyle czasu, by go tracić na tego rodzaju sprawy. Wiesz, jak bardzo jesteśmy zajęci całą robotą, jaką na nas zwalacie. Wszystko musimy za was robić. Może kiedyś poprosisz mnie, abym ci przysłał moich ludzi, by cię podrapali w dupę. Mówisz, że jestem beczelny? Wobec ciebie jestem tak często, jak mi się podoba. Nie zapominaj, że jestem Stabsfeldwebel. Notuj, Rinke. Feldwebel Willie Beier, Unteroffizier Alfred Kalb. Szczególnie tego drugiego musisz wytropić. To jest diabeł, chory na szok nerwowy, a teraz spaceruje sobie, grożąc wszystkim. Jakiego rodzaju groźby? Co cię to może obchodzić, zajmij się własnym gównem i rób to, co ci mówię. Obaj należą do batalionu wartowniczego, pułk pancerny 27/1/5. Wymusili sobie wejście, by odwiedzić tajnego więźnia, posługując się sfałszowanym pozwoleniem.

Kiernoz na chwile zamilkł.

- Możesz zająć się resztą, Rinke. Przygotowuję cele dla Kalba. Powiedz glinom, że mają mi go przyprowadzić w kajdanach.

Po drugiej stronie drutu Feldwebel Rinke zaśmiał się cicho.

- Powiedz mi, Stahlschmidt, czyś ty upadł na głowę? Czy co?

Zgodnie z zarządzeniem Nr 979 z 27. kwietnia 1940, paragraf 12, punkt 8, gdy coś takiego wydarzy się w twoim dziale, musisz złożyć meldunek. W twoim własnym interesie mam nadzieję, że był to tylko zły sen, który ci się przydarzył. Fałszywe zezwolenie odwiedzin? Nielegalny kontakt z tajnym więźniem? Do jasnej cholery! Czy aresztowałeś tych dwóch facetów, zanim jeszcze opuścili areszt, jak mam nadzieję?

Stever, który miał w ręku drugą słuchawkę, wypuścił ją, jakby go sparzyła.

Kiernoz skurczył się i przełknął ślinę.

- Zwariowałeś, Rinke? - zdołał w końcu wybełkotać. - Wyjaśniam ci tylko, że uważam zezwolenie na odwiedzin za fałszywe.

- Tak, teraz to mówisz, Stahlschmidt. Przed chwilą tłumaczyłeś mi, że ci dwaj oszuści wymusili wejście do celi jakiegoś tajnego więźnia przy pomocy fałszywego zezwolenia odwiedzin, a ja mam świadków tego okropnego twierdzenia. Mamy tu dodatkowe słuchawki, Stahlschmidt.

- Nie denerwuj się, Rinke. W dupie mam twoich świadków. Nigdy nie mówiłem, że to zezwolenie było fałszywe. Mówiłem, że to podejrzewam.

Rinke roześmiał się.

- Nieźle się wykręcasz, Stahlshmidt, ale słuchaj mnie uważnie. Cała ta historia wydarzyła się u ciebie, a ty nam wiele razy wyjaśniałeś, że jesteś jedynym panem swych decyzji w areszcie. Uważam więc, że nie dostałeś całkowitego fioła i dawno już wzięłeś tych dwóch facetów pod klucz. Teraz, gdy już wysłuchałem całej sprawy, pójdę do komisarza śledczego warty, Oberstleutnanta Segena, by go zawiadomić, że masz u siebie dwóch facetów. Później przyjedziemy, by ich zabrać na przesłuchanie.

Kiernoz całkiem wściekł się. Kopnął leżący na podłodze hełm, wyobraziwszy sobie, że jest to Rinke.

- Zamknij pysk, Rinke! Nic nie zrobisz. To był kawał. Chciałem po prostu ciebie nabrać, Rinke.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Nic z tego. Stahlshmidt. Kto wydał zezwolenie odwiedzin?

- Piękny Paul. - Mógł ugryźć się w język. To imię mu się wymknęło. Teraz wpakował się po uszy. Wycofanie się było już niemożliwe.

Rinke znów się zaśmiał.

- Nie jesteś bardzo sprytny, Stahlshmidt. Z niecierpliwością oczekuję na obejrzenie tego zezwolenia, a jeszcze bardziej, by ujrzeć dwóch więźniów. Teraz idę do Oberstleutnanta, by go uprzedzić o niespodziance. Reszta, to twoja broszka, Stahlshmidt. A poza tym czy wiesz, że właśnie formują w pułku piechoty batalion marszowy? Wszędzie szukają wykwalifikowanych podoficerów.

- Przestań, Rinke, do cholery - odparł pokornie Stahlshmidt. - Daj sobie spokój z twoim Oberstleutnantem. My podoficerowie musimy trzymać się razem. Inaczej będzie koniec ze wszystkim. To tylko taki pomysł przyszedł mi do głowy i nikogo nie aresztowałem. Obaj faceci poszli sobie.

- Poszli? - zdumiał się Rinke, z trudem ukrywając diabelne zadowolenie. Czy do ciebie wchodzi się i wychodzi jak do młyna? Ktoś musiał ich wypuścić. Kto im otworzył drzwi, Stahlshmidt? Mam wrażenie, że u ciebie dzieją się dziwne rzeczy.

- Bardzo dobrze wiesz, Rinke, kto tu wypuszcza ludzi. To ja i tylko ja. Nie udawaj kutasa, lepiej daj mi dobrą radę. Zawsze umiałeś dawać sobie radę, Rinke. Zawsze uważałem cię za przyjaciela.

- To prawda - kontynuował chłodno Rinke. - A teraz, gdy cię mam na drugim końcu drutu, mam nadzieję, że nie zapomniałeś o stu markach, które mi jesteś winien, i że to było na osiemdziesiąt procent?

- Rinke, bardzo dobrze wiesz, że jestem goły. W tej chwili interesy źle mi idą. Kupiłem dwa czarne mundury i musiałem zapłacić za oficerskie buty czterokrotną cenę. Jako Stabsfeldwebel nie mogę sobie przecież pozwolić, by wyglądać jak łachmaniarz. A poza tym te sto marek było przecież bez procentów.

- Nie wiem w jaki sposób mundury miałyby mnie interesować, Stahlshmidt. Pożyczyłeś ode mnie sto marek na osiemdziesiąt procent, a teraz temu zaprzeczasz. Natychmiast idę do mego Oberstleutnanta. Rozległ się trzask. Odłożył słuchawkę. Osłupiały Kiernoz przez pewien czas wpatrywał się w telefon.

- Co on powiedział? - spytał Stever który, aby nie kompromitować się słuchawką, wycofał się w kąt.

- Zamknij pysk! - ryknął Kiernoz i kopnął kosz na papier}. Cała jego zawartość rozsypała się po podłodze. Kiernoz kilka razy obszedł swe biuro w kółko, wściekle opluł zdjęcie Himmlera wiszące na ścianie i zaczął je obrzucać inwektywami.

- To wszystko twoja wina, kutasie jeden. Po kiego diabła nie zostałeś w Bawarii?

Złapał telefon i jeszcze raz poprosił Feldwebla Rinkena.

- Paul - rozpoczął słodkim głosem. - Tu Adolf. Posłuchaj, wybac mi tę całą historię z pożyczką. Wiem bardzo dobrze, że to było na osiemdziesiąt procent, ale wiesz, z przyzwyczajenia zawsze się protestuje. To silniejsze ode mnie.

- Dobra, może być - odparł nader zimno Rinken. - Wobec tego oczekuję, że mi zwrócisz wszystko, z procentami włącznie, jutro przed południem.

- Przysięgam ci, Paul, zwrócę ci co do grosza. Włożę wszystko do zapieczętowanej koperty, którą dam Steverowi. - Udawał, że nie widzi Stevera, który gwałtownie kręcił głową w proteście.

- Możesz zrobić dwie rzeczy, Stahlschmidt. Możesz zadzwonić do mojego majora i wyjaśnić mu całą sprawę. Jest dostatecznie wielkim idiotą, więc ją przełknie i będziesz miał spokój. Ale jeśli on ma to, co nazywamy mózgiem, wyśmieje cię, umyje ręce, a wtedy będziesz w paskudnym kłopotcie. Możesz zrobić jeszcze coś innego. W ogóle o tym nie mówić mojemu majorowi i zatelefonować wprost do Gestapo. Ale w takim razie radzę ci bardzo uważać, by ważyć każde słowo. I lepiej będzie, jeśli przed zatelefonowaniem przepowiesz sobie wszystko na pamięć. Jeśli zezwolenie odwiedzin jest prawdziwe, Piękny Paul skoczy ci na łeb i szybko będziesz miał za sobą swoją posadę profosa aresztu. Ale jeśli jest fałszywe, powie, że chce natychmiast widzieć tych dwóch facetów. Nawet osesek potrafi ci powiedzieć, co cię spotka, gdy się połapią, że pozwoliłeś tym dwóm bandytom spokojnie odejść. Nawet, gdybyś dawał mi milion, nie chciałbym w tym momencie znaleźć się na twoim miejscu.

Kiernoz w zamyśleniu ssał ołówek. Prawie słyszało się, jak kółka skrzypiąc obracają mu się w mózgu. A potem jego małe oczka nagle się rozjaśniły.

Z triumfem zawołał do telefonu: - Paul, mam bombowy pomysł. Czy zechcesz zapomnieć całą tę rozmowę? Uwierzyć, że to był sen? I zapraszam cię tutaj na dziś wieczór na ochlaj, wiesz, że nie lubię wychodzić poza areszt. Zaproszę też paru dobrych kumpli. Feldwebel Gehl będzie mógł nam sprowadzić całą kolekcję kurew.

- Zapomnieć? - spytał zdziwiony Rinken. - Otwarcie mówiąc, to trudne. Mam stanowisko niebezpieczne, ale bardzo przyjemne i nie mam ochoty na przeniesienie do batalionu marszowego. Ale z drugiej strony biorąc, twój pomysł nie jest zły. Wolę nie mieć nic do czynienia z zezwoleniem na odwiedzin. Zapomniałem więc naszą poranną rozmówkę. Pamiętam tylko, że mnie zaprosiłeś na dziś wieczór. O której godzinie mam przyjść?

- Około ósmej, mój drogi Paulu! - zawołał Kiernoz, któremu kamień spadł z serca. - Jesteś przyjacielem, Paulu. Ozdobą korpusu podoficerskiego. Zawsze to mówiłem. Teraz spowoduję, że to cholerne zezwolenie zniknie. Nie znam, nie słyszałem. A teraz naleję sobie dobrą szklanekę i zapomnę o całym tym burdelu.

- A z pewnością to byłoby dobre, Stahlschmidt. Ale to nie przejdzie. Znasz twój regulamin. Przed upływem dwudziestu czterech godzin musisz odesłać wszystkie takie zezwolenia należycie potwierdzone, a ponieważ na tym jest całkiem wyjątkowy podpis, zarzucą ci, że nie zatelefonowałeś dla sprawdzenia. Tu w biurze komisarza śledczego nic o tym nie wiemy.

- Zatelefonuję do majora - oświadczył Kiernoz. - Takiemu durniowi nie będzie trudno przełknąć tego rodzaju kawałek.

- Spróbuj - zaproponował Rinken. - Tutaj u nas nie mamy nic wspólnego z twoją sprawą. Na twoim miejscu porzuciłbym majora na rzecz ludzi Pięknego Paula. Gównu, Stahlschmidt, nie zazdroścę ci. Być może ochlaj dzisiejszego wieczoru będzie uroczystością pożegnalną i jutro będziesz w drodze wraz z kompanią marszową. To może rozegrać się bardzo szybko. Gryziپیórek ma tylko cztery linijki do wypełnienia. Pewnego razu zrobiłem chronometraż. Dokładnie dwie minuty i czterdzieści jeden

sekund.

- Masz dziwne poczucie humoru - mruknął Kiernoz. - Ale nigdy nie przyjdzie im do głowy, by mnie wsadzić tutaj, do tych, których trzymam jako więźniów.

- Och, przecież zawsze przyjemnie jest spotkać starych znajomych i porozmawiać o dobrych, dawnych czasach - pocieszył go Rinken na znak pożegnania.

Kiernoz przez krótką chwilę wpatrywał się w telefon. Czuł się dziwnie, jakby miał zawroty głowy.

Był jak człowiek w samym środku pustyni, wody ani busoli. - Może jestem chory? - pomyślał - Tyle dziwnych chorób krąży w czasie wojny.

Wymacał sobie puls. Spojrzał na Stevera.

- Być może lepiej będzie, jeśli pójdę do konowała. Czuję się całkiem niedobrze, Stever. Z łatwością możecie wykonywać moją robotę w czasie, gdy będę w izbie chorych.

Stever zbladł.

- Nie sądzę, że to się uda, Herr Stabsfeldwebel. Sęp będzie lepiej niż ja wykwalifikowany, by pana zastąpić. Ponadto jest dłużej w służbie.

- Sęp jest durniem - oświadczył Kiernoz. - Następnie podjął nagłą decyzję, wziął telefon i poprosił o majora Rotenhausena, komendanta aresztu. Słyszając zgryźliwy głos swego przełożonego, odruchowo wyprostował się na krześle.

- Herr Major - zawołał i nadał głosowi twarde brzmienie - Haupt und Stabsfeldwebel Stahlschmidt melduje, że niejaki Feldwebel Willie Brandt i Unteroffizier Alfred Kalb z 27. Pułku Pancernego, obecnie w batalionie wartowniczym w Hamburgu, zjawili się tutaj, w areszcie garnizonowym, ze sfalszowanym zezwoleniem odwiedzin. Fałszerstwo zostało wykryte dopiero po odejściu obu ludzi. Nastąpiło długie milczenie, po którym major krótko spytał: - Kogo odwiedzili?

- Leutnanta rezerwy Bernta Ohlsena - wykrzyknął Kiernoz.

- Idioto, pytam komu podlega ten więzień?

Kiernoz zamrugał oczami i bardzo głęboko odetchnął. Już czuł, że major wyslizguje mu się z rąk. - Pluskwa - pomyślał. - Wstrętna pluskwa. Poczekaj, aż pewnego dnia będziesz moim więźniem! - Zrobił się na krześle całkiem malutki i wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem: - Gestapo IV/2a, Herr Major.

- Czyj jest podpis na zezwoleniu odwiedzin? Kiernoz głośno dyszał. Teraz nic już nie mogło go ocalić.

- Standartenfuhrera SD Paula Bielerta - oświadczył półgłosem.

I znów Kiernoz wpatrywał się w milczący telefon. Wziął pozwolenie, ustawił je pod światło. Papier był zwyczajny i tani. Obmacywał go, jak handlarz tekstylii, oceniający kawałek jedwabiu rzadkiego gatunku. Spojrzał na Stevera, którego opalona twarz zbladła.

- Stever - odezwał się poufnym tonem - aleśmy wpadli. Co u diabła trzeba zrobić? Ten lis Rinken umywa sobie ręce, ale robi wszystko, by odczekać. Jest cały w pretensjach, ponieważ pomaga swemu parszywemu komisarzowi naciągać kapotę i to co dzień. Ale ten mały zasraniec zapomniał, że był roznosicielem mleka, zanim dostał powołanie do służby. Wróci do swych butelek, przysięgam, a ja to urzęduję tak, by to on stawiał mleko przed moimi drzwiami. Codziennie będę składał na niego skargi. A ten jego major, kto to taki? Zwyczajny śmieć. Ten też dowie się, kim ja jestem. Stever, zagońcie wasze szare komórki do roboty. Co robimy?

Stever, którego nie cieszyła perspektywa bycia wmieszanym w tę aferę, odpowiedział ostrożnie: - Herr Stabsfeldwebel, pan z pewnością sam znajdzie sposób wykręcenia się z tego świństwa.

Kiernoz potrząsnął głową. Wpatrzył się Steverowi w oczy.

Być może, mój stary, wyobrażasz sobie, że jesteś spryciarzem - pomyślał - ale nie myl się co do

mnie. Jeśli będę musiał odejść z kompanią marszową, ty mi będziesz towarzyszył. Odjedziemy ręką w rękę.

Nagle podniósł się przewracając krzesło i w zamyśleniu zaczął przemierzać pokój. Jakby przypadkiem wziął z popielniczki zapalną i schował ją za listwą przyścienną w ten sposób, że tylko kawałek wystawał. To mu pozwoliło zwymyślać kalifaktora, rotmistrza kawalerii, oczekującego na transport do Torgau. Idiota nigdy nie znajdzie zapalniczki. Na to trzeba być równocześnie podoficerem i inteligentnym!

Po kwadransie podniósł krzesło i pozwolił mu z hukiem upaść. Zaczął grzebać w papierach na biurku.

- Co za kupa gówna! - krzyknął. - Wziął spis numerów telefonów i przesunął palec wzdłuż kolumny nazwisk.

Przyglądający się z kąta Stever pomyślał, że trzeba mu pomóc.

- To jest 10 001, Stabsfeld.

- Wiem to cholernie dobrze! - ryknął Kiernoz, z wściekłością ciskając spis na podłogę.

W biurze zapanowało ciężkie milczenie.

Stever ustawiał miseczki z wodą na grzejnikach, podczas gdy Kiernoz obserwował go z zainteresowaniem.

- Powietrze staje się zbyt suche, Stever, gdy w lasach nie ma dość wody. Gdzie są kalesony, które pospolici więźniowie mieli naprawiać? Czy są gotowe?

- Nie - odrzekł Stever. - Zleciłem to Gefreitowi Weilowi, ale on i tamci dwaj pozostali do niczego się nie nadają. Są zbyt niedbali wobec pospolitych.

Zmęczony Kiernoz kiwnął głową.

- Uważam, że nadszedł czas, by ich wysłać do kompanii marszowej. Kurwa, przecież nie trzeba im całego roku, by naprawić kalesony.

Właśnie w tej chwili syreny zaczęły wyc. Kiernoz i Stever nabrali odwagi.

- Oto Kanadyjczycy - stwierdził Stever.

- Zejdźmy do piwnicy - zaproponował Kiernoz. - Weźmy z sobą whisky. Może wysadzą w powietrze Gestapo?

- Oraz majora - wyobraził sobie uradowany Stever.

- Tego zasrańca Rinkena wraz ze wszystkimi komisarzami - zachichotał Kiernoz. - Jeśli to się zdarzy, do licha, wyślę list z podziękowaniem do Kanadyjskich Sił Powietrznych.

Dało się słyszeć długie, nieustanne wycie, więc z całej siły pobiegli w stronę piwnicy.

Nalot trwał dwadzieścia minut, ale miał za cel część na południe od portu.

Kiernoz i Stever znów znaleźli się w biurze. Wtedy Kiernoz podjął trudną decyzję. - Trzeba z tym skończyć - pomyślał i zaczął wybierać nienawistny numer: 10 001. Ale był tak zdenerwowany, że palec mu się poślizgnął i połączył go z błędnym numerem. Aż ryknął jak wariat, gdy po raz drugi odezwała się pomyłka.

- W dupie mam wasze bidety! Trzymajcie łapska z dala od telefonu, gdy nie jest do was! Pokażę wam, z jakiej jestem ulepiony gliny. - Co za kutasy - zwierzył się Steverowi. - Sram na ich bidety.

Za trzecim razem udało mu się uzyskać właściwy numer. Był wyraźnie przerażony, gdy gderliwy głos mu odpowiedział: - Tajna Policja Państwowa, Oddział Stadthausbrücke.

Kiernoz przełknął ślinę. Z wielkim trudem wybełkotał meldunek.

- Chwileczkę, Stabsfeldwebel! - zawołał głos. Kiernoz prawie widział srebrną trupa czaszkę na czapce. W telefonie rozległ się przerażający hałas. - Ciężkie aparaty są niedobre - pomyślał Kiernoz. Gdybyż on był na czele tego kabaretu! Tam brakowało ludzi inteligentnych. Prawie zeskoczył z

krzesła, gdy dotarł do niego nowy głos.

- Wydział wykonawczy IV/2a.

Kiernoz zaczął opowiadać historię fałszywego zezwolenia odwiedzin. Czoło ociekało mu potem.

Trykotowa bielizna kleiła mu się do ciała. Drapał się po rękach.

- Kto podpisał to zezwolenie?

- Herr Standartenfuhrer SD Paul Bielert - wykrakał pokornie Kiernoz i skłonił się przed telefonem.

- Możecie opuścić „Pana” - poinformował go gestapowiec na drugim końcu przewodu. - Dawno już skasowaliśmy tutaj tego rodzaju burżuazyjne idiotyzmy.

Kiernoz nie usprawiedliwił się. Ograniczył się do krótkiego „Dobrze”, dwukrotnie strzelając obcasami.

- Połączę was ze Standartenfuhrerem - zaskrzypiał głos.

Znów rozległ się w telefonie dziwny hałas. Kiernoz pocił się straszliwie. Czuł się naprawdę chory.

Najbardziej miał ochotę wyrwać telefon ze ściany i cisnąć go w kąt.

Dał się słyszeć miły głos. Głos, przypominający księżowski.

- Tu Paul Bielert, co mogę dla was zrobić?

Słowa popłynęły z ust Kiernoz. Zupełnie nie potrafił zapanować nad sobą. Wszystko opowiadał kompletnie chaotycznie. Raz przypuszczał i podejrzewał, że zezwolenie jest fałszywe. To znów stwierdzał, że tak jest. Oskarżał majora. Oskarżał Rinkena. Oskarżał cały korpus komisarzy 10. Armii. Wyjaśniał, że ci wszyscy ludzie, to skurwiele. Areszt był przekłętą dziurą, koszary starym barakiem. W końcu musiał przerwać, by zaczerpnąć powietrza.

Wówczas Paul Bielert zapytał łagodnie: - Czy nie powiedziano wam nigdy, Stabsfeldwebel, że jesteście idiotą?

Kiernoz skręcił się na krześle. Już nie wiedział, co może odpowiedzieć. Było to pytanie, jakiego mu nigdy nie zadano podczas jego dwudziestu ośmiu lat służby. Ale zanim miał czas na znalezienie odpowiedzi, Standartenfuhrer kontynuował tym samym łagodnym i miłym głosem.

- Uważam, że nie dorastacie do swego stanowiska, Stabsfeldwebel. Jeśli naprawdę to zezwolenie odwiedzin jest fałszywe, czy jest prawdopodobne, że nazwiska owego Feldwebela i tego Unteroffiziera są również? Ale zakładam, że kazaliście zrewidować więźnia o którym mowa, jak również jego celę?

- Mój pomocnik, dragon Obergefreiter Stever, uczynił co należy, Standartenfuhrer.

- I co on znalazł, ten wasz pomocnik?

- Nic, Standartenfuhrer. - Kiernoz wstał, podrapał się w tyłek i zaśmiał się szatańsko patrząc na Stevera, stojącego z otwartymi ustami zdumionego, w jaką stronę podąża sprawa.

- To musiała być rewizja bardzo powierzchowna ta którą wykonał wasz dragon Obergefreiter Stever. Stabsfeldwebel, słuchajcie mnie uważnie.

Kiernoz wyprostował się automatycznie i odpowiedział: - Jawohl, Standartenfuhrer.

Oddzielając każdą sylabę Paul Bielert kontynuował: - Czynię was odpowiedzialnym za wszystko, co dotyczy tej sprawy. Jeśli więzień otruje się przy pomocy wniesionej bezprawnie trucizny, zostaniecie powieszani.

Kiernoz nie potrafił już utrzymać kolan spokojnie. Chwyciło go przerażenie i omal nie udusiło. Po raz pierwszy w życiu zapragnął być na froncie.

- Zezwolenie odwiedzin, o którym była mowa - kontynuował Standartenfuhrer swym monotonnym głosem - ma zostać oddane tutaj, w moim biurze, mnie osobiście, najdalej za godzinę. Dajcie sobie spokój z pisaniną. A tak naprawdę ile osób udało wam się zaalarmować w związku z tym zezwoleniem?

Kiernoz ugryzł przewód telefoniczny. Kiszki mu się skręciły. W porządku chronologicznym podał nazwiska wszystkich, z którymi rozmawiał w związku z wydarzeniem.

- Jesteście królem kutasów - skonstatował Bielert. - Dziwi mnie, że nie próbowaliście też wysłać do gazet. Czy nigdy nie podpisywaliście zobowiązania o tajemnicy służbowej?

Kiernoz spojrział osłupiały na milczącą słuchawkę. Miał uczucie, że dusza go opuściła, a ciało zostało samotnie w tyle. Musnął go pomysł dezercji. Zezwolenie było więc fałszywe. Wyrwały mu się dziwne dźwięki, które wprawiły Stevera w zdumienie. Nigdy nie widział Kiernoz w takim stanie.

Teraz sracz stanął w płomieniach. Dzięki Bogu, że nigdy nie był więcej niż Obergefreiterem.

Kiernoz chodził bez przerwy po pokoju. Rzucił nienawistne spojrzenia fotografii Himmlera. To wszystko było winą tego bawarskiego idioty. Z tej strony nigdy nie przyszło nic dobrego. Nigdy więcej nie napije się monachijskiego piwa! Czy ten cholerny więzień ma teraz u siebie truciznę? Być może w tej chwili właśnie ją łyka. Zatrzymał się nagle i wściekle wrzasnął do Stevera.

- Obergefreiter, do kurwy nędzy, dlaczego tu stoicie i nic nie robicie?! Zrewidujcie numer 9, i to natychmiast. Wyrwijcie mu sierść! Trzeba mi natychmiast przynieść wszystko, co posiada! Nawet jego wszy muszą się za pięć minut znaleźć tu, na moim biurku!

Stever podskoczył i wyszedł z biura. Sęp zdumiony zapytał, czy gdzieś wybuchł pożar.

- Dowiesz się o tym dość szybko - odpowiedział tajemniczo Stever. - Znajdź dwóch ludzi i chodź ze mną. - Trzeba przesiać numer 9 przez sito i przynieść cały burdel Kiernozowi - pomyślał.

Weszli z hałasem do Leutnanta Ohlsena. Zerwali z niego ubranie, porwali na kawałki materac, potłukli praktycznie wszystko, co znajdowało się w celi, szarpali kratę w oknie. Sondowali podłogę, ściany i sufit. Obracali i przewracali nocnik.

Steverowi udało się ukryć sławetne papierosy, które dał Ohlsenowi. Krzyczeli i ryczeli wszyscy naraz. Wsadzali Leutnantowi Ohlsenowi brudne palce do nosa i do ust, drobiazgowo obejrzel jego ciało, ale nie wykryli ruchomego, wydrażonego zęba, w którym była ukryta mała, żółta pigułka.

Pigułka z dostateczną dawką trucizny do zabicia dziesięciu ludzi. Trucizny, którą mały Legionista przywiózł z Indochin.

Podczas rewizji Kiernoz spacerował po swym biurze, bez przerwy zastanawiając się nad pozwoleniem odwiedzin. Czule spoglądał na swe zbiory na drewnianej etażerze. Książki, które sobie kupił przez lata służby. Dzięki tym opasłym tomom czuł się niemal prawnikiem. Swym kochankom zawsze opowiadał, że jest inspektorem więzień. W knajpce „Czerwona Szmata”, do której bardzo lubił przychodzić, nazywano go Panem Inspektorem. Niezwykle to lubił. Nauczył się na pamięć pewnej liczby paragrafów, które zawsze recytował, gdy nadarzała się okazja. Stali goście „Czerwonej Szmaki” odwoływali się do niego, jako do doradcy prawnego. Niestety, wielu z nich boleśnie rozczarowało się, usłuchawszy jego porad. Nie wiedzieli, że za każdym razem, gdy Kiernoz napotykał postanowienie, którego nie znał, natychmiast wymyślał paragraf, odnoszący się do danej sprawy.

Zadzwoił telefon. Kiernoz popatrzył na niego w zdenerwowaniu i długo wahał się, nim odpowiedział. W przeciągu jednej godziny zniechęcił ten aparat. To z niego nadeszło całe zło. W końcu podniósł słuchawkę i powiedział bardzo cicho: - Areszt garnizonowy.

To było niebywałe, że nie przedstawił się nazwiskiem. Zwykle ryczał: - Haupt und Stabsfeldwebel Stahlschmidt. Ale to cholerne zezwolenie odwiedzin wszystko zepsuło.

- Wyglądasz na bardzo smutnego - dał się słyszeć głos Rinkena z drugiego końca drutu. - jak idzie? Pogadałeś sobie ze Stapo? I gdzie z tym jesteś?

- Och, zamknij się - mruknął Kiernoz. - Sądzę, że poproszę o przeniesienie. Tutaj jako

podziękowania za staranną pracę ma się tylko zasrane kłopoty.

- Ależ to da się prosto załatwić, Stahlschmidt. Nadal brak nam w batalionie marszowym trzech podoficerów. Przyjmą cię z największą radością. Chcesz, żebym do nich zatelefonował?

- Zajmuj się swoimi sprawami - warknął Kiernoz. - Lepiej daj mi radę. Nie wiem, jak się wydostać z tego gówna. Piękny Paul mi nie pasuje. To prawdziwy demon. Teraz chce, abym mu osobiście oddał zezwolenie.

- Boisz się pójść na Stadtbrücke 8? Nie ma żadnego powodu, w chwili, gdy masz czyste sumienie.

- Nie zgrywaj niewiniątka, Rinke. Nikt nie ma do tego stopnia czystego sumienia. Nawet strażnicy z SD w Fuhlsbüttel czy Neuengamme robią w portki, zbliżając się do Stadthausbrücke.

- Zobaczysz, wykręcisz się z tego - odparł wesoło Rinke. - Przecież byli tacy, którzy wrócili z batalionu marszowego.

Kiernoz nie mógł wiedzieć o wizycie Legionisty u Ciotki Dory w „11 w Skali Beauforta” w przeddzień jej zniknięcia. Oficjalnie wyjechała do Westfalii do chorej przyjaciółki, wdowy po Gauleiterze. Jak zwykle siedzieli przy owalnym stole w cichym zakątku. Kotarę zasunęli prawie do końca. Przed nimi stała waza z pieczonymi kasztanami. Wypluwali łupiny na ziemię, nie przestając rozmawiać cichymi głosami.

Ciotka Dora wahała swego Pernoda.

- No dobra, Paul zwinął waszego małego leutnanta. Ten musiał być lekko trzaśnięty, biorąc pod uwagę, co rozpowiadał na prawo i lewo.

Mały Legionista wzruszył ramionami i powąchał swój ulubiony napój, Małego kaprała. Pił go w szklance do wody. Uważał koniakówki po prostu za śmieszne. Zbyt często trzeba było je napełniać.

- Tak, masz rację, przyjaciółko. Nam dwojgu coś takiego nie przydarzyłoby się. Potrafimy dawać sobie radę, ale ja od dawna znam tego kretyna. Muszę dla niego coś zrobić.

Ciotka Dora zaśmiała się i z niesmakiem wypluła nadgniętego kasztana.

- Tej świni kucharce należą się baty. Wczoraj poszła się rznąć w samym środku śniadania. Dziś ma się z personelem prawdziwe piekło. Zrobiłam wszystko, co możliwe, aby mieć jak najlepszy. Na przykład mój księgowy, adwokat, który odsiedział trzy lata za oszustwo, zna wszystkie kombinacyjki. Ale to śmieć. Wszystkie moje dziewczyny to wybrakowane kurwy. Osłaniam je przed policją obyczajową, ale nie uwierzysz, że mimo to mnie okradają. Na przykład ta Lisa, z bufetu. Po raz czwarty zgłosiła się jako chora i telefonowała tu słabym głosem. Posłałam Gilberta, następcę Ewalda, by zbadał to dokładniej. - Ciotka Dora z rezygnacją patrzyła w sufit. Z całej siły uderzyła w stół, aż podskoczyły szklanki.

- Ta dziwka spokojnie przechadza się wzdłuż Łaby z jakimś bubkiem. Ma gdzieś mój bufet, ale nie traci czasu, czekając na klienta.

- Tak, jest trudno, Doro. Ale dlaczego nie angażujesz cudzoziemskiego personelu?

- O, nie, dziękuję, u mnie niczego takiego. Gestapo rekrutuje zbyt wielu kapusiów wśród cudzoziemców i zanim zdołałabym powiedzieć „oj”, zaciągnęliby mnie za włosy na Stadthausbrücke. Ale wróćmy do twojego Leutnanta. O co go oskarżają? Chcę powiedzieć, jaki paragraf mu przykleili?

- 91b, przyjaciółko - odpowiedział Legionista biorąc kasztana. Przeplukał sobie usta resztą zawartości szklanki. Długa, przecinająca mu twarz blizna świeciła krwistą czerwienią.

- Obawiam się, by nie stracił makówki - ciągnął dalej. - Gestapo jest jak wielki, wygłodzony pies, który dobrowolnie nie wypuszcza swej kości. Porta przedstawił mi pewnemu typkowi z biura komisarza śledczego, bubkowi, który chełpi się tytułem doktora, kanalii, której słaby punkt zdołałem wykryć. Jest łagodny jak jagnię i pozwolił nam obejrzeć papiery. Kopie dokumentów Gestapo. To

bardzo dobrze pomyślane. Leutnant Ohlsen ma posłużyć za przykład. Jak dobrze wiesz, odczytuje się taką historię przed wojskiem w chwili egzekucji. Wtedy błędną najodważniejsi.

- Co to jest odwaga, Alfredzie? Tylko wiatr. Coś, czymś niektórzy przechwalają się, gdy są w dobrym schronieniu. Odważni ludzie nie istnieją. Gestapo wystarczy ledwie dziesięć minut, by złamać kogoś, gdy się za to serio biorą. Istnieje tylko jeden system obrony przed Gestapo: wiedzieć o nich coś kompromitującego. Trzymasz za gardło tylko tego, kogo możesz skompromitować. Wszyscy będą rozdymać ponad wszelką miarę jego własne błędy.

Legionista w zamyśleniu potrząsnął głową, zaciągnął się głęboko swym papierosem, wypuścił dym nosem i tajemniczo pochylił się nad stołem.

- To prawda, Doro. Wyznaję tę filozofię od dziesiątego roku życia. Miałem profesora, łotra, który nieustannie na mnie polował. Nie byłem bardzo duży. Najmniejszy w klasie i nie umiałem zbyt dobrze posługiwać się pięściami. Tego nauczyłem się dopiero w Legii. Odkryłem, że bardzo się kocha w żonie komisarza policji. Od tego dnia był dla mnie zawsze bardzo miły. Kobięcina również.

- Dziesięć lat? - zaśmiała się Ciotka Dora. - Byłeś bardzo rozwinięty jak na swój wiek. Ja miałam siedemnaście lat, gdy się w tym pokapowałam.

Legionista uśmiechnął się kącikami warg.

- Dobra, a potem kupiłaś te budę. Ale czy nie mogłabyś wykombinować dla mnie zezwolenia na odwiedzin? Ty wiesz różne rzeczy o Pięknym Paulu, prawda? Ale nie aż tyle, by móc uwolnić Leutnanta Ohlsena?

- Myślę, że mogłabym załatwić zezwolenie na odwiedzin, Alfredzie. Wypuszczenie na wolność jest już o wiele trudniejsze. Nawet łagodny pies gryzie, gdy mu się odbiera kość. Sam powiedziałeś przed chwilą: Piękny Paul jest jadovitą żmiją, tylko częściowo oswojoną. Tego rodzaju bestie można zmusić do robienia najdziwniejszych sztuczek, póki się ciebie boją. Ale jeśli przekroczysz granice i zażadasz sztuczek zbyt trudnych, zapominają o swym strachu i gryzą. Leutnant Ohlsen jest idiotą. Nie jest osobą dość ważną, abym miała ochotę wszystkim dla niego zaryzykować. Gdybyś to był ty, Alfredzie, byłoby inaczej. Mieszać się do aresztantów Pięknego Paula, to rzecz niebezpieczna.

- Wiem o tym - mruknął Legionista. - On kolekcjonuje więźniów tak, jak się zbiera znaczki pocztowe.

- Więźniów i egzekucje - dodała Ciotka Dora, biorąc kasztana, którego z namysłem zanurzyła w topionym maśle. - Zmyję się. Klucz do interesu oddam Britcie i wrócę dopiero, by powitać Angoli.

Legionista zaśmiał się i roztarł swą bliznę.

- Szukają cię, Doro? Więc musiałaś się za daleko posunąć.

- Nie czuję się zbyt dobrze - odparła Dora mrużąc oczy i drapiąc się widelcem w źle rozczesane włosy. - Ale słyszę daleki głos, który mi mówi: - Podciągnij spodnie, Doro i znikaj. Od jakichś dziesięciu dni mieliśmy za dużo wizyt facetów z opuszczonymi kresami kapeluszy.

- Tych, którzy kaszlą po Pernodzie? - upewnił się Legionista.

- Właśnie. Typków, od których na sto metrów czuć piwem. Przychodzą tu, by spróbować Pernoda. I im to nie wychodzi. To ich zdradza.

- Pernod jest dobry do tego - potwierdził Legionista. - Demaskuje hipokryzję. Pamiętasz tego es-deka, któremu poderznięliśmy gardło?

Ciotka Dora podrapała się w piersi.

- Zamknij się, Alfred. Dostaję od tego gęziej skórki. Zapaskudziliście mi cały garaż na rowery. Ewald musiał zerwać wszystkie deski, by pozbyć się plam krwi.

Zaczęła wyć syrena.

- Gówno, alarm - zakląła Ciotka Dora. - Chodźmy z paru butelkami do piwnicy.

Personel pojawił się biegiem. Otwarto klapę pod jednym ze stołów. Wąskimi schodami zeszli do

piwnicy. Ktoś puścił w ruch butelki. Wszyscy rozsiadli się wygodnie. Tylko portier Gilbert został na górze. Zbyt wiele było rabunków podczas alarmów, pomimo przewidzianych za to surowych kar.

- Alfredzie, zadzwonię do Pięknego Paula. Spotkaj się ze mną jutro rano, jeśli zdołasz wydobyć się z koszar. Postaram się o zezwolenie odwiedzin dla ciebie. Jeśli mi się nie uda, Paul i ja spotkamy się w kiciu, trzymając się za ręce.

Legionista wstał, włożył na głowę małą czapkę, obciągnął krótką kurtkę huzara.

- Ani ty, ani Paul nie pójdziecie do kicia. Będę tu jutro o jedenastej.

Wyszedł na ulicę.

Jakaś dziwka uśmiechnęła się do niego zachęcająco i poprosiła o papierosa.

- Spieprzaj, szmato.

Krzyknęła mu jakąś obelgę. Odwrócił się do niej. Pospieszenie uciekła na Hansa Platz. Przez dwa następne dni nie ośmieliła się wyjść na ulicę.

W dwie godziny później Ciotka Dora spotkała się z Kriminalem Paulem Bielertem na rogu Neuer Pferdemarkt i Neuerkamp Feldstrasse, obok rzeźni. Przeszli przez Neuer Pferdemarkt i weszli do hotelu Joehnke, gdzie usiedli przy oddalonym od innych stoliku.

Ciotka Dora przeszła prosto do rzeczy.

- Potrzebuję natychmiast zezwolenia na odwiedziny. Spiesz mi się. Personel mi się buntuje. Mam tylko same zmartwienia.

Bielert uśmiechnął się kątem ust.

- Jeśli chcesz, znajdę ci cudzoziemki.

- Dziękuję ci - zachichotała Ciotka Dora. - Trzymaj swe krowy z dala od mojego interesu. Ale potrzebuję tego zezwolenia.

Paul Bielert z namysłem osadził papierosa w swej srebrnej cygarniczce.

- Jesteś bardzo wymagająca, Doro. Bardzo trudno jest uzyskać zezwolenie odwiedzin. To bardzo poszukiwany towar.

- Daj sobie spokój z pierdołami. Zamów dla mnie szklankę rumu, ale żeby był płonący.

- Używasz wulgarnych wyrażeń, Doro. To do ciebie nie pasuje.

- Gwiżdżę na to, czy pasuje, czy nie. Mój interes pochłania mi cały czas. Ale oddaliśmy się od sprawy zezwolenia odwiedzin. Gównu, ten rum nie jest gorący.

- Najpierw muszę wiedzieć dla kogo jest to zezwolenie.

Ciotka Dora podała mu kawałek papieru.

- Tu są nazwiska.

- Leutnant Bernt Ohlsen? - rzekł powoli Bielert i zaczął przyglądać się papierkowi.

- Zbrodniarz stanu. A ty chcesz, bym mu pozwolił przyjmować wizyty? Dla facetów tego gatunku mam tylko pogardę. Trzeba, by te pacholki plutokracji wszystkie wyginęły. Gdybym tylko miał wolną rękę, niszczyłbym całe rodziny!

Jego twarz wykrzywiła chorobliwa nienawiść.

Ciotka Dora obojętnie go obserwowała. Jacyś klienci w drugim końcu sali oddalili się zaniepokojeni. Domyślili się, kim on jest. Nagle zaczęło im się bardzo spieszyć. Rzucili pieniądze na stół i wyszli z restauracji.

- Mam spis nazwisk tak długi - kontynuował Bielert - że Gruppenfuhrer Muller stałby z otwartymi ustami. Mamy nie tylko wojnę. Żyjemy podczas rewolucji, a ja uważam się za jednego z jej przywódców. Mam parszywą robotę. Ale ją kocham.

- Masz rację - stwierdziła Ciotka Dora, obserwując go kątem zmrużonych oczu. - Nie trzeba być zbyt miękkim dla zdrajców i dezertów. Mnie męczy złe sumienie. Często mam ochotę oddać wszystko,

co mam w różnych tajnych skrytkach. Rzeczy, o których dawno zapomniałam, a potem nagle widzę, że mam w rękach pliki zdjęć i dokumentów i wiem, że moim obowiązkiem jest odesłać je do Berlina. Niedawno spotkałam się z Mullerem. Przyszedł do mojej knajpy zupełnie nagle. Od lat go nie widziałam. Upiliśmy się oboje, taką przyjemność sprawiło nam ponowne spotkanie.

- Który Muller? - spytał zaniepokojony Paul Bielert.

- Zastępca Heydricha, twojego nieżyjącego szefa. Brigadeführer Heinrich Muller. Solidnie podlaliśmy to wydarzenie. Nie widzieliśmy się od czasu, gdy został mianowany Untersturmführerem.

- Nie wiedziałem, że znasz Heinricha Mullera - mruknął Bielert, nie zdoławszy ukryć zdziwienia. - Ale przecież nigdy nie byłeś w Berlinie. To wiem z całą pewnością.

- Nie opowiadaj mi, że kazałeś inwigilować starą przyjaciółkę, Paul?

- A kto mówi o inwigilacji? Myślę tylko o twoim bezpieczeństwie - uśmiechnął się, łagodny jak kotek. - Tyle rzeczy może się wydarzyć w tych niespokojnych czasach.

- Miły jesteś - odpowiedziała sarkastycznie. - Ale gdy już mówisz o bezpieczeństwie, czy nie myślisz raczej o swoim? Gdyby coś mi się stało, to byłoby dla ciebie prawdziwe nieszczęście.

Bielert wzruszył ramionami, wziął nowego papierosa i mały łyeczek koniaku.

- O kim rozmawialiście z Mullerem?

- O zbrodniarzach stanu - szepnęła Ciotka Dora. - Zgadzałam się do tego stopnia, że to było aż wzruszające. Powiedział, że wie, iż znam mnóstwo dawnych komunistów. Szczególnie interesowali go ci, którzy zrzucili czerwone ubranko na rzecz ciemnobrązowego. Faceci, służący w Stapo. Nie zdołałam mu powierzyć kilku małych sekretów, ale jak wiesz mam wielkie serce, powodujące, że nieustannie zapominam o moim obowiązku wobec Fuhrera i ojczyzny. - Bez żenady uniosła suknię i z majtek wyjęła list. Jasnoniebieskich majtek na gumkę, z grubej wełny. Popatrz choćby na ten list, który niedawno znalazłam, robiąc porządek w szufladzie. Cholernie interesujący list na temat komórki organizacyjnej Nr 31 i w którym wielokrotnie wspomina się jakiegoś Paula Bielerta, jako przewodniczącego tej komórki. Można by pomyśleć, że to ty. - Podała mu list.

Bielert przeczytał go bez mrugnięcia okiem.

- No coś takiego. Rzeczywiście bardzo interesujące. - Złożył list i wsadził do kieszeni.

- Pozwolisz, że go zatrzymam?

Ciotka Dora obdarzyła go słodkim uśmiechem.

- Jak sobie życzysz. Mam inne tego samego rodzaju. Może któregoś dnia otworzę muzeum.

Bielert szeroko otworzył oczy.

- Jak udało ci się położyć rękę na tej korespondencji sprzed trzydziestego trzeciego roku?

Ciotka Dora spojrzała w dal.

- Paulu, w czasie gdy jeszcze doileś krowy w domu poprawczym u księży, myśląc o odwecie, ja siedziałam cicho czekając, aż wiatr powieje w drugą stronę. Lepiej zabezpieczać się z góry, a gdy wyszedłeś z cienia i posłałeś swych wysłanników do komórki 31, zatrzymali się u mnie na kielicha. Moje dziewczyny zajęły się opróżnianiem ich kieszeni. Resztę nietrudno zrozumieć, nieprawdaż, Paul?

- Uśmiechnęła się zachęcająco. - Ale po co się w tym grzebać? W końcu wszystko, o co cię proszę, to zezwolenie na odwiedzinę.

- Przyjdź po nie do mojego biura.

- O, nie, dziękuję, Paul. Nie sądzę, by powietrze u ciebie było dobre dla mojego serca. Przyślij mi jednego z twoich ludzi z zezwoleniem.

- Właśnie pytam sam siebie, czy to nie byłby dobry pomysł, aby przysłać paru moich młodych ludzi, by wyrócili do góry nogami twoją knajpę. Następnie mogliby przyprowadzić cię do mego biura.

Tam zrobimy dla ciebie wszystko, co możliwe. Pewien jestem, że po kilku dniach mogłabyś opowiedzieć nam mnóstwo interesujących rzeczy. Potem moglibyśmy zrobić małą wycieczkę samochodem, podczas której zorganizowalibyśmy małą, miłą próbę ucieczki. Mam pewnego Unterscharfuhrera, który strzela tak dobrze, że trafia uciekiniera z zawiązanymi oczami.

- To oczywiście byłby jakiś pomysł - przyznała Ciotka Dora, skinąwszy głową na znak zrozumienia. - Z pewnością światał ci już nie jeden raz. Ale sądzę, że jesteś dość inteligentny, by wiedzieć, że nie jest bez niebezpieczeństw. W tej samej chwili gdy znajdę się w celi, ty będziesz w drugiej.

- Uważaj, Doro. Pewnego dnia odkryjesz się, a wtedy młot uderzy. Będziesz miała twoje zezwolenie na wizytę o trzeciej. Greier ci je przyniesie.

- Bardzo dobrze. Z Greierem rozumiemy się. Jest bardzo zadowolony z tego, że ma stopień Oberscharfuhrera i o wiele bardziej woli szary mundur od ubrania w paski. Prawdę mówiąc musiałeś znać Hansa Greiera przed trzydziestym trzecim. Gdy śpiewał Międzynarodówkę, słychać było w całym mieście. Teraz woli Horst Wessel Lied. Tylko idiota próbuje płynąć pod prąd.

Paul Bielert wstał.

- Uważaj, Dora. Masz wielu wrogów.

- Ty też, Paul. My dwoje rozumiemy się. Standartenfuhrer SD Paul Bielert wstrząsnął się w swym czarnym, skórzanym płaszczu. Przetarł czarne okulary. Następnie znikł wśród deszczu. Wilk. Niebezpieczny wilk w stroju pogrzebowym.

Zatrzymał się przy rzeźni. Powoli wszedł do wielkiej hali, gdzie odbywała się rzeź i przypatrywał się, jak czeladnicy zręcznie patroszą krowy. Wdychał zapach krwi.

Ktoś się do niego odezwał< Nie odpowiedział, obojętnie idąc swoją drogą.

Nadbiegł gorliwy inspektor.

- Hej, wy tam! - zawołał. - Wyobrażacie sobie, że tu jest przedstawienie kabaretowe? Tu wejście jest wzbronione. Proszę natychmiast wyjść.

Bielert obojętnie kontynuował spacer. Inspektor chwycił go za ramię. Bielert wyjął z kieszeni mały, owalny znaczek i pokiwał nim inspektorowi przed nosem. Ten natychmiast puścił go, jakby się sparzył.

- Czy mogę być panu w czymś pomocny?

- Spierdalaj - syknął Paul Bielert.

Stever był dobrym żołnierzem. W Armii służył już od pięciu lat. Można być dobrym żołnierzem, nawet jeśli się służyło tylko pięć lat. W tej sprawie czas nie grał roli. Kiernoz służył od trzydziestu prawie lat, ale nie był dobrym żołnierzem. Major, kierownik aresztu, również nosił mundur od pewnego czasu. On w ogóle nie był żołnierzem i nigdy nie będzie. To nie chęci mu brakowało: po prostu „nie nadawał się”.

Zarówno Kiernoz, jak major byli złośliwi i żądni władzy. Byli dobrymi strażnikami, bardzo poręcznymi narzędziami państwa nazistowskiego.

Obergefreiter dragonów Stever miał w nosie posiadanie władzy. Nie był szczególnie złośliwy, ani też szczególnie dobry. Był zadowolony. Miał dwa mundury do służby i trzy lekkie drelichowe. Wszystkie jego mundury były szyte na miarę. Zostały wykonane przez krawca, mieszkającego w „Grosser Burstah”, którego syn był kiedyś więźniem Stevera. Od tej pory krawiec Bille zawsze szył mundury Steverowi.

Obergefreiter Stever dzielił ludzi na cztery kategorie: żołnierzy służby czynnej i cywilów, kobiety zamężne i kobiety niezamężne. Mając lat piętnaście odkrył, że większość kobiet zamężnych jest niewyżyta seksualnie. Od tej pory Stever miał wiele interesujących przygód erotycznych.

- Z kobietami toczy się walkę niepozbawioną ryzyka. To może też oddziaływać na nerwy. Trzeba

być wobec nich miłym i nie obmacywać natychmiast majtek - tłumaczył Obergefreiterowi Braunowi, któremu tylko rzadko udawało się mieć dziewczynę, chociaż w oczywisty sposób był przystojniejszy od Stevera.

- Zaczynaj od mówienia im miłych słówek, tego rodzaju, które w powieściach wywołują ich łzy, pogłaszcz je odrobinę, połaskocz po szyi, przesunięcie palcem po plecach też nie jest złe. Trzeba doprowadzić do tego, aby odpowiadały na twoją miłość. To zupełnie nie jest trudne. Nigdy nie bądź zbyt gorący, nawet jeśli jesteś napalony. Kobiety nienawidzą rozpustników. Kiedy jej palce zaczynają szukać, to ją prawie masz, ale nigdy nie zapominaj, że one muszą mieć z tego tyle samo przyjemności, co ty, jeśli nie, to zero i zarobisz sobie na złą opinię. Kobiety zamężne są zdecydowanie najlepsze. Chcą przeżywać wrażenia, których mąż już nie może im dostarczyć. We wszystkich małżeństwach bateria rozładowuje się po paru latach. I wtedy potrzeba facetów takich jak ty i ja, by je ponownie naładować.

Kiedy Stever opuszczał areszt, by spotykać się ze swymi zamężnymi kobietami, nikt nie podejrzewał, że ten przywoity, uśmiechnięty z zadowoleniem żołnierz był tym samym, który z pełną obojętnością bił do nieprzytomności uwięzionych żołnierzy. Oczywiście robił to na rozkaz i byłby bardzo zdziwiony, gdyby mu z tego powodu robiono wyrzuty. Nigdy nikogo nie zabił. Dla Obergefreitera dragonów Stevera, strażnika w areszcie garnizonowym w Hamburgu, było to punktem honoru.

* * *

Rozdział VII DYSCYPLINA WIĘZIENNA

Major Rotenhausen przychodził raz na miesiąc by mu przedstawiano nowych zatrzymanych. Przy tej samej okazji żegnał się ze skazanymi. Nie ze skazanymi na śmierć. Ci majora nie interesowali.

Tylko ci, którzy mieli wyjechać do więzień wojskowych Torgau, Glatz i Germersheim. Wolał przychodzić późnym wieczorem. Nigdy przed godziną 22.00, raczej koło 23.00, gdy więźniowie już spali. Zawsze panował totalny zamęt, gdy z łóżek wyganiano więźniów, całkiem rozespanych, by ich przedstawić lekko wstawionemu majorowi.

Było to w cztery dni po sprawie z zezwoleniem na odwiedzinę. Tuż przed północą. Major przyszedł prosto z kasyna, elegancki, w dobrym humorze. Jego jasnoszara peleryna piechoty, podbita białym jedwabiem, powiewała na wietrze. Jego lakierowane buty skrzypiały. Nosił jasnoszare spodnie ze zbyt szerokimi galonami. Naramienniki, plecione naramienniki oficera sztabowego, były z masywnego złota. Major Rotenhausen przed trzema laty ożenił się dla pieniędzy.

Major był najelegantszym i najlepiej ubranym oficerem w całej 10. Armii. Jego czapka, oczywiście czapka kawaleryjska, była jedwabna ze srebrnymi wypustkami. Oczywiście żółte wypustki kawalerii zostały wymienione na białe piechoty. Zajmował stanowisko, którego wielu mu zazdrościło. Przede wszystkim był przewodniczącym kasyna sztabu 10. Armii. To kasyno było też dostępne dla oficerów 76. Pułku Piechoty. Powoli zezwolono też na dostęp oficerom 65. Pułku, ale nie bezpłatnie. To było normalne. Pan Rotenhausen każdego miesiąca inkasował opłaty nieregulaminowe, oficjalnie figurujące jako składane na rzecz odnawiania kasyna. Kasyno majora Rotenhausena w Altonie słynęło w całym okręgu wojskowym.

Ale jeden tylko raz o mało nie wyszło mu to na złe. Bardzo młody Oberst, który stracił rękę na południe od Mińska, rozpoczął czystkę w dowództwie. Znajdował się tam czasowo, pomiędzy pobytem w szpitalu i powrotem na front. Gdy ten chłopiec się pojawiał, wszyscy członkowie kasyna czuli się niepewnie. Miał co najwyżej trzydzieści lat. Posiadał wszystkie możliwe odznaczenia i złoty medal za rany. Jego mundur był absolutnie regulaminowy. Tylko kurtka była uszyta na miarę.

Cała reszta: płaszcz, spodnie, czapka, buty i nawet kabura pistoletu i pas pochodziły z magazynu wojskowego. Nie nosił nawet walthera, oficera pistoletu, tego ładnego, małego pistoletu, noszonego przez każdego oficera garnizonu, który miał choć odrobinę szacunku dla siebie. Ten młody pułkownik posiadał P38 i nosił go regulaminowo, na cztery palce w lewo od klamry pasa. Ale tym, co wywołało jeszcze większą nieufność członków klubu, był sznurek gwizdka, wystający spod kłapy górnej prawej kieszeni. Mierzył trzy i pół centymetra. Można to było sprawdzić. Ani więcej, ani mniej.

Pułkownik był strzelcem alpejskim. To wystarczyło, by cały garnizon zaczął się strzec. Na jego lewym rękawie dumnie błyszczała szarotka. Otok czapki i naramienniki miał jadowicie zielone.

W pół godziny po swym przybyciu Oberst zebrał wszystkich członków kasyna, od zwykłych żołnierzy do podpułkowników. Poinformował ich zwięźle, że tymczasowo został szefem sztabu Armii. Równocześnie zmienił dowódcę garnizonu. Wszystkim patrzył prosto w oczy. Tak, jakby im wrywał mózgi, by je ważyć.

- Jestem Oberst Greif z 9. Pułku Alpejskiego - przedstawił się, ale nikomu nie podał ręki. - Byłem zawsze w dobrych stosunkach z moimi ludźmi. Gardzę tylko jedną rzeczą na Ziemi. Dekownikami. - Kołysał się, postukując lekko w kaburę swego pistoletu. - Czy wiecie panowie, że jednostki na froncie potrzebują ludzi? W moim pułku są żołnierze, którzy od trzech lat nie mieli ani jednego urlopu.

Każdego z obecnych z osobna zapytał, od jak dawna jest w garnizonie. Głośno zdumiewał się, jak niewielu z nich było na froncie.

Nazajutrz zaczął formować kompanie marszowe. Na trzeci dzień wszystkie fantazyjne mundury zostały odesłane do ciemnego kąta. Było tyle czapek kawaleryjskich, że wystarczyłoby ich na nakrycia głów całego pułku. Nagle wszyscy zaczęli nosić źle dopasowane mundury, pobrane z magazynu. Oficerowie mieli sznury od gwizdków, a pistolety na cztery palce w lewo od klamry pasa. Ani jeden nie nosił czapki na bakier. Znikły też monokle. Nawet dowódca 76. Pułku Piechoty, Oberst Brandt, musiał wyrzec się swego. Musiał stawać na baczność przed młodym Oberstem, który mógłby być jego synem, aby wysłuchać, że znajduje się w wojskowym garnizonie podczas wojny, a nie w menażerii, gdzie każdy może się przebierać jak mu się podoba. Jeśli ma zły wzrok, powinien pójść do okulisty i zamówić sobie okulary.

Oczywiście przeklinano go po cichu. Rozmyślano nawet o zorganizowaniu wypadku. Pewien Leutnant wpadł na znakomity pomysł, by wysłać donos do Gestapo. A później, pewnego dnia, nastąpiła straszliwa niespodzianka i wszyscy gratulowali sobie, że nie wysłano donosu.

Obersta odwiedził Heydrich we własnej osobie. Teraz zrozumiano. Pomocnik Szatana! Wszyscy zaczęli mieć ochotę do wyjazdu z Hamburga. Dowódca, przyjaciel Heydricha, to mogło daleko zaprowadzić. Nawet kotka kasynowa nie czuła się bezpiecznie. Opuściła miejsce koło kominka, by się schronić w piwnicy 21. Kompanii, gdzie ukryła się za stosem masek gazowych u Feldwebela Liitha, którego uważano za analfabetę politycznego.

Pewnego ranka, o 7. godzinie, obudzono majora Rotenhausena. Był na popijawie na mieście i był jeszcze dość pijany, ale otrzeźwiał w jednej chwili, gdy zrozumiał, co mu mówi podoficer z wartowni. Ma natychmiast objąć dowództwo kompanii marszowej, która ma jutro odjechać.

Ale major miał szczęście. Bóg wyciągnął do niego pomocną dłoń. Na dwie godziny przed odjazdem kompanii Oberst Greif został telegraficznie powiadomiony o swym przeniesieniu. Został dowódcą grupy bojowej 19. Dywizji Piechoty, która toczyła bitwę na południowy zachód od Stalingradu. W trzy kwadransy od otrzymania telegramu Oberst wystartował transportowym Ju 52. Nigdy już nie ujrzał Niemiec. Zmarł z zimna w stercie śniegu tuż przed fabryką traktorów Krasnaja Zwiezda w

Stalingradzie. Gdy Rosjanie odkryli go 3. lutego 1943, odwrócili go bagnietami, by przekonać się, czy jeszcze żyje. Ale Oberst Greif był zimny i martwy.

Na miejsce majora Rotenhausena natychmiast postawiono na czele kompanii marszowej pewnego Leutnanta strzelców pancernych. Przez cztery dni i cztery noce oficerowie garnizonu świętowali odjazd Obersta Greifa. Jego miejsce zajął generał brygady, miły kretyn. Gdy oficerowie przychodzili z wizytą wraz ze swoimi żonami, generał zaczynał całować rączki, to znaczy całował dłonie dam, wydając dziwne dźwięki, całkiem podobne do rżenia chorego konia. Przedstawiał się: - Generał brygady von der Oost, piechota. - Wydawał kraczący śmieszek, oddychał głęboko i ciągnął się za kołnierz, jakby go dusił. A potem gdał: - Droga pani, droga panienko, nie wiem, kim pani jest. Ja jestem dowódcą garnizonu. Czy wie pani, czemu jestem z piechoty?

Oczywiście dama, której stawiał to pytanie, nie była zdolna rozwiązać zagadki. Generał brygady śmiał się ukontentowany. - Oczywiście - kontynuował ponieważ nie jestem generałem artylerii. Nigdy nie lubiłem artylerii. Robi tyle hałasu, że mnie boli głowa.

Przychodził trzęsąc się do kasyna i syczał swym starczym głosem: - Panowie, dziś jestem zadowolony. Czy wiecie dlaczego?

Oficerowie tam obecni już z góry znali odpowiedź, ale oczywiście udawali, że nie wiedzą czemu generał brygady jest zadowolony.

- Ponieważ nie jestem smutny.

Gdy wszyscy uprzejmie roześmieli się na ten żart, kontynuował.

- A wczoraj byłem straszliwie smutny. Ponieważ nie byłem zadowolony.

To był idealny dowódca. Podpisywał każdy papierek, jaki mu podsuwano, nawet nie spojrzawszy na tekst, bez względu na to, czy było to nielegalne zamówienie kilku skrzynek margaryny, czy też rozkaz egzekucji. Niektórzy złośliwie twierdzili, że generał nawet nie umie czytać. Za każdym razem, gdy coś podpisał, chrząkał: - No i zrobione, panowie. Robota pali nam się w rękach. Nic się nie opóźnia. Pracujemy dla zwycięstwa.

- Wczoraj w Fuhlsbuttel odbyła się egzekucja trzech żołnierzy piechoty zauważył obojętnie adiutant.

- Każda wojna wymaga ofiar - wyjaśnił mu generał brygady. - W przeciwnym razie nie byłoby wojny.

Zawsze zasypiał podczas gier wojennych, i to na samym początku. Zwykle w trakcie ćwiczeń budził się nagle i wołał: - To ważne, panowie. Trzeba niszczyć nieprzyjacielskie dywizje pancerne, w przeciwnym razie przyjdą do Niemiec, a to spowoduje korki drogowe. W takiej bitwie istotne jest spowodowanie, by nieprzyjacielowi zabrakło amunicji. Czymże jest czołg bez pocisków? To jak kolej żelazna bez wagonów.

Oficerowie kiwali głowami i starannie przesuwali modeliki na stole. Ale nigdy nie udawało się znaleźć środka, powodującego zniknięcie amunicji u nieprzyjaciela. Wobec tego zaczynano każdą grę wojenną od oświadczenia: - Herr General, nieprzyjacielowi brakuje amunicji.

Wtedy stary zacierał ręce. - Wygraliśmy. Pozostaje nam tylko zbombardować mu fabryki amunicji, a potem zawarcie pokoju.

Pewnego dnia kotka, która znów odważyła się powrócić do sztabu, zrobiła na stole ćwiczeń straszliwy bałagan. Zdecydowała wydać swe małe na świat na samym środku wzgórza Nr 25. Wszystkie modeliki czołgów i wszystkie działa artyleryjskie zostały pomieszane, jakby spadła na nie bomba. Kotka źle wybrała chwilę, bo zaproszono sąsiadów, by asystowali przy grze.

Generał brygady był wściekły i zażądał, żeby kotkę postawiono przed sądem wojennym. Dwaj Feldweble złapali ją i trzymali podczas rozprawy. Została skazana na karę śmierci za sabotowanie szkolenia oficerów. Ale nazajutrz została ułaskawiona. Musiała jednak pozostawać przywiązana koło

kominka. Ordynans generała został wyznaczony na jej strażnika.

Pewnego dnia zawiadomił, że kotka znikła. W rzeczywistości podarował ją piekarzowi z dzielnicy Świętego Jerzego. Generał brygady, który jej strasznie żałował, wydał rozkaz zakupienia nowego kota.

Pokój i bezpieczeństwo panowały w całym garnizonie. Władza majora Rotenhausena rosła z każdym dniem, ponieważ generał brygady uwielbiał francuski koniak, a major go dostarczał. Wizyta Obersta Greifa, teraz już sprawa sprzed dwóch lat, została prawie zapomniana.

Major maszerował więc pewnym krokiem w stronę aresztu garnizonowego. Pod pachą trzymał długą szpicrutę. Nigdy jednak nie wsiadał na konia, bał się tego. Szpicruta była przeznaczona dla ludzi. Dla więźniów aresztu garnizonowego.

Wyniośle zasalutował Kiernozowi, uprzedzonemu telefonicznie o jego wizycie. Posłano po Obergefreitera Stevera na Reeperbahn, gdzie go znaleziono pochłoniętego oglądaniem okropnego filmu erotycznego, który wyświetlano w tajnym kabarecie na Grosse Freiheit. Ledwie miał czas zapiąć pas, gdy wszedł major.

Kiernoz stanął na baczność i zawołał: - Oddział aresztu garnizonowego, baczność!

Stever, który był podoficerem służbowym, sprawdził wyrównanie szeregu.

- Gefreiter Schmidt, trochę do przodu. Strzelec Paul, wciągnąć brzuch. Obergefreiter Weber, lewa stopa do przodu.

Stever wrócił na swoje miejsce na lewym skrzydle.

- Baczność, na lewo patrz! - ryknął Kiernoz. Podszedł sztywnym krokiem do majora, strzelił obcasami, zasalutował i wrzasnął: - Herr Major, Haupt und Stabsfeldwebel Stahlschmidt melduje się na pana rozkazy z oddziałem straży aresztu garnizonowego: piętnastu podoficerów, dwudziestu pięciu szeregowych, trzech na izbie chorych, jeden podoficer na urlopie, jeden Gefreiter na dezercji, dwóch szeregowych w areszcie, zatrzymanych w 12. Pułku Kawalerii w Elmstedt. Areszt garnizonowy w Hamburgu-Altonie zawiera stu pięciu więźniów. Nie ma chorych. Wszystko jest w porządku. Nic szczególnego do zameldowania. Areszt jest zamieciony i wywietrzony.

Major sprawdził wyrównanie, przeszedł powoli wzdłuż szeregu dobrze odżywionych, stojących na baczność żołnierzy, skinął głową z zadowoleniem, poprawił kaburę pistoletową któregoś Gefreitera i zapytał pewnego nieznanego Obergefreitera o zdrowie żony. Nie czekając na odpowiedź stanął przed szeregiem. Zasalutował dwoma przyłożonymi do daszka palcami i zwrócił się do Kiernoza.

- Jestem zadowolony, Stabsfeld, ale mi się spieszy jak wiecie. Wobec tego przejdźmy do rzeczy.

Przeszli do biura, gdzie wszystko znaleziono w nieskazitelnym stanie. Przedmioty na stole były ułożone zgodnie z regulaminem. Ten, kto miał ochotę, mógł je pomierzyć i to właśnie zrobił major. Przy pomocy metalowej miarki stwierdził, że plik dokumentów znajduje się dokładnie o dziesięć milimetrów od brzegu stołu. Zmierzył cyrklem czerwone wstążeczki na teczkach z aktami oraz wiszące koło umywalki drelichowe kamizelki. W toalecie zażądał, by mu pokazano zawór opróżniania syfonu. Zważywszy go w dłoni stwierdził z pewnym rozczarowaniem, że jest absolutnie czysty i błyszczący.

Następnie przeszedł do rezerwuaru, ale ten również był czysty. Najmniejszego śladu odprysniętej farby ani rdzy. Szczyrykiem spróbował wydobyć nieco brudu wzdłuż brzegu sedesu. Jego rozczarowanie było dobrze widoczne. Wszystko było czyste.

Za plecami majora Kiernoz zachichotał z zadowolenia. Mrugnął do Stevera, jakby chciał powiedzieć: - Stary jest naiwny. Aby nas przyłapać, trzeba być sprytniejszym.

Następnie wrócili do biura. Stary szepnął w głębi duszy: - I pomyśleć, że taki idiota został oficerem. Gdybym był na jego miejscu, już dawno znalazłbym okazję do wymyślania. Ten trep nie zna nawet

numeru z zaparką, którą się chowa, a następnie znajduje.

Major zażądał, by mu pokazano spisy więźniów. Kiernoz trzykrotnie strzelił obcasami i podał spisy majorowi. Ten włożył monokl, który tylko z trudem udawało mu się utrzymywać na miejscu.

- Stabsfeld, ilu nowych? Ilu do transportu dalej?

- Siedmiu nowych, Herr Major - wrzasnął Kiernoz. - Jeden Oberstleutnant, jeden Rittmeister kawalerii, dwóch Leutnantów, jeden Feldwebel, dwaj zwykli żołnierze. Czternastu do odesłania. Wszyscy do Torgau: jeden generał brygady, jeden Oberst, dwóch Majorów, jeden Rittmeister kawalerii, jeden Hauptmann, dwóch Leutnantów, jeden Feldwebel, trzech Unteroffizierowie, jeden marynarz, trzech zwykłych szeregowców. Ponadto w areszcie znajduje się czterech skazańców, oczekujących rozstrzelania. Łaska została im odmówiona. Służba cmentarna została poinformowana. Trumny zamówione w stolarni batalionowej.

- Dobrze, Stabsfeld. Szczerą przyjemność zrobiło mi stwierdzenie, że wszystko jest w porządku. Znaie się na swojej robocie. Jesteście podoficerem godnym zaufania. Żadnego niedbalstwa, jak w areszcie w Lubece. U was wszystko gra, Stabsfeld! Wszystko jest dobrze naoliwione, ale uważajcie na wypadki. Mam na myśli wypadki śmiertelne. Jeśli te typki złamią sobie jedną czy dwie nogi, to mnie nie obchodzi, ale jest za wiele zachodu, gdy umierają. W Stadthausbrücke jest Kriminalrat Bielert, niebezpieczny gość, który o wiele za dużo zaczął się interesować naszym aresztem. To mi się nie podoba. Wszędzie się go spotyka. Niedawno przyszedł w nocy do kasyna, i to o drugiej nad ranem.

W czasach cesarza czegoś takiego by nie tolerowano. W tamtej epoce wygnano by go ze wstydem. Pewien Leutnant, który go nie zna, wziął go za księdza. Ciekawy ksiądz - szepnął major. - Nazajutrz zostaliśmy zmuszeni do wysłania Leutnanta z kompanią marszową. Wszystko było zarządzane telefonicznie. Ten Bielert był jednym z ulubieńców Heydricha. Uważaj, Stabsfeld. Nie daj mu okazji do zwęszania czegoś podejrzanego. Bo wtedy obaj szybko znajdziemy się w lasach koło Mińska. Kiedy tresujecie więźniów, możecie bić ich bez obawy. Jest tyle miejsc na ciebie, w które można walić nie pozostawiając śladów. A wtedy nic się nie ryzykuje. Zaraz wam to pokażę, gdy zaczniemy prezentację. Gdy o tym myślę, przychodzi mi do głowy, że z pewnością macie paru ludzi, których szczególnie lubicie i których możemy w zasadzie wysłać do batalionu marszowego? Robiąc to od czasu do czasu zdołamy być może wszystkich zadowolili. Dobra, zaczynamy. Spiesz się.

W korytarzu zebrano wszystkich, którzy mieli zostać zaprezentowani. Najpierw nowych. Pięćdziesięcioośmioletni Leutnant, który został wsadzony za odmowę wykonania rozkazu, wytrzymał bicie dokładnie przez trzy minuty i cztery sekundy. Później wyszedł słaniając się, podtrzymywany przez dwóch Gefreiterów. Nie było nawet śladu krwi.

Stever roześmiał się triumfalnie i stuknął Leutnanta w brzuch.

- Zachowujesz się, jak mała dziewczynka. Powinieneś być widzieć Feldwebela, którego mieliśmy tutaj. Wytrzymał bicie przez dwie godziny. Major musiał przestać, bo był zmęczony.

Zemdlonego Leutnanta odniesiono z wielką raną szarpaną na czole.

Leutnant Ohlsen czekał w korytarzu wraz z tymi, którzy mieli odbyć prezentację. Stali odwrócenymi twarzami do ściany. Czubki butów i nosy oparte o mur pomalowany na zielono, dłonie splecione na karku.

Dwóch uzbrojonych po zęby strażników spacerowało po korytarzu. Trzymali pistolety maszynowe wycelowane i gotowe do strzału. Zdarzyło się kilka razy, że więzień stracił panowanie nad sobą i próbował skoczyć majorowi do gardła. Żaden z tych, którzy próbowali, nie mógł opowiedzieć historii swej porażki. Wyniesiono ich z biura martwych i wrzucono do karceru w piwnicy, z etykietką przyklejoną do stopy.

- Więzień Bernt Ohlsen, Leutnant rezerwy - ryknął Stever. - Prezentacja, i to biegiem. Major się spieszy.

Leutnant Ohlsen skoczył, strzelił obcasami tuż za drzwiami, patrząc prosto przed siebie. - Teraz trzeba uważać - pomyślał. - Jeden fałszywy ruch i tamten wścieknie się. Przyłożył palce wzdłuż szwu spodni i wyprostował łokcie, trzymając się sztywno jak kij od miotły.

Major królował za biurkiem. Przed nim leżała na blacie jego długa szpicruta. Kiernoz stał tuż za nim, trzymając długą pałkę z plamami zakrzepłej krwi.

Stever stanął za Leutnantem Ohlsenem.

- Heil Hitler - powiedział major.

- Heil Hitler, Herr Major! - zawołał Ohlsen. Major uśmiechnął się i przejrzał papiery Leutnanta Ohlsena.

- Wasze sprawy źle stoją. Mogę wam przepowiedzieć dokładnie to, co was spotka. Zostaniecie skazani na śmierć. Jeśli nie będziecie mieli szczęścia, zostaniecie ścięci. Według mnie macie pecha. Ale jeśli mimo wszystko szczęście się do was uśmiechnie, zostaniecie rozstrzelani. Dekapitacja jest niehonorowa i nieestetyczna. Nigdy nie mogłem znieść widoku głów toczących się do kosza, a do tego jest zbyt wiele krwi. Czy chcecie złożyć jakieś skargi? Czy macie jakieś prośby?

- Ganc nichts, Herr Major.

Major powoli uniósł głowę, fotografując Leutnanta Ohlsena oczami.

- Więzień, nie trzymacie się całkiem prosto. Kiernoz podniósł prawą rękę.

Stever uderzył kolbą swego pistoletu maszynowego.

- Więzień, kiedy wam się mówi, byście stali na baczność, musicie trzymać się prosto - powiedział major z miłym uśmiechem.

Ciało Leutnanta Ohlsena przeniknął gwałtowny, palący ból. Z wielkim trudem utrzymał się w pozycji stojącej.

- Więzień, poruszyliście się - stwierdził major. Kiernoz podniósł lewą rękę. Stever uderzył dwukrotnie, ale tym razem lufą pistoletu maszynowego. Z całej siły, w okolicę nerek. Leutnant Ohlsen miał wrażenie, że w plecy wbijają mu się rozpalone do czerwoności igły.

Padł na kolana, z oczu popłynęły mu łzy.

Major potrząsnął głową ze zmartwioną miną.

- Więzień, odmowa wykonania rozkazu! Odmawiacie stania prosto? Klękacie, jak jakaś baba? - Major dał znak Kiernozowi, który dwa razy podniósł lewą rękę.

Stever bił kolbą. Stever bił lufą. Kopał leżącego na ziemi Leutnanta. Uderzył cztery razy dokładnie w pępek. Leutnant Ohlsen zawył. Trochę krwi pociekło mu kątem ust. Niewiele. Ledwie cienka strużka.

Major uderzył szpicrutą w biurko.

- Obergefreiter, postawcie mi tego więźnia na nogi.

Stever bił lufą, której muszka szeroko rozszarpała lewy policzek więźnia.

Leutnant Ohlsen wył rozdzierająco. Pomyślał o Gerdzie, swym małym chłopczyku. Mamrotał coś niezrozumiałego. Tamci myśleli, że protestuje, ale on mówił do swego syna.

Kiernoz znów podniósł rękę. Stever wbił lufę pistoletu maszynowego w kręgosłup Leutnanta Ohlsena.

Odniesiono go zemdlonego do celi.

Później wzięto się za tych, którzy mieli odjechać do Torgau. Każdy z nich musiał podpisać deklarację, stwierdzającą, że byli traktowani przyzwoicie i zgodnie z regulaminem oraz że nie mają żadnych skarg. Każda deklaracja została kontrasygnowana przez dwóch innych więźniów, odgrywających role świadków. Pewien generał brygady odmówił podpisania.

- Herr Major - powiedział chłodno i spokojnie, - mam pozostać w Torgau maksymalnie przez dwa lata, ale jeśli złożę meldunek o was i waszych ludziach, dostaniecie dwadzieścia pięć lat. W tym areście popełniono co najmniej dwa morderstwa z premedytacją. Gdy odbędę moją karę w Torgau, znajdę się na sześć tygodni w obozie poprawczym. Po tym zwrócą mi mój stopień i prawdopodobnie otrzymam dowództwo karnej dywizji piechoty. I daję panu słowo honoru, że poruszę niebo i ziemię, aby mieć was w mojej dywizji, a równocześnie mogę panu obiecać, że będziecie traktowani przyzwoicie i zgodnie z regulaminem pułku karnego.

W biurze zapanowała śmiertelna cisza. Stever popatrzył na Kiernoza, ale ten nie podniósł ręki. Coś podobnego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Więzień, który groził. Więzień, który oskarżał. Major nonszalancko rozwalił się na fotelu, zapalił cygaro, wziął szpicrutę i ją złożył w zamyśleniu na pół. Patrzył na stojącego przed nim na baczność generała brygady.

- Więzień, czy doprawdy wyobrażacie sobie, że człowiek w waszym wieku wytrzyma sześć tygodni w batalionie karnym? Po trzech dniach zatęsknicie za nami.

Położył swój pistolet na skraju biurka, tuż przed generałem.

- Słuchajcie, zrobię wam propozycję. Weźcie sami pistolet i skończmy z tym przed odjazdem do obozu poprawczego.

Pomachał szpicrutą tuż przed twarzą generała brygady.

Kiernozowi odebrało oddech. Pomyślał: - O kurwa, jeśli on go uderzy i ten człowieczek przyjedzie do Torgau ze śladami uderzeń szpicrutą na twarzy, jesteśmy ugotowani. Nigdy nie zdołamy się wytłumaczyć.

Major roześmiał się złośliwie.

- To by załatwiło waszą sprawę, co, gdybym was uderzył? Wtedy moglibyście naprawdę opowiedzieć Oberstowi Voglowi w Torgau, co tu się dzieje. Ale my nie jesteśmy idiotami w naszym zakresie. Dowiedcie się o tym nader szybko. Szanujemy regulamin. Zupełnie nie mamy potrzeby posługiwania się przemocą, kiedy chcemy poskromić buntującego się więźnia.

Zwrócił się do Stevera.

- Obergefreiter, za dziesięć minut więzień musi być gotów na podwórzu w mundurze polowym, pięćdziesiąt kilo mokrego piasku w plecaku i ubrany w najstarsze i najszywniejsze buty, jakie zdołacie znaleźć. Do każdego buta wsuniecie mały, okrągły kamyk. Zaczniecie od dwóch godzin biegu.

Kiernoz roześmiał się. Stever roześmiał się. Major się uśmiechnął.

Generał brygady miał niewzruszoną minę. Rozkaz majora był w porządku, absolutnie zgodny z pruskim regulaminem wojskowym. Wszystko zależało od tego, czy jego serce wytrzyma.

- Więzień, w tył zwrot - zakomenderował Stever. - Naprzód biegiem marsz!

Major włożył pelerynę, poprawił swój szeroki, żółty pas, przesunął kaburę pistoletu na miejsce i przechylił czapkę na bakier, znacznie ponad prawym okiem. To nadawało mu zuchowaty wygląd. Chwycił szpicrutę, lekko klepnął się nią w nogę i odwrócił się do Kiernoza.

- Chodźcie, Stabsfeld. Pokażę wam, jak należy się zabierać do unikania komplikacji.

Kiernoz potwierdził ruchem głowy i włożył pelerynę. Prawie nałożył czapkę na sposób majora, ale powstrzymał się i włożył ją przepisowo, prosto, daszek opuszczony na czoło. Wyglądał idiotycznie, ale wolał to, niż mieć kłopoty. Od tak wytwornego majora można było wszystkiego się spodziewać.

Błyszczały naramienniki majora z masywnego złota. Zapiął pelerynę na złoty łańcuch, rozłożył jej biały rewers na ramiona. Wyglądał jak operetkowy oficer w drodze na bal maskowy.

Generał brygady z hałasem biegł przez korytarz, popędzany wyrzaskiwanymi komendami Stevera.

Na podwórzu Rotenhausen objął dowództwo. Sprawdzał umundurowanie generała, orzekł, że

wszystko jest w porządku. Zmienił jeden z kamyków na inny, mniejszy. Następnie zajął miejsce u szczytu schodów. Stever ustawił się w głębi podwórza ze swym pistoletem maszynowym, gotowym do strzału. Nawet stary generał mógł stracić panowanie nad swymi nerwami. Kiernoz stał na lewo od majora.

- Obserwujcie wszystko bardzo dokładnie, Stabsfeld - powiedział z uśmiechem major. - Jeśli zdarzy mu się coś podczas ćwiczeń, my jesteśmy nietykalni.

Roześmiał się cicho.

- Jeśli jakiś facet wytrzyma tę próbę dwa razy dziennie przez tydzień, może się pochwalić, że jest najtwardszym żołnierzem piechoty na świecie. - Major przesunął swój pas dokładnie na miejsce, rozstawił nogi pruską modą. Zakołysał się lekko i zakomenderował zrzędnym tonem: - Na Baczość! Na lewo! Bieg w miejscu! Baczość, naprzód biegiem marsz! Szybciej, więzień, szybciej!

Stopy wyżej, wyżej! Proszę ruszać się, staruszkule! Padnij! Dwadzieścia razy wokół podwórza, naprzód, pełzając!

Generał brygady poccił się. Jego oczy pod czapką nabrały szaleńczego wyrazu. Wiedział, że najłżejsze uchybienie będzie uznane za odmowę wykonania rozkazu i da tamtym okazję do posłużenia się bronią palną. Generał brygady przesłużył czterdzieści trzy lata w Armii Pruskiej. W wieku piętnastu lat wstąpił do szkoły podchorążych, Gross Lichterfelde. Znał wszystko i wiedział, jak daleko można się posunąć. Tylko omdlenie mogło kogoś usprawiedliwić z niewykonania ćwiczenia na rozkaz oficera.

- Więzień, stać! Półprzysiad, skokami marsz! Każdy skok był męką w miękkim piasku, którym wysypane było betonowe podwórze. Kamyczki w butach też zaczynały wywierać swój skutek.

Kiernoz otwarcie się radował. Major był zadowolony.

- Więzień, jazda! Trochę treningu. Trochę ćwiczeń jest dobre dla zdrowia. Skoki wyżej, skoki dalej! Szybciej! Karabin na przedramieniu! - Komendy następowały błyskawicznie jedna po drugiej. - Padnij! Naprzód, czołgaj się! Skoki w miejscu ze złączonymi stopami! Naprzód biegiem! Dowolne skoki! W tył zwrot! Naprzód biegiem marsz! Bagnet na broń! Atak kawalerii z prawej! Obrona bagnetem!

Po dwudziestu minutach generał zemdlął po raz pierwszy. By go doprowadzić do przytomności, Steverowi wystarczyły dwie i pół minuty.

Gdy major wypalił trzy cygara, generał zaczął krzyczeć. Początkowo słyszano tylko jęk, niejasny pomruk. W godzinę po pierwszym krzyku obudził się cały areszt. We wszystkich celach nasłuchiwali przerażeni ludzie. Ci, którzy znajdowali się w areszcie od pewnego czasu wiedzieli, co się dzieje. Specjalne ćwiczenie piechoty na podwórzu.

Starzec krzyczał teraz prawie bez przerwy. Każdy krzyk kończył się zduszonym charkotem.

Stever wbijał pistolet maszynowy więźniowi w brzuch, dwa i pół centymetra powyżej pępka i za każdym razem dokładnie w to samo miejsce. To nie pozostawiało śladów. W najgorszym razie pękał żołądek, ale to mogło się wydarzyć także podczas forsownego ćwiczenia, a w której armii ćwiczenie jest zabronione?

Major już się nie śmiał. Oczy mu błyszczały. Wargi zacisnął w wąską kreskę.

- Więzień - ryknął - powstać! Obergefreiter, pomóżcie mu!

Stever bił jak automat.

Generałowi brygady udało się powstać. Chwiał się, jak człowiek pijany w trupa. Włókł się po podwórzu. Każdy krok był męką.

Major krzyknął: - Stój! Pięć minut odpoczynku! Siadajcie. Więzień, czy macie coś do powiedzenia, zanim znów zaczniemy!

Starzec patrzył w powietrze. Oczy miał zamglone. Wyglądał jak trup w żywym opakowaniu. Udało

mu się odpowiedzieć.

- Nie, Herr Major.

Stojący za więźniem z pistoletem maszynowym na ramieniu Stever, pomyślał:

- Przewróci się. Najdalej za pół godziny będzie już spokój z tym faciem. Musiał być wariatem, aby grozić majorowi. Jutro zostanie skreślony z listy wysyłanych do Torgau.

- Więzień, powstań - syknął major.

Generał zrobił jeszcze dwa razy rundę wokół podwórza. A potem padł na twarz. Jak kłoda.

Stever okładał go kolbą swego pistoletu maszynowego.

- Wstańcie - rozkazał major.

Więzień słaniając się, podniósł się na nogi. Stever stał przed nim z bronią w ręku, gotów do strzału.

- Trzeba go wykończyć - pomyślał. - Czemu ten idiota nie umiera? Przecież powinien to zrobić. Jeśli to jeszcze długo potrwa, nie będę miał tej nocy czasu na sen. Do pobudki zostały tylko trzy godziny.

Teraz rąbnę go tak, że się skończy.

Więzień stał wyprostowany, z rękami wzdłuż szwów spodni. Hełm miał przekrzywiony. Z oczu płynęły mu łzy. Białe włosy kleiły się do czoła. Rzemienie plecaka wrzynały się w ramiona jak noże.

To było tak, jakby każdy staw został wywichnięty. Oblizwał wargi, a krew napłynęła mu do ust.

- Herr Major, oświadczam, że nie mam żadnych skarg. - Nastąpiło krótkie milczenie. - Generał odetchnął głęboko.

- Zawsze byłem należycie traktowany. Chcę podpisać oświadczenie.

- Zgoda - powiedział major. - Od samego początku tego oczekiwałem. Wszyscy je podpisują. - Major zakołysał się, zapalił nowe cygaro, wypuścił dym i dokładnie przyjrzał się białemu popiołowi.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że ćwiczenia nie mają na celu uzyskania podpisu siłą. Robimy to od czasu do czasu wyłącznie po to, aby utrzymywać więźniów w dobrej formie, by lepiej zniesli obóz karny. Więzień, czy chce wam się pić?

- Jawohl, Herr Major.

- Pragnienie nikomu nie szkodzi. W Rosji wielokrotnie będziecie mieć okazje do długich marszów, nie mogąc go zaspokoić.

Stary musiał biegać jeszcze przez pół godziny. Padał wielokrotnie, ale Stever był sumiennym strażnikiem, który za każdym razem podnosił go na nogi.

Podczas ostatnich dziesięciu minut generał wymiotował krwią.

Na koniec major zakomenderował: - Do celi, biegiem!

Dotarłszy do korytarza generał upadł. Przywrócenie go do przytomności zabrało Steverowi wiele minut. Wreszcie starzec wstał.

Major obserwował go, śledząc wzrokiem.

- Więzień, rozbierzcie się, przygotowanie do kąpieli.

Postawiono go pod zimnym prysznicem. Trzymali go tam przez dziesięć minut. Następnie zaciągnęli go do biura, gdzie podtrzymali mu rękę, by podpisał. Major pomachał papierem, aby wysuszyć atrament, a potem zapytał uprzejmie: Czemu nie natychmiast?

Wyglądało tak, jakby generał go nie usłyszał. Patrzył prosto przed siebie zgasłym wzrokiem.

- Więzień, czy mnie słyszycie? - wrzasnął major.

W tym momencie nastąpiło coś okropnego. Więzień wypróżnił się na podłogę tuż przed majorem w ten sposób, że opryskał jego jasnoszare spodnie, nienagannie zaprasowane. Wściekły major odskoczył. Czegoś podobnego jeszcze nie widziano.

Kiernoz rozżłościł się straszliwie. Zupełnie zapomniał o obecności przełożonego.

- Ty stara świni! Szczać na mój parkiet! Stever, spuście mu lanie, zróbcie z niego nadzienie do

kielbasy!

Stever leniwie pomachał pałką, śmiejąc się złośliwie. To było najlepsze. Posłużyć się biurem Kiernoza jako pisuarem! Walnął generała w żołądek i bił w wiele różnych miejsc, bardzo jednak uważając, by trafiać jedynie w te miejsca, gdzie nie pozostawiał śladów. Złapał generała za włosy, zmusił go do położenia się na ziemi i wepchnął mu twarz w kałużę.

Major potrząsnął głową.

- To godne ubolewania, że coś takiego mogło się przydarzyć komuś takiemu, jak wy, stary oficer. Możesz z nim zrobić, co chcesz, Stabsfeld. Ten gość już nas nie interesuje, ale pamiętaj o tym, co ci powiedziałem: żadnych śladów.

Kiernoz strzelił obcasami i wykrzyknął pełen gorliwości: - Jawohl, Herr Major!

Major chwycił księgę inspekcji, którą podpisał, napisawszy uprzednio wielkimi, łatwymi do czytania literami:

Inspekcja garnizonu dokonana. Wszystko sprawdzone. Więźniowie zostali mi zaprezentowani dla ewentualnego złożenia skarg. Nic do przekazania.

P. ROTENHAUSEN Major, Komendant aresztu.

Przyłożył dwa palce do daszka czapki i opuścił biuro, bardzo zadowolony z siebie. Szedł do swojej kochanki, żony pewnego Leutnanta, mieszkającej w Blankenese. Gdy podczas te-a-tete z nią radował się z tak zręcznie wystawionego rogowca, więzień von Peter, generał brygady, umierał.

Obergefreiter Stever jeszcze kilka razy uderzył ciało nieboszczyka. Potem przestał, ledwie dysząc.

Kiernoz schylił się nad ciałem.

- Teraz być może będziemy mieli spokój. Co za kutas! Szczuć na mój parkiet! I powiedzieć tylko, że takie typki mogły mianować oficerów! Co o tym myślicie, Stever? Czy przyszłoby wam do głowy wypróżnić się na mój parkiet?

- Nigdy w życiu, Stabsfeldwebel.

- Mam taką nadzieję również i dla was - odpowiedział sucho Kiernoz i pokazał palcem zwłoki starca.

- Zabrać mi to. Nie chcę machabeusza w moim biurze. Szczęśliwie się złożyło, że nie dano mu dużo do jedzenia. Bo wtedy zabrudziłby nasz parkiet jeszcze bardziej. Dajcie spokój temu nędznemu leutnantowi spod dziewiątki z oczyszczaniem parkietu. Nie jest słuszne, by taką pracę dawać oficerowi.

- Co zrobić z meldunkiem o zgonie? - spytał Stever.

- Czy są na nim jakieś ślady? - mruknął Kiernoz, drapiąc się w pierś.

Stever dokładnie obejrzał trupa. Prócz kilku siniaków śladów nie było.

- Słowo daję, znacie się na robocie, Obergefreiter - pogratulował mu Kiernoz. Zakończycie swą karierę jako główny strażnik. Co myślicie o zostaniu moim następcą, gdy zostanę mianowany naczelnym podoficerem aresztu garnizonowego w Poczdamie? - Podrapał się w pośladek. Jego długie, artyleryjskie buty skrzypiały. Ugiął kilka razy kolana z wyciągniętymi ramionami.

- Bo nim zostanę.

Z radosną miną zaczął spacerować po biurze. Przetarł mankietem swój Wojenny Krzyż Zasługi I klasy, błyszczący na mundurze.

- Co o tym powiecie, Stever? Wy też moglibyście sobie przyczepić taką drobnostkę, jak ta na mojej kurtce. Wiecie, że nie wystarczy przyglądać się Ruskim, by ją dostać.

- To moje najgorętsze pragnienie, Stabsfeld! Ale nie urzęduję przez dwa lata w szkole podoficerskiej kawalerii w Hanowerze.

- Brak wam wyobraźni, Stever? Inteligentni ludzie nie muszą chodzić do szkoły. Wystarczy zostać

intelektualistą jak ja. Nigdy nie byłem w żadnej szkole. Nawet w plutonie dla Hauptfeldwebli.

- Czy to naprawdę wykonalne? Stever stał z rozdziawionymi ustami.

Kiernoz roześmiał się i wyprostował z dumą.

- Obergefreiter, wszystko jest możliwe. Nauczcie się na pamięć pięćdziesięciu cytatów z pisaniny Goethego i Schillera. Przy każdej okazji cytujcie tytuły prac starych skrobipiórków i zostaniecie intelektualistą, czy umiecie czytać, czy nie. W życiu trzeba umieć sobie radzić, Stever. Krzyczcie bardzo głośno, to inni zamilkną. Ale nie próbujcie tego ze mną. To nie przejdzie. Możecie już zacząć się w tym szkolić, aby móc przejąć tutaj pałeczkę, gdy ja odjadę do Poczdamu. A z tym majorem w pelerynie będziemy robić, co nam się spodoba. W dniu, w którym będziemy mieli go dość, wystarczy złożyć telefonicznie anonimowy meldunek do Pięknego Paula i pozbędziemy się go. Spójrzcie, ilu jest tych oficerów, pozamykanych w naszej chałupie. Brak im naszego sprytu, Stever.

Zamyślony Stever potwierdził. Po części zgadzał się z Kiernozem.

- Obergefreiter, pójďte po Gefreitera Hólzera - kontynuował Kiernoz - i zróbcie sznur z pościeli tego starego kutasa. Postawcie stołek pod oknem, węzeł na szyi trupa, ale uważajcie: węzeł z tyłu i nie zróbcie takiego głupstwa jak mój kolega w Insbruku, który zrobił węzeł z przodu. Ten idiota sam zasłużył na sznur. Jednym słowem zorganizujcie regulaminowe samobójstwo. Przez ten czas ja obudzę konowała, by mieć akt zgonu, który nas uwolni od wszelkiej odpowiedzialności. Trzeba będzie zbudzić dwóch podoficerów i dwóch szeregowych, aby byli świadkami.

Przed zabraniem się do roboty wypili po szklance koniaku z rezerwy Kiernoza. Następnie Stever i Hólzer zanieśli trupa do celi i zrobili to, co Kiernoz im kazał. Stanąwszy w drzwiach spojrzeli na powieszzonego generała. Stever zatarł ręce.

- Piękny trup! Wiesz, Holzer, nie mogę nawet powstrzymać się od żartów, gdy widzę wisielca. I pomyśleć, że są tacy, którzy wierzą, że teraz on sobie spaceruje tam w wieczności. Spójrz, jak jest tu powieszony! Czy możesz go sobie wyobrazić jako anioła, z dupą na wilgotnej chmurze? O nie, prawdę powiedziawszy ja nie.

- To mi się nie podoba - mruknął Hólzer. - A poza tym w ogóle nie lubię myśleć o Bogu. Gdy na ulicy widzę księdza, zawsze wybieram inną drogę. Mam coś w rodzaju przeczucia, że pewnego dnia nadejdzie kolej na nas. Mieliśmy zbyt wielu facetów w naszych celach, którzy wyszli z nich żywi. W tej chwili jest w Hamburgu karny pułk pancerny. Byłem niedawno w „11 w Skali Beauforta” na Hansa Platz. Spotkałem trzech typków z tego pułku. Dla zabawy założyli mi sznur na szyję i wbili mi pistolet w brzuch. Dokładnie w żołądek, słowo daję. A potem zaczęli się śmiać, mówiąc: - Dziś to była tylko próba generalna.

Stever pomacał szyję dłonią. Jego uśmiech zbladł.

- Czy jednym z nich był mały z wielką blizną na twarzy? Czy przez cały czas palił papierosa?

- Tak, dokładnie. Znasz go? - zapytał zdumiony Hólzer.

- Tak. Był tu w areszcie z wizytą. Czy coś śpiewał, Hólzer?

- Tak, coś o śmierci, która nadejdzie. Wtedy wpadłem na pomysł, by ich zadenuncjować do Gestapo. Zawsze coś się znajdzie do powiedzenia. Ale na szczęście tego nie zrobiłem, bo wtedy ja znalazłbym się w areszcie. Kręci się mnóstwo ludzi Paula przy kobiecie, która jest właścicielką tej knajpy i można się domyślić, co ona im opowiada. Do diabła! Ona ma w kieszeni Gestapo-Miillera w Berlinie! Gestapo nie śmie jej tknąć. Stever, to szczerza prawda, dostałem strasznego cykora. Wczoraj wieczorem coś jej powiedziałem, ot tak, bez namysłu. I wiesz, kto mnie wyrzucił z knajpy? Dwaj es-decy, pracujący dla Dory. I tak delikatnie, że lądując omal nie skręciłem sobie karku.

- Dostajesz kompletnego świra, Hólzer - mruknął Stever. - Co się dzieje? Nie pierdolisz dostatecznie?

- O tak. Od trzech tygodni co noc. Wypróbowałem wszystkie kurwy na Reeperbahn. Zarówno zawodówki, jak okazyjne i jestem tak wykończony, że prawie nie potrafię już zgiąć nóg. Ale wszędzie gdzie się pokażę, widzę ludzi z 27. Pułku. Zapijam się do zupełnej sztywności za każdym razem, kiedy mogę. Stever, to wszystko mi się nie podoba. Chcę odejść. Nie chcę już tu być.

- Upadłeś na głowę, Hólzer? Nie masz się czego obawiać. Tu, w pierdlu, nie mogą cię tknąć. Ale jeśli pojedziesz na Wschód, gdzie włóczą się tłumy psychopatów z granatami i innymi diabelskimi wynalazkami w kieszeniach, to koniec z tobą. Nie przeżyjesz trzech dni. Ale tu jesteś bezpieczny. Trzeba tylko nie mieć litości. Nie uważaj więźniów za kolegów. To są pluskwy, które trzeba rozgniatać. Przecież nie możesz opłakiwać wszystkich, których przywiązują do słupa. Rób, co ci każą i nie zajmuj się niczym więcej.

- Wiem, że masz rację. Próbowałem wszystkiego, ale nic nie skutkuje. Przez cały dzień brzuch boli mnie ze strachu. Jutro mamy znów kogoś sprzątnąć, tego spod numeru 20. Chlipie za każdym razem, gdy wchodzi do jego celi. Kiedy połowica niedawno przyszła z wizytą pożegnalną, oboje jęczyli bez końca. Prosili, bym mu pomógł” jakby to było możliwe. Do cholery, w tej sprawie trzeba się zwracać do Adolfa albo do Henryka od SS. Widzisz, ja piję, zalewam się gorzałą po gardło i to jest przerażające. Przy szóstej szklance zaczynam już źle widzieć. Wobec tego piję z butelki. Każdej nocy chodzę pić i pierdolić, ale rano znów tu jestem z cholernym kacem, widzę korytarze i całą resztę. Noc jest krótka, a dzień długi.

- W głowie ci się pomieszało - wyjaśnił Stever. - Ostatecznie, co takiego tu się dzieje? Nic szczególnego. Przeciętnie załatwiamy pięciu do sześciu faciów tygodniowo. Czasem więcej, czasem mniej. A bywają tygodnie, że nie rozstrzelujemy nikogo. Ale na froncie to jest cały batalion, który daje się utrupić każdej godzinie. Czy sądzisz, że dowódcy baterii dostają od tego bólu głowy? Czy uważasz, że dowódca czołgów ma nerwy w strzępach, ponieważ swymi gąsienicami miażdży cały pluton? Przejdź się po szpitalu wojskowym u Świętego Jerzego i zobaczysz więcej. A wszyscy oni są niewinni. Jediną ich zbrodnią jest, że urodzili się Niemcami i ludźmi, którym kazano nałożyć zielone mundury i bronić Ojczyzny. Ale wszyscy ci, których mamy tutaj i którym ucinamy głowy, coś zrobili i to z powodu ich własnych błędów zostali uwięzieni.

- Stever, nie bardzo lubię oglądać człowieka z toporem. On nie ma nawet czasu, by go wytrzeć, nim spadnie następna makowa, a skazańcy nie są przecież aż tak wielkimi przestępcami.

- I tu właśnie się mylisz, Holzer. Jeśli złamałeś prawo, jesteś przestępcą, nawet jeśli nie zrobiłeś nic więcej niż przejechanie na czerwonym świetle. W tym kraju wzbronione jest mówienie tego, co się myśli. Temu kto to robi, należy odrąbać głowę. - Stever ostrzegawczo przysunął palec do nosa Hólzera, opierając się o ciało powieszzonego generała.

- Czy może ty i ja mówimy to, co myślimy? Holzer podrapał się pod hełmem. Potem odezwał się zdecydowanym tonem.

- Na Boga, nie. Nie jesteśmy wariatami do tego stopnia.

- No i widzisz! - zaśmiał się Stever. - Jesteśmy dobrymi obywatelami. Nie zmienimy flagi, póki sam sztandar się nie zmieni. Osobiście mam w dupie podnoszenie prawej łapy i wykrzykiwanie Vive Cośtam zamiast Heil Hitler.

- Nie chcę tu pozostać, Stever. Chcę odejść. Gdy oni wrócą stamtąd, ubiją Kiernoza, a wtedy ludzie tacy jak ty i ja też pójdą pod nóż. Uciekaj ze mną Stever, jeśli jesteś mądry. Wkrótce wybije godzina. Klęski wkrótce ukaże nam swoje oblicze. Nadszedł czas, by zamaskować brunatne koszule.

- Zostań, Holzer. Nie zgrywaj idioty. Pomyśl, pomożemy paru więźniom w ich schowkach. Tu i tam zwiniemy trochę papierów, a jeśli możliwe, także pieczętkę. Zorganizujemy jakąś ucieczkę. A potem, gdy cały ten sracz wyleci w powietrze, zostaniemy dwójką bohaterów i nigdy nie byliśmy nikim

innym. Nic ci nie da, jeśli zaproponujesz, że zostaniesz celem na strzelnicy Ruskich. Jutro wczesnym rankiem pójdziesz na spacer. Przejdź koło koszar 76. Pułku. Będą ekspediować kompanię marszową. Idź z nimi na dworzec, rób wielkie gesty pożegnalne i krzycz Heil Hitler! aż do zupełnego ochrypnięcia. Jestem gotów postawić ci butelkę za każdą zadowoloną twarz, jaką zobaczysz, ale nie zobaczysz żadnej. Wszyscy będą mieli miny jak na pogrzebie. Widzisz, wiem, że masz dziewczynę, pod każdym względem śliczną, uperfumowaną i w ogóle. Czy uważasz, że w okopach czeka na ciebie podobna? Tam znajdziesz co najwyżej przechodzoną kurwę z całą kolonią mendoweszek. Taką, która ci się pozwoli dymać za kawałek chleba. Posłuchaj rady mądrego człowieka. Zostań tu. Podlizuj się Kiernozowi. Mów „tak” na wszystko, co on mówi. Rób to, co ci każe. Pierdol i pij, ile zdołasz. Czy to twoja wina, że ten pierdel jest, jaki jest? No, sir. Czy cię zaproszono na dzień, w którym tamci pisali swoje prawa? Czy nie grozili ci śmiercią, jeśli się nie zgłosisz? Czy kazałbyś sobie zrobić przez krawca kostium równie obrzydliwy jak ten, który nosisz, gdybyś miał go zapłacić z własnej kieszeni?

- Gówno, Stever, nie mogę ścierpieć szarego ani zielonego. Khaki też nie na mój gust. Granatowy w wąskie, białe prążki, oto co lubię, do spodni tak obcisłych, że potrzeba łyżki do butów, by je włożyć. Wielki Boże! Obergefreiterze kawalerii Stever, gdybyśmy mogli wkrótce zmienić skórę!

Stever roześmiał się.

- Rób tak, jak ja. Naucz się od zaraz mówić: Yes, sir. No, sir.

Z namysłem popatrzyli na powieszzonego generała.

- Ten tutaj już zmienił skórę - wyszeptał.

- Jeśli kapelan mówi prawdę, on znajduje się teraz na chmurce, mając nas w dupie. Żadnego regulaminu. Żadnych zmartwień. A w gruncie rzeczy żal mi go. Mógłby być naszym dziadkiem. Boże, co ja mu robiłem! To był naprawdę jeden z najtwardszych facetów, których łołem. Hólzer, nie wyobrażasz sobie, ilu ludzi biłem. Znam się na biciu do nieprzytomności, a tacy jak ja zawsze będą potrzebni. W życiu idzie o to, aby zostać specjalistą w jakiejś dziedzinie. Wiesz, pół godziny temu Kiernoz zaproponował mi mnóstwo rzeczy. Na wszystkie jego pieprzenia odpowiadałem twierdząco, chociaż nie mam zamiaru pójść drogą, jaką mi wskazał. Mam kolegę pułkowego, który przeszedł do SS. Kiedyśmy się znaleźli w tym samym szwadronie - służyłem wówczas w 1. Pułku Kawalerii w Szczecinie - zapewniam cię, że miał z nami ciężkie życie. Każdego wieczoru robiliśmy mu kocówę. Od tej pory ma wielką bliznę na dolnej wardze. Daliśmy mu dobry prysznic pod wszystkimi kurkami z zimną wodą. Złożył o tym meldunek, ale zarówno oberst jak Rittmeister mieli to w dupie. I wiesz co, Hólzer? Jest dziś Hauptsturmführerem SS i pracuje u Pięknego Paula. A wiesz, jaką ma specjalność, Hólzer?

- Nie - mruknął Gefreiter, spoglądając kątem oka na generała pod oknem. - Jak u diabła chcesz, abym wiedział, jaka jest specjalność twojego kolegi pułkowego? Cieszę się, że jej nie znam. Gdy nurt się odwróci, mogą cię załatwić, choćby za to jedno.

- Masz absolutną rację, Hólzer. Nie jesteś tak głupi, jak wyglądasz, ale w tej chwili mówimy o moim koledze pułkowym, a gdy to wszystko się zmieni, aresztujemy go i będziemy z nim chodzić jako z naszą zdobyczą. Nigdy się nie domyślisz, jaka jest jego specjalność. Sam papież by nie potrafił. Mój kolega pułkowy potrafi spowodować, że każdy powie dokładnie to, czego chcą jego szefowie. Ale posługują się nim tylko wtedy, gdy mają do czynienia z kimś szczególnie upartym. Ma swój kącik w głębi piwnicy. I tam mieszka.

- Zamknij gębę, Stever - zaprotestował Hólzer. - Nie chcę więcej tego słuchać.

Ale potem jego ciekawość wzięła górę.

- Z drugiej strony naprawdę mnie interesuje, jak twój kolega bierze się do tego.

- To proste jak drut. Elektryczność, 220 woltów. Małe elektryczne druciki i woda. Od czasu do czasu złamana ręka. Gdy mój koleś zrobi im półgodzinną kurację, zawsze gotowi są się przyznać. To cwany facet, który wszystko przygotował, aby móc w mgnieniu oka wyskoczyć z pociągu i zmienić odznakę na czapce. Jeśli chodzi o nas dwóch, Hólzer, wystarczy, że będziemy robić, co nam mówią. Krótko: - Szefie, rozkazuj, idziemy za tobą! - Stever zaśmiał się i dodał krótko: - Bez odpowiedzialności.

Tę interesującą rozmowę przerwał student medycyny, który przyfrunął jak wiatr, z białym kitem powiewającym z tyłu.

Stever złożył meldunek. Student medycyny spojrzął na wisielca, wzruszył ramionami, wyjął z teczki jakieś papiery i usiadł przy prymitywnym stole. Akt zgonu został szybko wypełniony i opieczetowany. Oddając go Steverowi, medyk nie mógł powstrzymać się od uwagi.

- Gdyby wszyscy nieboszczycy byli tak oczywiści, byłoby łatwo. Zdejmijcie faceta, Obergefreiter, i pochowajcie go. - I znikł, jak pędzona wiatrem biała chmura.

Stever i Hólzer podnieśli przewrócony stołek i zaczęli opuszczać generała na ziemię.

- Przyznaj, że to idiotyczne - mruknął Hólzer. - Najpierw z cholernym wysiłkiem go wieszamy, a teraz wyłazimy ze skóry, by go spuścić. Nosem mi to już wychodzi. Mam tego dość.

- Do kurwy nędzy, przestań pieprzyć - zgromił go Stever. - W końcu nie jest nam tu tak źle. Możemy sobie siedzieć za żelaznymi kratami i mieć w dupie musztrujących się zasrańców. Nawet nie pamiętam daty mojej ostatniej musztry.

Klnąc i bluzgając zdołali odnieść generała do piwnicy. Zrzucili go ze schodów, wyrzucając sobie nawzajem, że to ten drugi go upuścił. Pociągnęli go za nogi wzdłuż korytarza piwnicznego. Gdy głowa trupa uderzyła o próg karczeru, rozległ się głuchy odgłos.

- O kurwa, tutaj człowiek jest tylko karawaniarzem! - zaklął rozdrażniony Hólzer. - Stever, nie chcę tu dłużej zostać, dziś składam dymisję.

- Do kurwy nędzy, zamkniesz się w końcu? - wrzasnął Stever. - Bo jak nie, dam ci parę razy po pysku. Jeśli kiedykolwiek zgłosisz się do Kiernoza z prośbą o odejście, różne rzeczy przyjdą mu do głowy. Widziałeś już kiedyś przypadkowy wystrzał, co?

- Kurwa - powtórzył Hólzer - jak ja mam tego dość!

Obergefreiter Stever pochylił się nad barem u „Wstrętnego”. Skierował palec na właściciela, Emila Kamienne Serce.

- Ty, Kamienne Serce, nic z tego nie rozumiesz. Większość chłopców grzecznie pozwala odciąć sobie szyję. Najgorzej jest, gdy ich się przywiązuje i gdy się kołyszą.

- Nie chcę niczego słuchać o twoim aparacie do zadawania śmierci - warknął Emil. - Moja robota, to sprzedawanie sznapsa i reszta mnie nie interesuje.

- W tej chwili mamy w pudle pewnego Leutnanta czołgów. Jest bardzo przyzwoity. Wszystko przyjmuje z otwartymi ramionami. On też uda się w daleką podróż. Facet w porządku. Nie popłakuje.

- Nie lubię cię, Stever - rzekł Emil, udając głębokie zainteresowanie polerowanym kieliszkiem. - Jesteś niebezpiecznym typem.

Stever opróżnił swą szklanekę i dał znak, by ją znów napełnić.

- Czemu jestem paskudnym typem, Kamienne Serce?

- Dlatego, że połknąłeś więzienia i wojnę. Nie jesteś już człowiekiem. Lubisz zadawać ból.

- Nie masz przypadkiem świra, Emil? Kurwa mać, nie lubię tego. Nie lubię nawet samego siebie.

- No i widzisz! - odparł triumfalnie Kamienne Serce i odłożył kieliszek na półkę pod lustrem. - Przyznajesz się, że jesteś paskudnym typem. Nikt cię nie lubi. Pewnego pięknego poranka będziesz się huśtał na końcu sznura. Gości takich jak ty, wiesz się.

Stever zadrzał i zwrócił się do dziewczyny, czekającej w kącie na klientów. Wieczór był jeszcze

wczesny. Do „Wstrętnego” ludzie przychodzili dopiero po godzinie 22. - Erika, czy to prawda, że jestem paskudny?

- Jesteś śmietnikiem. Śmierdzącym ściekiem. Emil ma rację. Pewnego dnia cię powieszają. Cuchniesz więzieniem i szubienicą.

Steвер potrzęsnał głową.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiecie. Lituję się nad faciami, którzy do nas przychodzą. Na Boga, tak. Ale po co miałbym jechać na wojnę, jeśli mogę bezpiecznie siedzieć w kiciu? W pewnym biurze zdecydowano, że Obergefreiter dragonów Steвер ma być dozorcą więziennym, a nigdy nie należy sprzeciwiać się przeznaczeniu. Jeśli pewnego dnia wsadzą mi w rękę kawałek papieru ze słowami: Obergefreiter Steвер, pojedziesz sobie popatrzeć na Ruskich, pojedę nie robiąc żadnych trudności, bo będzie trzeba, abym pojechał. Teraz jestem w moim areszcie i to nie moja wina. Czy to może ja piszę prawo? A wojna to moja wina? Robię to, co grube ryby każą mi robić. Ani więcej, ani mniej. A w dniu, w którym wojna się skończy i koło zacznie się obracać w przeciwną stronę, co jest pewne, wtedy zdejmę z haczyka mój paradny mundur, ten z jasnoszarymi spodniami i żółtymi galonami i pójdę do „11 w Skali Beauforta”, do Ciotki Dory, aby uczcić pokój i nowe czasy. A później wypuszczę z klatki wszystkich więźniów i przygotuję się na przyjęcie nowych. A ty, Emilu - oskarżycielsko skierował palec w stronę Kamiennego Serca ty, który sprzedawałeś gorzałę na kredyt wszystkim miłośnikom hitlerowskiej wrony, będziesz szedł krokiem defiladowym wraz ze wszystkimi podobnymi do ciebie, w kierunku pierdła. Wtedy nadejdzie wasz czas dostawiania kopniaków w dupę. To jest to, co nazywali Nemezis.

Rzucił na ladę dwie marki i wyszedł chichocząc.

* * *

Rozdział VIII EGZEKUCJA

Nazajutrz Leutnanta Ohlsena zaprowadzono do Kiernoza, który śmiejąc się wręczył mu akt oskarżenia. Trzeba go było podpisać w trzech różnych miejscach. Odprowadzono go do celi i dano jedną godzinę na przeczytanie dokumentu.

Ohlsen uroczyście rozłożył pismo.

Geheime Staatspolizei

Oddział Hamburg

Stadthausbrücke 8

AKT OSKARŻENIA

Komendantura Wehrmachtu Hamburg

Oddział Altona

Nr akt 14b.

Do Generała von der Oosta, Dowódcy Garnizonu 76. Pułk Piechoty, Altona.

Prokurator Sądu Wojennego 391/X AK przeciw leutnantowi rezerwy Berntowi Viktorowi Ohlsenowi z 27. Pułku Czołgów, urodzonemu w Berlinie/Dahlem 12. maja 1909, żonatemu, jeden syn. Poprzednio skazanemu 19. grudnia 1940 na pięć lat więzienia za zaniedbanie dowodzenia podczas służby w 13. Szkolnym Pułku Czołgów, Paryż. Po ośmiu tygodniach pobytu w fortecy w Glatz, przeniesiony do karnego pułku czołgów. Obecnie w areszcie śledczym na rozkaz Gestapo, Wydział IV2a, Hamburg. Areszt śledczy garnizonu Altona, podlegający Dowódcy 76. Pułku Piechoty. Do chwili obecnej nie ma adwokata.

Oskarżam Bernta Ohlsena o przygotowywanie zdrady głównej przez: 1. Wielokrotne zachęcanie

ogródkowymi słowami do zamordowania fuhrera

Adolfa Hitlera.

2. Szerzenie obraźliwych żartów o osobistościach rządzących Trzecią Rzeszą, wybranych zgodnie z obowiązującym prawem przez naród niemiecki. Wyżej wspomniane „żarty” dołączone są do tego aktu w niebieskiej teczce oznaczonej „1”, ponumerowane od 1 do 10 i opatrzone pieczętką GEKADOS.

3. Oskarżony, szerząc fałszywe pogłoski, pomagał wrogom Trzeciej Rzeszy w sabotowaniu morale narodu niemieckiego.

Z tych powodów domagam się, aby oskarżony skazany został na śmierć, zgodnie z artykułem 5 ustawy o Ochronie Narodu i Państwa z 28. lutego 1933, oraz artykułem 80, paragraf 2; artykułem 83, paragraf 2 i 3, ustęp 3; jak również artykułem 91b, 73 Zachęcanie do zamordowania fuhrera, zgodnie z artykułem 5 ustawy z 28. lipca 1933, pociąga za sobą ścięcie przez kata toporem. Dowody oskarżenia: 1. Przyznanie się oskarżonego.

2. Dobrowolne zeznania trzech świadków:

- Sprzątaczkę koszar, pani K.
- Leutnanta P. z Wojskowego Departamentu Politycznego.
- Gefreitera H. z Tajnej Wojskowej Służby Politycznej.

Świadkowie nie wystąpią przed Trybunałem Ich zeznania, s.dz. 18, zostają dołączone do niniejszego Aktu i oznaczone jako „Tajemnica państwowa”. Zeznania te zostaną zniszczone natychmiast po rozprawie, zgodnie z artykułem 14 ustawy o Bezpieczeństwie Państwa. Cała sprawa zostanie zakwalifikowana jako GEKADOS i przekazana do R.SHA Pnzn Albrecht Strasse 8, Berlin. Śledztwo przeprowadził Standartenfuhrer Kriminalrat Paul Bielert.

F. WEYERSBERG Audytor Korpusu General kawalerii Gruppenfuhrer SS Prokurator Generalny Leutnant Ohlsen spojrział w stronę szarego, zakratowanego okna. Ten akt oskarżenia musiał być żartem. Tylko Gestapo mogło robić takie rzeczy W Torgau często zdarzało się, że na egzekucje prowadzono dziesięciu skazanych. Po straceniu ośmiu, dwaj ostatni bywali ułaskawiani. Psychoza strachu, którą przeżywali podczas egzekucji ośmiu kolegów, czyniła ich gotowymi do współpracy z Gestapo. Całe Gestapo zbudowane było na Tych raportach donosicieli, ludzi pozornie nieszkodliwych ale skrajnie niebezpiecznych z powodu sytuacji w jaką wciągnęło ich Gestapo.

O tym wszystkim Leutnant Ohlsen wiedział bardzo dobrze. Ale nie wiedział, że tego samego dnia list Komendy Wehrmachtu w Hamburgu został dostarczony do Komendy w Altonie.

Wehrmachtkommandantur Hamburg Dotyczy zakresu działania Kommando Altona X. AK 76. P.P.

GEKADOS EKSPRES Rozkaz przekazany przez Audytora Korpusu przy 10. Korpusie, Okręg Wojskowy 9. To pismo należy zniszczyć natychmiast po przeczytaniu przez dwóch oficerów. Potwierdzenie odbioru zostanie złożone ustnie przez telefon Audytorowi Korpusu. Dotyczy: egzekucji po wyroku śmierci. Sąd Specjalny, pod przewodnictwem Generała dowodzącego 9. Okręgiem Wojskowym, prawdopodobnie jutro orzeknie karę śmierci dla czterech żołnierzy:

- Oberleutnanta piechoty Karla Heinza Bergera z 12. Pułku Grenadierów,

- Leutnanta broni pancernej Bernta Viktora Ohlsena z 27. Pułku Czołgów,

- Oberfeldwebela Franza Gernerstadta z 19. Pułku Artylerii,

- Gefreitera Paula Bauma z 3. Pułku Strzelców Alpejskich.

Dwaj z wyżej wymienionych żołnierzy zostaną skazani na rozstrzelanie. 76.

Szkolny Pułk Piechoty musi zadbać o utworzenie dwóch plutonów egzekucyjnych pod dowództwem oficera. Dwa plutony egzekucyjne mają się składać z dwóch Feldwebli i dwunastu ludzi. Ponadto dwaj ludzie z każdego plutonu będą mieli zadanie przywiązania skazanych do słupa. Lekarz rezerwy ze szpitala rezerwowego Nr 19. dr W. Edgar, będzie asystował przy egzekucjach.

Dwaj inni oskarżeni zostaną skazani na ścięcie. Pułk zajmie się sprowadzeniem z Berlina kata Röttgera. Zakwaterowanie kata i jego dwóch pomocników należy do pułku. Ścięcie nastąpi na wewnętrznym dziedzińcu „B” aresztu garnizonowego. Kapelan Blom może asystować przy egzekucjach zgodnie z życzeniem skazanych. Cztery trumny zostały zamówione w 76. Pułku Piechoty. Akty zgonu zostaną wystawione przez głównego lekarza natychmiast po dokonaniu egzekucji i zostaną dostarczone przez ordynansa administracji cmentarza.

Zwłoki zostaną pochowane na cmentarzu specjalnym, kwatera 12/31. A. ZIMMERMANN Oberlejtant.

Z zimną krwią przewidziano wszystko dla egzekucji i pochowania czterech ludzi, jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy i wydaniem wyroku.

Humanitaryzm był czymś nieznanym w Trzeciej Rzeszy. Wszystko było zbudowane na instrukcjach i paragrafach. Najmniejsze naruszenie jakiegoś paragrafu pociągało za sobą skazanie bez żadnego względu na osobę ludzką. Słowa „okoliczności łagodzące” nie istniały.

Sala Nr 7 budynku Sądu Wojennego była pełna po brzegi. Wszystkie miejsca dla publiczności zajmowali żołnierze. Nie przyszli dobrowolnie, lecz na rozkaz. Widok tych procesów wojskowych miał przestraszać. W tym momencie Gefreiter strzelców alpejskich, blady i nieśmiały, oczekiwał na swój wyrok. Sąd oddalił się na naradę.

Oskarżyciel porządkował swe papiery. Przygotowywał się do następnej rozprawy. Gefreiter strzelców alpejskich przestał go interesować.

Obrońca bawił się ołówkiem, żółtym ołówkiem. Myślał o Elisabeth Peters.

Obiecała dziś wieczorem poczęstować go golonką z kiszoną kapustą. Uwielbiał kiszoną kapustę. Oczywiście ją także kochał, ale posiłek bez kiszonej kapusty nie jest prawdziwym posiłkiem.

Sekretarka przyglądała się Gefreiterowi strzelców alpejskich, myśląc:

Smutny chłop, przyszcze i czarne wągry, nigdy bym się z nim nie przespała. Młody strzelec alpejski wbił wzrok w ziemię. Bawił się paznokciem kciuka.

Zaczął liczyć deski pod nogami: skazany na śmierć, nieskazany. Wyszło mu

„skazany na śmierć”. Ale zauważył jeszcze trzy deski pod ławką, co oznaczało

„nieskazany”. Ukradkiem spojrzął na białe drzwi w kącie sali. Stamtąd wyjdzie

trzech grubych sędziów i jego los zostanie przypieczętowany bez względu na to, co powiedzą deski.

Cała rozprawa przeciw osiemnastoletniemu żołnierzowi trwała zaledwie

dziesięć minut. Przewodniczący trybunału zadał parę pytań. Przez większość tego

czasu przemawiał oskarżyciel. obrońca był mniej gadatliwy. Powiedział tylko: Proszę trybunał o pobłażliwość, całkowicie rozumiejąc trudną sytuację, w jakiej się znajduje. Dyscypliny należy przestrzegać bez względu na uczucia ludzkie. Historia młodego strzelca alpejskiego była jasna, w każdym razie z punktu widzenia sądownictwa wojskowego.

Zaniepokojony młody żołnierz nie mógł już usiedzieć na miejscu. Bał się. Siedzący obok Oberfeldwebel z pyskiem doga rzucił mu karcące spojrzenie.

Chłopak wykręcał sobie dłonie i czuł nieodpartą chęć krzyku, wydania ryku jak rozwścieczony jeleni podczas październikowej nocy, koło wilgotnej ściany lasu.

Czemu nie mogą dojść do zgody ci trzej sędziowie za białymi drzwiami? Ale jeśli nie zgadzają się ze sobą, ma jakąś szansę. Dlatego było ich trzech: aby wszystko odbyło się sprawiedliwie.

Ale nikt na sali Nr 7 nie potrafił odgadnąć, co robią ci trzej ludzie z plecionymi epoletami w małym pokoiku. A przecież było to jakże zwyczajne. Ludzkie i zrozumiałe. Po prostu próbowano wiśniówki Oberkriegsgerichtsrata Jeckstadta Kneigsgerichtsrat Burgholz podniósł kieliszek i rozpoczął długie przemówienie na temat wina. Po paru kieliszkach zdecydowali powrócić do sali 7. Oczywiście cała sprawa była bez znaczenia. Pół teczki w protokole przesłuchania. Pieczętka, i kilka podpisów. I to wszystko. Otworzyły się białe drzwi. Młody żołnierz zbladł.

Widzowie podnieśli się.

Przewodniczący i dwaj asesory usiedli za biurkiem w kształcie podkowy.

Wszyscy trzej pachnieli wódką.

- Gefreiter Paul Baum z 3. Pułku Strzelców Alpejskich, lat osiemnaście, stanu wolnego - czytał przewodniczący głuchym i monotonnym głosem - zostaje skazany na rozstrzelanie za umyślną dezercję.

Młodzieniaszek zachwiał się, bielszy niż sufit.

Ogromny Feldwebel podtrzymał go.

Przewodniczący kontynuował obojętnie: - Od tego wyroku nie przysługuje żadna apelacja. Ułaskawienie nie może zostać zalecone i zostaje z góry oddalone.

Sprawa jest zamknięta.

Oberkriegsgerichtsrat skończył lekturę, złożył akta, lekko otarł sobie czoło uperfumowaną chusteczką i rzucił obojętne spojrzenie na stojącego przed nim chłopca. Następnie wyjął kolejną teczkę, pogłaskał pieszczotliwie różowy karton, popatrzył na Oberfeldwebla, noszącego na piersi godło żandarma w kształcie półksiężycy i powiedział: - Następna sprawa. Państwo przeciw Leutnantowi rezerwy Berntowi Ohlsenowi. Numer sprawy 19661/M.43.H.

Wszystko toczyło się jak na kółkach. Żadnych zacięć. Dobry, niemiecki porządek.

Obergefreiter Stever otworzył drzwi celi Leutnanta Ohlsena z zachęcającym uśmiechem.

- Jazda, teraz ty. Nudzą się bez ciebie.

- Idę do trybunału? - zapytał cicho Ohlsen, czując jak ściska mu się żołądek.

- Może myślałeś, że wybierasz się do burdelu? Idziesz do 7. sali do Jeckstadta, tłustego durnia, którego się powiesi, gdy koło obróci się w drugą stronę, wielkiego, bardzo tłustego knura.

Zeszli rozmawiając po schodach, a potem przemierzali długi korytarz. Koło

okutych drzwi trybunału wojskowego Leutnanta Ohlsena przejęli dwaj żandarmi.

Pokwitowali odbiór w wielkiej czarnej księdze ze złotym orłem.

- Połamania rąk i nóg! - zaśmiał się Stever Żandarmi wymruczeli jakieś niezrozumiałe słowa i założyli Ohlsenowi kajdanki. Dwóch konwojentów na oskarżonego. Taki był regulamin.

Hałas podkutych butów rozlegał się w długim korytarzu. Tuż przed dotarciem do trybunału napotkali skazanego Gefreitera. Wrzeszczał i wyrywał się Oczywiście był to zaledwie wyrostek. Osiemnaście lat.

- Morda w kubel - Zagroził jeden z żandarmów - To nic ci nie da wszystko będzie szybko załatwione. Nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Widzę to co dzień. I wszystkich nas spotka prędzej czy później. Może Jezus na ciebie czeka i tam w górze będzie ci znacznie lepiej niż na Ziemi.

- Nie chcę! - zawył chłopak, szarpiąc swe kajdanki. - Święta Mario, Matko Boża, pomóż mi Nie chcę umierać!

Oczy mu błyszczały. Leutnanta Ohlsena zobaczył jak przez mgłę.

- Herr Leutnant, pomóż mi! Chcą mnie rozstrzelać. Mówią, że muszę umrzeć.

Opuściłem pułk ledwie na dwa dni. Chcę iść do pułku karnego. Będę walczył,

»Jestem gotów pilotować "stukasy"! Zrobię wszystko, tylko pozwólcie mi żyć. Próbował się uwolnić. Walczył rozpaczliwie. Udało mu się przewrócić jednego z żandarmów. Cała trójka upadła na ziemię.

- Jestem dobrym narodowym socjalistą. Chcę żyć! Byłem w Hitlerjugend. Rzęzenie ucichło. Ostatnim słowem, jakie udało mu się wypowiedzieć, było:

Mamo! Ten krzyk rozlegał się na tyłu szafotach i w więzieniach w ciągu historii ludzkości. Potem chłopak stracił przytomność. Wojskowi łowcy ludzi wykonali swoją robotę. Ciągnęli za sobą za łańcuchy bezwładne ciało. Jeden z nich zaklął przez zęby.

- Ten żółtodziób dał nam popalić. Całe to kino tylko dlatego, że czeka go kulka.

Leutnant Ohlsen zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nieprzytomnego chłopaka.

- Naprzód! - warknął jeden z konwojentów, ciągnąc za łańcuch. - Jazda, naprzód!

- Biedne dziecko - szepnął Leutnant Ohlsen. - To przecież tylko dzieciak.

- Dość duże, by zdezerterować - mruknął żandarm z godłem łowców ludzi na

piersi. - Dość stary, by rozumieć, co to kosztuje. Gdyby go ułaskawili, uciekaliby wszyscy.

- Macie dzieci, Oberfeldwebel? - zapytał Ohlsen.

- Czwooro. Trójka w Hitlerjugend, jeden na froncie. Pułk SS „Das Reich”.

- Miejmy nadzieję, że wasz syn w „Das Reich” nie zostanie pewnego dnia wyeliminowany w taki sposób.

- To się nigdy nie zdarzy, Herr Leutnant - zaśmiał się z pewnością siebie

żandarm. - Mój syn jest Untersturmführerem SS. Z egzekucją nigdy się nie spotka. Leutnant Ohlsen wzruszył ramionami.

- To zależy przede wszystkim od tego, jakie czasy nadejdą.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - spytał drugi konwojent, nastawiając

uszu.

- Nic - mruknął Ohlsen. - Po prostu mi żal tych biednych dzieci.

- Proszę nie myśleć o innych - powiedział ten, który miał czworo dzieci.

Lepiej będzie, jeśli zatrzyma pan swą litość dla siebie.

Postukał w kaburę swego rewolweru, nałożył hełm i pogłaskał swe błyszczące godło łowców ludzi.

- A poza tym proszę milczeć.

Leutnant Ohlsen wkroczył na salę z zupełnie obojętną miną. Przedstawił się przy biurku sędziów, jak go nauczono w 3. Szkole Wojskowej w Dreźnie. Przewodniczący łaskawie skinął głową i powiedział: - Siadajcie. Gorliwie przekartkował dokumenty i dał znak oskarżycielowi. Maszyna

sądowa mogła ruszyć Kółka sprzęgła zaczęły się zgodnie z regulaminem obracać.

- Leutnancie - zaczął dr Beckmann - przypuszczam, że nie macie zamiaru przyznawać się do tego, co znajduje się w akcie oskarżenia R.S.H.A.? Leutnant Ohlsen spojrzał na podłogę. Podłoga błyszczała. Powoli przeniósł

wzrok na trzech sędziów, siedzących ze spojrzeniem zamglonym sennością.

Przewodniczący siedział na wysokim krześle. Z zainteresowaniem oglądał muchę na lampie. Bąka. Bynajmniej nie z gatunku zwykłych much. Jedna z tych, które wysysają krew zwierząt domowych oraz ludzi. Szara, smutna do oglądania, ale z punktu widzenia kolekcjonera owadów ładna mucha.

Leutnant Ohlsen przeniósł spojrzenie na oskarżyciela.

- Herr Kriegsgerichtsrat, podpisałem przyznanie się dla tajnej policji, uważam więc, że pańskie pytanie jest zbyteczne.

Wąskie i bezbarwne wargi dr. Beckmanna wykrzywił sarkastyczny uśmiech.

Pogłaskał leżące przed nim dokumenty.

- Możecie mieć do mnie zaufanie co do tego, jakie pytanie jest użyteczne. Na chwilę pominiemy to, co jest wam zarzucane w akcie oskarżenia. - Mały doktor prawa zwrócił się do sędziów i kontynuował mocnym głosem.

- W imieniu Fuhrera i narodu niemieckiego uzupełniam oskarżenie wobec Leutnanta Ohlsena o dezercję i tchórzostwo podczas bitwy.

Trzej sędziowie, zdziwieni, wyprostowali głowy. Przewodniczący przestał interesować się muchą.

Leutnantowi Ohlsenowi o mało nie pękły skronie. Poderwał się z miejsca.

- Dezercja! Tchórzostwo w bitwie! To kłamstwa!

Dr Beckmann uśmiechnął się pobłaźliwie, machając jakimś papierem.

Reprezentował znakomicie typ drobnomieszczanina, maszerującego zawsze pod sztandarem tego rządu, który jest przy władzy.

- Wasza odpowiedź mnie nie zaskakuje. Tego właśnie oczekiwałem. - Dr Beckmann rozkoszował się swymi słowami To było takie przyjemne, lubił nagłe, zaskakujące, oszałamiające ataki.

Nigdy nawet nie pomyślałem o dezercji, Herr Kriegsgerichtsrat. Dr Beckmann skinął głową. Czuł się tak niewzruszony, jak skała Gibraltaru.

- No to popatrzmy. Jesteśmy przecież tutaj, aby udowodnić oskarżenia lub je obalić. Jeśli możecie udowodnić, że moje oskarżenia są bezpodstawne będziecie mogli opuścić tę salę jako człowiek wolny.

- Wolny? - mruknął Leutnant Ohlsen. - Człowiek wolny? - Spojrzał na drzwi za ławkami dla publiczności i pomyślał: - W Trzeciej Rzeszy nikt nie jest wolny.

Wszyscy są więźniami. Od oseska do starca na łożu śmierci.

- W przeciwnym razie - mruknął groźnie dr Beckmann, pochylając się nad stołem - wiecie co was czeka.

Leutnant Ohlsen wiedział, co go czeka Przewodniczący potwierdził skinieniem głowy Dr Beckmann pochylił się ku sędziom Za zgodą tego trybunału odstąpimy od półkowego aktu oskarżenia, by podnieść przeciw oskarżonemu nowe zarzuty, bez uprzedniego przesłuchania. Te dokumenty dotarły do mnie dopiero dziś rano pocztą specjalną policji tajnej. Dokumenty te są jasne i krótkie przesłuchanie oskarżonego.

Przewodniczący znów wyraził zgodę - Zezwolenie udzielone. Trybunał uznaje za zbędne przesłuchanie wstępne.

- Leutnancie, 2. lutego 1942 dowodziliście 5. Kompanią 22. Pułku Czołgów.

Czy to się zgadza?

- Tak.

Dr Beckmann uśmiechnął się, pewny wyniku.

- Czy zechcecie powiedzieć trybunałowi, gdzie walczyliście?

- Nie przypominam sobie dokładnie. - Leutnant Ohlsen zastanowił się.

Przyglądał się wiszącej za sędziami wielkiej fotografii Hitlera. Fuhrer w zielonym mundurze, zaprojektowanym przez niego samego, który powinien robić wrażenie skromności.

- Przypuszczam, że było to koło zakola Dniepru, ale nie potrafię tego bardzo ściśle określić. Walczyłem w tyłu miejscach.

Dr Beckmann triumfalnie uderzył w stół.

- Zakole Dniepru. Dokładnie. Wasza dywizja znajdowała się w strefie Wiaźma-Rzew. Otrzymaliście rozkaz zajęcia z waszą kompanią pozycji koło Olenina, na zachód od Rzewa. Przypominacie sobie o tym?

- Tak. Nasza dywizja była bliska otoczenia. 19. i 26. Dywizje Kawalerii rosyjskiej otaczały nas od południa. Z północy nadchodziła 822. Specjalna Dywizja Pancerna Rosjan,

- Dziękuję, dziękuję - przerwał dr Beckmann. - Zupełnie nas nie interesuje, co robili Rosjanie. Wasza dywizja pancerna jeszcze istniała, wszystkie więc wyjaśnienia to pusta gadanina. - Zwrócił spojrzenie ku ławkom dla publiczności, wypełnionych do ostatniego miejsca przez oficerów służby czynnej. - Niemiecka dywizja pancerna nie może zostać otoczona przez sowietów niższej rasy. To jest niewykonalne. Wśród publiczności nastąpiło poruszenie.

- Cisz! - ryknął przewodniczący, uderzając w mównicę.

- Przypominacie sobie dobrze okolice Olenina, Leutnancie?

- Tak - odpowiedział krótko Leutnant Ohlsen.

- Otrzymaliście ustny rozkaz od swego dowódcy, Obersta von Lindenau, zajęcia pozycji koło Olenina, ponieważ w wymienionej okolicy mogło nastąpić przełamanie. Dokładniej mówiąc przełamanie nastąpiło wzdłuż linii kolejowej, dwa kilometry na wschód od Olenina.

- Jakiej linii kolejowej? - zapytał jeden z sędziów. - To go zupełnie nie interesowało ani nie miało najmniejszego znaczenia, ale sędzia poczuł, że powinien

postawić pytanie.

- Jakiej linii kolejowej? - powtórzył dr Beckmann zdziwiony. Zaczął wściekle szukać w swoich papierach, mrużąc znów: - Jakiej linii kolejowej?

Leutnant Ohlsen spokojnie śledził jego poszukiwania.

- To była linia Rzew-Nielidowo.

- Będziecie odpowiadać, gdy się was zapyta! - krzyknął zirytowany dr Beckmann. - Bardzo dobrze wszystko wiemy. To mnie, a nie was pytał pan sędzia. Zwrócił się do sędziów i skłonił służalczo.

- Idzie o linię kolejową Rzew-Nielidowo. Drugorzędną linię.

Leutnant Ohlsen poczuł, że musi skorygować słowa dr. Beckmanna. Podniósł się.

- Pozwalam sobie zwrócić pana uwagę, że nie idzie o drugorzędną linię, a o dwutorową linię Moskwa-Ryga.

Lekki rumieniec zabarwił twarz dr. Beckmanna.

Wrzasnął: - Będziecie odpowiadać, gdy was się zapyta! Już raz to powiedziałem!

- Sędzia zadał pytanie - bronił się Leutnant Ohlsen.

- Pan sędzia zadał pytanie mnie, a nie wam! - wrzasnął dr Beckmann. - A z naszego punktu widzenia jest to linia drugorzędna.

- Wobec tego jest to wielka linia drugorzędna, długości około tysiąca kilometrów - zaprotestował dwuznacznie Leutnant Ohlsen.

- To nas nie interesuje - replikował dr Beckmann, uderzając w dokumenty.

Jeśli mówię, że jest to linia drugorzędna, to tak jest. Jesteście tu w Niemczech, a nie w radzieckich bagnach. Tutaj mamy inne pojęcia. Ale nie będziemy się zajmować tą przeklętą linią kolejową. Otrzymaliście więc od waszego dowódcy rozkaz zajęcia pozycji na wschód od Olenina, a rozkaz mówił, że nic, zupełnie nic, ani Bóg ani diabeł, ani cała Armia Czerwona nie może spowodować, abyście opuścili tę pozycję. Powinniście pozostawać koło Olenina i ubezpieczyć waszą pozycję na dwóch skrzydłach i z przodu. Czy tak było?! - krzyknął, pokazując Leutnanta Ohlsena dobrze wypielęgnowanym, oskarżycielskim palcem.

Leutnant Ohlsen wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Tak czy nie? - zawołał Oberkriegsgerichtsrat dr Beckmann.

- Tak.

Dr Beckmann triumfował.

- Zgadza się więc co do rozkazu wydanego wam przez Obersta i możemy kontynuować w taki sposób, by trybunał mógł zdać sobie sprawę z waszego wprawiającego w osłupienie tchórzostwa. Wasza kompania walczyła przeciw piechocie. To nie była zwyczajna kompania, ta, którą dowodziliście. To była kompania bardzo wzmocniona. Możecie mnie poprawić, jeśli to nie jest ściśle.

Zgodnie z pisemnym rozkazem przydzielono wam również pluton strzelców pancernych, uzbrojony w działa przeciwczołgowe kalibru 75 mm i pluton saperów uzbrojonych w miotacze ognia, ciężkie miotacze ognia. Ale możecie sami wytłumaczyć się przed trybunałem, jaki był stan aktywów waszej kompanii, gdy zajęliście tę pozycję koło Olenina.

- Tak - odpowiedział wstając Leutnant Ohlsen. Moja kompania składała się z

dwustu pięćdziesięciu ludzi, z czołgów, dwudziestu czterech strzelców pancernych i dwudziestu miotaczy ognia.

- A więc kompania z około trzystu ludzi - kontynuował dr Beckmann.

Uważam, że można z powodzeniem uznać to za mocną kompanię, ale powiedzmy coś o jej uzbrojeniu.

Leutnant Ohlsen odetchnął głęboko. Teraz już wiedział, czego chce ten polujący na człowieka, spojrział na przewodniczącego, bawiącego się ołówkiem i znudzonego. Rysował na swej bibule przedhistoryczne potwory.

- Moja kompania była uzbrojona w dwa działa przeciwpancerne 75 mm, dwa moździerze 80 mm pięć moździerzy 50 mm pochodzenia rosyjskiego dwa ciężkie karabiny maszynowe, sześć lekkich karabinów maszynowych, cztery miotacze ognia ciężkie i cztery lekkie. Wszyscy dowódcy plutonów i drużyn mieli pistolety maszynowe. Mieliśmy pewną liczbę karabinów, nie pamiętam ile. Poza tym zwykłe uzbrojenie dla saperów, w rodzaju min i tym podobnych.

Dr Beckmann potrząsnął głową. - Wasza pamięć jest godna uwagi. Dokładnie w ten sposób wasza wzmocniona kompania była uzbrojona. Chcę tylko powiedzieć, że wasze zaopatrzenie w pistolety maszynowe było wyjątkowe. Mieliście ich sto dwadzieścia pięć i pomimo tego olbrzymiego uzbrojenia daliście dowód tchórzostwa.

- To nieprawda - powiedział ledwie słyszalnie Leutnant Ohlsen. Dr Beckmann uśmiechnął się.

- Jedyńm, który mówi tu nieprawdę, jesteście wy. Kto dał kompanii rozkaz wycofania się? Jeden z waszych podoficerów? Jeden z waszych ludzi? Nie, to wy, dowódca kompanii.

- Moja kompania wówczas już była całkowicie zniszczona! - krzyknął zrozpaczony Leutnant Ohlsen.

- Zniszczona? - podchwycił dr Beckmann. - Macie dziwaczne pojęcie o zniszczeniu. Nawet dziecko wie, że to oznacza, iż wszystko zostało unicestwione bez śladu. Wasza obecność tutaj dowodzi czegoś przeciwnego. Trzymajmy się rozkazu, otrzymanego przez was: - Pozycję należy utrzymać za wszelką cenę.

- Czy mogę prosić pana przewodniczącego o pozwolenie wyjaśnienia, co stało się na tej pozycji?

Oberkriegsgerichtsrat dr Jeckstadt był głodny. Proces go nudził. Było o wiele za dużo takich spraw. Były tak trywialne. Powinno to się załatwiać administracyjnie. Spojrzał na swój złoty zegarek.

Była godzina 13. A więc i dziś nie wróci do domu przed 15. A do tego dziś był jego wieczór brydżowy. Do diabła z tym Leutnantem. A także z Beckmannem, tym idiotą, który mógł się wypowiedzieć krócej. Dobrze wiedział, czym to się skończy, więc po co to całe kino?

- Wyjaśnijcie - burknął. - Ale mówcie krótko.

- Po czterech dniach i czterech nocach nieustannej walki z plutonami rosyjskich strzelców i kawalerią - zaczął Leutnant Ohlsen - moja wzmocniona kompania z trzystu ludzi skurczyła się do dziewiętnastu. Cała moja ciężka broń została zniszczona. Prawie nie było już amunicji. Na stanie tylko dwa lekkie karabiny maszynowe. Wszystko, co pozostało z nabojów, musiało zostać zarezerwowane dla tych karabinów maszynowych. Mieliśmy zostać zmiażdżeni. Walczyliśmy jeden przeciw pięciuset. Przed i za nami leżał ciężki ogień

artyleryjski. Na całym obszarze ciągły ogień broni maszynowej. Jakakolwiek kontynuacja walki powinna być oceniona jako dzieło szaleńca.

- Wasza hipoteza jest interesująca - przerwał dr Beckmann. - Zatrzymajmy się przy niej na chwilę. Rozkaz dzienny Fuhrera Adolfa Hitlera dla wojsk w rejonie Wiaźny mówił o walce do ostatniego człowieka i ostatniego naboju, by uniemożliwić posuwanie się sowietom. A wy, prosty Leutnant, nazywacie to dziełem szaleńca? Wy, którzy na podstawie sfalszowanych danych, przedostaliście się do szkoły wojskowej, by tam okryć wstydem oficerów niemieckich. - Jego głos podniósł się aż do wściekłego ryku.

- Chcecie insynuować, że nasz Fuhrer, który jest pod ochroną Boga, jest wariatem? Innymi słowy, że jest kretyńcem, imbecylem?!

Leutnant Ohlsen spokojnie patrzył na wrzeszczącego jurystę, który podniecał się do niewyobrażalnego stopnia wskutek swego fanatyzmu. Takim znali go młodzi studenci przed wojną, kiedy wykładał na uniwersytecie w Bonn. Beckmann zdjął okulary w złotej oprawce i zaczął je wycierać.

- Herr Oberkriegsgerichtsrat - powiedział bardzo spokojnie Leutnant Ohlsen nie myślałem o Fuhrerze, mówiąc „dzieło szaleńca”, lecz o sobie samym. Byłbym szaleńcem kontynuując walkę. Cała nasza sytuacja zmieniła się całkowicie od chwili, gdy otrzymałem rozkaz utrzymania pozycji. Rosyjskie kolumny czołgów były już poza nami.

- To nas nie interesuje! - krzyknął dr Beckmann. - Absolutnie nie chcemy słuchać o kolumnach rosyjskich czołgów. Mieliście rozkaz walczenia do ostatniego człowieka. Nie zrobiliście tego. Czemu nie porozumieliście się ze swoim pułkiem?

- Pułk odnaleźliśmy dopiero w trzy dni od opuszczenia pozycji.

- Dziękuję - przerwał przewodniczący. - Uważam, że usłyszeliśmy dość.

Oskarżony przyznał się do wydania rozkazu opuszczenia pozycji koło Olenina.

Fuhrer powiedział wyraźnie: - Tam, gdzie jest żołnierz niemiecki, tam pozostaje.

Oskarżenie o tchórzostwo i dezercję jest oczywiste. - Skierował na Leutnanta Ohlsena spojrzenie inkwizytora i stuknął ołówkiem w stół. - Czy macie coś do dodania?

- Herr Oberkriegsgerichtsrat, zobaczy pan w moich dokumentach, że mam wysokie odznaczenie za odwagę. To powinno stanowić dowód, że nie jestem tchórzem. Na tej pozycji, koło Olenina, nie zajmowałem się sobą, ale dookoła, pod śniegiem było dwustu siedemdziesięciu martwych kolegów. Niektórzy sami z sobą skończyli, z obawy przed wpadnięciem ranni w ręce Rosjan. Żyło jeszcze tylko dziewiętnastu i każdy z nich był ranny. Nasza żywność była na wyczerpaniu. By szukać głód jedliśmy śnieg. Połowa ludzi, by się poruszać, musiała być podtrzymywana przez kolegę. Jedna trzecia miała poważne odmrożenia wskutek ostrego mrozu. Przez wzgląd na tych z moich ludzi, którzy przeżyli, wydałem rozkaz wycofania się. Cała porzucona broń została zniszczona. Nic użytecznego nie wpadło w ręce Rosjan. W wielu miejscach wysadziliśmy kolej żelazną w powietrze. Zostawiliśmy za sobą pola minowe dla opóźnienia posuwania się nieprzyjaciela.

- To istna bajka - oświadczył sarkastycznie dr Beckmann - ale to nie zmienia faktu waszych zbrodni: sabotowania rozkazu, dezercji i tchórzostwa. Leutnant Ohlsen rozpaczliwie rozejrzał się wokół. Wyglądało, jakby wyglądał

pomocy od ścian tego lokalu zimnego i bezlitosnego. A potem zaprzestał oporu. Osunął się ciężko na ławkę. Nie miał już odwagi, by kontynuować. Wiedział doskonale, że to już koniec. Na ostatniej ławce dla publiczności nagle zobaczył małego, szczupłego człowieka, ubranego na czarno, z czerwonym goździkiem w butonierce. Piękny Paul, Kriminalrat Paul Bielert, przyszedł upewnić się, że trybunał należycie wykonuje swą robotę. Przewodniczący dr Jecks tadt również zauważył wśród publiczności człowieka, ubranego jak na pogrzeb. Niebieskie, lodowate oko za czarnymi okularami omiało lokal jak promień radaru. Siedział i palił, nie zwracając uwagi na wszystkie wywieszki, zabraniające palenia. Dr Jeckstadtomal nie wrzasnął. Na widok tego bezczelnego palacza zsiniał z wściekłości. Ale jeden z jego asystentów dyskretnie mu zasygnalizował, kim jest ten niewysoki człowiek. Jeckstadt zdecydował się więc milczeć.

Oskarżyciel również zauważył Paula Bielerta. Była to zawsze zapowiedź trudności, gdy pojawiał się szef IV-2a. Czy oni cokolwiek wykryli? Ten Bielert był niebezpieczny. Nigdy nie wiadomo, gdzie uderzy.

Była oczywiście sprawa tego zajęcia własności, która ciągnęła się już cztery lata. Ale teraz nie mogą przecież niczego wykryć na ten temat. Trzech innych było od dawna martwych, a pani Rosen powieszona. Dr Beckmann zadrżał. Było też wkurzające, że umoczył się w tej sprawie. Paul Bielert był wówczas zaledwie małym Kriminalratem bez znaczenia. Nikt nigdy nie mógł wówczas podejrzewać, że ta złowroga osobistość wyrośnie tak wysoko. Gdy odkryto, że jest przyjacielem Heydricha, był to szok.

Dr Beckmann otarł czoło chusteczką białą jak śnieg. Gdybyż tylko wstrzymał się wówczas od czepiania się go za to, że mieszał się do tej sprawy. Bielerta wykopał jego przełożony, Kriminalrat Huber. Rok temu Huber został powieszony, a Bielert znów się pojawił i zajął jego miejsce.

Dr Beckmann bezwiednie dotknął swej szyi. Patrzył jak zahipnotyzowany na czerwony goździk, zdobiący klapę marynarki Paula Bielerta. Uniósł wzrok aż do przenikliwego oka szefa Gestapo.

Nagle zrobiło mu się zimno. Czemu ta demoniczna osobistość tu była? To nie mogło być z powodu tej starej sprawy. Od dawna została złożona ad acta.

Oskarżyciel z wysiłkiem próbował odzyskać odwagę. Był tutaj, w sali pruskiej sprawiedliwości, a nie w jakiejś mordowni Gestapo. A on, dr Beckmann, był doktorem prawa, prokuratorem, byłym profesorem uniwersytetu. Nie bał się Gestapo. A poza tym gównu, czemu miałby się bać? Znów przeszły go ciarki. GESTAPO! Ten tam siedzący z tyłu nie był nikim więcej niż bandytą bez wykształcenia, chłopcem, który wynurzył się z rynsztoka, nędznym Kriminalratem. Z punktu widzenia hierarchii stojącym o wiele niżej niż on, Oberkriegsgerichtsrat Hans Beckmann, doktor praw.

Postanowił wziąć byka za rogi. Z aroganckim uśmieszkiem zwrócił wzrok na Paula Bielerta. Ujrzał twarz bladą, oko lodowate, małe usta. Jego uśmiech powoli zwiędł. Odwrócił się tyłem do Paula Bielerta, ale czuł jego spojrzenie na plecach. Odczuwał przemożną chęć wybiegnięcia z sali, wskoczenia do łódki i powiosłowania jak wariat do Anglii, jedyne miejsce, gdzie byłby mniej więcej bezpieczny od Paula Bielerta.

Nagle zdał sobie sprawę, że trybunał czeka na jego przemówienie końcowe, nim uda się na naradę. Podskoczył i zawołał jak człowiek rozpaczliwie pragnący podkreślić swój niezłomny patriotyzm.

- Domagam się, by Sąd skazał oskarżonego na ścięcie toporem, zgodnie z artykułem 197b i artykułem 9 Ib Wojskowego Kodeksu Karnego.

Dr Beckmann bezwładnie padł na swój fotel. Sąd oddalił się do niebieskiego pokoju, gdzie na stole zawsze stały świeże kwiaty. Funkcjonariusz trybunału postawił tam karafkę czerwonego wina.

Dr Jeckstadt odsunął karafkę na bok i zażądał piwa. Dortmundera specjalnie warzonego i w beczce pod ciśnieniem. Wszyscy poszli po litrowe kufle do mesy oficerskiej. Chłodne, pieniste piwo. Stuknęli się, pili wielkimi łykami, otarli pianę z ust i wydali zadowolone „Ach”. Niektórzy zażądali kiełbasek. Kazano je przynieść. Małe, szare kiełbaski, które wszyscy trzej równocześnie zanurzyli w słoiku musztardy.

- Jestem zdania, by się zastosować do wniosku oskarżyciela - powiedział dr Jeckstadt z ustami pełnymi kiełbasy zmieszanej z piwem.

- To właśnie miałem powiedzieć - wymamrotał Kriegsgerichtsrat Plenge między dwoma haustami piwa. - Znakomite piwo - kontynuował. - Na całym świecie nie ma piwa lepszego niż w Niemczech.

- To także jeden z powodów, dla których prowadzimy wojnę - wyjaśnił dr Jeckstadt. - Cała Ziemia nauczy się pić dobre, niemieckie piwo.

Najmłodszy z sędziów, Kriegsgerichtsrat Ring, w niejasny sposób próbował ułagodzić swych dwóch kolegów.

- Myślę, że powinniśmy skazać go na rozstrzelanie zgodnie z artykułem 19c. Dekapitacja jest nieestetyczna. Zawsze źle się po niej czuję, a oskarżony zawsze dobrze się wcześniej zachowywał. Uwolnijmy go od ścięcia ze względu na jego odznaczenia.

- Te blaszki się nie liczą - odpowiedział grubiańsko przewodniczący.

Oskarżony to podejrzana osobistość. Knuł zdradę główną, poniżał reputację Fuhrera w opinii publicznej, rozpowszechniając obraźliwe żarty.

- A właściwie, co to były za żarty? - spytał zainteresowany Kriegsgerichtsrat Plenge, bawiąc się rączką swego kufła.

Dr Jeckstadt przezornie spojrzął na drzwi prowadzące do sali sądowej. Z wielką ostrożnością, jakby chodziło o potężny materiał wybuchowy, podał dokumenty swym asesorom.

Ring zaśmiał się pierwszy. Po nim Plenge. Śmiech był zaraźliwy. Śmieli się wszyscy trzej. Osunęli się na stół, wstrząsani serdecznym śmiechem. Ring walił się po pośladkach. Plenge przewrócił piwo. A potem nagle znów byli poważni. Ich brutalny śmiech urwał się, jak nożem uciął, a oburzony dr Jeckstadt zawołał:

Panowie, bardzo nas rozśmieszyło to, że pan Plenge przewrócił piwo. Zdrowy śmiech na dobre wychodzi. Przewodniczący uderzył dłonią wybuchowy dokument.

- Ale pod żadnym pozorem nie możemy tolerować tego rodzaju szkodliwych żartów. Jest to propaganda pochodząca od wroga, którego mamy obowiązek zwalczać. Przyjmujemy wniosek końcowy oskarżenia, domagający się jak

najsurowszej kary. Trzeba, by stało się to przykładem. Mamy obowiązek być twardymi. Łagodność ogłupia naród.

Wielkimi, pełnymi zakrętasów literami napisał: - Dekapitacja. - Poniżej starannie wykaligrafował swe nazwisko. Wyciągnął dokument nad stołem.

- Drodzy koledzy, podpisujecie się na prawo od mojej parafy.

Dr Plenge podpisał nie namyślając się nawet przez sekundę. Dr Ring zawahał się na moment. Pisał bardzo powoli, jakby żałował każdej litery.

Dr Jeckstadt obiecał sobie, że przeniesie tego Ringa do trybunału nadzwyczajnego, gdzieś na Wschodzie i to przy pierwszej okazji. Tam ten drągał nauczył się działania maszyny sądowej. Bo jeśli nie, szybko będzie z niego ozdoba gałęzi jakiejś brzozy.

Wypito jeszcze po piwie. Parę turyńskich kiełbasek też do niego pasowało.

Kriegsgerichtsratowi Plengemu lekko się odbiło. Wolał udać, że nic się nie stało. Dr Jeckstadt wezwał pisarza sądowego i podyktował mu z odpowiednim namaszczeniem sentencję wyroku.

Trzech sędziów defiladowym krokiem weszło na salę, za nimi podreptał pisarz.

Żołnierze, którym jako służbę nakazano wypełnić ławki, skoczyli na równe nogi. Tylko Paul Bielert spokojnie siedział, nieustannie paląc.

Oberkriegsgerichtsrat dr Jeckstadt z ukosa spojrzął na małego szefa Gestapo.

- Bezczelny cham - pomyślał. - Siedzieć tak, gdy my, bądź co bądź sędziowie, wchodzimy! Ale ci panowie funkcjonariusze Gestapo wkrótce ockną się na ziemi.

Sowieci i Amerykanie wyglądają na mocniejszych, niż się tego spodziewano. W jednej chwili nastąpią nowe czasy i znajdą się tutaj, te typki z Partii i z Gestapo.

Przyjdzie na to ich czas. - Uśmiechnął się na tę myśl. - Cudownie będzie skazywać ich na śmierć. Oczywiście sędziom niczego nigdy nie będzie można zarzucić. Sądził wyłącznie na podstawie artykułów, uchwalonych przez Parlament. On, dzięki Bogu, jest sędzią. Zawsze będzie powyżej tego wszystkiego. Jeszcze raz spojrzął na Paula Bielerta i w zadumie potrząsnął głową. Jesteś tu, czujesz się wszechmocny i wyobrażasz sobie, że wiesz wszystko.

Nagle zauważył, że wargi Paula Bielerta ściągnął sarkastyczny uśmiezek.

Czyżby jednak coś wiedział? Więc człowiek z toporem będzie miał zajęcie. Ogarnęła go szalona chęć aktywności. Z jego ust wydobył się potok słów, wymawianych falsetem.

- W imieniu Fuhrera Adolfa Hitlera i Narodu Niemieckiego ogłaszam wyrok w sprawie przeciwko Leutnantowi rezerwy Berntowi Viktorowi Ohlsenowi z 27. Pułku Czołgów. - Przewodniczący głęboko zaczerpnął powietrza. Miał w dołku dziwne uczucie, jakby wygłaszał wyrok przeciw sobie samemu.

- Po rozważeniu sprawy Sąd uznał, że Leutnant rezerwy Bernt Viktor Ohlsen podczas wojny totalnej, którą naród niemiecki prowadzi o swe życie i swe istnienie, rozpowszechniał najpodlejsze plotki na temat Fuhrera, zbrukał narodowość, sabotował morale swych podwładnych. Naraził swą dywizję na najpoważniejsze niebezpieczeństwo gdy, wbrew otrzymanym rozkazom, opuścił swą pozycję koło Olenina. Zostaje pozbawiony honoru na zawsze i skazany na śmierć. Wyrok ma zostać wykonany przez kata za pomocą topora. Jego majątek zostanie zajęty.

Wszelkie koszty procesu obciążą skazanego. Jego nazwisko zostanie skreślone z rejestrów. Jego zwłoki zostaną pochowane anonimowo. Heil Hitler! - Zwrócił wzrok na Leutnanta Ohlsena, który stał na baczność.

- Czy macie coś do dodania? - Musiał trzy razy powtarzać pytanie, nie otrzymując odpowiedzi. Wzruszył ramionami z obojętną miną i zakończył zwykłą formułką.

- Wyrok niniejszy nie podlega apelacji. Ułaskawienie nie może być zalecone.

Wyrok zostanie wykonany w ciągu dwudziestu czterech godzin. Egzekucja może zostać dokonana najwcześniej za trzy godziny, to znaczy od 16.18. Heil Hitler! Kiwnął głową w stronę Feldwebela, znajdującego się za Leutnantem Ohlsenem.

- Wyprowadzić skazanego.

Chwycił kolejny stos dokumentów i zagrzmiał: - Następna sprawa! Dwaj konwojenci odprowadzili Leutnanta Ohlsena do aresztu. W suterenie minęli następnego, prowadzonego na salę.

Ta sprawa trwała nie dłużej niż dwadzieścia trzy minuty. Dr Jeckstadt wydał więc tego dnia czwarty wyrok skazujący na śmierć. Zdjął togę sędziowską, nałożył jasnoszary płaszcz mundurowy i poszedł do domu na zupę pomidorową i gotowanego dorsza. Całkowicie zwykły piątek, z pogodą typową dla Hamburga: drobnym i brzydkim deszczem.

Leutnanta Ohlsena przejął Obergefreiter Stever. Drzwi suterenu zatrzasnęły się z hałasem. Zasunięto dwa wielkie rygle.

- Uciąć makówę? - zażartował Stever. - Jesteś już trzeci dzisiaj, a ten ostatni też to dostanie. W zeszłym miesiącu mieliśmy ich szesnastu, tych aspirantów do nieba, jednego tylko dnia. I dziewięciu w jednej tylko sprawie. A Jeckstedt zdołał się ich pozbyć w ciągu półtorej godziny. W ten sposób załapał się na Krzyż Zasługi. Burdel! Nie tam go się urządza, ale zwała całą robotę nam, w tej dziurze. Ale nie gryź się, Leutnancie. Wszyscy wybierzemy się w tę podróż, wcześniej czy później. Dwie rzeczy są pewne. Na świat przychodzi się samemu i opuszcza go samemu. Tylko sposób się zmienia. Są tacy, którzy ostatnie pierdnięcie wydają w łóżku. Inni dostają swój bilet wśród drutów kolczastych na ziemi niczyjej. Są też idioci, którzy wolą zrobić to samemu. Ale nie trap się, Leutnancie, jeśli wierzyć pastorowi, a czemu nie, Jezus stoi przy wejściowym kołowrotku, by witać całą bandę, mają czy nie mają głowy na szyi.

- Wierzycie w Boga? - spytał Leutnant Ohlsen, z wzrokiem utkwionym prosto przed siebie.

- Czemu o tym myślisz?

- Powiedzieliście, że Bóg czeka na nas wszystkich.

- O tak, to może być prawda. Nie potrafię powiedzieć tak ani nie. Nigdy tam nie byłem, ale pastor zawsze mówi chłopakom, nim wykitują: - Módlmy się, a Jezus cię przyjmie. - A on przecież musi wiedzieć. To stary strażnik nieba z bezpośrednim telefonem do raju. Ten stary to świnią. Wyciera sobie spernę w sutannę. Zawsze się spuźnia. Nazywają go też „Hm-Miiller”, bo zawsze „Hm”. Pysk mu aż świeci, gdy się koło niego klęka na kamieniach podwórza. Coś mi świta, że musi dostawać jakieś wynagrodzenie za każdy raz, gdy kogoś namówi na modlitwę. Pewnikiem załatwia sobie lepsze miejsce w niebie.

- Będę się modlił wraz z pastorem - powiedział Leutnant Ohlsen.

- To fantastyczne! - zaśmiał się Stever - i nudne do podglądania przez judasza. A muszę to robić. Regulamin tego wymaga - wyjaśnił, boksując się z własnym cieniem. Bił wyimaginowanego przeciwnika. Jego podkute buty hałasowały, zgodnie z rytmem gry nóg. - Patrzę, by się upewnić, czy skazany nie dostał choroby więziennej i nie zaczął bić strażnika Jezusowego. A ty coś za jeden? Katolik czy coś innego?

- Jestem protestantem.

- Do licha, to znaczy, że przyjdzie stary. Katolicy nie mają tak dobrze.

- A co to za różnica? - spytał Leutnant Ohlsen.

- Kapelanów protestanckich mamy w dupie. To tylko kino. Pewnego razu zaprowadzono młodego kapelana do Emila Kamienne Serce. Upito go zupełnie, a potem podesłano mu dwie kurewki. A później zostawiono go na ulicy bez spodni. Oczywiście psy położyły na nim łapy. Teraz jest gdzieś na Wschodzie, jako piechociniec. Stary, aleśmy się ubawili. Nawet Emil Kamienne Serce, który nie umie się śmiać, wydawał dziwne dźwięki, gdy pastor zmył się w gaciach. Z księżmi, to jest całkiem inaczej. Staje się na baczność, nie ośmielając się robić burdelu. Nawet ten kryminalista Kiernoz się boi. Ci ojcaszkowie nie noszą odznaczeń. Tylko krucyfiks i koloratkę. Ojczulek patrzy na ciebie i łamiesz się. Prawie jesteś gotów uwierzyć, że Święta Maria jest obok niego. Masz dziwne myśli i zaczynasz się poważnie zastanawiać, czy nie powinienes od czasu do czasu zajrzeć do kościoła. Na przykład Kiernoz nie może znieść, gdy w pudle są katolicy. Nigdy nie zagląda do celi, gdy nasz katolicki ojczulek zajmuje się kimś, kto ma odbyć wielką podróż. A odchodząc, ksiądz zawsze mówi: - Niech cię Bóg błogosławi. To tak, jakby Bóg marzył o pobłogosławieniu Kiernoza. Henryk od SS będzie w niebie wcześniej niż Kiernoz. U protestantów to odbywa się też znacznie szybciej. Błyskawiczna modlitwa, trochę lektury z czarnej książeczki i na zakończenie psalm. Ale jeśli chcesz ze starego pożartować, zrobisz Kiernozowi przyjemność. On uwielbia to oglądać.

- Ale dla mnie to poważna sprawa - odpowiedział leutnant Ohlsen. Stever zatrzymał się w połowie udawanego uniku, tuż przed celą 19.

- Ach gówno, to też już słyszałem. Jesteś świętym, stary?

- To zależy - odparł Ohlsen wzruszając ramionami.

- To nie aż takie dziwne - stwierdził Stever, wracając do swej walki z cieniem. Wymierzył złośliwy cios od dołu, zgiął kolana i uderzył prostą z lewej ręki, która miała posłać wyobrażonego przeciwnika na deski.

- Rozumiem cię kolego Leutnancie, ty nie podejmujesz ryzyka. Niegłupie. Przerwał na chwilę swoje rozhukane boksowanie i uroczyście podniósł palec. Zawsze mówię, że trzeba zostawić sobie furtkę. Widziałem niemało wychodzących stąd, ale ani jednego powracającego. Nie można więc mieć pewności, czy nie istnieje w przedpokoju świętego Piotra instancja rewizyjna i tam człowieka ujebią, jeśli nie wierzył w Boga. Nikt ci nie każe być fanatykiem. Niedawno znalazłem Biblię u jednego załatwionego w piwnicy. Tu i tam brakowało kartek, które stary właściciel wydierał do podarcia. Ale przecież nikt nigdy nie mówił, że trzeba przeczytać wszystko. Zaglądałem tam parę razy na miesiąc, więc nie można mnie wywalić na mordę, że nigdy nie miałem Biblii w rękach. I dam słowo Jezusowi i tobie, że nigdy

nie obsobaczyłem księdza. Nawet nie tego, który tu był i którego powieszono na haku. To był proboszcz z pewnej parafii koło Lubeki, który zbyt szeroko otwierał dziób. Gdyby odrobinę bardziej trzymał stronę Hitlera niż Boga, ocaliłby skórę i nigdy by tu nie wylądował. Gdybym tylko był pewien, że Bóg istnieje... Nie możesz sobie nawet wyobrazić, Leutnancie, co bym zrobił dla ciebie, gdybyś mi dał choć mały znak, gdy już będziesz po tamtej stronie. Z pewnością przyjmą cię dobrze, gdy przyjdiesz z głową pod pachą. Szczególnie, jeśli poważnie uklęknieś z pastorem i gdy się pomodlisz.

- Ale w takim razie czemu sami tego nie robicie? Stever wrócił do boksowania i odpowiedział podczas wściekłego ataku.

- Wiele razy próbowałem. Nawet klęczałem przed pastorem, a on mi dał kroplę wina i kęs chleba, ale podczas tego wszystkiego powiedziałem sobie: Obergefreiter Stever, to oszukaństwo. Nie wątpię, że jeśli Bóg istnieje, musi mieć głupią minę czytając w moich myślach. Powiniennem ćwiczyć pozbycie się tego rodzaju wątpliwości, biorąc pod uwagę, że ta sprawa z piekłem nie jest aż tak pociągająca i oczywiście człowiek ze skóry wylazi, by dostać przydział tam, gdzie jest najlepiej. Nie zdziwiłbym się, gdybyś miał rację, a jeśli masz rację, to możesz mieć w dupie ich wszystkich, tych, którzy ci odetną makówkę. Dobry Bóg ci ją z powrotem przylutuje, gdy tylko znajdziesz się na górze. Kłaniam się głęboko twojej przezorności! We wszystkich tych sprawach z Bogiem lepiej być w porządku. Nigdy nie strzelałem do krucyfiksów. A wielu to robiło. Nigdy też nie zwędziłem niczego w kościele. Nawet pewnego razu taszczyłem mniszkę na moim motorze. Złamała sobie nogę. To było wtedy, gdyśmy toczyli wojnę we Francji. Tego rodzaju numery powinny być zapisane na dobrej stronie księgi rachunkowej Pana Boga, jak przypuszczam. Często sobie mówię: - Uważaj, Stever, wszyscy stoimy na pierwszym stopniu schodów. Często zdarza się, że protestanci, czekający swej kolejki, wyrzucają pastora Pana Boga za drzwi z wymyślanymi. Jakiś czas temu mieliśmy pewnego sapersa. Paskudnie kopnął pastora, który ocknął się dopiero po dwóch godzinach. To nie był ten stary. To był młody. Później Kiernoz i ja poszliśmy do tego kutasa. Bo mimo wszystko nie można spuścić lania pastrowi. Można później sobaczyć. Na to zgoda. Ale kopniak, gówno, co to, to nie! Dałem mu cholernie dużo uderzeń moją pałą w plecy, temu ochujałemu saperowi. A potem przywiązaliśmy go do grzejnika i włączyliśmy go. To był mój pomysł. Czuję się tak, jakby do tej kary wyznaczył mnie sam Bóg.

Saper dostał fiola. Od tej pory wszystko go śmieszyło. Pewnego dnia Kiernoz kopnął go w męskie części. Nawet to go rozśmieszyło, a gdy mu założono sznur na szyję, jeszcze bardziej się rozbawił. Esesman, który go zepchnął z platformy zrobił się całkiem dziwny i odmówił dalszej służby. Teraz znajduje się w celi 38, czekając na kulkę. Widzisz! To wszystko się zdarzyło, ponieważ ten saperski kutas dał kopniaka pastrowi.

Tuż przed zamknięciem drzwi do celi Stever dodał coś pocieszającym tonem.

- Nie bój się, dziś nic się nie wydarzy. Pniaka jeszcze nie zamontowano.

Główny operator jeszcze nie przybył. Musi cię najpierw obejrzeć, aby wykalkulować swe uderzenie toporem. Bo to trzeba starannie obliczyć. Przyjdzie też pastor, a major złoży ci wizytę. To wszystko wymaga czasu. Teraz dostaniesz kołdrę i materac. Masz

do nich prawo jako kandydat do nieba. Będziesz też miał lepsze wyżywienie. Gdy o tym myślę, zanim odejdę, Leutnancie, czy nie będzie cię krępować, jeśli powiem Kiernozowi, że chcesz uklęknąć i pomodlić się z „człowiekiem od Jezusa”? On to uwielbia, a tu w pudle nie mamy aż tak wielu przyjemności. Ty to rozumiesz. A do tego Kiernoz ma śmiertelnego pietra przed Pięknym Paulem. Uważał, że zezwolenie na odwiedzin twoich przyjaciół jest fałszywe i wywołał prawdziwą błotną lawinę.

- Chętnie się zgadzam - odparł zmęczony Leutnant Ohlsen.

- To klawo! - roześmiał się Stever. - Zrobiłbym to i tak, ale to cholernie

sympatyczne, że się zgodziłeś.

Leutnant Ohlsen rozpoczął swój stały spacer. Pięć kroków w jednym kierunku i pięć w drugim. Godzina po godzinie. Usłyszał bicie zegara na koszarach. Policzył, ile razy bije. Rozległo się sześć uderzeń. Za cztery minuty może zacząć oczekiwać na kata. Moralnie już przestał istnieć. Mogą z nim zrobić, co zechcą.

Przez całą noc słuchał bicia zegara. Jakże długa potrafi być noc, gdy oczekuje się wieczności, podczas gdy na zewnątrz bije zegar: - pół godziny - godzina - pół godziny - godzina. Słyszał kroki wartownika przed aresztem. Przypatrzył się żarówce, która paliła się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Nazajutrz odbył spacer. Wszystko było jak zwykle. Zaczynało się od początku na nowo. W tym samym rytmie. Jeszcze i jeszcze. Przeszła ze śpiewem kompania rekrutów. Młode głosy. Młode? Czy on kiedykolwiek był młody? Dawno o tym zapomniał podczas ostatnich pięciu dni. Słyszał, jak dzwoni tramwaj, przejeżdżając przez zwrotnicę.

Chodził w kółko z czternastoma innymi. Wszyscy z czerwoną odznaką na piersi. Odznaką oznaczającą „skazany na śmierć”. Ci, którzy mieli zieloną krechę na czerwieni, mieli zostać powieszani. Ci z krechą białą rozstrzelani. Byli też tacy z czarnym kołem po środku. Ci zostali skazani na ścięcie. On sam i pewien Oberleutnant.

Stever znajdował się na progu aresztu i gwizdał sobie obojętnie. Męczył melodię taneczną, usłyszaną w „Ziilertai”. Jednym palcem wybijał rytm na kolbie swego peemu.

Du hast Glick den Frauen, bel and...

Następnie zmienił melodię i zanucił: Liebe Kameraden, heute sind wir rot, morgen sind wir tot.

Więźniowie dreptali truchtem idąc gęsiego. W odległości co trzy kroki. Dłonie złożone na karku. Wszelkie komunikowanie się między sobą było surowo zakazane. Nagle Stever zrobił się bardzo aktywny. Wyprostował się, przycisnął peem do ramienia i wrzasnął chrapliwie:

- Ruszać się, bando mokrych worków! Zechciejcie łaskawie tańczyć!

Najbliższego więźnia uderzył pałką. - Maszerować, maszerować, bando połamańców!

Więźniowie zaczęli biec. Paru zbliżyło się trochę za blisko.

- Odległość, bagieni Germanie! - krzyczał Stever. - To nie jest przyjacielskie spotkanie! - Uderzył dwóch więźniów po głowach ołowianą gałką swej pałki. - Trzy metry odległości, albo kości wam połamię!

Więźniowie biegli szybko, lecz zachowując odległość. Nikt nie chciał dostać

ciężką, ołowianą gałką w kark.

- W nogę, w nogę, panowie. Jeszcze długa droga przed wami. Czuję, że moim obowiązkiem jest wytrenować was do powrotu. Kto wie, może zostaniecie ułaskawieni i przeniesieni do pułku karnego.

Więźniowie podnieśli głowy, by lepiej słyszeć. W ich prawie zgaszonych oczach zapaliła się nadzieja. Czy Stever słyszał, jak o czymś mówiono?

Ułaskawienie? Pułk karny? Dla tych skazańców piekło pułku karnego było rajem. Żołnierzy tak bardzo brakowało, że być może nie można już sobie pozwolić na egzekucje. Z żołnierzy dotychczas straconych można by utworzyć dwie albo trzy dywizje.

Stever pukał się pałką w but, bawił się bezpiecznikiem swego pistoletu maszynowego. Śmiał się głośno, jakby umiał odczytywać myśli skazanych.

- To by was dobrze urządziło: wyładować w pułku karnym. Ale przede wszystkim nie róbcie sobie złudzeń. Nie weźmiecie udziału w święcie zwycięstwa. Mogę wam się zwierzyć, że właśnie kupują wasze ostatnie oleje w drogerii przy David-strasse. Nikt nie ma chęci marnować na was olejów świętych. - Zwrócił się do wartownika na murze: - Czy nieprawda, Braun?

- To zupełna prawda - mruknął Gefreiter Braun.

- Dostaniecie olej, który zostaje na zębach, olej do karabinów - zaśmiewał się Stever.

Pojawił się Kiernoz. Stał obok Stevera.

- Ścisnąć tyłki! - ryknął. Zakręcił swoją laseczką dowódcy w taki sposób, że trafił jednego z więźniów w kark. - Półtrupie - zawołał - otworzyłeś gębę, odnieś mi moją laskę!

Więzień, Oberleutnant z białą krechą na czerwonej odznace, wyszedł z szeregu, podniósł laseczkę i podbiegł do Kiernoza.

Kiernoz jeszcze parę razy uderzył go w kark.

- Jesteś gnojem - stwierdził. Stever zaśmiał się.

- Maszerujcie, maszerujcie, bando „Germanów z Nieba” - krzyczał - szybciej, szybciej! Wleczecie się jak emerytowany burdel!

Kiernoz z rezygnacją potrząsnął głową.

- Nie, nie, Obergefreiter, to nie tak. Przypatrzcie mi się dobrze, to się czegoś nauczycie. - Przeszedł na środek podwórza, zakręcił swą długą pałeczką dowódcy ponad głową, otworzył i zamknął usta, jakby chciał wypróbować ich mechanizm. A potem z jego gardła wydarł się ryk.

- Więźniowie, w dwójki w prawo zwrot! Więźniowie wykonali komendę. Kiernoz zgiął kolana patrząc, czy ktokolwiek poruszył się. Dobrze się czuł.

Dla Prusaka było to wspaniałe. Stabsfeldwebel, to był najlepszy z możliwych stopni wojskowych. Nigdy by go nie zamienił, nawet na generalski. Asystował przy egzekucjach wojskowych wszelkich stopni. Z wyjątkiem Stabsfeldwebli. Nigdy nie słyszał, by coś takiego się zdarzyło. Nagle pomyślał o zezwoleniu na odwiedziny i ciarki przeszły mu po grzbiecie. Wtedy z pewnością nic się nie stało. Piękny Paul miał na pewno ważniejsze sprawy na głowie. Wstrząsnął się, by się pozbyć niemiłych myśli i zebrał całą energię by pokazać Steverowi, jak zachowuje się Stabsfeldwebel.

- Oddział więźniów, kolumna marszowa, naprzód marsz! Baczość, na prawo patrz!

Stever śmiał się. Wartownik na murze śmiał się. Kiernoz nadał się z dumą.

Nie istniało nic, czego nie mógłby zrobić. Zakomenderował marsz paradnym krokiem. Nawet trzęsienie ziemi nie mogłoby zakłócić porządku tego marszu. Jeden z więźniów zemdłał. Kiernoz nie raczył tego zauważyć. Pozwolił

czternastu ludziom deptać leżącego. Cztery razy powtórzył ten żart.

Następnie przekazał dowodzenie Obergefreiterowi Steverowi. W drzwiach odwrócił się nieco.

- Obergefreiter, jeśli ten typ nie obudzi się przed końcem spaceru, walcie po łepetynie.

Stever trzy razy strzelił obcasami.

- jawohl, Herr Stabsfeldwebel.

Ku nieopisanemu rozczarowaniu Stevera więzień obudził się pod koniec spaceru. Wymiotował krwią.

- Zmokła kura - zadrwił Stever. - Ale to jest gówno - pomyślał. - Kiernoz posunął się za daleko. To może rozwalić ten burdel.

Był to więzień Gestapo. Mogło to doprowadzić do niemiłych dochodzeń,

gdyby więzień zmarł przed egzekucją. Piękny Paul był w takich sprawach bardzo

drobiazgowy. Słyszał, że Piękny Paul za taką bagatelkę wysłał w drogę cały personel

aresztu garnizonowego w Lubece. A Kiernoz już zrobił głupstwo z tym przeklętym

zezwoleciem na odwiedziny. Nigdy nie można wiedzieć, do czego to doprowadzi.

Zdarzało się u Prusaków, że jakiś Obergefreiter wyrastał na nieoczekiwaną wielkość

W tym społeczeństwie nic nie było niemożliwe.

Stever rozradował się do głębi duszy na tę myśl Tak był uradowany, że

poklepał któregoś więźnia po ramieniu i po cichu dał mu papierosa. Zrobiłby

wszystko, aby nie zapoznać się bliżej ze wschodnim frontem. Dalekich podróży

serdecznie nie lubił. Należał do gatunku ludzi zasiedziałych w jednym miejscu. Następnej niedzieli

Leutnant Ohlsen usłyszał stukanie młotkiem na

dzieńcu.

W parę godzin później Obergefreiter Stever wszedł do jego celi. Starannie

ostukał pałką kraty w oknie.

- Wolę sprawdzić, czy ich nie piłujesz. To byłby dla nas paskudny kawał, gdybyś w ostatniej minucie dał dyla.

- Czy komuś już się kiedyś udało? - spytał Leutnant Ohlsen.

- Jeszcze nie, ale wszystko ma swój początek. Ja, jeśli to się nie zdarzy u nas,

olewam to. Nawet nie przeszkodziłbym ci wyskoczyć, gdybym nie był na tym

samym korytarzu. Raz jeden znalazłem się wobec takiego, który próbował. Zanim tu

skończył, grał w drużynie piłki nożnej Armii. Pokłusował zygzakiem przez pole, ale

to mu nie pomogło. Wsadziłem mu w kręgosłup dwie pestki z mojego 08. Został

sparaliżowany, a ten idiota miał jeszcze tylko sześć tygodni do odsiedzenia. Miał

pozwolenie na rąbanie drzewa z paru innymi. Nikt nie wyobrażał sobie, że będzie

próbował się zmyć. Przecież lepiej było rąbać drzewo u nas, niż wlec się w kompanii

marszowej. Ale nagle zachciało mu się dać dyla i to w samym środku historyjki o

dupie, którą opowiadałem.

- Dłaczego? - zapytał Leutnant Ohlsen.

- Choroba więzienna - wyjaśnił Stever z przekonaniem fachowca. - To spada jak grom z jasnego nieba. Od tej pory mówię sobie, że wszyscy chcą się urwać. Nie jestem nawet pewien samego siebie. Często muszę sobie mówić: - Stever, nie rób głupstw.

- Przecież nie macie żadnego powodu, by dać dyla - zauważył Leutnant Ohlsen.

- Nigdy nic nie wiadomo. To taka myśl, która może najść każdego noszącego mundur. Prawda jest taka, że w wojsku ma się za dużo godzin nudy. Kiedy człowiek się wkurza, nachodzą go dziwne myśli. Nikt nie chce się zmywać przy najcięższej robocie. Zawsze myśli się, by wysiąść z pociągu, gdy człowiek się najbardziej nudzi, a tu w pierdłu wkurwia się najbardziej.

- No to poszukajcie sobie czegoś innego - zaproponował Leutnant Ohlsen.

- Myślisz, że mi odbiło? Wiem, co mnie czeka, jeśli będę się starał stąd odejść, z tego pudła. Zgłaszam powrót do pułku i w dwa dni później jestem w kompanii marszowej i nawet nie mrugnawszy okiem znajduję się w okopie na Wschodzie. Nie mam zamiaru narażać swej skóry dla Adolfa. Mam w dupie, że po wojnie nie będę traktowany jak bohater i mam ochotę wrócić do domu nie zobaczywszy nawet jednego uzbrojonego Iwana. Być może zostanę tu szefem. Ja tu jestem najstarszy, tuż po Kiernozie. Coś niecoś wiem na temat nauki więziennej. Wiem wszystko. Pokaż mi takiego, kto potrafi otworzyć drzwi aresztu szybciej niż ja. Moimi podkutymi butami piechoty potrafię robić dokładnie tyle hałasu, co kot, który założył sobie aksamitne poduszki pod łapy. Moją pałką potrafię złamać nogę dowolnemu więźniowi. Posługuję się moim 08 lepiej niż teksański kowboj. W jednej chwili zakładam kajdanki na najgrubsze przeguby. Nawet zanim rano podniosę dupę z łóżka, już wiem, czy w którejś celi jest coś ukrytego. To się nazywa instynkt. - Zapalił papierosa i podał go Leutnantowi Ohlsenowi - Trzymaj go ukrytego w dłoni, żeby nie było widać. Obergefreiter Stever jest fajnym chłopem, który nie obawia się ryzykować dla kogoś, kto wybiera się w wielką podróż - kciukiem pokazał nad ramieniem dziedziniec.

- Słyszysz? Stukają. Założę się, o co chcesz, że nie zgadniesz, co tam wyrabiają.

- Spojrzał z ukosa na Leutnanta Ohlsena, który zmęczony oparł się o ścianę.

- Wiesz, co robią? - Stever roześmiał się i nie czekając na odpowiedź zrobił znaczący gest wokół szyi.

- To ława rzeźnika dla ciebie i dziesięciu innych, to właśnie budują. To robota facetów z ulubionej kompanii pułku saperów. Dostaliśmy też pudła podróżne. Nie są złe, ale nie zostały pomalowane. Przyszły też kosze na wasze głowy. Odjedziecie wszyscy równocześnie dla oszczędności czasu. Kierownik operacji przybywa z Berlina i nie warto, aby robił zbędne podróże. Koła toczą się dla zwycięstwa. Krew odpłynęła z twarzy Leutnanta Ohlsena.

- Budują szafot? No to szybko skończą.

- Nie, nie, nic podobnego. Na to nigdy nie można liczyć. Pewnego razu upłynęły dwa miesiące, nim ława rzeźnika była gotowa. SD i Sąd Wojenny nie mogli się pogodzić. Sąd Wojenny chciał facia ułaskawić, a SD się nie zgadzało. Gównem sięgnęło góry aż do Generała-Feldmarszałka Keitla. Ale wtedy Piękny Paul dostał jednego ze swych ataków złości i uruchomił Heydricha od SD. Keitel się przestraszył, a generał utracił głowę u nas w celi. A propos, siedział w twojej celi.

Zawsze się ją rezerwuje dla tych, którzy mają miejsce podane ekspresem.

- Więc wiecie jeszcze przed rozprawą co się stanie?

- To co właśnie miałem ci powiedzieć, jest Gekados. Coś, czego w ogóle nie powinieneś wiedzieć. Założę się o cokolwiek, że nie będziesz na mszy w przyszłą niedzielę. W godzinę po tym, gdy jakiś chłop znajduje się u nas z oznaczeniem V.G. albo S.G. w papierach, wiadomo, co go spotka. To jest taki mały znaczek na lewo u dołu papierka o zatrzymaniu. Na przykład małe „k” oznacza Konzentrationslager. Sędzia ma to na swojej kopii i byłoby dla niego bardzo niezdrowo, gdyby nie wyrokował tak, jak chce Gestapo. Nasze trybunały absolutnie nie znają słowa „uniewinniony”. Gestapo nigdy się nie myli. Jeśli kogoś wsadzają do więzienia śledczego, jest winien. - Stever zaśmiał się.

- W przypadku nieprzyjacielskiej okupacji nikt nie zdoła odnaleźć naszych rozkazów. Wszystko, co na piśmie, zostaje zniszczone. Nawet kalka z kosza. Wszystkie nasze Gekados idą z dymem. Nasi przeciwnicy wiele się nie dowiedzą. Jeśli wpadnę im w łapy, wiem na pamięć, co im powiem. Zrobiłem wraz z Kiernozem kilka prób generalnych. Jestem zaledwie Obergefreiterem. Nie wiem ni cholery. Wszystko, co robiłem, było na rozkaz. I zobaczysz, leutnancie, wezmą mnie do siebie jako Obergefreitera, ci wrogowie. Należę do typów rozsądnych. Olewam, kogo mam kopać w dupę. Jeśli dostaję żołądek regularnie co dziesięć dni, aby móc sobie przygruchać ładną kurewkę, to jestem daltonistą, więc nie widzę, czy różne sztandary polityczne mi pasują, czy nie. Dziś w nocy każę sobie jedną przysłać. Jej chłop jest w Rosji. Ma czym oddychać, a do tego cipę ogoloną po francusku. Lubię to. Na początek zawsze na mnie siada, a potem kręci się jak zwariowany młynek. Następnie jest moja kolej. Ciągnę ją za cycki i skaczę na nią jak hiszpański byk, który od czterech lat nie widział krowy. Ona wrzeszczy i wyje. Ostatnim razem mnie ugryzła. Robi mostek, wygięta w łuk.

Jestem rozpustnikiem i lubię szczególne wyrafinowanie. Robić to po misjonarsku, przy zgaszonym świetle, z zaciągniętymi storami i pod kołdrą jak w Biblii. To mi nic nie mówi. Chciałbym robić wszystko we wszystkich językach. To się nazywa francuska miłość, bo w Paryżu robią to chętniej niż my. Cudzołóstwo, to musi być przyjemność. Przejdź się leutnancie po wielkiej, eleganckiej ulicy. I co tam widzisz? Sklepiki sprzedające cukier, kapustę, ziemniaki i torby plastikowe? Zero. Wszystko co widzisz, to damskie figi we wszystkich kolorach i szykowne pończochy. Święte, profesjonalne łaszki do grzeszenia. Na tym świecie wszystko jest dla dup. Maszerujesz na dnie twego czołgu. Przylepiają ci Krzyż Żelazny do piersi. Jedziesz na propusk do Berlina. Dziewczyny oblizują się na Krzyż Żelazny. Będziesz miał cipek po uszy. Ten Krzyż Żelazny powinni nazwać magnesem na dupy. Tylko dwie rzeczy się liczą: kasa, dużo kasy, albo odznaczenia niełatwe do dostania. Odznaczenia tak wysokie, że łowcy ludzi ich się boją. Wszystko bym oddał za Krzyż Rycerski, leutnancie. Pokaż mi choć jednego pięknego króla. Nie zdołasz, a przecież on ma wszystko, czego mu się zachce. Dlatego, że jest królem? Nie. Cały sekret to blachy, które nosi na piersi. Wszyscy za nimi gonią. To jest magnes. Widziałeś już maszynę do rozdawania odznaczeń? Da-de-di-dum. Da-de-didum. To lepsze niż karta wejścia do burdelu. Dobra, zmywam się. - Trzasnął drzwiami i znikł w korytarzu.

W poniedziałek rano komendant, major von Rotenhausen, przyszedł odczytać

wyrok. Kręcił się nerwowo podczas całej lektury, jakby chciał pójść do wucetu i miał trudności z utrzymaniem moczu. Obok niego trzymali się Stever i Kiernoz, z pistoletami maszynowymi na ramieniu. Major Rotenhausen nigdy się nie narażał. Na krótko przed południem jakieś oko obserwowało Ohlsena długo i z natężeniem przez judasza. Brązowe, mrugające oko, pod brwiami pospolitego koloru. Przez ponad dziesięć minut oko pozostawało przyklejone do szybki. Spojrzenie zgłodniałego wilkołaka.

W godzinę później Stever miał obchód.

- Obejrzał cię główny operator. Jego trzy topory nadeszły. Chcesz je obejrzyć? Robią wrażenie, błyszczące, tnące. W porównaniu z nimi brzytwa wygląda na stępioną. Są w celi przejściowej we wspaniałych pokrowcach z żółtej skóry i mają złote orły na rękojeściach. Sęp próbował nimi machać. Bardzo chętnie spróbowałby komuś uciąć głowę. Ja niczego nie chcę. Te rzeczy przynoszą nieszczęście. Jak tam jest napisane w książce Boga? Ten, kto wali w czachę drugiego, otrzyma takie same uderzenia. I nie widzę powodu dlaczego miałbym być przeciw czemuś, co jest święte.

- Pastor jeszcze nie przyszedł - wyszeptał Leutnant Ohlsen. - Nic nie może się wydarzyć przed jego przyjściem.

- Nie obawiaj się. Przyjdzie. U Prusaków wszystko jest w porządku. Nikt nie jest tak nieludzki, by wysyłać kogoś do nieba nie oczyściwszy przed tym drogi. Ale on się jeszcze nie zjawił. Zawsze przedtem telefonuje i trzeba poczekać dwie godziny nim się pojawi. W tej chwili odprawia nabożeństwo dla odjeżdżającej kompanii marszowej. Podczas wojny pastorowie i chirurdzy zawsze mają masę roboty. W czasie pokoju nie są tacy ważni.

Wieczorem usłyszano krzyk. Długi i niski. Obudził cały garnizon.

Wartownicy klęli i wymyślali.

Wkrótce potem nadszedł Kiernoz. Dały się słyszeć odgłosy uderzeń. Krzyk ucichł i oczekiwana, straszliwa cisza powróciła do garnizonu.

Pastor przyszedł we wtorek o 10.30 rano. Mały, przygnębiony człowieczek z wielkimi, naiwnymi, niebieskimi oczami i drżącymi ustami. Cały czas ciekło mu z nosa, który ocierał rękawem sutanny. Przyniósł składany ołtarz, który zmontował z pomocą Leutnanta Ohlsena. Ze zniszczonej walizeczki wyciągnął figurkę Jezusa z pozłacanej masy tekturowej. Korona cierniowa złamała się, ale zreperował uszkodzenia odrobiną śliny. Były także dwa bukiety sztucznych kwiatów, owinięte w bibułkę. Zapomniał swej Biblii i musiał pożyczyć od leutnanta Ohlsena, należąca do inwentarza celi.

Gdy wszystko znalazło się na miejscu, wyglądało milutko. Kiernoz przykleił oko do judasza. Przyciszonym głosem informował Stevera, który kręcił się obok, o wszystkim, co się dzieje.

- Teraz daje mu przyłepkę chleba i łyka - zameldował Kiernoz. - Nie rozumiem, dlaczego to jest dozwolone. Jest napisane w regulaminie więziennym, strona 216, wiersz 3, że konsumpcja napojów alkoholowych jest zakazana, a on sam też sobie wlewa na boku. To głupie, to wszystko czego nie należy widzieć. Patrz, Stever, zaczyna się. Stary go błogosławi. Podnosi łapy tak wysoko, że prawie dotyka sufitu.

Niewyraźnie usłyszeli, że pastor mówi coś półgłosem. Kiernoz roześmiał się.

- Ależ burdel, nie zdziwiłbym się, gdyby anioł przeszedł przez ścianę.

Popukał w ciężką kaburę swego pistoletu. - Mój Boże, jeśli to nastąpi, będę wiedział jak go przyjąć. Ja, Haupt und Stabsfeldwebel Stahlschmidt, nie zniosę żadnego naruszenia mojego aresztu. Nauczy się kto to ja, ten anioł Boży.

To rozumiałe, Herr Stabsfeldwebel - chciał już powiedzieć Stever. Kiernoz podniecał się aż do wybuchu złości.

- Bóg, anioł czy cokolwiek, jeśli przyjdzie jakąkolwiek inną drogą niż regulaminowa, bez przepustki podpisanej przez sędziego, będzie miał ze mną do czynienia. U mnie panuje dyscyplina i porządek. Nic wspólnego z rajskim chaosem. Obergefreiter, teraz oni klękają. Ale jaja, co za przedstawienie!

Na trzy sekundy oddał judasza Steverowi. Ten aż zagdakał z rozkoszy. W środku wspaniale udzielano sakramentu. Czegoś takiego nie widywano codziennie. Kiernoz brutalnie go odepchnął i wrócił na swe miejsce w pierwszym rzędzie.

- Dobra, zrobione. Teraz siedzą na łóżku i trzymają się za ręce. Stary chlipie. Zabawni bohaterowie.

- A dlaczego ten wojownik nieba płacze? - spytał Stever. - To nie jego się ogoli. Kiernoz wzruszył ramionami. Nie bardzo wiedział co odpowiedzieć, ale po krótkim namyśle doszedł do oczywistego wniosku, że trzeba było dać dowód smutku, gdy jest się pastorem i pomaga się komuś, kto ma iść na egzekucję. Stever zgodził się z nim. W takiej sytuacji należy płakać.

Kiernoz zrobił kilka głośnych kroków po korytarzu. A potem kciukiem wskazał zamknięte drzwi celi.

- Nas dwóch nigdy by to nie spotkało - stwierdził.

Stever nie odpowiedział. Pomysł skontaktowania się z Gestapo bez przerwy kręcił mu się po głowie. Z namysłem popatrzył na szyję Kiernoza i zgodził się sam ze sobą, że potrzeba by doprawdy wielkiego uderzenia, by odrąbać głowę temu kurewskiemu bykowi. Był to najgrubszy człowiek, jakiego w życiu widział. Nie do wiary, że w więzieniu można się tak utuczyć i stać się tak odrażającym!

- Na co się tak gapicie? - zapytał Kiernoz.

- Na szyję Herr Stabsfeldwebla - odrzekł bez zastanowienia Stever. Kiernoz dotknął szyi.

- Moją szyję? - mruknął w zamyśleniu. - A co z nią jest, z tą moją szyją? - jest mocna, Herr Stabsfeldl.

- Bardzo słusznie, Stever. To jest podoficerska szyja. Nie można jej odciąć ot tak sobie.

- Topór jest dobrze naostrzony, Herr Stabsfeld.

- Do kurwy nędzy, co was wzięło, Stever? Macie cykora? Dziwne rzeczy chodzą wam po głowie. Czy nie powinniście pójść do psychiatry? - Nie zdołał rozluźnić języka, by wymówić „p”. - Myślałem, że pewnego dnia będzie z was Unteroffizier, ale z takimi chorobliwymi myślami to niemożliwe. A może jesteście pijani, Stever? Wobec tego wam wybaczam. Powinniście wiedzieć, że nigdy nie skazuje się na śmierć Stabsfeldwebli. Są kręgosłupem społeczeństwa, kurwa mać! Gdybyśmy my Stabsfeldweble zrobili strajk, wtedy mleko by się wylało. Wszystko by się zawaliło jak domek z kart: Adolf, Hermann, Heinrich, Joseph, mogliby się rzucić na ziemię i walić głowami o podłogę. Nigdy o tym nie zapomnij. - Kiernoz

głośno tupnął prawą nogą i przypatrzył się Steverowi. - Zrozumiano, Obergefreiter?

- Zrozumiano, Herr Stabsfeldwebel - wrzasnął Stever, myśląc równocześnie:

Jeszcze wszystkiego nie wiesz, gruby wieprzu. Zostanę więcej niż Unteroffizierem.

Nadejdzie dzień, gdy to ja będę cię tu miał zamkniętego, a ty będziesz skakał, by tracić tłuszcz.

Kiernoz skierował się hałaśliwie do swej nory, zadowolony z siebie. Podczas popołudniowego spaceru Stever i Braun rewidowali cele. Braun te z

prawej strony korytarza, Stever z lewej.

W celi 33 u skazanego na śmierć Obersta Braun znalazł ukrytą pod materacem kromkę czarnego chleba. W celi 34 Stever skonfiskował dwucentymetrowy niedopałek. W sąsiedniej kawałek ołówka.

Wszystko znalezione wkładali do wielkiej białej koperty. Stever w duchu nie posiadał się z radości. To było jego ulubione zajęcie. Pewną odmianę zabawy w „zimno-gorąco”. Później więźniowie zostaną

ukarani wedle rytuału Kiernoza.

Stever kończył ostatnią celę, gdy odgwizdano powrót ze spaceru. Leutnant Ohlsen zatrzymał się zdziwiony na chwilę w drzwiach swej celi i

przyglądał się straszliwemu bałaganowi, pozostawionemu przez Stevera. Wtedy

pospiesznie podbiegł do materaca i zaczął go gorączkowo przeszukiwać. Popłakiwał. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Wszedł Stever. W zębach trzymał małą, żółtą

pigułkę.

- Nie tego przypadkiem szukasz? - spytał, uśmiechając się z zaciśniętymi zębami.

Leutnant Ohlsen zrobił kilka kroków do przodu. Pałka Stevera świsnęła w powietrzu i trafiła go prosto w kolano. Wydał okrzyk bólu.

- Więzień powinien stać na baczność, gdy strażnik wchodzi do celi

przypomniał Stever, nie przestając się uśmiechać. - Jeśli tego nie robisz, mamy prawo

użyć pałki. Po to ją mamy. Muszę powiedzieć, że dobrze to sobie obliczyłeś. Połknąć

to świństwo tuż przed operacją. Jak możesz mieć odwagę, by to zrobić? Wszystkie

starania jakie robimy, a potem nas oszukać? Ale pomyliłeś się co do mnie. Od dawna

nie miałem wątpliwości, że masz jakąś sztuczkę. Byłeś zbyt spokojny. Mam

doświadczenie w tych sprawach. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie miałbym krzywe

kluski, gdybyś wziął tę pigułkę? Są tacy, co myślą, że Stever nic nie widzi, ale ja

nawet w dupie mam radar. Regulamin znam na pamięć. Znam na pamięć wszystkie

zarządzenia Dowództwa Armii. Po to nas nauczono w szkole czytać. Można by

korzystać ze mnie jako z żywego biuletynu Dowództwa Armii. W jednym tomie, jak

w bibliotekach. Jeśli jakaś sprawa wygląda mi trochę podejrzanie, zawsze żądam

rozkazu na piśmie. Jeśli pewnego dnia powiedzą mi: - Stever, popełniście

morderstwo! - roześmieję im się w nos i pokażę pisemny rozkaz, mówiąc: - Pudło! To

tego, który podpisał, powinniście powiesić. Jestem tylko niewolnikiem, trzymającym

się regulaminu, a nie ja pisałem regulamin. Teraz mam twoją pigułkę Leutnancie i

jestem zmuszony ją zatrzymać, bo jak nie, to Sąd Wojenny. W taki czy inny sposób

oni chcą zobaczyć krew, ale moja nie popłynie. Zrobimy więc tak: ty nigdy nie miałeś

tej pigułki. To by poruszyło za wiele gówna. Dam ją szaremu kotu. Podrapał mnie

wczoraj, gdy chciałem go pogłaskać. Ciekaw jestem jak to będzie działać. Leutnant Ohlsen płakał.

Łzy spływały mu po policzkach. Pigułka była jego

atutem. Podtrzymała go na duchu. Wystarczyła myśl, że on sam zdecyduje, kiedy ma nadejść ta chwila. Teraz gorzko żałował, że nie wziął jej dawno temu. To był błąd oczekiwać, że w ostatniej chwili zostanie ułaskawiony.

- Dajcie mi ją - wyjąkał. - Dajcie mi ją, Stever.

- To nie przejdzie - odparł Stever kręcąc głową. - Musisz stosować się do regulaminu i mogę cię pocieszyć: to idzie bardzo szybko. Gdy tylko znajdziesz się na pniaku, idzie tak szybko, że z niczego nie zdasz sobie sprawy. - Poszukał w kieszeni i wyciągnął z niej list. - Tu mam coś dla ciebie, ale zwracam ci uwagę, że możesz mi za to podziękować.

- Przecież list nie może być niebezpieczny - odparł zniechęcony Leutnant Ohlsen.

- Nie? Ale major i Kiernoz są innego zdania. Atrament może być zatruty. W Monachium mieli taką aferę. To było w tej sprawie studentów. Jeden z facetów nie zdołał umrzeć. - Trucizna - powiedział konował. Łeb sobie łamali, by się dowiedzieć, w jaki sposób tamten dostał truciznę. I nagle jakiś bystrzak w Kripo pomyślał o listach, jakie dostali więźniowie. Wysłał całe to łajno do laboratorium i znaleziono truciznę w atramencie. Wtedy młynek zaczął się kręcić. Aresztowano tego, który pisał listy. Zginął na szafocie wraz z innymi. Od tej chwili, gdy na drzwiach celi jest czerwone kółko, listy są tabu. Ale Obergefreiter Stever ma dobre serce. Wszyscy jesteśmy ludźmi. Przeczytaj list, póki tu jestem. Ale uprzedzam cię: jeśli podniesiesz go do pyska, dostaniesz kopa w podwozie.

Leutnant Ohlsen szybko przeczytał kilka linijek listu. Był od Starego. Stever odebrał list i spokojnie zaczął go czytać.

- Alfred, o którym mówi twój kumpel, to ten z bliźną?

Leutnant Ohlsen skinął twierdząco głową.

- Nie znoszę tego typu. Nie chciałbym nawet mieć go tutaj. Coś mi mówi, że on ostrzy na mnie zęby, a przecież robię tylko to, co mi każą. Mógłbyś oddać mi przysługę. Leutnancie, napisz kilka słów polecających na odwrocie tego listu, Na przykład: - Obergefreiter Stever jest dobrym chłopem, który dobrze się mną zajmował. Robi tylko to, co mu każą. - I możesz zakończyć na przykład przez PS: To przyjaciel więźniów. - Podpis, nazwisko i stopień.

Wtedy to będzie oficjalne. - Stever położył list przed Leutnantem i podał mu kopiowy ołówek.

- Najpierw udowodnijcie, że jesteście przyjacielem więźniów, Stever, to napiszę.

- Zgoda - zaśmiał się Stever. - Co chcesz?

- Pigułkę.

- Masz nierówno pod sufitem, Leutnancie, jeśli kopniesz w kalendarz, postawią mnie pod murem.

- To wy decydujecie, Stever. Ale tym ludziom nie uciekniecie. Na waszym miejscu nosiłbym stalowy kołnierzyk.

Stever się wstrząsnął.

- Nie ośmielę się dać ci pigułki, Leutnancie, ale myślę, że to może być pomysł na wydostanie się stąd.

Po Leutnanta Ohlsena przyszli tuż po wieczornym posiłku. Na dziedzińcu

przeszli przez suterene. Przed nimi szedł pastor, odmawiając modlitwę. Wyszli na trzecie podwórze, otoczone budynkami więziennymi. Tam nie docierały obce spojrzenia, Szafot był z surowego drewna.

Na platformie znajdował się kat i jego dwaj pomocnicy, ubrani w surduty, jedwabne cylindry i białe rękawiczki.

Inny skazaniec, który miał zostać ścięty, przybył na krótko przed Leutnantem Ohlsenem. Poniżej szafotu stali szeregiem członkowie Sądu Wojennego oraz oficerowie. Jeden z członków Sądu Wojennego odczytał wyrok. Nikt z przytomnych nie mógł zrozumieć jego mruczenia. Był to człowiek umiejący panować nad sobą. Uczył się tej sztuki przez pięć lat. W innych czasach byłby światłym człowiekiem kultury.

Komendant aresztu upewnił się co do tożsamości skazanych.

Zbliżył się pierwszy pomocnik kata i zdegradował dwóch ludzi, obcinając im epolety.

Leutnant Ohlsen był ostatni. Towarzysz jego męki wspiął się po schodkach.

Pastor modlił się o zbawienie jego duszy. Dwaj asystenci przywiązali skazańca.

Pochylnia szafotu opadła do poziomu.

Kat uniósł topór. Ostrze w kształcie półksiężyca zabłysło w promieniach zachodzącego słońca. Mocnym głosem kat wykrzyknął:

- Za fuhrera, Rzeszę i istnienie Narodu Niemieckiego!

Topór opadł i przeciął szyję leżącego człowieka z odgłosem pluśnięcia. Krótki charkot, który zdawał się dochodzić z tułowia bez głowy, odbił się echem od murów więziennych. Odcięta głowa stoczyła się do kosza. Ciało jeszcze drgało. Z otwartej szyi krew pociekła dwoma strumykami.

Dwaj pomocnicy kata zrećcznie zsunęli ciało do jednej z sosnowych trumien.

Głowę umieszczono między nogami.

Oberkriegsgerichtsrat dr Jeckstadt powoli zapalił papierosa i zwrócił się do swego kolegi, dr. Beckmanna.

- Można mówić, co się chce o tych dekapitacjach, ale są one skuteczne, szybkie i łatwe.

- Obawiam się ich - rzekł jakiś Rittmeister, który mimo woli usłyszał, co zostało powiedziane.

- Musi być dziwnym uczuciem zostać przywiązanym do tej pochylni powiedział dr Beckmann.

- Po co się tym martwić? - uśmiechnął się dr Jeckstadt. - Nas to nigdy nie spotka. Jesteśmy prawnikami, wykonujemy tylko nasz obowiązek. Słuszne jest karać osobników, którzy nie chcą się podporządkować. Wszystko spoczywa na prawnikach. Bez nas wszystko skończyłoby się chaosem.

- Ma pan rację, drogi kolego - potwierdził dr Beckmann. - Egzekucje są konieczne, a nasze niemieckie egzekucje są najbardziej ludzkie.

Zanim Leutnant Ohlsen zdołał zrozumieć, co naprawdę się dzieje, już znalazł się na pochylni. Poczuł, jak przechyla się do przodu. A potem już nic. Kat zwrócił się do grupy rozmawiających cichym głosem u stóp szafotu i mocnym głosem zawołał.

- Egzekucje wykonane zgodnie z wyrokiem sędziów! Heil Hitler! W dwie godziny później

Kriminalrat Paul Bielert miał w dłoniach następujący dokument:

Trybunał Dywizji 56/X Miejsce

Garnizon Hamburg wykonania wyroku:

Areszt garnizonowy w Altonie Areszt garnizonowy.

Wykonanie wyroku śmierci orzeczonego wobec Leutnanta rezerwy Bernta Viktora Ohlsena. Obecni:

Jako przewodniczący egzekucji: Oberkriegsgerichtsrat dr Jeckstadt. Jako

kierownik wykonawczego biura karnego: Sturmbannführer SS von Verkler. O

godzinie 19.05 skazany został wyprowadzony ze swej celi, a jego ręce związane na plecach. Został zaprowadzony na szafot przez dwóch żołnierzy wartowników. Kat Rottger był gotów wraz ze swymi dwoma pomocnikami. Był również

obecny: Komendant aresztu garnizonowego Major von Rotenhausen. Po

sprawdzeniu tożsamości skazanego przewodniczący wydał katowi rozkaz

dokonania egzekucji. Skazany, który był spokojny, bez oporu dał sobie położyć

głowę na pniu, po czym kat dokonał egzekucji ręcznym toporem i zameldował, że wyrok został wykonany.

Piękny Paul uśmiechnął się i przybił pieczętkę pod makabrycznym

dokumentem. Dla niego sprawa była zakończona. Znow wygrał. Jeszcze jeden

wyrok śmierci, który ozdobi jego comiesięczny raport do R.S.H.A. w Berlinie. W brzuchu Porty czternaście piw, dziewięć wódek i siedem absyntów klóciło

się o prawo do pozostania na miejscu. Chwiejnie podążył w stronę orkiestry, padając

kilka razy po drodze. Z wielkim wysiłkiem skierował się do pianina. Trzy razy

potoczył się po ziemi i wstał z pomocą jednego z muzyków. Z bulgotem w brzuchu eksplodował do pianina.

- Spierdalaj! - wrzasnął pianista. - Rzygasz do mojego pianina!

- Pyskujesz, dupo z uszami - czknął Porta, przewracając do pianina kufel

piwa. - Tani browarek, to nie jest dobre - wyjaśnił. - Ale teraz zabawka dostanie

dobre, świeże piwo. - Usiadł na stołku i pozwolił grać swym palcom. Był to piękny

koncert pijanego żołnierza. - Śpiewajcie, bando różowych dziur w dupie! - zawołał. Bernhard

Namoczony wskoczył na stół i zaczął wybijać rytm dwiema

butelkami szampana.

Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor stand eine Lanterne, und steht sie noch davor.

So woWn wir uns da wiedersehen, bei der Lanterne wolin wir stehen, wie

einst, Liii Marleen, wie einst, Liii Marleen.

Mały nie śpiewał. Siedział w kącie z dziewczką, którą trzymał i rozbierał, jak

kuchcik oskubujący kurczaka. Krzyk dziewczyny był mieszaniną strachu i

rozbawienia.

- Allah nie zgadza się jej wysłuchać - stwierdził mały Legionista. Pianista kłął bez przerwy. Porta objął go z miłosnym uśmiechem.

- Gniewasz się, stary bokserze nut?

W tym momencie pianista został odesłany na ziemię, potoczył się jak beczka

w stronę kuchni, gdzie zatrzymał się u stóp dwóch dziewczyn. Podnieśli go Heide i

Barcelona i ponieśli nad głowami na ulicę, zakotłysali nim jak workiem i rzucili na

inne worki, mające dość już piwa.

W tej samej chwili mała procesja, złożona z sześciu żołnierzy SD, jednego pastora, jednego lekarza, kilku funkcjonariuszy trybunału, służby bezpieczeństwa oraz jednej staruszki wchodziła na korytarz więzienia Fuhlsbuttel, z tyłu za lotniskiem. Nie szli zdecydowanym krokiem. Wyglądało to tak, jakby chcieli rozciągnąć czas, zanim dotrą do zielonych drzwi na końcu korytarza. W kwadrans później mała procesja wyszła stamtąd, ale bez starej damy. * * *

Rozdział IX URODZINY BERNHARDA NAMOCZONEGO

Straszliwy hałas dolatywał od knajpy „Trzy Zajęce” na Davidstrasse. Słysząc go było aż w szpitalu przy Bernhardt Nacht Strasse. Był to jarmark w najczystszy styl. Nad drzwiami na ulicę zawieszono girlandy. Migotały lampiony.

Właściciel, Bernhard Namoczony, obchodził swe urodziny w najbardziej oddalonej salce. Tylko wybrani przyjaciele domu zostali zaproszeni.

Mały przyszedł wczesnym popołudniem jako jeden z pierwszych. Spotkał Namoczonego w kuchni. Stał na rozstawionej drabinie, skąd dyrygował przygotowaniami do wieczornego święta.

- Słyszałem, że to twoje urodziny - zaczął Mały.

- Zgadza się - mruknął Namoczony.

- Dobra, wobec tego wszystkiego najlepszego - mruknął półgębkiem Mały, zsuwając swój dziwny kapelusz na kark.

- Dzięki - odparł Bernhard i zaczął jednej z dziewczyn dawać wskazówki co do paru skrzynek piwa.

- Czy robisz coś z tej okazji? - zapytał, dłubiąc w uchu, Mały.

- Robię to co roku - odparł Bernhard Namoczony, smarkając w palce. Trochę smarków spadło na mięso, leżące w rondlu.

- To jest na potrawkę - wyjaśnił. - Nic się nie stanie, jeśli będzie jej trochę więcej. W zeszłym tygodniu jedna z dziewczyn przewróciła do niej fusy z kawy, ale nikt tego nie zauważył. Biorę tylko markę dwadzieścia za porcję. To jest coś, co podaję z przyczyn humanitarnych. Dokładam z własnej kieszeni.

- To dobrze robi od czasu do czasu - rzekł Mały, wpatrując się w butelki, paradujące wzdłuż ściany.

- Masz dużo butelek. Kto wypije to wszystko?

- Moi bliscy przyjaciele - odparł Bernhard, plując przez okno.

Mały nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć. Miał ochotę pyskować, ale z taktycznego punktu widzenia błędem byłoby pokłócić się takiego dnia z Bernhardem.

- Wkrótce odjeżdżamy - oświadczył po chwili i otarł sobie usta. - Powrót na wojnę. Nasz batalion marszowy jest prawie skompletowany. Mamy też nowe czołgi. O tym nie wolno mówić nikomu, ale tobie, to nic takiego. Opowiesz to tylko temu, co trzeba.

- Zgadza się - odpowiedział krótko Bernhard. Miał trudności z zawieszeniem girlandy. Drabina zachwiała się niepokojąco. Za dużo piwa od rana.

- W gruncie rzeczy zawsze bardzo cię lubiłem - ciągnął dalej Mały. - Ile to lat już stoisz na nogach?

- Czterdzieści dwa. Możesz wziąć sobie butelkę piwa i wypić za moje zdrowie.

Mały wyciągnął rękę i chwycił butelkę. Już chciał ją zdekapitować zębami, ale powstrzymał go Bernhard, wyciągając znacząco dłoń.

- Masz oczywiście prezent?

- Ach, gówno! - zaklął Mały. - Zapomniałem o nim. - Wyciągnął z kieszeni paczuszkę, owiniętą w

różową bibułkę.

Zaciekawiony Bernhard otworzył pakiecik. Ukazało się coś pożytecznego w postaci otwieracza do butelek piwa.

- Nie macie w sobie ani krzty oryginalności, bando dziur w dupie! - wrzasnął rozeźlony Bernhard. - To dziesiąty jaki dziś dostałem.

Mały odgryzł kapsel i pił długimi haustami.

- Rzadko dostaje się na urodziny to, co by się chciało - powiedział ze smutkiem.

Schodzili się inni, by złożyć właścicielowi życzenia. Skierowano się do miejsca przygotowanego na święto.

Mały powoli upijał się. Bardzo zważał na to, by brać udział we wszystkich toastach.

W środku tego wszystkiego pojawił się żółty cylinder Porty.

- Cześć, Namoczony. Wszystkiego najlepszego z okazji święta twego czterdziestego drugiego wydrapania się na brzeg. Dostałeś mój prezent?

Bernhard naprawdę nie przypominał sobie, by dostał prezent od Porty.

- Nie otrzymałeś od Małego otwieracza do butelek w kształcie kobiety?

- Owszem, rzeczywiście dostałem to gówno - mruknął Bernhard.

- Dobra, więc wszystko idzie dobrze. Prawdę mówiąc był to wspólny prezent, mój i Małego. Przytaszcz browaru, jestem wysuszony jak pustynia.

Bernhard zaklaskał w dłonie.

- Chłopcy, siadajmy do stołu. Jesteśmy tu już wszyscy.

Przepychano się, zrządzono, ale w końcu wszyscy znaleźli miejsca siedzące.

Dziesięć dziewczyn, ubranych na francuską modłę tylko w czarne majtki i fartuszki wielkości znaczka pocztowego, przyniosło półmiski. Porta natychmiast stał się przedsiębiorczy.

- Helga - wrzasnął. - Mały mówi, że ogoliłaś się jak francuska kurwa. Pokaż, czy to prawda?

Helga postawiła przed nim wielki talerz kapusty i wołała nie odpowiedzieć.

Porta rżał jak koń z browaru, który poczuł piwo.

Podczas posiłku nastrój wspaniale się polepszał. Postanowiono zaśpiewać Bernhardowi piosenkę. Piosenkę długą i nieprzyzwoitą.

Faut faire auelque chose, alors sort le troc quand on amene la bouffe, ca aiguisse Yappetit.

Embrasse en haut et baise en bas, on boit a la caraffe, Embrasse en haut et baise en bas, dit le singe flance a la giraffe.

Wrzeszczano tak bardzo, że szklanki na bufecie zaczęły się niebezpiecznie objąć o siebie. Rzucano Bernharda do góry.

Porta wspiał się na stół, machając swym żółtym cylindrem. Heide mocno zderzył dwie butelki.

- Zamknąć gęby, Joseph Porta chce przemówić! W końcu można było usłyszeć się wzajemnie.

- Bernhardzie Namoczony - rozpoczął Porta - masz teraz czterdzieści dwa lata i jesteś znany w Hamburgu. Pisano o tobie w gazetach. Miałeś śliczne, małe ogłoszonko, gdy zarobiłeś sześćdziesiąt dni. Chcę więc ci życzyć, by wszystko szło dobrze, by twoje podwozie nie pogarszało się z latami, by dziwki zawsze szukały twoich lokali i przyciągały tam burżuazyjnych rozpustników. Z tego jest kasa, Bernhardzie. Jesteś pod wielu względami kutasem, ale mimo tego bardzo cię kocham. Wiesz dobrze, że to przyjaciele powinni mówić prawdę. Dziękuję ci ze swej strony i w imieniu kumpli, a teraz piosenka. Raz, dwa, trzy!

Aimer au port avec la chaleur des bras et aimer et etre embrasse en mer. Si on a une fois embrasse la fente on ne dit plus facilement adieu.

Porta został zepchnięty ze stołu. Przewrócił jedną z dziewczyn i zaczął jej zdejmować majteczki.

- Chcę zobaczyć szparę! - usłyszano jego krzyk pomimo hałasu.

Dziewczyna nagle przewróciła bukiet. Kawałki róż i goździków fruwały we wszystkie strony.

Julius Heide przemawiał. Opowiadał o bohaterach i o dumnych orłach. Jego historie nie zainteresowały słuchaczy, którzy pospiesznie odesłali go do diabła.

Barcelona skorzystał z okazji, by złożyć hołd Bernhardowi Namoczonemu. Jak zawsze zaczął od Hiszpanii. Przeskoczył od corridy do bitwy czołgów pod Alicante.

- To tam odniosłem moje pierwsze zwycięstwo - wydierał się i podniósł do ust litrowy kufel piwa. Połowa wylała mu się na pierś. Czknął.

- Jak nazywała się twoja hiszpańska kurwa? - zapytał Porta.

Barcelonę znów chwyciła czkawka. Pokazał palcem Porte. Stary musiał mu pomóc, aby nie spadł ze stołu.

- Obergefreiter Joseph Porta, po raz sto dwudziesty przypominam ci, że masz się do mnie zwracać we właściwy sposób. Dlatego, że jestem Feldwebel, kręgosłupem sił zbrojnych.

- Jesteś pijaną dupą - odparł Porta i wypuszczając dziewczynę oparł się o bar i zaczął pić szampana prosto z butelki.

- Jestem miłośnikiem sztuk pięknych - ogłosił wśród hałasu Barcelona - a mój przyjaciel także, mój przyjaciel Bernhard. - Ucałował Bernharda w czoło, by podkreślić swą przyjaźń i o mało nie spadł ze stołu. Odzyskał równowagę i kontynuował.

- Sztuki piękne! Kto z tej bandy mendoweszek był kiedykolwiek w muzeum i napawał się pięknem?

- Ja! - zawołał Mały przekrzykując hałas i podniósł palec w górę.

Barcelona zamilkł, przejęty najwyższym zdumieniem.

- To nieprawda - rzekł mimo woli.

- Słowo honoru - odrzekł Mały, podnosząc trzy palce. - Cztery razy dostałem rozkaz, by stać na warcie przy Muzeum Wojska. To było dawno temu, gdy byłem rekrutem w 5. Pułku Czołgów w Berlinie.

- Idiota - przerwał mu Barcelona. - To nie ma nic wspólnego z zainteresowaniem moim i Bernharda sztukami pięknymi. Który z was kiedykolwiek oglądał marmurową rzeźbę pięknej kobiety? Kto z was zna Thorwaldsena? Myślicie może, że to jakiś alfons z Reeperbahn? To jest, na Boga - wrzasnął - wielki gościu, który umarł. - Następnie kilka razy użył słowa „bohater”, a następnie przeszedł do „kutasów z dziury w dupie”, wzmiankując po drodze o „wolności” oraz „wonych lasach wiosennych”.

Wtedy wszystko wokół niego zawirowało. Krzyknął coś o śpiewie zajęcia i ptasich gówienkach, teatralnym gestem uderzył się w szeregi wielobarwnych wstążeczek od odznaczeń i nalegał, że nie mają dla niego żadnego znaczenia. Następnie, wskazując palcem kolejno na swe czoło i serce, zawołał: - Tutaj, koledzy święci i wypróbowani, towarzysze broni dziś zgromadzeni w jaskini Namoczonego, to się liczy.

Dalej już nie doszedł i został zmieciony ze stołu. Z podłogi zakrzyknął: - Viva Espania!

Wówczas na stół wdrapał się Bernhard przy pomocy Porty i Legionisty. W niewytłumaczony sposób odzyskał równowagę.

- Mam nadzieję, że żaden z was, moi przyjaciele, nie ma pragnienia, bo w przeciwnym razie napompuję was tak, aż browar wyjdzie wam tyłkiem i butonierkami. - Wziął kilka łyków z butelki, którą z przyjaznym zrozumieniem podał mu Legionista.

- Mam nadzieję, że moja kawiarnia była wam domem, miejscem, gdzie naprawdę jesteście u siebie. Uczynię wam zwierzenie: być knajpiarzem, to nie tylko sposób zarabiania na życie. To jest misja. Nad moimi drzwiami znajduje się Dionizos, jeden z Bożych aniołów. Jest to dowód, że my

knajpiarze należymy do tych, których wybrał sobie Bóg. Przyjaciele, dokąd idziecie, gdy jesteście smutni? Do koszar? Na Boga, nie! Do waszej kobieciny z dziećmiakami u fartucha? W takim razie bylibyście idiotami. Idziecie do Bernharda Namoczonego. A jacy stąd wychodzicie? Przygnębieni? Nie, pozbywszy się wszelkich zmartwień.

- A forsa? - odezwał się jakiś głos z głębi sali. Bernhard wolał nie dosłyszeć.

- U mnie zwykli żołnierze, podoficerowie i inni tacy są zawsze mile widziani. Natężył głos tak bardzo, że stał się groźny. Potrząsnął nad głową zaciśniętą pięścią. Ale oficerowie i tego rodzaju kanalie są niepożądani. W moim przekonaniu nie należą do towarzystwa. Każdy ma przecież prawo powiedzieć co lubi i czego nie lubi?

Głos utonął w okrzykach na jego cześć. Podniósł obie ręce nad głowę, jak bokser ogłaszający zwycięstwo. Znów się napił.

- Jesteśmy hamburczykami - kontynuował wzruszony.

- Hummel, hummell - rozległo się chóralne wycie.

- Mors, mors! - dokończył Bernhard, wygłaszając klasyczne pozdrowienie hamburskie. - I nigdy nie zapominajcie: - Są półgłówki, wyobrażające sobie, że jest jakiś świat poza Hamburgiem. To fałsz. Pokażcie mi Zillertau gdzie indziej niż tu? Gdzie znaleźć najlepsze dziwki? Albo spojrzenia bardziej rozpustne niż na Mönckebergstrasse? Istnieje tylko jedna „11 w Skali Beauforta” i jest na Hansa Platz, w Hamburgu. Ten, kto raz odetchnął powietrzem Hamburga, wraca tu zawsze. Hamburg jest ostatnim bastionem Europy. - Nagle przerwał i wlepił wzrok w kelnerkę.

- Sylvia, ty koślawa szuflo, na co się tak gapisz? Zamknij jadaczkę i nalewaj piwo. Teraz straciłem wątek. Do kurwy nędzy, gdzie go wypuściłem? O tak, już wiem. W moich czasach, gdy byłem w Reichswehrze, w 3. Pułku Dragonów, tam, to byli prawdziwi dragoni! Gównno, dobry Boże, tam to umiano pić piwo. Gdy było się gdzieś na kwaterach, wszystkie dziewczyny rodziły w dziewięć miesięcy później. W tamtych czasach różne rzeczy się wyrabiało. Gdy ktoś obchodził urodziny, nigdy nie dostawał w prezencie dziesięciu otwieraczy do butelek. - Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Porty. - I nie było zasrańców, którzy składali się z drugim na tylko jeden.

Podniósł ręce, dał znak pianiście i wrzasnął: - Gotowość do piosenki o Hamburgu!

Das Herz von Sankt Pauli, das ist meine Heimat, in Hamburg, da bin ich zu Haus.

Piosenkę przerwał Steiner, który zasygnalizował, że jest pierwszy pijany w trupa, Feldwebel z taborów, oczywiście. Okrzyk radości wzbił się pod niebo. Sześciu ludzi chwyciło faceta, który znajdował się w toalecie. Został wyniesiony na ulicę i wrzucony do bramy, w akompaniamencie przyciszonych psalmów.

Porta zwichnął sobie żuchwę ze śmiechu, ale Mały wstawił ją na miejsce dobrze wycelowanym uderzeniem pięści.

W ciągu następnej godziny siedmiu innych pijaków wyruszyło w podróż do bramy.

Urodziny Namoczonego tonęły w dymie, hałasie i piwnej stęchliźnie.

Wszędzie, na stołach, na podłodze leżeli wyczerpani ludzie, wykończeni przez alkohol. Cymbalista wpadł do wielkiej skrzyni i spoczywał w niej bez zmysłów.

Trzymając się pod rękę sześciu z 27. Pułku szło, potykając się, ulicą.

- Pić mi się chce! - krzyknął Porta. Jego krzyk odbił się od murów Herbertstrasse.

Pomogliśmy jakiemuś starcowi przykleić plakat na kolumnie koło metra. Czerwony plakat, koloru krwi.

Bełkotliwym pijackim głosem Steiner przeczytał:

- Obwieszczenie...

Porta zwałił się na ziemię i wstawał z trudnością.

- Steiner, mój chłopcze, kto ogłasza coś tak wczesnym rankiem?

Stary upadł na plecy na schodach do metra i zakleszczył się w kołowrotku wejściowym. Musieli użyć żelaznego drąga do jego uwolnienia.

Steiner i Barcelona podtrzymywali się nawzajem i wspólnie czytali ogłoszenie na głos. Steiner jąkał się przy trudniejszych słowach, ale Barcelona uprzejmie go poprawiał.

- Spokój, koledzy, to tajne ogłoszenie Gestapo - obwieścił Barcelona w pustej ulicy.

- Za rozpowszechnianie fałszywych pogłosek... - czknął Steiner.

- ...na szkodę Ojczyzny - uzupełnił Barcelona. Steiner przewrócił się na plakat, ale zdołał oprzeć się rękami.

- Bóg mi świadkiem, pić mi się chce - jęknął.

- O kurwa, to ktoś, kogo powiesili - krzyknął Barcelona. - Tak napisano czarno na czerwonym.

- To coś, co można by nazwać świątecznym dokumentem - stwierdził Porta i zwymiotował na rampę metra.

- Kogo powieszono? - zapytał Stary, siadając na schodach do metra.

Barcelona z uwagą przyglądał się plakatowi.

- Za zdradę swego Fuhrera, swego Narodu i ojczyzny, dziś o godzinie 17.15 zostanie stracona wdowa Emilie Dreyer, zgodnie z wyrokiem Trybunału Ludowego.

Poszliśmy trzymając się pod ręce wzdłuż bloku w stronę Pałacu Sprawiedliwości.

Barcelona i Legionista wzniesli przerywany czkawką śpiew.

Dragoner sind halb Mensch, halb Vieh, Auf Pferd gesetzte Infanterie.

- Ta wdowa, którą powiesili, czyśmy jej nie spotkali? - mruknął Heide, gdy dochodziliśmy do koszar.

- To możliwe - westchnął Legionista - ale teraz już jej nie spotkamy. Nie pójdziemy tam, gdzie ona.

- W dzisiejszych czasach wiele się umiera - zauważył filozoficznie Stary - a wkrótce jedziemy na wojnę. Batalion marszowy jest gotów.

- Jestem bohaterem - ogłosił wrzeszcząc Mały. Porta upadł na trawnik przed budynkiem sztabu.

Nie bez trudu uniósł się do pozycji siedzącej.

- Zaśpiewajmy dla śpiących zasrańców - zaproponował. - Wiem, że Oberst Hinka ma kurwę w swym puchowym łożu. Znam ją, ale ona wysoko celuje. Ta łajdaczka nie chce Obergefreitrow.

Jego wrzask brzmiał jak muzyka organowa:

Im schwarzen Keller zu Askalon, die kneipt der Mann drei bis dass er wie ein Besenstiel am Marmortische tag.

- Na wszystkich proroków - zaklął Legionista rzucając w kąt swe oporządzenie - zostać w moim wieku pastuchem durniów!

Był instruktorem walki wręcz dla rekrutów, którzy regularnie do nas dołączali z więzień, koszar i obozów. Brał ich w swe ręce tuż po tym, jak otrzymywali swą opaskę „Oddział specjalny”.

- Czemu stałeś się treserem, jeśli tego nie lubisz? - zapytał Mały, gryząc kawałek słoniny, ukradzionej kwatermistrzowi 8. Kompanii.

Legionista wrzucił ramionami, zapalił jednego ze swych nieśmiertelnych papierosów, wypuścił dym nosem i z namysłem przycisnął zapalonym końcem półmartwą pszczołę, wlokącą się po stole.

- A ty, czemu zostałeś żołnierzem?

- To nic trudnego - odparł Mały z ustami pełnymi słoniny. - Miałem do wyboru zostać niewolnikiem u jakiegoś wiejskiego oszusta albo w siłach zbrojnych. Mając szesnaście lat zapisałem się do kawalerii. Nie chcieli mnie. Powiedzieli, że jestem za duży. Odesłali mnie do piechoty, walnąwszy na dodatek paręrazy pięścią w pysk. Tam maszerując doprowadziłem do wściekłości wszystkich

oficerów, nie robiąc nic innego, jak stawiając przy tym jedną stopę zawsze przed drugą. Po paru godzinach mieli tego dość. Wyobrażali sobie, że dadzą radę chłopakowi z Domu Opieki Społecznej. Zmuszali mnie do żarcia ziemi na placu ćwiczeń. Przez następne osiem dni srałem ziemią. Ale to jednak było lepsze, niż robienie sobie odcisków na rękach dla jakiegoś oszukańczego wsioka. No i jestem tutaj.

Legionista skinął głową. - Oczywiście, camarade. Ja nie znam Opieki Społecznej ani Domu Poprawczego, a tylko głód i bezrobocie. Dobra, wylazłem z niemieckiego sralnika pewnego dżdżystego wieczoru w 32. Poszedłem sobie do Paryża, gdzie spodziewałem się słońca. Niczego podobnego, było tam równie smutno, jak w Berlinie. Dałem się adoptować przez pewną kurwę, spotkaną na Boulevard SaintMichel, czekającą na przystanku na autobus. Nauczyła mnie francuskiego. Szczególnie w łóżku. Zostałem jej alfonsem. Nagle gliny zaczęły mi następować na pięty. Ze wszystkich pieprzonych francuskich drzwi wybrałem te najbardziej pieprzone, prowadzące do biura werbunkowego Legii Cudzoziemskiej, gdzie mnie przyjął pewien sierżant. Śmiejąc się na całe gardło pokazał mi dokument. Psy czekały na mnie na zewnątrz.

- Co wolisz? - zapytał sierżant. - Wolność u nas, czy długi pobyt w fortecy SaintMartin deRe?

- W tym momencie jeden z gliniarzy wsadził łeb przez drzwi - kontynuował Legionista. - To zdecydowało ostatecznie o reszcie mego życia. Allah dokonał wyboru. W cztery tygodnie później żarłem piasek koło Casablanki. Zapomniałem Jeanette. Znalazłem sobie taką, która nazywała się Aisza. Taki sam temperament. Mieszkała we wsi czarnuchów.

Rzucił się na swe łóżko koło okna, wrzeszcząc na jednego z rekrutów.

- Jazda, jazda, parszywcu! Wyczyść moje oporządzenie, ale biegiem, i strzeż się, jeśli nie będzie błyszczało jak srebro, gdy skończysz!

Cisnął butem w przerażonego rekruta, starca liczącego sześćdziesiąt trzy lata, który miał zginąć bohaterską śmiercią na brzegu Dniepru, na północ od Kijowa.

* * *

Rozdział X ODJAZD NA FRONT

Nazajutrz podczas ćwiczenia kompanii w ostrym strzelaniu nastąpiło godne ubolewania wydarzenie. Feldwebel Brandt został zabity w schronie strzelnicy. Został trafiony czterema kulami dokładnie w środek czoła. Oficer kierujący ćwiczeniem został zatrzymany na parę godzin, a potem uwolniony.

Gdy załadowano trupa na ciężarówkę, wśród pustych skrzyń amunicyjnych i materiałów do czyszczenia broni, Mały z satysfakcją odezwał się do Porty.

- Trup, to coś niewiarygodnie ciężkiego. Można by pomyśleć, że będzie lżejszy po oddaniu duszy.

Wsiedliśmy do ciężarówki. Porta wyciągnął talię kart. Zajęliśmy miejsca po dwóch stronach trupa, który posłużył za stół. Porta wyciągnął z kieszeni butelkę sznapsa i poczęstował nim Małego.

- Strzelaliśmy równocześnie, Julius i ja - powiedział nie zarumieniwszy się Mały. - Załatwiliśmy go.

- Napił się i wytarł usta. - Chwała Bogu, że pozbyliśmy się tego kutasa.

Porta zaśmiał się cicho.

- Zauważyłeś, jak pobladły te szczury garnizonowe? Dobrze wiedzą, że stuknięto go naumyślnie, ale nie mogą tego udowodnić. O co się założysz, że dziś wieczorem będziemy mogli wypić całe piwo, jakiego zechcemy, nie wykładając kasy?

Plunęli na trupa.

- Czy myślisz, że on jest w tej chwili w piekle?

- Bez wątpienia - odparł Porta. - Pan Bóg go nie zechce.
- A czy wierzysz, że Pan Bóg zechce nas, Porta?
- Zamknij gębę, to twoja sprawa. Nie mów o tym.
- Jego mózg rozprysł się na słupie.
- Nie mógł mieć go dużo - uznał Porta.
- Był żonaty - kontynuował Mały. - Złożę wizytę jego babie i prześpię się z nią. W ten sposób ona nie będzie stratna.
- Masz dobre serce, Mały - stwierdził Porta. Razem osuszyli butelkę i wyrzucili ją przez tylną klapę samochodu.

Porta rzucił kartę na brzuch trupa i ogłosił triumfalnie:

- Atu!

Gdy przybyli do koszar, było już późno i wspólnie zgodzili się zostawić trupa w ciężarówce na noc. W dwa dni później, właśnie gdy pułk otrzymał rozkaz przygotowania się do wyjazdu, mały oddziałek świeżych żołnierzy przedefilował przez dziedziniec koszarowy. Wszyscy byliśmy w oknach budynku 5. Kompanii.

Nagle Stary podskoczył.

- Coś podobnego! Alfred, widziałeś kto tam jest, czwarty w trzecim szeregu? Legionista zaśmiał się na całe gardło.

- Allah jest mądry. Allah jest sprawiedliwy. Stabsfeldwebel Stahlschmidt. Będzie tu mile widziany. Kiernoz podniósł wzrok. Rozpoznał Legionistę i Starego, zbladł, trącił łokciem Sępa stojącego obok.

- Doprawdy, znaleźliśmy się przed bramą piekieł. Niech on dobrze uważa, ten Stever, jeśli go kiedykolwiek spotkam, gdy przegramy wojnę.

- Stahlschmidt, wiem o czym myślisz, wiem o czym myślisz. Ale wbij sobie dobrze do głowy: już cię nie znam.

Porta aż ryknął.

- Heil SS! Oto jesteś między nami. I to na pięć minut przed odjazdem pociągu.

W środku kolumny podniósł wzrok śmiertelnie blady żołnierz.

Na zielonym kołnierzu jego drelichowej kurtki można było jeszcze dostrzec ślady czarnej odznaki SS. Kilka nitki powiewało na wietrze. Na ramieniu miał srebrną trąbkę, przywiązaną złotym kawaleryjskim sznurem.

Był to eks-kierowca Standartenfuhrera SD Paula Bielerta.

Hauptfeldwebel Edel przyjął nowo przybyłych we właściwy sobie sposób.

- Słuchajcie, blade nieroby. Witam was serdecznie u nas. Zaplujecie się, zanim przybędziecie na Front Wschodni. Jestem bardzo dobry i wyrozumiały dla tych, których lubię, ale was nie lubię. Jutro i pojutrze służba sraczowa. Z góry uprzedzam was, że sedesy mają się błyszczeć, połyskiwać.

Oberst Hinka nadszedł wolnym krokiem. Jego płaszcz z szarej skóry błyszczał od wilgoci. Szeroki, dziecinny uśmiech pod czapką. Potrząsnął głową.

Edel zrobił zwrot, strzelił obcasami i wrzasnął głosem doświadczonego podoficera.

- Herr Oberst, Hauptfeldwebel Edel melduje na pana rozkazy 5. Kompanię wraz z dwudziestu nowo przybyłymi ludźmi.

Hinka uśmiechnął się cicho, spojrział z ukosa na okna, w których siedzieliśmy.

- Dziękuję, Hauptfeldwebel. Zrób tym chłopcom rozgrzewkę, aby poczuli się u nas jak w domu. Sądzę, że dowództwo nad nimi obejmie Unteroffizier Alfred Kalb.

- Jawohl, Herr Oberst - szczechnął Edel, zawsze gotów do usług.

Mały Legionista już stał w drzwiach, ubrany w mundur ćwiczebny. W nieskazitelnie regulaminowy

sposób zsalutował Oberstowi Hince, który mu odsalutował.

- Unteroffizier, tych chłopców trzeba rozgrzać, by u nas dobrze się poczuli. Ale najpierw powiedzmy im dzień dobry. - Przeszedł wzdłuż nich powoli, mając za sobą Legionistę i Hauptfeldwebla. Zatrzymał się przed Kiernozem.

- Nazwisko?

- Zum Befehl, Herr Oberst. Stabsfeldwebel... Hinka, rzuciwszy okiem na dokumenty, przerwał mu.

- Przyszliście z aresztu garnizonowego? Wiele lat służby więziennej, jeszcze nigdy na froncie, ale pójdziecie tam! Jesteśmy pułkiem frontowym, zawsze jesteśmy tam, gdzie gorąco. - Potrząsnął głową.

- Zostaliście wyrzuceni za złe traktowanie więźniów?

- To pomyłka, Herr Oberst - zaprotestował słabym głosem Kiernoz.

- Oczywiście, Stabsfeldwebel - stwierdził Hinka. - Do nas zawsze trafia się przez pomyłkę. Legionista wpatrywał się w Kiernoza, zapiął na guzik prawą górną kieszeń swego drelichu i uśmiechnął się lodowato.

Poszli dalej. Hinka zatrzymał się przed Sępem.

- Jeszcze jeden z aresztu garnizonowego. Wymietli gospodarstwo do dna.

Kontynuowali spacer wzdłuż stojących szeregiem ludzi. Przechodząc przed Sępem, Legionista syknął.

- No tak. Idź się zameldować u Obergefreitera Porty. Służba sraczowa.

Hinka zatrzymał się przed byłym esesmanem i pokazał na trąbkę.

- Gracie na tym?

- Jawohl, Herr Oberst. Unterscharfuhrer Rudolf Kleber, były trębacz Dywizji Kawalerii SS Florian Geyer.

- Trębacz - powtórzył Hinka. - Dlaczego przyszedłeś do nas?

- Czarny rynek i kradzież, Oberst.

- Co ukradłeś, żołnierzu?

- Ziemniaki i cukier, Oberst.

- Zauważyłem, żołnierzu, że zapomniałeś powiedzieć „Herr Oberst”. Taki jest zwyczaj w Armii. Unteroffizier Kalb, nauczcie tego człowieka grzeczności.

- jawohl, Herr Oberst. Żołnierzu, padnij, dwadzieścia razy - syknął przez zęby Kalb i nie sprawdzając wykonania komendy zrobił dokładnie szesnaście kroków za dowódcą pułku.

Ludzie byli badani, jeden po drugim.

Oberst Hinka krótko sprawdzał przyczyny ich pojawienia się w 27. Pułku. Jednych załatwiano szybko, przy innych zatrzymywano się na dłużej. Oberst zsalutował niedbale i oddalił się, mając za sobą Hauptfeldwebla Edela.

Legionista obciągnął czapkę nad lewe oko. Wyobrażał sobie, że jest to białe kepi Legii. Wbrew regulaminowi wsadził sobie w kąt ust papierosa na francuską modłę.

- Nowi, słuchajcie mnie! - zaszczekał, trzymając papierosa zupełnie nieruchomo. (Tylko Francuz potrafi tego dokonać). - Radzę wam, skurwysyny jedne, dobrze słuchać co powiem. Byłem żołnierzem Legii Cudzoziemskiej. Następnie trzy lata w batalionie specjalnym i więzieniu wojskowym Torgau. Żołnierze, słuchajcie uważnie. - Strzelił obcasami, przekrzywił czapkę jeszcze bardziej nad oko, zapalił następnego papierosa.

- Bacność! Równaj w prawo! W kolumnie marszowej w lewo zwrot!

Poszli aż na plac ćwiczeń za garażami, gdzie nikt nie mógł ich widzieć. Maszerowali krokiem defiladowym.

Widząc jak znikają, Stary roześmiał się cichutko.

- Pustynny Włóczęga w swoim żywiole. To zemsta osobista.

Legionista przeganiał ich bosą po żwirze wzdłuż i w poprzek placu ćwiczeń.

Zmęczony Oberst Hinka, oparty o szorstki bok czołgu tygrys, obserwował przebieg karnych ćwiczeń, prowadzonych w żargonie francusko-niemieckim. To mu niezbyt odpowiadało. Nie było to w pełni zgodne z regulaminem. Był to rezultat twardego wychowania. Ośmiu lat u Francuzów i szczęściu u Prusaków, materializujących się w taki sposób na koszarowym żwirze.

- Oddział, naprzód marsz! Biegiem! - syknął Legionista. Kazał im pełzać w błocie, gdzie się prawie utopili. Kazał im skoczyć do fosy. Chichotał, licząc wynurzające się głowy. Ryczał: - Do stu diabłów, to jest obowiązek! Nie miejcie mi tego za złe, camarades. Zrobię was twardymi jak skała Gibraltaru. Padnij! Żreć błoto, oddychać będziecie później.

Hinka śmiał się, Edel śmiał się. To właśnie była Legia. Recepta na najlepszych żołnierzy świata.

- Dobra, camarades, szybciej, biegiem! - wrzasnął Legionista, stojąc na pustej skrzyni. Kazał im biegać po żwirze we wszystkie strony. Wpadali w błoto jak pociski artyleryjskie.

- Sapperlotte, ruszać się, bando nierobów! Nagle przestraszył się, że może naderwać sobie głos, wziął więc gwizdek. Najpierw nauczył ich komend podawanych gwizdkiem. Jeden gwizd - biegiem! Dwa gwizdy - padnij. Trzeci gwizd: - skoki w miejscu ze złączonymi stopami.

Gwizdał przez dwie godziny. Ludzie zaczęli słabnąć. Legionista klął po francusku.

Oberst Hinka śmiał się. Edel śmiał się, uważając imitowanie Obersta za swój obowiązek. Dał Legioniście znak, by przestał. Nie chciano w pułku umierających podczas ćwiczeń specjalnych.

Legionista zakończył godzinę marszu wokół koszar w miękkim piasku.

Dwudziestu ludzi zostało rozdzielonych między salki obozowe. Kiernoz wylądował u nas. Dano mu szafkę, gdzie rozmieścił swoje rzeczy. Twarz miał poraną strugami potu. Był milczący i ponury

- Zgubiłeś swoje klucze - ktoś mu powiedział. Kiernoz wołał nie odpowiedzieć.

Wszedł Legionista i zbliżył się do niego.

- Nie myl się co do tego, co było dla ciebie dziś zarezerwowane. To było specjalnie dla ciebie, nie dla innych. Widziałeś, jak nasz dowódca umiera, ale przedtem go maltretowałeś.

- To nie ja - bronił się Kiernoz. Legionista uśmiechnął się złośliwie.

- Stahlschmidt, słuchaj mnie dobrze. To, co robiłeś, mamy w dupie. Twój akolita nie wpadł nam w ręce, jeszcze nie. To on was tu przeniósł, ciebie i Sępa. Był sprytniejszy od was. My zrobimy z ciebie bohatera, cholernego bohatera. Gdy się do mnie odzywasz, masz mówić Herr Unteroffizier, rozumiano?

- Jawohl, Herr Unteroffizier - wyszeptał Kiernoz, strzelając obcasami najgłośniejszym, jak potrafił.

Legionista zawrócił na pięcie i wyszedł. Kiernoz dalej układał swoje rzeczy. Przez nieuwagę przewrócił buty Małego.

- Dotknąłeś moich butów - warknął Mały z wysokości swego piętrowego łóżka, równocześnie jedząc kielbasę.

- Mam je tam, gdzie myślę, te twoje buty - odpowiedział prowokacyjnie Kiernoz.

Mały wzruszył ramionami i nadal zajął się kielbasą. Gdy skończył, otarł usta wierzchem dłoni, wysunął powoli nogę poza brzeg pryczy i zręcznie zeskoczył na ziemię. Z głuchym pomrukiem podszedł do Kiernoza i popukał go w ramię. Dokładnie w chwili, gdy Kiernoz odwrócił głowę, pięść Małego frunęła przez powietrze i dzwięcznie wylądowała na jego podbródku. Po tym posypał się grad uderzeń, póki Kiernoz nie zaczął widać się na ziemi jak węgorz. Mały przewrócił go na brzuch i kilka razy podskoczył na jego tyłku. Następnie wlaź na swoją górną pryczę, wydobył spod materaca dwa piwa, które zdekapitował zębami i zaczął pić z obu butelek na raz, wyczyn akrobatyczny, do którego on jeden był zdolny. Cisnął pustymi butelkami w powoli dochodzącego do

siebie Kiernoza i warknął:

- Szczurze więzienny, sam się napraszałeś o mój but. Twoje życzenie zostało spełnione.

Kiernoza nawet nie mruknął. Położył się skulony i dyszący. Dla niego zaczęła się nowa epoka. Teraz on będzie dostawał uderzenia.

Porta i esesman wyszli razem z koszar. Widziano ich w licznych knajpkach, gdzie po cichu rozmawiali z kurwami i sutenerami. Jeździli taksówkami. Spieszyło im się.

Późną nocą, spacerując drogą Landungsbricke, doszli aż do szkoły nawigatorów za szpitalem wojskowym. Na samym szczycie pagórka stała ławka. Usiedli. W zamyśleniu przyglądali się fortecy, słuchali głuchego odgłosu nitowania w arsenale, chwalili iskry spawania, tryskające całymi bukietami jak sztuczne ognie.

- Jeśli grasz tak dobrze, jak twierdzisz, daj mi posłuchać - zażądał Porta. - Jeśli chcesz, by cię pokochał nasz Oberst Hinka, trzeba tak umieć grać, by anieli się przysłuchiwali.

Były esesman Rudolf Kleber potwierdził skinieniem głowy i wyjął swą srebrną trąbkę ze stojącego obok ławki futerału. Z kieszeni wydobył ustnik, owinięty kilku warstwami bibułki, dmuchnięciem odkurzył go, a potem z prawie religijnym skupieniem przykręcił do trąbki. Był to bardzo kosztowny ustnik. Podniósł srebrny instrument do ust spoglądając z ukosa na Portę, obserwującego z kompletną obojętnością iskry tryskające z łuków spawania.

- Byłem trębaczem pułku F 6 - wyjaśnił Kleber. Wiesz, tego, który ma jabłkowite konie. Grałem podczas wielkiej parady w Norymberdze.

- Mniej gadaj, kulisie i graj. Nie wierzę, byś był tak dobry, jak mówisz.

Kleber odetchnął głęboko. Pierwsze takty rozległy się nad Landungsbricke. Fanfara kawaleryjska.

Na Porcie nie zrobiło to wrażenia.

Nastąpiła fanfara piechoty.

Ta też zupełnie nie zrobiła wrażenia na Porcie.

Esesman spojrzał na niego. - Czego chcesz posłuchać, Josephie Porto? Powiedz, czego chcesz.

- A co ty umiesz? - spytał Porta, obojętnie kopiąc leżący na ziemi korek.

Esesman spojrzał w stronę ciemnej rzeki.

- A co myślisz o bluesie? Zakazanym bluesie, tak kochanym po drugiej stronie morza.

Porta potwierdził.

- Tak, ale postaraj się go nie zamordować. Wielu jest takich, którzy twierdzą, że umieją grać bluesa.

Kleber przyłożył trąbkę do ust. Całą swą duszę włożył w grę. Wiedział, co ryzykuje. Dźwięki wzniosły się ku ciemnemu listowiu drzew. Było tak, jakby cały Hamburg obudził się ze snu, aby posłuchać. Kleber wstał z ławki wybijając rytm prawą stopą, zamarkował jakiś krok taneczny, podniósł trąbkę ku niebu. Księżyc wynurzył się spośród płynących chmur, jego promienie odbijały się od błyszczącej trąbki.

- Może być - oświadczył Porta. - Kontynuuj.

Pojawił się policjant. Jego hełm błyszczał. Kleber zrobił jeden krok w stronę policjanta, karcąco wyciągnął rękę w jego stronę i grał dalej, nie pozwalając sobie przeszkadzać.

- Memphis Blues, stara melodia - wyszeptał policjant, wybijając ręką takt. Zdjął hełm, przesunął dłonią po włosach i usiadł obok Porty.

Z ciemności wynurzyły się dwie piękności nocy. Kleber grał, jakby od tego zależało jego życie. Zerknął na Portę.

- Nieźle - ocenił Porta. Zagwizdał parę taktów.

- A to znasz?

Esesman przytulił trąbkę do ust i zaczął grać Deep River.

To było tak, jakby wśród letniej nocy wszystkie owady zaczęły śpiewać. Ptaki poruszały skrzydełkami w krzakach i podnosiły dzióbki do księżyca, płynącego po aksamicie. Policjant i dziewczyny tańczyli, trzymając się za ręce. Słyszało się rytm zakutych w łańcuchy więźniów w obozach pracy. Maszerujących piechurów. Konie kawaleryjskie. Błyski szabel o zachodzie słońca. Ryk tysięcy czołgów rozgrzewających silniki. Warkot ciężarówek. Wdzięczny balet wiotkich tancerek.

Zdyszany Kleber przerwał grę.

- Czy jesteś zadowolony, Obergefreiterze Porto? Porta uśmiechnął się.

- Nie tak źle. Ale mogło być lepiej.

- Do jasnej cholery, i czego jeszcze? - zapytał policjant, wkładając hełm na głowę.

- Czy uważasz, że jestem dość dobry, by zostać muzykiem waszej kompanii? zapytał Kleber, nie śmiejąc spojrzeć na Porte.

Dziewczyny i policjant spojrzeli po sobie. Zamilkli. Zrozumieli. Działo się coś, czego nie potrafili pojąć. Szło o wybranie kogoś, kto może ułatwić śmierć pariasom tego padolu. Nagle pomyśleli o świecie, który nie był ich światem, w którym twardzi mężczyźni byli jak dzieci tuż przed otrzymaniem lodowatego pocałunku śmierci.

- Umiem także grać „Śmierć muzykanta”, Viva la Muerte - zaproponował z entuzjazmem esesman.

Porta dał mu znak.

- Jazda.

Teraz trąbka płakała, zanosila się łkaniem, jej niezmierny smutek opowiadał o śmierci, Śmierci muzykanta. Muzyka, który grał tak, że popękały struny jego skrzypiec.

Esesman pochylił się do przodu i dmuchał w ziemię, jakby chciał ogrzać świeży grób martwego muzyka. Powoli odchylił się do tyłu, zupełnie zginając kark i posłał nuty w stronę wędrujących chmur.

- Viva la muerte. Viva la muerte. Muzyk nie żyje.

- Załatwione - oświadczył Porta, klepiąc go po ramieniu. - Będziesz naszym muzykiem.

- Dziękuję - wyszeptał esesman. - Trąbka, to moje życie.

Wstali i wyruszyli, nie zwracając uwagi na policjanta i dziewczyny. Okrążyli Instytut Bernhardta Nachta. Przeszli całą długą drogę do koszar. Od czasu do czasu zatrzymywali się i nucili jakąś melodię.

- A znasz to?

Defilowały wszystkie wielkie nazwiska jazzu.

- To bardzo lubię. - Porta zatrzymał się na pagórku tuż przed zbombardowanym kościołem na Königins Allee, wyciągnął zza cholewy flet i zagrał Rhapsody in Blue.

Kleber przyłączył się unisono na trąbce, jakiś policjant, przeszkadzający im rykiem na pruską modłę, został posłany na ziemię przez Porte, nie przerywającego muzyki nawet na moment.

27. Pułk otrzymał rozkaz wyjazdu w osiem dni później.

W całych koszarach zapanowała gorączkowa aktywność. Jeszcze nam nie wyznaczono dowódcy. Powiedziano, że dostaniemy go i dołączy do nas później, podczas transportu na front.

Oberst Hinka pojawił się, aby nam osobiście towarzyszyć. Dawniej był dowódcą 5. Kompanii. Dobrze znał wszystkich starych. Odebrał raport Hauptfeldwebela Edela, głaszcząc się z namysłem po podbródku i jednym rzutem oka objął 175 ludzi. Następnie zestawil obcasy i wielkim głosem zakomenderował.

- 5. Kompania, w prawo zwrot.

Stary i Barcelona sprawdzili wyrównanie. Hinka ugiął kolana.

- Baaaczność! Kolumną marszową w prawo zwrot! Kompania, stój! Muzyk kompanii, na prawe skrzydło!

Kleber wyskoczył z ostatniego szeregu aż na skrzydło. Trzy kroki przed pierwszym rzędem. Trzy razy rytmicznie uniósł swą trąbkę. A potem zagrał fanfarę pożegnania, wśród milczenia całej kompanii.

Żegnajcie stare koszary, Żegnajcie smrodliwe sale.

Oparł trąbkę o lewe biodro.

Uśmiechnięty Hinka zakomenderował: - Na ramię broń! Naprzód marsz! Kleber znów zagrał. Dźwięki odbiły się echem od szarych murów. Porta pochwalił skłoniwszy głowę i trącił Legionistę łokciem.

- Więc znów mamy muzyka, co?

Długi pociąg towarowy opuścił dworzec w Hamburgu. O mały włos odjechalibyśmy bez Porty. Żegnał się z trzema dziewczynami na stercie słomy. Gdy przy cudzej pomocy wsiadł wreszcie do bydlęcego wagonu, miał wokół szyi błękitne figi jednej z nich.

W tej samej chwili w wagonie sztabowym Oberst Hinka otwierał zapieczętowaną kopertę. Podał ją swemu adiutantowi, leutnantowi Wegenerowi. Wegener przeczytał w milczeniu.

GEKADOS 27. Pułk Pancerny w misji specjalnej. Pułk zostaje podporządkowany bezpośrednio Oberkommando Wehrmacht, jako odwód grupy uderzeniowej czołgów MONTE CASSINO.

Koniec

* * *

Spis treści

WYZNANIE WIARY NAZISTY	3
PROLOG.....	4
Rozdział I DONOSICIELKA.....	5
Rozdział II KOMPANIA W MISJI SPECJALNEJ.....	29
Rozdział III REAKCJA ŁAŃCUCHOWA.....	58
Rozdział IV NA WARCIE PRZY GESTAPO.....	80
Rozdział V PORTA I ESESMAN.....	115
Rozdział VI W ARESZCIE ŚLED CZYM.....	131
Rozdział VII DYSCYPLINA WIĘZIENNA.....	170
Rozdział VIII EGZEKUCJA.....	188
Rozdział IX URODZINY BERNHARDA NAMOCZONEGO.....	217
Rozdział X ODJAZD NA FRONT.....	224

Table of Contents

.....	3
.....	
.....	29
.....	58
.....	80
.....	115
.....	131
.....	170
.....	188
.....	217
.....	224